

Moravia Alberto

KONFORMISTA

przełożyła: Zofia Ernstowa

PROLOG

ROZDZIAŁ I

Kiedy Marcello był dzieckiem, urzekał go byle przedmiot, byle błyskotka, jak srokę. Może dlatego, że w domu rodzice, raczej przez obojętność niż przez surowość, nigdy nie pomyśleli o tym, żeby zaspokoić jego poczucie własności; a może dlatego, że inne instynkty, głębsze i jeszcze nie ujawnione, przeobrażały się w zachłanność; nieustannie dręczyło go pragnienie zdobycia na własność najrozmaitszych rzeczy. Ołówek zakończony gumką, książka z obrazkami, linijka, ebonitowy kałamarz kieszonkowy, pierwsze lepsze głupstewko budziło w nim najpierw gwałtowną i nedorzeczną pożądlivość, a potem, gdy upatrzony drobiazg stał się już jego własnością, napępiała go zdumiewająca, niewyczerpana, magiczna radość. Marcello miał w domu własny pokój, w którym sypiał i uczył się. Wszystkie leżące tam na stole czy zamknięte w szufladach przedmioty były dla niego święte lub niemal święte, w zależności od tego, jak dawno zostały nabyte. Słowem, nie były one podobne do innych znajdujących się w domu przedmiotów, stawały się ułamkami zdobytych już lub mających przyjść

doświadczeń, zawsze pasjonujących i zabarwionych tajemniczością. Marcello na swój sposób zdawał sobie sprawę z tego dziwaczego przywiązania do własności, które dawało mu nieopisane szczęście, a zarazem budziło w nim przykre uczucie stale popełnianej winy i nawet nie pozostawiało mu czasu na skruchę.

Ponad wszystko jednak — może dlatego, że było to czymś zakazanym — pociągała go broń. Nie broń na . niby, ta do zabawy dla dzieci, blaszane strzelby, pistolety na kapiszony, drewniane pałasze, ale broń prawdziwa, z którą wyobrazenie grozy, niebezpieczeństwa i śmierci nie kojarzy się, jak w tamtej, tylko przez podobieństwo formy, lecz jest jedyną racją jej istnienia. Zabawa dziecinnymi rewolwerami nie mogła spowodować śmierci; z rewolwerami dla dorosłych wyglądało to inaczej, śmierć nie tylko była możliwa, ale narzucała się po prostu niczym natrętna pokusa, którą hamuje tylko przezorność. Marcello kilkakrotnie miał w ręku prawdziwą broń: myśliwską flintę na wsi, stary rewolwer, który ojciec pokazał mu kiedyś w szkatułce; za każdym razem przy dotknięciu broni przenikał Marcella dreszcz, jak gdyby jego ręka znalazła wreszcie naturalne przedłużenie w rękojeści broni. Marcello miał wielu przyjaciół wśród mieszkających w sąsiedztwie dzieci i w krótkim czasie uświadomił sobie, że jego zamiłowa-

1 nie do broni wywodzi się z głębszych i o wie

le bardziej skomplikowanych pobudek niż naiwne upodobania militarne kolegów. Oni bawili się w żołnierzy udając drapieżność i krwiożerczość, w rzeczywistości jednak robili to tylko dla zabawy i małpując mordercze gesty nie byli naprawdę przejęci swoją rolą; z nim natomiast działo się wręcz odwrotnie: w zabawie w żołnierzy szukały ujścia jego krwiożerczość i drapieżność, a gdy brakowało mu towarzystwa do tej zabawy, sam wyszukiwał sobie rozrywki, zawsze takie, które zaspokajały jego niszczycielskie i mordercze skłonności. W owym czasie Marcello był okrutny i ani się tego nie wstydził, ani nie robił sobie wyrzutów z tego powodu, bo okrucieństwo dostarczało mu samych tylko, przyjemności, w których nie widział nic obrzydliwego; było jeszcze na tyle dziecinne, że nie budziło niepokoju ani w nim samym, ani w innych. Zdarzało mu się na przykład schodzić do ogrodu w upalnych godzinach na początku lata. Był to ogród mały, ale gęsty, pełen roślin i drzew bujnie rosnących, nie tkniętych od lat ludzką ręką. Marcello schodził do ogrodu uzbrojony w cienki, giętki wiklinowy pret, odłamany na strychu ze starej trzepaczki; krążył przez chwilę między rozigranymi cieniami drzew i palącymi promieniami słońca po wysypanych żwirem ścieżkach, obserwując rośliny. Czuł, że błyszcza mu oczu, że całym ciałem wchłania ową błogość, która zdawała się ptapiać z żywotnością wybijającego, zalanego

słońcem ogrodu, i rozpiekało go szczęście. Lecz było to szczęście drapieżne i okrutne, • które chce mierzyć swoją wielkość przez porównanie z nieszczęściem innych. Kiedy widział na środku grządki piękną kępę stokrotek, usianą białymi i żółtymi kwiatami, albo tulipan z czerwonym kielichem na prostej łądźce, albo krzew kalii ze strzelistymi, białymi, mięsistymi kwiatami, z rozmachem smagał je witką, która świszczala w powietrzu jak szpada. Witka ścinała ostro kwiaty i liście, które wdzięcznie opadały wokół rośliny, pozostawiając sztywne, ogołocone z kielichów łądźgi. W takich momentach czuł potęgującą się w nim pasję życia i niemal rozkosz, jaką daje wyładowanie powstrzymywanej nazbyt długo energii; a zarazem rodziło się w nim nieokreślone poczucie potęgi i sprawiedliwości. Jak gdyby owe rośliny były winne i on wymierzał im karę, przekonany, że karanie ich leży w jego władzy. Wyczuwał jednak, że tego rodzaju zabawa jest czymś zakazanym i nagannym. Za każdym razem, niemal wbrew woli, rzucał ukradkowe spojrzenia na willę w obawie, że może go obserwować matka z okna w salonie albo kucharka z okna w kuchni. I zdawał sobie sprawę, że boi się nie wymówek, lecz naocznych świadków swoich czynów, które on sam uważał za nienormalne i w tajemniczy sposób splecione z poczuciem winy. Przejście od kwiatów i roślin ,do zwierząt

było nieuchwytnie, tak samo jak w naturze. Marcello nie umiałby powiedzieć, kiedy uświadomił sobie, że przyjemność, jaką sprawia mu łamanie roślin i strącanie kielichów kwiatów, pogłębia się jeszcze i wzmacnia, gdy ofiarami są zwierzęta. Może tylko przypadek pchnął go na tę drogę, traf, że wiklinowy pręt zamiast uderzyć w krzew, spadł na grzbiet śpiącej na gałęzi jaszczurki, a może, zaczynając w końcu odczuwać nudę i przesyt, szukał nowego przedmiotu, na którym mógłby wyładować swoje podświadome okrucieństwo. Tak czy inaczej, pewnego cichego popołudnia, gdy wszyscy w domu spali, Marcello jak rażony gromem, skruszony i zawstydzony, stanął nagle w obliczu pogromu jaszczurek. Było ich pięć czy sześć, znalazł je na gałęziach drzew i na kamiennym murze otaczającym ogród i pozabijał jednym zamachem pręta, właśnie w momencie, kiedy zaniepokojone jego obecnością próbowały szukać schronienia w jakiejś kryjówce. Jak do tego doszło, nie potrafiłby powiedzieć, a raczej wołał nie przypominać sobie, lecz było już po wszystkim i nie zostało nic prócz słońca, palącego i nieczystego, na krwawiących, pokrytych kurzem ciałach martwych jaszczurek. Stał przed cementowym chodnikiem, na którym leżały jaszczurki, i ścisnął w pięści witkę; czuł jeszcze w całym ciele i zdradzał wyrazem twarzy podniecenie, które ogarnęło go w chwili pogromu, nie było ono jednak rozkosznie

ożywcze jak przedtem, lecz zabarwione [• wstydem i żalem. Uświadamiał sobie poza tym, że do przeżywanych jak zawsze uczuć potęgi i okrucieństwa dołączył się jakiś nowy, nie znany mu niepokój o charakterze niemal fizycznym; do wstydu i żalu dołączył się niewytłumaczony lęk. Jak * gdyby odkrył w sobie coś anormalnego, czego się musi wstydzić, z czym musi się kryć, nie tylko przed sobą samym, ale także przed innymi, i co w konsekwencji oddzieli go raz na zawsze od środowiska rówieśników. Nie ulegało wątpliwości, różnił się od chłopców w swoim wieku, którzy ani w gromadzie, ani w pojedynkę nie oddawali się tego rodzaju rozrywkom; i w dodatku różnił się od nich w sposób zasadniczy. Jaszczurki bowiem nie żyły, co do tego nie było wątpliwości, i ta śmierć, tak jak okrutne i szalone czyny, których się dopuścił i które ją spowodowały, były nie do naprawienia. Słowem, utożsamiał się z owymi czynami, tak jak w przeszłości z innymi, zupełnie zresztą niewinnymi, postępkami. Tego samego dnia, aby zdobyć dowód potwierdzający to nowe i bolesne odkrycie, Marcello postanowił porównać się ze swym małym przyjacielem Robertem, który mieszkał w sąsiedniej willi. Roberto o zmierzchu, po odrobieniu lekcji schodził do ogrodu i za zgodą rodziców dwaj chłopcy bawili się razem aż do kolacji, raz w jednym ogrodzie, raz w drugim. Marcello czekał niecier-*

pliwie na tę chwilę przez całe długie, ciche popołudnie leżąc w swoim pokoju na łóżku. Rodzice wyszli, w domu została tylko kucharka, raz po raz słyszał jej głos, gdy nuciła sobie w kuchni na parterze. Po południu zazwyczaj uczył się albo bawił sam w swoim pokoju, ale tego dnia nie miał ochoty ani na naukę, ani na zabawę; czuł się niezdolny do jakiegokolwiek wysiłku, a jednocześnie nie mógł znieść beczynności i próżniactwa; zarówno lęk, który wzbudziło w nim domniemane odkrycie, jak i nadzieja, że ów lęk minie przy najbliższym spotkaniu z Robertem, paraliżowały go i wyprowadzały z równowagi. Gdyby Roberto powiedział mu, że on także zabija jaszczurki, że lubi je zabijać i nie widzi nic złego w ich zabijaniu, to — tak mu się wydawało — uczucie anormalności znikłoby bez śladu i mógłby patrzeć obojętnie na pogrom jaszczurek jak na coś, co nie ma żadnego znaczenia i nie pociąga za sobą żadnych następstw. Nie umiałby powiedzieć, dlaczego przypisywał taki autorytet Robertowi; majaczyło mu w myśli, że jeśli Roberto także robił te rzeczy i w ten sam sposób, i odczuwał to samo, oznaczało to, że robili je wszyscy; a to, co robili wszyscy, było normalne, czyli dobre. Owe refleksje zresztą nie nasuwały mu się jasno, przedstawiały się raczej jako głębokie uczucia i impulsy niż jako sprecyzowane myśli.' Lecz jedno było pewne: od odpowiedzi Roberta zależał jego spokój wewnętrzny.

Z tą nadzieją i z tym lękiem czekał niecierpliwie nadejścia zmierzchu. Prawie już drzemał, gdy dobiegł go z ogrodu przeciągły, modulowany gwizd: był to umówiony znak, Roberto oznajmiał mu, że już jest. Marcello wstał z łóżka i nie zapalając światła wyszedł z mrocznego pokoju, zszedł po schodach i znalazł się w ogrodzie.

-W gasnącym świetle letniego zmierzchu drzewa stały nieruchome i ponure; cień pod konarami był już czarny jak w nocy. Woń kwiatów, zapach kurzu, żar emanujący z nagrzanego słońcem ziemi wisiły w nieruchomym, ciężkim powietrzu. Płot dzielący ogród Marcella od ogrodu Roberta ginął całkowicie pod gigantycznym bluszczem, gęstym i głębokim niby mur z liści. Marcello skierował się od razu w kąt ogrodu, gdzie bluszcz i cień były jeszcze gęściejsze, wszedł na duży kamień i jednym szybkim ruchem odsunął bujne pnącze. Sam wymyślił ten rodzaj drzwiczek w bluszczu, żeby nadać zabawie posmak tajemniczości i przygody. Po rozsunięciu bluszczu ukazały się sztachety ogrodzenia, a między sztachetami delikatna, biała twarzyczka i jasna czupryna Roberta. Marcello stanął na palcach i zapytał:

— Czy nikt nas nie widział?

Tą formułką rozpoczynała się ich zabawa. Roberto odpowiedział, jak gdyby recytował wyuczoną lekcję:

— Nie, nikt... — A po chwili: — Odrobiłeś lekcję?

Szeptał, co było także obowiązującą regułą. Marcello również szeptem odpowiedział:
— Nie, nic dziś nie odrobiłem... nie chciało mi się... Powiem nauczycielce, że źle się czułem.

— Ja napisałem wypracowanie z włoskiego — wyszeptał Roberto — i rozwiązałem jedno zadanie arytmetyczne... zostało mi jeszcze drugie... Dlaczego nie odrobiłeś lekcji?

Marcello czekał na to pytanie:

— Nie odrobiłem — odrzekł — bo urządziłem polowanie na jaszczurki.

Miał nadzieję, że Roberto odpowie mu:

“Ach, tak... ja także poluję czasem na jaszczurki” — czy coś w tym rodzaju. Na twarzy Roberta jednak nie odmalowało się ani zrozumienie, ani nawet zaciekawienie. Marcello dodał z wysiłkiem, próbując ukryć zmieszanie:

— Pozabijałem wszystkie.

— A ile ich było? —zapytał przezornie Roberto.

— Wszystkiego siedem — odpowiedział Marcello. A potem, siłąc się «na przechwałki technicznej i informacyjnej natury: — Leżały na gałęziach drzew i na kamieniach... czekałem, żeby się poruszyły... i potem je zatłukłem jednym zamachem... wystarczyło jedno uderzenie.
— Wykrzywił twarz grymasem zadowolenia i pokazał wiklinowy pręt Robertowi.-

Zobaczył, że tamten spogląda na niego z ciekawością graniczącą z przerażeniem:

— Dlaczego je zabiłeś?

— Tak sobie! — Zawahał się, miał już na końcu języka: “dlatego, że mi to sprawiało przyjemność”, lecz potem, sam nie wiedząc dlaczego, powstrzymał się i odrzekł: — Bo to są szkodniki... Nie wiesz, że jaszczurki to szkodniki?

— Nie — powiedział Roberto — nie wiedziałem... a co one takiego robią?

— Zjadają winogrona — odpowiedział Marcello. — W zeszłym roku na wsi zjadły wszystkie winogrona na werandzie.

— Ale tutaj nie ma winogron.

— A poza tym — ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na ten zarzut — one są złe... Jedna, kiedy mnie zobaczyła, zamiast uciekać, rzuciła się na mnie z otwartym pyszczkiem, i gdybym jej w porę nie zatrzymał, wyskoczyłaby na pinie.

Umilkł na chwilę i potem dorzucił już bardziej poufałym tonem:

— Tyś nie zabijał ich nigdy?

— Nie, nigdy — odpowiedział Roberto potrząsając głową. Po czym, spuściwszy oczy, z żalnym wyrazem twarzy, dodał: — Mówią, że nie wolno robić krzywdy zwierzętom.

— Kto tak mówi?

— Mamusia.

— Mówi się tyle rzeczy... — rzekł Marcello tracąc coraz bardziej pewność się

bie. — Ale ty nie bądź głupi, spróbuj... Zapewniam cię, że to zabawne.

— Nie, nie będę próbował.

— A dlaczego?

— Bo to jest "zły uczynek".

"A więc nic nie da się zrobić" — pomyślał z niechęcią Marcello. Porwała go złość na przyjaciela, który, sam o tym nie wiedząc, utwierdzał go w przekonaniu, że jest w nim coś anormalnego. Zdołał się jednak opanować i zaproponował:

— Słuchaj, jutro urządzę znowu polowanie na jaszczurki; jeżeli przyjdiesz i zapolujesz razem ze mną, dam ci talię kart do gry w "Przekupnia na jarmarku".

Wiedział, że dla Roberto była to kusząca propozycja: wielokrotnie wspominał, że bardzo by chciał mieć takie karty. Istotnie Roberto, jak gdyby przyszło na niego nagłe olśnienie, powiedział::

— Przyjdę na polowanie, ale pod jednym warunkiem: że schwytały je żywe, zamkniemy w pudełku i potem wypuścimy na wolność... a ty mi dasz karty.

— Co to, to nie — rzekł Marcello — cała przyjemność polega na zabijaniu ich tą witką... założę się, że ty tego nie potrafisz.^ — Tamten nic nie odpowiedział. Marcello ciągnął dalej: — No więc przyjdź, pamiętaj... i ty też wyszukaj sobie taką witkę.

— Nie — odrzekł Roberto z uporem — nie przyjdę.

— Ale dlaczego? Te karty są nowe.

— Nawet nie próbuj mnie namawiać — powiedział Roberto. — Nie będę zabijał jaszczurek, nawet gdybyś — tu zawahał się nad wyborem odpowiednio wartościowego przedmiotu — nawet gdybyś mi dał twój pistolet.

Marcello zrozumiał, że nic nie wskóra, i wybuchnął złością, która burzyła się w nim już od dłuższej chwili:

— Nie chcesz, bo jesteś tchórzem — zawołał — bo się boisz.

— Czego miałbym się bać? Śmieszny jesteś.

— Boisz się — powtórzył rozniewany Marcello — jesteś królik... prawdziwy królik. — Znienacka wsunął rękę pomiędzy sztachety i złapał przyjaciela za ucho. Roberto miał czerwone i odstające uszy i Marcello nieraz się do nich dobierał, lecz nigdy nie robił tego z taką wściekłością i z taką chęcią zadania mu bólu. — Przyznaj się, że jesteś królik.

— Nie, puść mnie! — zaczął jęczeć tamten skręcając się cały. — Ojej, ojej!

— Przyznaj się, że jesteś królik.

— Nie, puść mnie.

— Przyznaj się, że jesteś królik.

Gorące, spocone ucho Roberta paliło mu dłoń; łzy ukazały się w niebieskich oczach ofiary.

— No dobrze, jestem królik — wybełkotał Roberto i Marcello puścił go od razu. Roberto odskoczył od sztachet i odbiegając

zawołał: — Nie jestem królik... Kiedy to mówiłem, myślałem sobie: nie jestem królik... dałeś się okpić! — Znikł, a jego szyderczy i płaczliwy głos rozpląnął się w gęstwinie drzew przyległego ogrodu.

Pozostało mu po tej rozmowie uczucie głębokiej rozterki. Roberto nie solidaryzował się z nim i wobec tego on nie uzyskał rozgrzeszenia, którego tak pragnął i które łączył z ową solidarnością. Tak więc nie pozbył się piętna anormalności; ale przedtem jeszcze okazał Robertowi, jak bardzo mu na tym zależało, żeby się z niej wyzwolić, i w uniesieniu, z czego doskonale zdawał sobie sprawę, uciekł się do kłamstwa i przemocy. Teraz wstydził się i robił sobie wyrzuty nie tylko z powodu zabicia jaszczurek, lecz także dlatego, że chcąc zrobić z Roberta swojego współnika kłamał, nie podając prawdziwych przyczyn swego postępowania, i zdradził się wybuchem złości, kiedy chwycił go za ucho. Do pierwszego przewinienia dołączało się drugie i nie mógł w żaden sposób wyplątać się ani z jednego, ani z drugiego.

Raz po raz wśród tych gorzkich rozważań powracał myślą do pogromu jaszczurek, niemal w nadziei, że okaże się to czymś niewinnym, ot, zdarzeniem jak każde inne. Uświadamiał sobie jednak natychmiast, że chciałby, żeby jaszczurki nie były martwe; a zarazem odżywało w nim uczucie podniecenia i niemal fizycznego niepokoju,

- (zabarwionego odrobiną przyjemności, a więc tym bardziej odpychające), którego doznawał podczas polowania; było ono tak silne, że zaczynał wątpić, czy w najbliższych dniach potrafi oprzeć się pokusie nowego pogromu. Ta myśl zdruzgotała go: był anormalny i nie dość, że nie mógł zwalczyć owego zbrodzenia, ale nie umiał nawet nad nim zapanować. Siedział właśnie w swoim pokoju • przy stole, nad otwartą książką, oczekując na kolację. Zerwał się z krzesła, podszedł do łóżka i klękając na dywaniku, gdzie zazwyczaj odmawiał pacierz, złożył ręce i powiedział głośno, tonem, który wydał mu się szczery:

— Przysięgam przed Bogiem, że nie tknę już nigdy ani kwiatów, ani roślin, ani jaszczurek.

A jednak potrzeba rozgrzeszenia, która kazała mu szukać współnika w Robercie, trwała nadal, chociaż zmieniła się teraz w potrzebę samooskarżenia. Roberto, stając przy jego boku, mógłby go uwolnić od wyrzutów sumienia, nie miał jednak aż takiego autorytetu, by zawyrokować, że są one słuszne, i uporządkować chaos w głowie Marcella bezapelacyjnym orzeczeniem. Był dzieckiem, tak samo jak on, odpowiednim na współnika, lecz nie nadającym się na sędziego. Ale Roberto, aby uzasadnić swój wstępną, powołał się na autorytet matczyny. Marcello postanowił także zwrócić się do matki. Tylko ona jedna mogła go

potępić albo uniewinnić, a w każdym razie zaszeregować jego czyn do jakiejś określonej kategorii. Marcello, znając swoją matkę, rozumował teoretycznie, jak gdyby zwracał się do idealnej matki, jaką powinna być, a nie do takiej, jaką była. W rzeczywistości nie wierzył, żeby* jego apel przyniósł zadowalające rozwiązanie. Ale tak czy owak, miał tylko tę matkę, a poza tym odruch, by u niej szukać ratunku, był silniejszy od wszelkich wątpliwości.

Marcello czekał na moment, kiedy Będzie już leżał w łóżku i matka przyjdzie do jego pokoju powiedzieć mu dobranoc. Była to jedna z rzadkich chwil, kiedy mógł być z nią sam na sam: posiłki i nieliczne wspólne spacerunki odbywały się zazwyczaj w towarzystwie ojca. Marcello, chociaż instynktownie nie miał wielkiego zaufania do matki, kochał ją, a może raczej podziwiał w sposób nieokreślony, jak podziwiał starszą siostrę, która ma dziwaczne i kapryśne usposobienie. Matka Marcella wyszła za męża bardzo młodo i pozostała dziewczątkiem psychicznie, a nawet i fizycznie: a poza tym, chociaż syn był jej raczej obojętny i zajmowała się nim mało z powodu licznych obowiązków towarzyskich, trzymała go w ciasnym kręgu swojego życia. Tak więc Marcello wyrósł w nieustannym rozgardiaszu jej nagłych wyjazdów na wizyty i powrotów do domu, przymierzanych i odrzucanych sukien, nieskończenie długich

i czczych rozmów przez telefon, kłótni z krawcami i dostawcami, ciągłych zmian humoru z byle powodu. Marcello mógł o każdej porze wchodzić do pokoju matki, nie zauważony przez nikogo, obserwował z ciekawością jej osobiste życie, w którym nie było dla niego miejsca. W matce od czasu do czasu budziły się wyrzuty i otrząsała się z odrętwienia, postanawiając poświęcić się synowi; zabierała go wtedy z sobą do krawcowej albo do modystki. Przy takich okazjach, podczas gdy matka przymierzała suknie i kapelusze, Marcello musiał wysiadywać całymi godzinami na taborecie i tęsknił niemal za swoim codziennym życiem, pełnym zgiełku i obojętności.

Tego wieczora zrozumiał od razu, że matka spieszy się jeszcze bardziej niż zazwyczaj; rzeczywiście, zanim zdążył przewyciężyć swoją nieśmiałość, ona już odwróciła się do niego plecami i szła przez ciemny pokój ku przymkniętym drzwiom. Marcello nie zamierzał jednak czekać dłużej na wyrok, który tak pragnął usłyszeć. Siadając na łóżku, zawołał głośno:

— Mamusiu!

Zobaczył, że obejrzała się od progu, ruchem prawie niechętnym.

— Czego chcesz, Marcello? — zapytała podchodząc znów do łóżka.

Stała teraz tuż obok niego, pod światło, biała i wysmukła w czarnej wydekoltowanej sukni. Delikatna, blada twarz okolona

czarnymi włosami znajdowała się w mroku, lecz pomimo to Marcello dostrzegł na niej wyraz niezadowolenia i niecierpliwości. Nie mogąc jednak oprzeć się odruchowi oświadczył:

— Mamusiu, muszę ci coś powiedzieć.

— Dobrze, Marcello, tylko prędko... mamusia musi wyjść... tatuś czeka. — I podniosła rękę, poprawiając na karku zamek naszyjnika.

Marcello chciał oznajmić matce o pogromie jaszczurek i zapytać ją, czy źle zrobił. Lecz pośpiech matczyny skłonił go do zmiany zamiaru. A raczej do przerobienia zdania, które już przygotował w myśli. Jaszczurki wydały mu się nagle stworzeniami zbyt małymi i nieznacznymi, żeby mogły przykuć uwagę tak roztargnionej osoby. Toteż sam nie wiedząc dlaczego, wymyślił na poczekaniu kłamstwo, wyolbrzymiając swoją zbrodnię. Miał nadzieję, że ogrom winy poruszy matkę, której wrażliwość — wyczuwał to instynktownie — była przytępiona i ograniczona. Powiedział z taką pewnością, że sam był tym zdumiony:

— Mamusiu, zabiłem kota.

W tym momencie matce udało się wreszcie uchwycić dwa końce zameczka. Trzymając dłonie na karku, opierając podbródek o pierś, patrzyła w ziemię i niecierpliwie stukała raz po raz obcasem o podłogę.

— Ach tak... — powiedziała bez odrobiny

zrozumienia, obojętnym tonem, jak gdyby całkowicie pochłonięta swoim zajęciem. Marcello dorzucił niepewnie:

— Zabiłem go z procy.

Zobaczył, że matka niechętnie potrząsnęła głową i oderwała dłonie od karku, trzymając w jednej z nich naszyjnik, którego nie udało się jej zapiąć.

— Ten przekłety zamek! — zawołała ze złością. — Marcello, pokaż, co umiesz, pomóż mi zapiąć naszyjnik. — Usiadła bokiem na łóżku, odwrócona plecami do syna, dodając niecierpliwie: — Tylko uważaj, żebyś zatrzaskał zameczek... bo inaczej znowu się otworzy.

Mówiąc to nadstawiała mu plecy, szczupłe, obnażone po pas, białe jak papier w świetle padającym od drzwi. Wąskie dłonie o spiczastych, szkarłatnych paznokciach podtrzymywały naszyjnik na delikatnym karku, ocienionym falującymi włosami. Marcello powiedział sobie, że po umocowaniu naszyjnika matka wysłucha go z większą cierpliwością; pochylając się, ujął oba jego końce i jednym ruchem zatrzaskał zameczek. Lecz ona poderwała się od razu i powiedziała musnąwszy go ustami po policz-, ku:

— Dziękuję... a teraz śpij, dobranoc. — i zanim Marcello zdążył przywołać ją gestem lub okrzykiem, zniknęła.

Nazajutrz było gorąco i pochmurno. Marcello siedział w milczeniu przy stole mię

dzy milczącymi rodzicami, a gdy skończył jeść, ześliznął się z krzesła na podłogę i wyszedł przez balkonowe drzwi do ogrodu. Jak zwykle pó jedzeniu doznawał niemiłego uczucia ociążałości i zmysłowego rozleniwienia; ¹ Stąpając cicho, prawie na palcach, po chrzęszczącym żwirze, w cieniu drzew rojącym się od owadów, podszedł do furtki i wyjrzał. Ukazała mu się dobrze znana ulica, biegnąca lekko w dół, wysadzana po obu stronach drzewami pieprzowymi o zieleni puszystej i niemal mlecznej, pusta o tej porze i dziwnie ciemna, bo nis-» kie, czarne chmury przewalały się po niebie. Naprzeciw widać było sztachety, ogrody i wille podobne do jego willi. Marcello przez chwilę uważnie obserwował ulicę, po czym odsunął się od sztachet, wyciągnął z kieszeni procę i pochylił się. W drobnutkim żwirze widniały gdzieniegdzie większe białe kamyki. Marcello podniósł jeden z nich wielkości włoskiego orzecha, wsunął go w skórzany krążek procy i zaczął spacerować wzdłuż ogrodzenia dzielącego jego ogród od ogrodu Roberta. Uważał, a raczej wyczuwał, że jest na wojennej stopie z Robertem, że musi czujnie strzec bluszczu pokrywającego mur graniczny, a przy najlżejszym ruchu dać ognia, czyli wystrzelić kamień, który ścisnął w procy. W tej zabawie wyładowywał swoją urazę do Roberta, który nie chciał uczestniczyć w rzezi jaszczurek, a jednocześnie okrutny, wojowniczy

instynkt, który pchnął go do owej rzezi. Oczywiście Marcello doskonale wiedział, że Roberto zawsze sypia o tej porze i nie szpieguje go poprzez gęstwinę bluszczu; a jednak, chociaż o tym wiedział, działał poważnie i konsekwentnie, jak gdyby był pewny, że Roberto stoi na czatach. Olbrzymi, stary bluszcz sięgał aż po czubki sztachet i liście leżące jedno na drugim, duże, czarne, zakurzone, podobne do koronkowych falbanek na kobiecym biuście, zwisały nieruchome i wiotkie w ciężkim i dusznym powietrzu. Kilkakrotnie wydało mu się, że leciuteńko zadrżały, a raczej wmawiał sobie, że widział owo drgnięcie, i wtedy zuchwale, z głębokim zadowoleniem wypuszczał kamień w gąszcz zieleni.

Natychmiast po strzale szybko się schylał, podnosił następny kamień i przybierał ponownie bojową postawę, szeroko rozstawiając nogi, wyciągając ręce przed siebie i napinając procę; nigdy nic nie wiadomo, Roberto mógł stać za ścianą, gotów do strzału i w dodatku mając nad nim tę przewagę, że był ukryty, podczas gdy on znajdował się na odsłoniętym terenie. I tak, w zabawie, dotarł do końca ogrodu, tam gdzie wyciął okienko w zasłonie bluszczu. Tu zatrzymał się, uważnie wpatrzony w ogrodzenie. W jego fantazji dom stał się zamkiem, ukryte pod bluszczem sztachety warownymi murami, a dziura — niebezpiecznym wylotem, przez który łatwo się

przedrzeć. Nagle, tym razem bez żadnej wątpliwości, zobaczył, że liście poruszają się od prawej strony ku lewej, drżąc i kołysząc się lekko. Tak, był tego pewien, liście chwiały się; a więc ktoś musiał nimi poruszać. W jednej chwili przemknęło mu przez myśl, że Roberta tam nie ma, że to tylko zabawa, a w takim razie może wypuścić kamień z procy. Pomyślał też, że Roberto tam stoi i że nie wolno mu strzelać, jeśli nie chce go zabić. Potem powziął nagłą, nieprzemyślaną decyzję, naciągnął gumę i wypuścił kamień w gąszcz liści. I tego mu było mało, schylił się, gorączkowo wsadził drugi kamień w procę, strzelił, wziął trzeci i strzelił znowu. Prysnęły jego obawy i skrupuły i nic go nie obchodziło, czy Roberto tam jest, czy go nie ma; odczuwał tylko podniecenie, radosne i wojownicze. W końcu zdyszany, gdy już podziurawił w wielu miejscach ścianę bluszczu, rzucił na ziemię procę i wdrapał się na ogrodzenie. Jego przewidywania i nadzieje sprawdziły się, Roberta tam nie było. Lecz rzadkie sztachety pozwalały wsunąć głowę do sąsiedniego ogrodu. "Pchnięty niewytłumaczoną ciekawością, zajrzał tan¹ i popatrzył w dół.

Od strony ogrodu Roberta nie było bluszczu, tylko grządka wysadzana irysami, biegnąca między płotem i wysypaną żwirem alejką. I Jam na dole, pod murem, wśród białych i fioletowych irysów, Mar

cello zobaczył leżącego na boku dużego, szarego kota. Ogarnął go nieprzytomny lęk, zabrakło mu tchu; rzuciła mu się w oczy nienaturalna pozycja kota; leżał z wyciągniętymi bezwładnymi nogami, z pyszczkiem wetkniętym w ziemię. Gęsta sierść szaro- niebieskiego koloru była lekko zjeżona i potargana, a zarazem sztywna jak pióra nieżywych ptaków, które Marcello obserwował niegdyś na marmurowym blacie kuchennego stołu.

Coraz bardziej przerażony, Marcello zeskoczył na ziemię, wyciągnął z krzaku różanego podpórkę, wszedł znów na ogrodzenie i przełożywszy rękę przez sztachety trącił kota w bok uwalanym ziemią końcem tyczki. Lecz kot ani drgnął. I nagle irysy o długich zielonych łodygach z białymi i fioletowymi kielichami, chylącymi się nad szarym, nieruchomym ciałem, przypomniały mu żałobne kwiaty, rozłożone litościwą ręką wokół nieboszczyka. Rzucił tyczkę i nie myśląc o tym, by zatkać otwór w bluszczu, zeskoczył na ziemię.

Opanowały go przeróżne lęki; w pierwszym odruchu chciał biec do domu i skryć się w szafie, w jakimś schowku, gdziekolwiek, gdzie mógłby się zamknąć w ciemności, żeby uciec przed sobą samym. Dręczył go lęk przede wszystkim dlatego, że zabił kota, lecz może bardziej jeszcze przerażała go myśl, że poprzedniego wieczora przyznał się matce do zabicia kota: nieo-

mylny znak, iż tajemne wyroki losu kierowały jego przeznaczeniem, pchając, go do okrucieństwa i zabójstwa. Ale silniejsza od lęku, jaki budziła w nim śmierć kota i z namienna przepowiednia tej śmierci, była groza ogarniająca go na myśl, że zabijając kota, w rzeczywistości chciał i zamierzał zabić Roberta. Tylko przypadek sprawił, że śmierć spotkała kota, a nie przyjaciela. Przypadek nie pozbawiony jednak znaczenia, bo nie mógł już wątpić, że robi w okrucieństwie szybkie postępy: od kwiatów do jaszczurek, od jaszczurek do kota, od kota do zabójstwa Roberta, zabójstwa planowanego i przemyślanego, nie dokonanego wprawdzie, lecz nadal możliwego i kto wie czy nie nieuniknionego. Był więc anormalny, nie mógł nie myśleć o tym; co więcej, odczuwał dotkliwie i z pełną świadomością tę swoją anormalność pełną grozy, skazującą go na samotność i wprowadzającą na krwawą drogę, z której nie było już odwrotu. Bijąc się z tymi myślami krążył niespokojnie po ciasnej przestrzeni między domem a ogrodzeniem, podnosząc od czasu do czasu oczy na okna willi, niemal oczekując, że ukaże się w którymś z nich zalotna sylwetka jego roztargnionej matki; jeśli kiedykolwiek mógł się po niej czegoś spodziewać, to teraz na pewno nie potrafiłaby już nic dla niego zrobić. Z nagłą nadzieją pobiegł znów w głąb ogrodu, wspiał się na kamień i wyrzwał przez sztachety. Łudził

się nieomal, że zobaczy pustkę na miejscu, gdzie widział przedtem nieruchomego kota. Ale kot nie zniknął, leżał tam nadal szary, martwy pośrodku żałobnego wieńca białych i fioletowych irysów. Potwierdzeniem śmierci w jej makabrycznej wizji rozkładu był czarny szereg mrówek, sunących z alejki na grządkę i rojących się na oczach i pysku zwierzęcia. Marcello patrzył i nagle, jakby w halucynacji, wydało mu się, że zamiast kota widzi Roberta, który leży nieruchomo wśród irysów, a mrówki biegają mu po zasnutych mgłą oczach i w półotwartych ustach. Z dreszczem odrazy otrząsnął się z tych straszliwych majaceń i skoczył w dół. Tym razem jednak starannie zasłonił otwór w bluszczu. Teraz bowiem do żalu i lęku przed sobą samym dołączył się strach, że go przyłapią i ukarzą.

A jednak, chociaż bał się tego, zarazem pragnął, by wszystko się wykryło i by go ukarano; choćby dlatego, że wówczas przestałby się staczać ku przepaści, na której dnie — jak mu się wydawało — czekała go zbrodnia. Lecz odkąd pamiętał, rodzice nigdy go nie karali; i wyczuwał niejasno, że nie robili tego raczej przez obojętność niż dlatego, że ich zasady wychowawcze odrzucały karę. Tak więc sprawiało mu cierpienie nie tylko to, iż podejrzewał siebie o popełnienie zbrodni, ale również i to, że nie wiedział, do kogo się zwró-

eić, i nawet nie miał pojęcia, jaka go może spotkać kara. Marcello w pewnym stopniu zdawał sobie sprawę, że ten sam mechanizm, który kazał mu wyznać winę Robertowi (łudząc nadzieją odkrycia, że to nie wina, lecz rzecz powszechna, popełniana przez wszystkich), skłaniał go teraz do wyjawienia swego postętku rodzicom. Tym razem jednak było o tyle inaczej, że pragnął usłyszeć od' nich słowa nagany, chciał, by potępili jego straszliwą zbrodnię i wymierzili mu odpowiednią karę. I niewiele go to obchodziło, że w pierwszym wypadku rozgrzeszenie ze strony Roberta pozwoliłoby mu nadal ulegać swoim popędom, natomiast w drugim spowiedź przed rodzicami ściągnęłaby na niego surową karę. Rozumiał, że w obu wypadkach pragnął się wyrwać za wszelką cenę, jakimkolwiek sposobem, z przerażającej samotności, na którą skazywała go jego anormalność.

Może zdecydowałby się przyznać rodzicom do zabicia kota, gdyby tego samego wieczora, przy kolacji, nie odniósł wrażenia, że oni już wiedzą o wszystkim. Istotnie, gdy tylko usiadł przy stole, zauważył ze strachem i zarazem nie bez uczucia ulgi, że ojciec i matka są w złym humorze i jakoś wrogo do niego nastawieni. Matka siedziała wyprostowana, z wyrazem przesadnej dumy na dziecinnej twarzy, ze spuszczonej oczyma, w ostentacyjnie pogardliwym milczeniu. Naprzeciw niej ojciec okazywał w

inny, lecz nie mniej wymowny sposób swój zły humor. Ojciec Marcella był o wiele starszy od jego matki i wskutek tego Marcello odniósł dziwne wrażenie, że matka dzieli z nim dzieciństwo, jak gdyby nie była jego matką, lecz siostrą. Ojciec był chudy, twarz miał suchą, pomarszczoną, rzadko rozjaśnianą urywanymi wybuchami niewesołego śmiechu, twarz, której dwie cechy szczególne były niewątpliwie powiązane z sobą: pozbawiony wyrazu, niemal kamienny błysk wypukłych źrenic oraz nerwowe drganie jakiegoś nerwu pod naciągniętą skórą policzka. Może po długich latach spędzonych w wojsku pozostało mu zamięłowanie do powściągliwości w ruchach i zachowaniu. Marcello wiedział jednak, że kiedy ojciec był rozgniewany, umiar i powściągliwość stawały się aż przesadne, maskując dziwną gwałtowność, tłumioną i wyrafinowaną, która nadawała szczególne znaczenie najpospolitszym gestom. Tak więc tego wieczoru przy stole Marcello zauważył od razu, że ojciec podkreślał dobitnie nic nie znaczące, codzienne czynności, jak gdyby chciał na nie zwrócić ogólną uwagę. Brał na przykład kieliszek, pociągał łyk i odstawiał go na miejsce, mocno stukając w stół; szukał solniczki, sięgał po szczyptę soli i ze stukiem odstawiał także solniczkę; chwycił chleb, łamał go i odkładał, uderzając nim o stół. Albo, jakby ogarnięty nagłą manią symetrii, z hałasem ustawiał między

sztućcami talerz tak, by nóż, widelec i łyżka stykały się ze sobą pod kątem prostym. Gdyby Marcello nie był taki przejęty swoją winą, szybko by się zorientował, że owe odruchy, pełne znamiennej i patetycznej energii, zwrócone były nie przeciwko niemu, ale przeciwko jego matce; rzeczywiście matka przy każdym stuknięciu podkreślała swoją pełną godności postawę pobłażliwymi westchnieniami i podnosiła brwi z wyrazem rezygnacji. Lecz on, zaślepiony niepokojem, był pewien, że rodzice o wszystkim wiedzą: Roberto, ten królik, na pewno poskarżył się na niego. Pragnął kary, lecz teraz, na widok rozjątrzonych rodziców, zdjął go nagły lęk przed ojcem, który był popędliwy w takich wypadkach. O ile objawy uczucia matki występowały sporadycznie, przypadkowo i dyktowała je raczej skrucha niż miłość macierzyńska, o tyle surowość ojca była zawsze nagła, niesprawiedliwa, przesadna, wpływająca nie tyle z intencji wychowawczych, co z chęci powetowania długich okresów obojętności. Przy okazji skarg matki albo kucharki ojciec przypominał sobie nagle, że ma syna, wrzeszczał, szalał, bił go. Marcello bał się przede wszystkim bicia, bo ojciec nosił na małym palcu pierścień w masywnej oprawie, która podczas owych scen nie wiadomo dlaczego znajdowała się zawsze po wewnętrznej stronie dłoni, tak więc siarczyste policzki były nie tylko upokarzające, ale połączone z dotkli-

wym bólem. Marcello podejrzewał, że ojciec naumyślnie przekręca na palcu pierścioneł, lecz nie był tego pewny.

Onieśmielony, wystraszony, starał się wymyślić naprędce jakieś wiarogodne kłamstwo: to nie on zabił kota, ale Roberto; kot znajdował się przecież w ogrodzie Roberta, jakim więc sposobem mógłby go zabić poprzez płot porośnięty bluszczem? Lec^ potem przypomniał sobie jiągle, że poprzedniego wieczora powiedział matce o zabiciu kota, czego rzeczywiście dokonał w dzieó później, i zrozumiał, że nie może się uciec do kłamstwa. Matka, chociaż roztargniona, powtórzyła na pewno jego wyznanie ojcu, a ten powiązał owo wyznanie z oskarżeniem Roberta; tak więc nie istniała żadna możliwość odwołania. Na tę myśl, 'przeskakując z jednego nastroju w drugi, wręcz przeciwny, znowu zapragnął kary, byle tylko nastąpiła szybko i była decydująca. Jakiej? Przypomniał sobie, że Roberto wspominał pewnego razu o internatach, w których rodzice umieszczają za karę trudne dzieci, i ze zdziwieniem stwierdził, że życzy sobie gorąco, by ukarano go w ten sposób. Nie uświadamiał sobie, że pragnie tego, ponieważ zmęczyło go nieuregulowane i pozbawione ciepła życie w domu rodzinnym; nie tylko więc. nęciło go to, co rodzice uważaliby za karę, lecz oszukiwał sam siebie i swoją potrzebę odkupienia winy kalkulując sprytnie, że w ten sposób uspokoi

swoje sumienie i zarazem polepszy sobie warunki. Ta myśl podsunęła mu natychmiast obrazy, które powinny były być zniechęcające, a tymczasem wydały mu się miłe: surowy, zimny, szary gmach z zakratowanymi oknami; lodowate sale, niczym nie ozdobione, z rzędami łóżek stojących pod białymi, wysokimi ścianami; skromne klasy, pełne ławek, z widniejącą w głębi katedrą; nagie korytarze, ciemne schody, ciężkie drzwi, bramy zamknięte na cztery spusty; słowem, wszystko jak w więzieniu, a jednak wszystko lepsze od niepewnej, przygnębiającej, niezdolnej wolności w ojcowskim domu. Nawet wizja chłopców z domu poprawczego, których widywał na ulicy ubranych w pasiaste mundurki, ostrzyżonych do skóry, maszerujących w szeregach, nawet ta wizja upokarzająca i prawie odpychająca była mu miła w jego obecnym rozpaczliwym dążeniu do uporządkowanego i normalnego życia, bez względu na to, jakie by ono było.

Puszczając wodze wyobraźni, nie patrzył już na ojca, ale na oślepiającą biel obrusa, na który raz po raz spadały nocne owady, wlatujące przez okno i odbijające się o abażur lampy. Potem podniósł oczy w samą porę, żeby zobaczyć na parapecie okna, za plecami ojca, sylwetkę kota. Lecz zanim zdążył zobaczyć, jakiego jest koloru, kot zeskoczył, przemknął przez jadalnię i znikł za kuchennymi drzwiami. Serce wezbrało

mu nadzieją, chociaż nie miał pewności, czy to ten sam kot, którego widział przed kilku godzinami leżącego nieruchomo wśród irysów w ogrodzie Roberta. I ta nadzieja uszczęśliwiła go, oznaczała bowiem, że "pomimo wszystko bardziej mu zależało na życiu kota niż na własnym losie.

— Kot! — zawołał głośno. Po czym rzucając serwetkę na stół i spuszczać jedną nogę z krzesła zapytał: — Tatusiu, już zjadłem, czy mogę wstać?

— Masz siedzieć na swoim miejscu — odrzekł ojciec groźnym głosem.

Marcello, onieśmielony, spróbował jeszcze powiedzieć:

— Przecież kot żyje...

— Powiedziałem ci już, że masz siedzieć na swoim miejscu — odpalił ojciec. I jak gdyby słowa Marcello przerwały także jego długie milczenie, zwrócił się do żony: — No więc powiedz coś, mów.

— Nie mam nic do powiedzenia — odpowiedziała z ostentacyjną godnością, spuszczać oczy i pogardliwie wydymając usta. Była w stroju wieczorowym, w czarnej wydekoltowanej sukni; Marcello spostrzegł, że ściska w chudych palcach małą chusteczkę, którą często podnosiła do nosa; drugą ręką chwytala i opuszczała na stół kawałek chleba, lecz nie palcami, tylko czubkami paznokci, jak ptak.

— Powiedzże w końcu, co masz do powiedzenia... mów... u diabła!

— Tobie nie mam nic do powiedzenia.

Marcello zaczynał dopiero pojmować, co jest przyczyną złego humoru rodziców, kiedy wypadki potoczyły się jak lawina. Ojciec powtórzył jeszcze raz: — Mów, na Boga! — Jediną odpowiedzią matki było wzruszenie ramion: wtedy ojciec chwycił stojący przed talerzem kieliszek i krzyżąc głośno: — Będiesz mówiła, czy nie? — gwałtownie uderzył nim o stół. Kieliszek stłukł się, ojciec miotając przekleństwa podniósł skaleczoną dłoń do ust, matka, przerażona, zerwała się od stołu i szybkim krokiem ruszyła ku 'drzwiom. Ojciec wysysał krew z dłoni niemal z upojeniem, unosząc brwi wysoko do góry; lecz gdy zobaczył, że żona wychodzi, przerwał to zajęcie i zawołał: — Zabraniam ci wychodzić, rozumiesz?! — Zamiast odpowiedzi rozległo się głośne trzaśnięcie drzwiami. Ojciec wstał także i rzucił się do drzwi. Marcello, podniecony tą gwałtowną sceną, poszedł za nim.

Ojciec wstępował już na schody, z ręką na poręczy, na pozór spokojnie i bez pośpiechu; lecz Marcello, gdy znalazł się za nim, zobaczył, że ojciec przeskakuje po dwa stopnie naraz, niemal bezszelestnie wznosząc się coraz wyżej, i ani przez chwilę nie (miał wątpliwości, że ten jego miarowy, groźny krok był następstwem ucieczki matki, która wyprzedziła ojca wbiegając w popłochu na schody drobnymi kroczkami, miała

bowiem ruchy skrepowane wąską spódnicą, "Teraz on ją zabije" — pomyślał idąc za ojcem. Na górze matka wpadła do swego pokoju, nie tak szybko jednak, by ojciec nie zdążył wśliznąć się za nią przez nie domknięte drzwi. Marcello widział to wszystko idąc po schodach; nie mógł ani przeskakiwać stopni, jak ojciec, ani biec tak szybkim truchcikiem jak matka, ponieważ nie pozwalały mu na to jego krótkie dziecinne nogi. Gdy znalazł się na podeście, uderzyła go nagła cisza, która nastąpiła po hałaśliwym pościgu. Drzwi od pokoju matki pozostały otwarte. Marcello z wahaniem stanął na progu.

Najpierw w półmroku rzuciły mu się w oczy tylko białe, lekkie niczym mgiełka firanki w oknach, znajdujących się po obydwu stronach szerokiego niskiego łóżka, które w przeciągu podfrwały wysoko do góry, dotykając prawie lampy na suficie. Te bezszelestnie powiewające firanki, bielejące w ciemnym pokoju, wywierały wrażenie przeraźliwej pustki, jak gdyby rodzice ulecieli przez otwarte okna w letnią noc. Potem w smudze światła, biegnącej od korytarza aż do łóżka, dostrzegł wreszcie rodziców. A raczej tylko ojca, jego plecy, za którymi matka była prawie niewidoczna; w półmroku majaczyły tylko jej rozrzucone na poduszce włosy i ręka wzniesiona ku poręczy łóżka. Owa ręka usiłowała konwulsyjnie, ale bezskutecznie uchwycić się poręczy;

tymczasem ojciec, przygniatając ją swoim ciężarem, poruszał rękami i, jak gdyby chciał ją udusić. Marcello, przekonany o tym, pomyślał; "Morduje ją". Ogarnęło go w tym momencie dziwne, okrutne i burzliwe podniecenie, a zarazem silna pokusa, żeby włączyć się do walki; sam jednak nie wiedział, czy chce pomóc ojcu, czy też bronić matki. A przy tym prawie uśmiechała mu się nadzieja, że ta zbrodnia, o tyle cięższa, przekreśli jego zbrodnię: czymże bowiem było zabicie kota w porównaniu z zabiciem kobiety? Lecz w tej samej chwili, kiedy przełamał wahanie i porwany gwałtownością owych zmagania postąpił krok naprzód, dał się słyszeć szept matki, bynajmniej nie zduszony, a nawet niemal pieszczotliwy: — Puść mnie... — i wbrew tej prośbie, jej uniesiona ręka, która do tej pory próbowała uchwycić poręcz łóżka, opadła i objęła męża za szyję. Marcello zdumiony i prawie zawiedziony cofnął się i wyszedł na korytanż.

Zszedł po cichu ze schodów, starając się nie robić hałasu, i podreptał w stronę kuchni. Teraz znowu paliła go ciekawość; a nuż kot zeskakujący z parapetu to ten sam, którego zabójstwo przysporzyło mu tyle zmartwienia. Gdy otworzył kuchenne drzwi, ukazał mu się spokojny obraz domowego zacisza: stara kucharka i młoda pokojówka jadły kolację przy marmurowym stoliku, w białej kuchni między elektrycznym pie-

cem i lodówką. A na podłodze pod oknem kot chleptał różowym języczkiem mleko z miseczki. Zauważył jednak od razu, bardzo rozczarowany, że nie był to szary kot, lecz prądkowany, wcale do tamtego nie podobny.

Nie wiedząc, jak usprawiedliwić swoją obecność w kuchni, podszedł do kota i pogłaskał go po grzbiecie. Kot zaczął mrużyć, nie przestając wylizywać mleka. Kucharka wstała i poszła zamknąć drzwi. Potem otworzyła lodówkę, wyjęła z niej kawałek ciasta na talerzu, postawiła je na stole i przysuwając krzesło powiedziała do Marcella:

— Chcesz zjeść resztę wczorajszego deseru? Odłożyłam specjalnie dla Ciebie.

Marcello, bez słowa, zostawił kota, usiadł i zaczął jeść deser. Pokojówka powiedziała:

— Nie mogę tego zrozumieć... mają tyle czasu przez cały dzień, mają tyle miejsca w domu i muszą się klócić właśnie przy stole, w obecności dziecka.

Kucharka odrzekła sentencjonalnie:

— Kto nie ma ochoty zajmować się dziećmi, to lepiej by nie wydawał ich na świat.

Pokojówka po chwili milczenia wtrąciła:

— On jest taki stary, że mógłby być jej ojcem... nic w tym dziwnego, że nie zgadzają się z sobą.

— Gdyby szło tylko o to... — powiedziała kucharka spoglądając przenikliwie w stronę Marcella.

— Poza tym — I ciągnęła dalej pokojówka — według mnie on nie jest normalny.

Na to słowo Marcello, chociaż w dalszym ciągu jadł powoli deser, nadstawił ucha.

— Ona myśli to samo, co ja — ciągnęła dalej pokojówka — wiesz, co mi powiedziała wczoraj, kiedy pomagałam się jej wieczorem rozbierać? “Giacomino, mój mąż mnie zabije, jak nie dziś, to jutro...” A ja jej odpowiedziałam: “To na co pani czeka, żeby go rzucić?” A ona...

I — Psst — przerwała jej kucharka wskazując na Marcella. Pokojówka zrozumiała i zapytała Marcella:

— Gdzie są tatuś i mamusia?

— Na górze, w pokoju — odrzekł Marcello. I potem nagle, jak gdyby kierowany nieprzewidywanym odruchem, dodał: — To prawda, że tatuś nie jest normalny. Wiecie, co zrobił?

— Co?

—s Zabił kota — powiedział Marcello.

— Kota? A jak?

. — Z mojej procy... widziałem go w ogrodzie, jak szedł za szarym kotem, który spacerował po ogrodzeniu... potem wziął kamień i strzelił do kota i trafił go w ucho... kot upadł w ogrodzie Robertina i potem poszedłem zobaczyć i zobaczyłem, że zdechł. §|g Zapalał się w miarę opowiadania, nie zatracając jednak tohu niewiniątka, opowiadającego w świętej naiwności o

Okropnościach, których był przypadkowo świadkiem.

— No, pomyśleć tylko — zawołała służąca składając ręce —. mężczyzna w .tym wieku, pan... zabiera procę dziecku i zabija kota... A potem nie wolno mówić, że jest anormalny.

— Kto krzywdzi zwierzęta, krzywdzi także i ludzi — rzekła kucharka. — Zaczyna się od kota, a potem zabija się człowieka.

— Dlaczego? — zapytał nagle Marcello podnosząc oczy znad talerza.

— Tak się mówi — odpowiedziała kucharka głaszcząc go. — Chociaż — dodała zwracając się do pokojówki — to się nie zawsze sprawdza... Ten, co zamordował tych ludzi w Pistoii... czytałam w gazecie... wiesz, co robi teraz w więzieniu? Hoduje kanarka.

Deser był zjedzony. Marcello wstał i wyszedł z kuchni.

ROZDZIAŁ II

W lecie nad morzem rozproszył się powoli lęk przed nieubłagany prze- _J znaczeniem, o którym mówiła w prostych słowach kucharka: "zaczyna się od kota, a potem zabija się człowieka". Marcello myślał jeszcze dość często o nieprzeniknionym i bezlitosnym mechanizmie, który ~ jak wydawało mu się przez kilka dni — miał uchwycić w swoje tryby jego życie; lecz myślał o tym z coraz to mniejszym lękiem, raczej jak o sygnale alarmowym niż jak o wyroku, od którego nie ma apelacji i który budził w nim taki strach. Mijały dni, beztroskie, rozprażone słońcem, przesycone solą morską, urozmaicone mnóstwem rozrywek i odkryć; chłopcu wydawało się, że z każdym dniem odnosi zwycięstwo, nie tyle nad sobą, bo nie czuł się nigdy bezpośrednio wiinmy, lecz nad tajemniczą, złowróbną, przebiegłą i obcą sją, zabarwioną przez los ponurymi barwami nieszczęść, która doprowadziła go wbrew woli do strącania kwiatów, do pogromu jaszczurek, a w następstwie do planu zabicia Roberta. Czuł, że owa siła istnieje nadal i jest giroźna, lecz (nie był już nią przygnie

ciony, tak jak w sennym koszmarze, kiedy człowiek chce udobruchać zmory udając[^] że śpi, podczas gdy wszystko naprawdę odbywa się we śnie; wydawało mu się, że[>] skoro nie może oddalić od siebie raz na za*- wsze tej zagrażającej mu siły, powinien udawać, że beztrąsko o niej zapomniał, od czego był zresztą jeszcze bardzo daleki. Tego lata Marcello spędził najbardziej szaleńcze, a może i najszcześniejsze dni swego życia, i na pewno ostatnie, w których był dzieckiem, nie czując się tym upokorzony i wcale jeszcze nie pragnąc wyrosnąć z dzieciństwa. Owa beztrąska wynikała częściowo ze skłonności, naturalnych w jego wieku, częściowo zaś z chęci wydostania się za wszelką cenę z przeklętego koła przepowiedni i złowieszczych wyroków losu. Marcello nie zdawał sobie z tego sprawy, lecz impuls, który kazał mu wskakiwać po dziesięć razy dziennie do wody, śmiało stawać do zawodów z największymi zawa- diakami, wiosłować całymi godzinami po wzburzonym morzu, słowem, wykonywać z wielką sumiennnością to wszystko, co się robi na plaży — to był ten sam impuls, który nim kierował, kiedy próbował namówić Roberta do zabijania jaszczurek i kiedy chciał być ukarany przez rodziców po zabiciu kota: pragnienie, żeby stać się normalną istotą, żądza poddania się utartym regułom, obowiązującym wszystkich, chęć nieodróżniać się od innych, jeśli różnica

jest równoznaczna z winą. O sztuczności jego zachowania świadczyło jednak raz po raz wracające, (nagłe i bolesne wspomnienie kota, leżącego między białymi i fioletowymi irysami w ogrodzie Roberta. To wspomnienie przerażało go tak, jak przeraża dłużnika wspomnienie własnego podpisu, złożone na dokumencie potwierdzającym jego dług. Wydawało mu się, że tę śmierć podjął tajemnicze i straszne zobowiązanie, od którego nie będzie mógł się uwolnić, choćby nawet skrył się pod ziemię lub popłynął za ocean i zatarł po sobie wszelkie ślady. W takich chwilach pocieszał się myślą, że minął miesiąc, dwa miesiące, trzy miesiące, że szybko minie rok, dwa lata, trzy lata; słowem, że trzeba tylko nie budzić złego i pozwolić płynąć czasowi. Zresztą te napady lęku i smutku były dość rzadkie i z końcem lata ustały całkowicie. Gdy Marcello wrócił do Rzymu, historia z kotem oraz wydarzenia, które ją poprzedziły, były już jedynie nikłym, niemal rozwiewającym się wspomnieniem. Jak gdyby doświadczenie, które może przeżył, ale w innym życiu, nie pociągało za sobą ani odpowiedzialności, ani żadnych następstw.

Zapomniał tym łatwiej, że po powrocie do miasta zaczął chodzić do szkoły i w związku z tym przeżywał wiele nowych wrażeń. Marcello uczył się dotąd w domu i był to jego pierwszy rok nauki w szkole publicznej. Wszystko tam było nowością: ko

ledzy, profesorowie, klasy, rozkład godzin; i ta nowość, która pod różnymi postaciami zdawała się uosabiać ład, dyscyplinę, współpracę, spodobała się bardzo Marcellowi po nieporządku, rozprężeniu i samotności w rodzinnym domu. Szkoła przypominała internat, o którym marzył pamiętnego dnia, przy stole, ale przypominała tylko jego przyjemne strony, bez przymusu i twardego wymagań, bez wszystkiego, co upodabniało go do więzienia. Marcello uświadamiał sobie szybko, ile przyjemności daje mu szkolne życie. Lubił wstawać rano o wyznaczonej godzinie, myć się i ubierać w pośpiechu, układać pedantycznie książki i zeszyty, pakować je w kawałek ceraty ściągnięty gumkami i szybkim krokiem iść ulicami do szkoły. Lubił mieszać się z tłumem kolegów w starym gimnazjum, biec po brudnych schodkach, po ciemnych, akustycznych korytarzach i potem zwalniać kroku w klasie między rzędami ławek, przed pustą katedrą. A najbardziej lubił porządek lekcyjny; wejście profesora; sprawdzanie listy obecności; pytania; współzawodnictwo z kolegami w odpowiedziach; zwycięstwa i porażki w tej rywalizacji; spokojny, bezosobowy ton głosu nauczyciela, samo urządzenie klasy, tak wiele mówiące: oni w rzędach, zbratani żądzą wiedzy, na przedzie profesor, który uczy. Marcello był jednak średnim uczniem, a w niektórych przedmiotach jednym z ostatnich. W szkole porywała go nie tyle

nauka, co zupełnie nowy tryb życia, odpowiadający mu o wiele bardziej od dotychczasowego. Raz jeszcze odczuwał pociąg do normalności, tym bardziej że wszystko, co widział teraz dookoła siebie, nie było przypadkowe, zależne od osobistych sympatii czy naturalnych zamięłowań, lecz ściśle określone z góry, bezstronne, nie uwzględniające indywidualnych upodobań, ograniczone i podbudowane przepisami, nie podlegającymi dyskusji i mającymi jeden wspólny cel.

Lecz jego zapał i niedoświadczenie stawiały go w kłopotliwych i niezręcznych sytuacjach, gdy wchodziły w grę inne, nie pisane, a jednak istniejące reguły, które dotyczyły stosunków koleżeńskich poza dyscypliną szkolną. To był także jeden z aspektów normalnego życia szkoły, ale stanowił szkopuł nie lada. Przekonał się o tym po raz pierwszy, igdy ipnofesor wezwał go do katedry, żeby im ipokaizal wypracowanie. Ponieważ profesor wziął od niego zeszyt i położywszy go na katedrze zabrał się do czytania, Marcello, przywykły do serdecznych i poufałych stosunków z nauczycielkami, które do tej pory uczyły go w domu, zamiast stać wyprostowany, nieco na uboczu, w oczekiwaniu na ocenę, objął swobodnie ramieniem plecy profesora i pochylił głowę, by śledzić jego lekturę. Profesor, nie okazując zdziwienia, zdjął rękę Marcella i uwolnił się z jego uścisku; lecz

cała klasa wybuchnęła gromkim śmiechem, w którym Marcello wyczuł dezaprobatę surowszą niż u profesora, nie złagodzoną wyrozumiałością i pobłażliwością. Potem, gdy już otrząsnął się z przykrego Uczucia wstydu, nie mógł nie myśleć o tym, że uchybił dwóm różnym zasadom regulaminu, po pierwsze — szkolinaj, która wyimagowała szacunku i zdyscyplinowania wobec profesora, po drugie — uczniowskiej, która nakazywała powściągliwość nie -pozbawioną ironii. A co najciekawsze, te zasady bynajmniej nie były z sobą sprzeczne, a nawet dopełniały się w tajemniczy sposób.

Lecz, jak zrozumiał od razu, o wiele łatwiej było zostać w stosunkowo krótkim czasie dobrym uczniem, niż nabrać swobody i obycia w stosunkach koleżeńskich. Utrudniały mu to zarówno jego niedoświadczenie i nawyki wyniesione z domu, jak i jego powierzchowność. Marcello odziedziczył po matce nieskazitelne rysy, prawie nienaturalne w swojej słodyczy i doskonałości. Miał twarz okrągłą, policzki smagłe i delikatne, mały nosek, usta wygięte kapryśnym dąsem, ładnie zarysowany podbródek, kasztanową czuprynę z grzywką, przykrywającą mu niemal całe czoło, oczy szaroniebieskie o wyrazie nieco chmurnym, ale niewinnym i pieszczotliwym. Była to niemal twarz dziewczynki; lecz koledzy, raczej gruboskórni, może nie dostrzegliby tego, gdyby piękna i słodyczy tej twarzy

nie podkreślały inne cechy, tak bardzo kobiece, że można było wziąć Marcella za przebraną dziewczynką; niezwykła łatwość oblewania się rumieńcem, (nieodparta skłonność do wyrażania wrodzonej tkliwości pieszczotliwymi gestami, pragnienie podobania się, którego objawem była usłużność i kokieteria. Owe cechy leżały w naturze Marcella i dlatego były nieświadome; gdy zdał sobie sprawę, że ośmieszają go w oczach kolegów, było już za późno; nawet gdyby mógł je opanować, jeśli nie wykorzenić, jego opinia dziewczynki w spodniach była ustalona raz na zawsze.

Żartowali sobie z niego niemal odruchowo, jak gdyby jego "dziewczynkowatość" była już poza dyskusją. To pytali go z udaną powagą, dlaczego nie siedzi w ławce między dziewczynkami i skąd mu przyszło do głowy, żeby zamienić spódniczkę na spodnie; to znów, jak spędza czas w domu, czy bawi się lalkami, czy też haftuje; albo dlaczego nie przekłuto mu uszu, żeby mógł nosić kolczyki. Czasami podrzucali mu w ławce gałganek, igłę i kłębuszek nici, co było dosadną aluzją do zajęć, jakim powinien się poświęcić; czasami pudełeczko pudru, a pewnego ranka nawet różowy biustonosz, który jeden z chłopców ukradł starszej siostrze. Poza tym od początku zamienili jego imię na żeńskie: Marcellina. Te kpiny budziły w nim dwojakie uczucie: rozdrażnienie oraz jakąś szczególną przyjemność, sam nie wie-

dział jaką, jakby jedna część jego istoty nie była z tego niezadowolona; ale nie umiałby powiedzieć, czy sprawiał mu przyjemność temat owych kpiniek, czy fakt, że chociaż koledzy natrząsali się z niego, ale interesowali się nim niewątpliwie. Lecz pewnego dnia, gdy jak zazwyczaj szeptali mu za plecami: "Marcellina, Marcellina, czy to prawda, że nosisz damskie majteczki?" — wstał, podniósł rękę do góry i w ciszy, która nagle zaległa klasę, poskarżył się głośno, że przezywają go żeńskim imieniem. Profesor, brodate chłopisko, wysłuchał go uśmiechając się pod wąsem, po czym powiedział:

-T- Przezywają cię żeńskim imieniem... a jakim? j|— Marcellina.

— I jesteś z tego niezadowolony?

— Tak... bo jestem mężczyzną.

— Chodź no tutaj — rzekł profesor. Marcello usłuchał i podszedł do katedry. — A teraz — ciągnął dalej pogodnie profesor — pokaż klasie swoje muskuły.

Marcello posłusznie zgiął rękę i napiął muskuły. Profesor wychylił się z katedry, dotknął jego przedramienia, pokiwał głową z ironiczną aprobatą i potem, zwracając się do klasy, rzekł:

— Jak widzicie, Clerici jest silnym chłopcem i może wam dowieść, że jest mężczyzną, a nie kobietą... Kto się chce z nim zmierzyć?

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Profesor powiódł wzrokiem po klasie i powiedział:

— Nikt... to najlepszy dowód, że się go boicie... a więc przestańcie go nazywać Marcelliną.
— Cała klasa wybuchnęła śmiechem. Marcello, czerwony po uszy, wrócił na miejsce. Od tego dnia jednak drwiny nie tylko nie ustały, lecz wzmogły się jeszcze, bo Marcello okazał się skarżypytą i złamał prawo solidarności koleżeńskiej, obowiązujące wszystkich uczniów.

Marcello rozumiał, że koledzy przestaną kpić sobie z niego dopiero wtedy, kiedy da im dowód, że nie jest takim lalusem, na jakiego wygląda; czuł jednak, że w tym wypadku nie wystarczą muskuły, które pokazał na życzenie profesora. Potrzeba było czegoś więcej, czynu, który przemówiłby do wyobraźni i wzbudził podziw. Ale czego? Nie umiałby tego powiedzieć dokładnie, wiedział tylko, że musi to być czyn albo przedmiot, które symbolizują siłę, męskość, a nawet brutalność. Spostrzegł, że koledzy podziwiają niejakiego Avanzini, bo ma rękawice bokserskie. Avanzini, chuderlawy blondynek, niższy i słabszy od niego, nawet nie umiał używać tych rękawic; pomimo to zyskał sobie ogólny szacunek. Podobnie też wielki mir zdobył niejaki Pugliese, ponieważ znał, a raczej utrzymywał, że zna, pewien niezawodny cios w dźiu-dżitsu, który — według niego — kładł od razu na ziemię przeciwnika. Powiedziawszy prawdę, Pugliese nie umiał nigdy na nikim wypróbować tej sztuki, pomimo to chłopcy cenili

go nie mniej niż Avanziniego. Marcello pojmował, że musi jak najszybciej pochwalić się posiadaniem czegoś w rodzaju rękawic lub popisać się jakimś wyczynem nie mniej imponującym od idiżiu-dżitsu; rozumiał jednak także, że nie umie brać rzeczy tak lekko i po dyletancku, jak jego koledzy, że jest jednym z tych, którzy podchodzą do życia poważnie i nie rzucają słów na wiatr, i że będąc na miejscu Avanziniego zmiażdżyłby nosy swoim przeciwnikom, a na miejscu Pugliesego wykręciłby im karki. Ta niezdolność do powierzchownego traktowania (rzeczy i do retoryki budziła w nim nieokreśloną nieufność do siebie samego; tak więc pragnął dostarczyć kolegom dowodu siły, którego zdawali się domagać w zamian za swój szacunek, a jednocześnie wprawiało go to w przerażenie.

W tym właśnie czasie zauważył pewnego dnia, że ci chłopcy, którzy najzacieklej mu dokuczali, najwyraźniej zmawiali się z sobą, i po ich spojrzaniach domyślił się, że znowu coś knują przeciwko niemu. Lekcja minęła wprawdzie spokojnie, bez żadnych wybryków, ale mrugania i szepty utwierdziły go w tym przekonaniu. Zadzwoił dzwonek na koniec lekcji i Marcello, nie rozglądając się dokoła, pomaszerował do domu. Były to pierwsze dni listopada, wietrzne i ciepłe, łączące jak gdyby ostatnie upały i zapachy lata z pierwszymi chłodami jesieni. Marcello czuł się dziwnie podniecony tą atmo

sferą czystki i pogromu w przyrodzie, wyczuwając w niej ten sam instynkt zniszczenia i śmierci, który jego przed kilku miesiącami pchnął do strącania kielichów kwiatów i zabijania jaszczurek. Lato było okresem spokojnym, doskonałym, pełnym, pod błękitnym niebem, z drzewami pokrytymi liśćmi, z siedzącymi na gałęziach ptakami. Teraz rozkoszował się siłą wiatru, który rozdzierał i niszczył ową doskonałość, ową pełnię, ów spokój, gnając po niebie poszarpane chmury, zrywając liście z drzew i wywijając nimi młyńce w powietrzu, płosząc ptaki, które latały w uporządkowanym czarnym szyku między liśćmi i chmurami. Na zakręcie dostrzegł, że idzie za nim pięciu kolegów; to, że szli w ślad za nim, nie ulegało wątpliwości, bo dwóch spośród nich mieszkało w przeciwnej stronie, lecz, pochłonięty swymi jesiennymi wrażeniami, nie zwrócił na to uwagi. Teraz śpieszył się, żeby jak najprędzej dojść do szerokiej alei wysadzonej platanami, skąd boczna ulica prowadziła do jego domu. Wiedział, że w tej alei gromadzą się na chodnikach tysiące zwiędłych liści, żółtych i chrzęszczących; i już cieszył się z góry, jak to będzie przyjemnie brnąć w nich, roztrącać je i szeleścić nimi. A na razie, niemal dla zabawy, próbował zmylić swoich prześladowców, to wchodząc do bramy, to mieszając się z tłumem. Zorientował się jednak wkrótce, że tych pięciu stale go odnajduje. Aleja była

już blisko, ale Marcello wstydziłby się bawić w obecności kolegów zeschniętymi liśćmi. Zdecydował się więc pomówić z nimi otwarcie i odwracając się nagle, zapytał:

— Dlaczego za mną idziecie? ■— Jeden z piątki, blondynek ze spiczastą twarzą, z włosami przyszyżonymi przy samej skórze, odpalił z miejsca:

— Wcajle mie idziemy za toibą, ulica należy przecież do wszystkich, może nie? — Marcello nic <nie odpowiedział i poszedł dalej. • -

Ukazała się aleja między dwoma rzędami gigantycznych i nagich platanów, za którym mi .widać było okna domów, ukazały się .zwiędłe liście żółte niczym złoto, rozsypane na czarnym asfalcie i piętrzące się w rowach. Piątka prześladowców gdzieś zniknęła, może zrezygnowali z pościgu, a Marcello był teraz sam w szerokiej alei o pustych chodnikach. Bez pośpiechu wszedł na bruk, pokryty grubą warstwą liści, i sprawiało mu przyjemność iść naprzód, brodząc po kolana w tej ruchomej, lekkiej masie. Lecz¹ gdy się schylił, by podnieść pełną garść liści i podrzucić ją do góry, znowu usłyszał drwiące głosy; — Marcellina, nie masz kiecki, pokazujesz nam majteczki. — Wtedy ogarnęła go nagle chęć do bójki, niemal przyjemna, a twarz jego przybrała wyraz wojowniczego podniecenia. Wyprostował się i zdecydowanym krokiem ruszył na spotkanie swoich prześladowców wołając: — Pójdziecie stąd wreszcie, czy nie?

Zamiast odpowiedzi, cała piątka rzuciła się na niego. Marcello zamierzał postąpić mniej więcej tak, jak Horacjusze i Kuria- cjusze, zgodnie z historyczną legendą: pokonać kolejno pięciu przeciwników, dwojąc się i trojąc, zadając każdemu z nich taki cios, żeby wszyscy zrezygnowali z napaści. Lecz uświadomił sobie od razu, że jest to plan niewykonalny; chłopcy okazali się przewidujący, hurmem przyskoczyli do niego i teraz jeden trzymał go za ręce, drugi za nogi, dwaj inni objęli go w pól, podczas gdy, piąty — Marcello natychmiast to zauważył — odwiął pośpiesznie jakąś paczkę i czając się podchodził do niego; miał w ręku spódniczkę z niebieskiego kretonu. Teraz wszyscy się śmiali, trzymając go jednak równie mocno jak przedtem; ten, który niósł spódniczkę, powiedział: — No, Mar- cellina... tylko się nie broń; włożymy ci spódniczkę, a potem pozwolimy iść do mamusi. — Słowem, jak zazwyczaj, kpili z jego dziewczęcej powierzchowności. Wściekły, z rozpalonymi policzkami, gwałtownie zaczął się bronić; lecz tamci byli silniejsi i chociaż udało mu się podrapać twarz jednemu i uderzyć pięścią w żołądek drugiego, czuł, że lada chwila będzie obezwładniony. W końcu, gdy Marcello wrzeszczał: — Puśćcie mnie, kretyni, puśćcie mnie! — okrzyk triumfu wyrwał się z piersi jego oprawców; wciśnięto mu na głowę spódniczkę, tłumiąc nią jak workiem jego protesty. W dalszym

ciągu próbował im się wyrwać, ale na próżno. Chłopcy zręcznie ściągnęli mu spódniczkę w pasie; potem czuł, że zawiązują mu z tyłu węzeł. I podczas gdy wołali: — Mocniej ściągnąć, mocniej! — usłyszał głos, w którym brzmiało raczej zaciekawienie niż oburzenie: — Co wy tu wyprawiacie!

Cała piątka puściła go od razu i rzuciła się do ucieczki; został sam, purpurowy, zadyszany, w spódniczce ściśniętej w pasie. Podniósł oczy i zobaczył stojącego nad sobą mężczyznę, który zadał to pytanie. Ubrany w ciemnoszarą liberię z obcisłym kołnierzykiem pod szyją, blady, chudy, oczy miał zapadnięte, duży i smutny nos, wzdargliwe usta i włosy ostrzyżone na jeża; w pierwszej chwili robił wyjątkowo ponure wrażenie. Przyglądając mu się jednak dłużej, Marcello zauważył pewne szczegóły, które nie miały w sobie nic złowrogiego, wręcz przeciwnie: zachłanne, płomienne wejrzenie, coś miękkiego -i melancholijnego w wyrazie ust, niepewność w zachowaniu. Schylił się, podniósł książki, które Marcello broniąc się upuścił na ziemię, i podając mu je spytał:

— Co oni ci chcieli zrobić?

Głos miał surowy, tak samo jak twarz, nie pozbawiony jednak tłumionej słodyczy. Marcello odparł z rozdrażnieniem:

— Oni mi stale robią kawały... ci głupcy. — I równocześnie próbował rozsypać z tyłu pasek spódnicy.

— Czekaj — powiedział mężczyzna, pochylił się i rozplątał węzeł. Spódnica opadła na ziemię, Marcello podeptał ją i odrzucił kopniakiem, na stos suchych liści. Mężczyzna zapytał go z pewną nieśmiałością:

— Szedłeś może do domu?

— Tak — odrzekł Marcello spoglądając na niego.

— Wobec tego — powiedział mężczyzna — odwiozę cię samochodem — wskazał na stojące niedaleko auto. Marcello przyjrzał się samochodowi nieznanej mu marki, długiemu, czarnemu, dość starego typu. Przemknęła mu przez głowę dziwna myśl: ten zaparkowany o kilka kroków dalej samochód świadczył może, iż zainteresowanie nieznajomego nie było przypadkowe. Zawahał się przed odpowiedzią; mężczyzna nalegał:

— No chodź... przejedziemy się trochę, a potem odwiozę cię do domu. Chcesz?

Marcello wolałby mu odmówić, a raczej czuł, że powinien tak zrobić. Ale nie zdążył: mężczyzna zabrał mu już książki mówiąc: — Pomogę ci — i skierował się do samochodu. Poszedł więc za nim, zaskoczony swoją uległością, ale w głębi duszy zadowolony. Mężczyzna otworzył drzwiczki, kazał chłopcu usiąść na przednim siedzeniu, a na tylnym położył książki. Potem siadł za kierownicą, zatrzasnął drzwi, wciągnął rękawiczki i zapuścił silnik.

Samochód jechał niezbyt szybko, majesta

tycznie, cicho, przez długą, wysadzaną drzewami aleję. Był to samochód starego typu, jak myślał Marcello, ale utrzymany w znakomitym stanie, pieczołowicie odla- kierowany, z metalowymi częściami lśniącymi jak lustro. Teraz mężczyzna trzymał jedną rękę na kierownicy, a drugą wyciągnął po czapkę z daszkiem i włożył ją na głowę. Czapka podkreślała jego surową powierzchowność i wyglądał w niej jak wojskowy. Marcello, zmieszany, zapytał:

— Czy to pana samochód?

— Mów mi ty — rzekł mężczyzna nie patrząc na niego i ściskając prawą ręką pompkę klaksonu, którego dźwięk był tubalny, równie przestarzały jak- model samochodu. — Nie, nie mój... moich chlebobawców... jestem szoferem.

Marcello nic nie odpowiedział. Nieznajomy, który w dalszym ciągu siedział zwrócony do niego profilem i prowadził wóz swobodnie, z elegancją i wprawą, dodał:

— Nie spodobało ci się, że to nie ja jestem właścicielem wozu? Wstydzisz się?

Zaprotestował żywo: — Nie, dlaczego?

Mężczyzna, zadowolony, uśmiechnął się lekko i zwiększył szybkość. Powiedział:

— Pojedziemy teraz na Monte Mario... chcesz?

— Nigdy tam nie byłem — odrzekł Marcello.

Mężczyzna powiedział:

— Tam jest bardzo ładnie... widać z góry

całe miasto. Milczał przez chwilę a potem dorzucił miękko: — Jak ci na imię?

— Marcello.

— Prawda — rzekł szofer, jak gdyby mówiąc do siebie — twoi koledzy nazywali cię Marcellina... ja mam na imię Pasquale.

Marcello nie zdążył jeszcze pomyśleć, że Pasquale to śmieszne imię, kiedy szofer, jak gdyby odgadując jego myśl, dodał: — Ale to śmieszne imię... mów do mnie "Lino".

Samochód przejeżdżał teraz przez szerokie i brudne ulice jednej z dzielnic na peryferiach, między nędznymi domami. Gromadki łobuziaków, bawiących się na jezdni, odskakiwały w popłochu na bok; potargane kobiety, obdarci mężczyźni patrzyli z chodników na ten niecodzienny widok. Marcello spuścił oczy, zawstydzony tym ich zaciekawieniem.

— To dzielnica Trionfale — rzekł szofer — a oto Monte Mario. — Samochód minął już biedną dzielnicę i jechał teraz za tramwajem, szeroką, krętą ulicą, między domami zbudowanymi na stromo wznoszącym się terenie. — O której godzinie musisz być w domu?

— Mam czas — rzekł Marcello — nigdy nie jemy przed drugą.

— Kto czeka na ciebie w domu? Tatuś i mamusia?

Tak.

— Masz też rodzeństwo?

— Nie.

— A co robi twój tatuś?

— Nic — odpowiedział trochę niepewnie Marcello.

Samochód wyminął tramwaj i szofer, chcąc ściąć zakręt możliwie jak najostrzej, oparł się mocno obiema rękami o kierownicę, wprawnym ruchem, nie pochylając się przy tym do przodu. Potem . samochód, w dalszym ciągu pnąc się pod górę, mijał porośnięte bluszczem mury i sztachety ocienione drzewami. Od czasu do czasu, tam gdzie mieściły się restauracje czy gospody, widać było lampiony i łukowate wnęki z krwawo czerwonymi sztyldami. Lino zapytał nagle:

— Czy twoja mamusia i tatuś dają ci prezenty?

— Tak — odrzekł Marcello ogólnikowo — czasami.

— Dużo czy mało?

Marcello nie chciał się przyznać, że dostaje mało prezentów, a czasami nawet w święta musi się bez nich obywać. Ograniczył się do powiedzenia: — Tak sobie.

— A lubisz dostawać prezenty? — zapytał Lino otwierając kasetkę w samochodzie, wyjmując z niej żółtą ściereczkę i przecierając szybę.

Marcello zerknął na niego. Nieznajomy odwrócony był profilem, wyprostowany, w czaipce wciśniętej na oczy. Odpowiedział na wszelki wypadek:

— Tak, lubię.

.— A co na przykład chciałbyś dostać?

Tym razem pytanie było niedwuznaczne

i Marcello pomyślał od razu, że tajemniczy Lino, z jakichś sobie tylko wiadomych powodów, zamierza naprawdę dać mu pre- • zent. Przypomnił sobie nagle swój pociąg do wszelkiego rodzaju broni i zarazem, niemal z uczuciem, że dokonał wielkiego odkrycia, powiedział sobie, że posiadanie prawdziwej broni wzbudziłoby szacunek i podziw kolegów.

Chociaż uświadamiał sobie, że żąda zbyt wiele, odważył się powiedzieć:

— Na przykład rewolwer.

— Rewolwer powtórzył mężczyzna, nie okazując żadnego zdziwienia. — A jaki rewolwer? Na kapiszony czy na sprężone powietrze?

— Nie palnął Marcello — prawdziwy rewolwer!

— A na co ci prawdziwy rewolwer?

Marcello wołał się nie przyznawać. .

— Będę nim strzelał do celu — odrzekł — dopóki nie nabiorę wprawy, żeby nigdy nie chybić.

— A dlaczego tak ci na tym zależy, żeby celnie strzelać?

Marcello odniósł wrażenie, że mężczyzna zadaje mu owe pytania raczej dla podtrzymania rozmowy, niż z ciekawości. Pomimo to odpowiedział z całą powagą:

— Jak się umie dobrze strzelać, to można się przed każdym obronić.

Mężczyzna milczał przez chwilę. Potem powiedział:

— Wsuń rękę do tej kieszeni w pokrowcu na drzwiczkach od twojej strony.

Samochód skręcił gwałtownie, żeby wyminąć psa, przebiegającego przez jezdnię.

Marcello wyciągnął metalowy przedmiot: był to automatyczny rewolwer, czarny i płaski, symbol zniszczenia i śmierci, z wystającą <na przodzie lufą do wypluwania kul. Niemal bezwiednie ścisnął w garści rewolwer drżącymi z podniecenia palcami.

— Taki rewolwer? — zapytał Lino.

— Tak — odrzekł Marcello.

— Wobec tego, że tak sobie życzysz mieć rewolwer — powiedział Lino — dam ci go... ale nie ten, ten należy do wyposażenia samochodu, inny.

Marcello nic nie odpowiedział. Miał wrażenie, że znalazł się w magicznym świecie bajki, w całkiem odmiennym świecie, gdzie szoferzy zapraszają do samochodów i ofiarowują rewolwery. Wszystko stawało się nagle niestychanie łatwe; zarazem jednak, sam nie wiedząc dlaczego, wyczuwał, że ta rozkoszna łatwość ma jakiś nieprzyjemny posmak, jak gdyby wiązała się z nią pewna trudność, nie znana i złowroga, która ujawni się lada chwila.

Prawdopodobnie — rozumował chłodno Marcello — w tym samo

chodzie każdy miał swój cel: on chciał zdobyć rewolwer, a Lino pragnął dostać w zamian coś tajemniczego, co mogło się okazać nieosiągalne. Teraz należało się dowiedzieć, kto więcej skorzysta na owej zamianie. Zapytał:

— — Dokąd jedziemy?

Lino odpowiedział:

— Jedziemy do domu, w którym mieszkam... po rewolwer.

A gdzie jest ten dom?

— Już właśnie dojeżdżamy ⁴— odrzekł szofer wyjmując mu z ręki rewolwer i wkładając go do kieszeni.,

Marcello rozejrzał się dokoła: samochód stanął na drodze, wyglądającej w tym miejscu jak zwykła wiejska droga z drzewami i z żywopłotami, za którymi ciągnęły się pola i niebo. Nieco dalej widać było łukowatą bramę z dwiema kolumnami i malowane na zielono sztachety.

— Poczekaj tu — powiedział Lino. Wysiadł i poszedł do bramy. Marcello obserwował go, podczas gdy ją otwierał i wracał potem do samochodu. Był raczej niski, chociaż siedząc wyglądał na wysokiego; miał nieproporcjonalnie krótkie nogi i szerokie biodra. Lino wrócił do samochodu i przejechali przez bramę. Ukazała się wysypana żwirem aleja, wysadzana małymi, obskubanymi cyprysami, którymi targał niemiłosiernie wiatr. W głębi alei, na tle burzliwego nieba, zaśniło coś jaskrawo w nik

łym promieniu słońca: oszklona weranda dwupiętrowego budynku.

— To willa — rzekł Lino 111 ale nie ma nikogo.

— A kto jest właścicielem? — zapytał Marcello.

— Nie właścicielem, tylko właścicielką — poprawił Lino. — Amerykanka, ale jej nie ma, wyjechała do Florencji.

Samochód stanął. Willa niska i długa, o ścianach w czerwono-białe kwadraty z cegły i tynku, przerywanych tu i ówdzie szeregiem lśniących szyb okiennych, miała ganek wsparty na ciosanych kolumnach z szarego kamienia. Lino otworzył drzwiczki i zeskoczył na ziemię mówiąc:

— No, wysiadamy.

Marcello nie wiedział, czego chce od niego Lino, i nie mógł się tego domyślić. Lecz wzrastała w nim nieufność i bał się, że zostanie oszukany.

— A rewolwer? — zapytał nie ruszając się z miejsca.

— Tam jest — odrzekł z pewną niecierpliwością Lino wskazując na okna willi. — Idziemy właśnie po rewolwer.

— Dasz mi go?

— Oczywiście, śliczny nowy rewolwer. Marcello wysiadł bez słowa. Żalobny jesienny wiatr uderzył go od razu ciepłym, pełnym kurzawy powiewem. Sam nie wiedział dlaczego, ale wraz z owym powiewem ogarnęło go złe przeczucie i idąc za Linem

obejrzał się, by jeszcze raz rzucić okiem na wysypany żwirem placyk, otoczony mizernymi oleandrami. Lino siedł przed nim i Marcello zauważył wypchaną prawą kieszeń liberii: był tam rewolwer, który szofer wyjął mu z ręki, gdy dojechali na miejsce. Teraz nabrał pewności, że Lino ma tylko ten jeden rewolwer, i zastanawiał się, dlaczego skłamał i dlaczego teraz ciągnie go do willi. Coraz silniej przekonany, że kryje się w tym jakieś oszustwo, postanowił być czujny, aby nie dać się wystrychnąć na dudka. Tymczasem weszli do dużego salonu, w którym porozstawiane były kanapy i sporo foteli; na ścianie, w głębi, widniał komin z okapem z czerwonej cegły. Lino, który iwciaż siedł przed nim, skierował się w kąt salonu, iku pomalowanym na niebiesko drzwiczkom. Marcello zapytał niespokojnie:

— Ale dokąd my idziemy?.

— Do mojego pokoju — odrzekł Lino nie oglądając się za siebie. Marcello uznał, że na wszelki wypadek lepiej stawić opór, by pokazać Linowi, że przejrzał jego grę. I gdy Lino otworzył niebieskie drzwiczki, powiedział cofając się:

— Daj mi od razu rewolwer albo sobie pójdę.

— Przecież nie mam przy sobie rewolweru — odrzekł Lino obracając się bokiem do niego. — Jest w moim pokoju.

— A właśnie, że go masz — powiedział Marcello — w kieszeni marynarki.

— To jest rewolwer z samochodu.

— Wiem, że nie masz innego.

Lino zdawał się zniecierpliwiony, lecz opanował się natychmiast. Marcellowi rzucił się znów w oczy kontrast między jego suchą i surową twarzą & miękkimi ustami i oczyma o niespokojnym, zbolałym, błagalnym wyrazie.

— Dam ci ten — powiedział w końcu — ale chodź ze mną... co ci to szkodzi?... Tu jest tyle okien, może nas ktoś zobaczyć...

“A gdyby nawet ktoś nas zobaczył, cóż w tym złego?” — chciał 'zapytać Marcello; powstrzymał się jednak, gdyż uświadamiał sobie niejasno, że kryło się w tym wszystkim coś złego, ale co — tego nie umiałby określić.

— Dobrze — powiedział dziecinnie — ale potem mi go dasz?

— Bądź spokojny.

Wyszli na mały biały korytarz. W głębi korytarza znajdowały się drugie niebieskie drzwi. Tym razem Lino nie szedł przodem, ale obok Marcella, i objął go ramieniem wipół, pytając:

— Tak ci bardzo zależy na tym rewolwerze?

— Tak — odrzekł Marcello, którego ten uścisk wprowadził w takie zakłopotanie, że z trudem dobył z siebie głos.

Lino puścił go, otworzył drzwi i weszli do pokoju. Był to biały pokoik, długi i wąski, z jednym oknem w głębi. Stało tam

tylko łóżko, szafa, stolik i kilka krzeseł. Wszystkie meble polakierowane były na seledynowo. Marcello zauważył na ścianie wiszący nad wezglowiem łóżka krucyfiks z brązu, najbardziej pospolitego typu. Na stoliczku nocnym leżała gruba książka w czarnej oprawie z czerwonym brzegiem, Marcello pomyślał, że musi to być książka do nabożeństwa. Ten pokój, w którym nie wały się żadne przedmioty ani części garderoby, robił nadzwyczaj schludne wrażenie; ale w powietrzu unosił się mocny zapach, jak gdyby mydła czy wody kolońskiej, który wydał się Marcellowi znajomy. Czy nie był to ten sam zapach, jaki czuł w łazience, kiedy wchodził tam bezpośrednio po kąpieli matki? Lino powiedział nonszalancko:

— Usiądź sobie na łóżku... tam ci będzie wygodniej.

Uśluhał go bez słowa. Lino chodził teraz po pokoju. Zdjął czapkę i położył ją na parapecie okna; odpiął kołnierzyk i wytarł chustką spoconą szyję. Potem otworzył szafę, wyjął z niej dużą butelkę wody kolońskiej, skropił chusteczkę i z westchnieniem ulgi otarł nią sobie twarz i czoło.

— Dać ci też trochę? — zapytał. — To bardzo odświeża.

Marcello wolałby odmówić, butelka i chustka budziły w nim dziwną odrazę. Nie bronil się jednak, gdy Lino przesuwał mu pieszczotliwie świeżo pachnącą dłoń po

twarży. Lino odstawił wodę do szafy i usiadł na łóżku naprzeciw Marcella.

Patrzyli na siebie. Sucha, surowa twarz Lina przybrała teraz nowy wyraz, uległy, pieszczotliwy, błagalny. Wpatrywał się w Marcella i milczał. Marcello, zniecierpliwiony i zakłopotany tą kontemplacją, zapytał w końcu:

— A rewolwer?

Zobaczył, że Lino z westchnieniem, jak gdyby wbrew woli, wyjmując z kieszeni broń. Wyciągnął po nią rękę, lecz twarz Lina stwardniała i powiedział prędko, cofając rewolwer:

— Dam ci go... ale musisz sobie na to zasłużyć.

Marcello poczuł niemal ulgę słysząc te słowa. A więc było tak, jak przewidywał. Lino czegoś chciał w zamian za rewolwer. Odpowiedział skwapliwie, sztucznie naiwnym tonem, jak w szkole, kiedy wymieniał z kolegami stalówki albo szklane kulki:

— No to powiedz, co za to chcesz, i dojdziemy do porozumienia.

Lino spuścił oczy, zawahał się i potem wycedził powoli:

— A co byś zrobił, żeby mieć ten rewolwer?

Marcello zorientował się, że Lino nie przyjmuje jego propozycji: nie chciał więc dokonać zwykłej wymiany przedmiotu na przedmiot, ale w zamian czegoś od niego żądał. Chociaż nie domyślał się, co to mogło

być, powiedział tym samym sztuczno-naiw- nym tonem:

— Nie wiem, powiedz, o co ci chodzi. — Nastąpiła chwila ciszy.

— Czy byłbyś gotów na wszystko? — zapytał nagle Lino podnosząc głos i chwytając go za rękę.

Zarówno ton, jak i gest przeraziły Marcella. Przyszło mu na myśl, że Lino może być złodziejem i chce z niego zrobić swojego współnika, lecz po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że może odrzucić tę hipotezę. Był jednak ostrożny w odpowiedzi:

— Ale czego byś ode mnie chciał? Dlaczego mi tego nie mówisz?

Lino bawił się teraz jego ręką przyglądając się jej, odwracając ją, to tuląc ją w dłoni, to wypuszczając z uścisku. Potem odepchnął ją prawie brutalnie i powiedział powoli, patrząc na niego:

— Jestem pewien, że są rzeczy, których byś nie zrobił.

— No, powiedz, co to takiego? — nalegał Marcello tonem skwapliwym, lecz z pewnym zażenowaniem.

— Nie, nie! — bronił się Lino. Marcello zauważył, że na jego bladej twarzy, w okolicy kości policzkowych, wystąpiły czerwone plamy. Wydało mu się, iż Lino chętnie powiedziałby- wszystko, gdyby był pewien, że on tego sobie życzy. Wywołało to w nim odruch świadomej, choć niewinnej kokie

terii. Pochylił się, ujął mężczyznę za rękę:

— No powiedz, dlaczego nic nie mówisz?

Zapanowała długa chwila ciszy. Lino

spoglądał to na rękę, to na twarz Marcella i zdawał się wahać. W końcu odepchnął ponownie dłoń chłopca, lecz tym razem łagodnie, wstał i przeszedł się po pokoju. Potem usiadł znowu, wziął Marcella za rękę z czułością, mniej więcej tak, jak bierze dziecko za rękę ojciec albo matka. Powiedział:

— Marcello, wiesz, kim ja jestem?

— Nie.

— Byłem księdzem i zrzuciłem sutannę — rzekł Lino, a głos łamał mu się boleśnie, przejmująco i patetycznie — księdzem, który za bezwstydnne czyny został wyrzucony z zakładu, gdzie uczył... I ty w twojej niewinności nie zdajesz sobie sprawy, czego mógłbym zażądać od ciebie w zamian za ten rewolwer, na który masz taką ochotę, a mnie ogarnęła pokusa, żeby wykorzystać twoją nieświadomość, twoją niewinność, twoją dziecinną chciwość!... Oto kim jestem, Marcello. — Z jego głosu biła głęboka szczerść; potem odwrócił się niespodziewanie w stronę wezgłowia łóżka i przemówił do krucyfiksu, cicho, jak gdyby się żałąc: — Tak się do ciebie modliłem... ale tyś mnie opuścił... i zawsze, zawsze popadam w ten sam grzech... dlaczegoś mnie opuścił? — Słowa te przeszły w szept, jak gdyby Lino

sam z sobą rozmawiał. Potem wstał z łóżka, poszedł po czapkę, którą zostawił na parapecie okna, i powiedział do Marcella:

— Idziemy, chodź, odwiozę cię do domu.

Marcello nic nie odpowiedział: czuł się ogłuszony i niezdolny na razie zrozumieć, co się stało. Przeszedł za Linem przez korytarz i potem przez salon. Przed willą, na skwerze, wiatr hulał dalej wokół czarnego samochodu, pod zachmurzonym niebem bez odrobiny słońca. Lino wsiadł do samochodu, on usiadł obok niego. Samochód ruszył, przejechał przez aleję, potem, zwalniając biegu, przez bramę i znalazł się na drodze. Nie rozmawiali ze sobą przez dłuższą chwilę. Lino prowadził wóz tak samo jak przedtem, wyprostowany, w czapce wciśniętej na oczy, w rękawiczkach. Potem, gdy przejechali już spory szmat drogi. Lino nie odwracając się zapytał zniemacka:

— Żałujesz, żeś nie dostał rewolweru?

Na te słowa w Marcellu znów obudziła się gwałtowna nadzieja zdobycia upragnionego rewolweru. Ostatecznie, pomyślał, może się okazać, że jeszcze nie wszystko stracone. Odpowiedział szczerze:

— Pewnie, że żałuję!

— Wobec tego — zapytał Lino — gdybym się z tobą umówił na jutro albo na dziś wieczór, przyszedłbyś?

— Jutro jest niedziela — odrzekł rozsądnie Marcello — ale w poniedziałek, tak...

możemy się spotkać w alei, w tym samym miejscu co dzisiaj.

Tamten milczał przez chwilę. Po czym niespodziewanie zawołał żalnym głosem:

— Nie mów do mnie więcej... nie patrz na mnie... A gdybyś w poniedziałek o dwunastej spotkał mnie w alei, nie słuchaj mnie i nie witaj się ze mną... zrozumiałeś?

“Co mu się stało?” — zadał sobie pytanie Marcello, nieco urażony. I odpowiedział: — Wcale mi na tym nie zależy, żeby się z tobą zobaczyć... Dzisiaj tyś mnie namówił, żebym z tobą pojechał do twojego domu.

— Tak, ale to już się nie może powtórzyć... nigdy — powiedział gwałtownie Lino. — Znam siebie aż za dobrze i wiem, że dziś w nocy będę wciąż tylko myślał o tobie... i że w poniedziałek będę czekał na ciebie w alei, nawet jeżeli dziś powziąłem postanowienie, że tego nie zrobię... Znam siebie... ale ty masz nie zwracać na to uwagi.

Marcello nic nie odpowiedział. Lino ciągnął dalej z równym uniesieniem:

— Będę myślał o tobie przez całą noc, Marcello... i w poniedziałek będę w alei... z rewolwerem... ale ty masz nie zwracać na mnie uwagi. — Powtarzał ciągle w kółko to samo zdanie, i Marcello w swojej dziecinnej przebiegłości zrozumiał, że Lino chce się z nim umówić i, ostrzegając go, w rzeczywistości już się z nim umawia. Lino po chwili milczenia zapytał znowu: — Słyszałeś?

— Tak.

— Co ci powiedziałem?

— Że w poniedziałek będziesz na mnie czekał w alei.

— Nie tylko to ci mówiłem —| odrzekł tamten zbolalym głosem.

— I że — dokończył Marcello — mam nie zwracać na ciebie uwagi.

— Tak — potwierdził Lino — w żadnym wypadku... bo słuchaj, ja będę cię wołał, błagał, będę jechał za tobą samochodem... obiecywał ci złote góry... ale ty bądź nieustępliwy i nie słuchaj mnie.

Marcello zniecierpliwiony odpowiedział:

— Dobrze, zrozumiałem.

.— Ty przecież jesteś dzieckiem — rzekł Lino zmieniając gniewnie ton głosu na czuły i łagodny — i nie będziesz mógł mi się oprzeć... Zobaczysz, że się na tym skończy... jesteś dzieckiem, Marcello.

Marcello obraził się:

— Nie jestem dzieckiem, tylko dużym chłopcem... a poza tym nie znasz mnie jeszcze.

Lino zatrzymał nagle samochód. Byli jeszcze na wzgórzu, przystanęli pod wysokim, ciągnącym się wzdłuż drogi murem; nieco dalej widać było sklepioną w łuk bramę restauracji, ozdobioną lampionami. Lino zwrócił się do Marcella:

— Naprawdę — zapytał z odcieniem bolesnego niepokoju — naprawdę nie zgodzisz się pojechać ze mną?

— Sam mnie przecież o to prosisz
rzekł Marcello, który przejrzał już na wylot jego grę.

— Tak, to prawda — powiedział z rozpaczą Lino zapuszczając silnik — tak, to prawda, masz rację... jestem wariat, że cię o to pytani... skończony wariat.

Umilkł po tym wykrzykniku i zapanowała cisza. Samochód zjechał na dół i przejeżdżali teraz znowu brudnymi ulicami ubogiej dzielnicy. W końcu ukazała się szeroka aleja z białymi i nagimi platanami, ze stosami żółtych liści wzdłuż opustoszałych chodników, z pełnymi okien murami fabryk. Była to już dzielnica, w której mieszkał Marcello. Lino nie odwracając się zapytał:

— Gdzie jest twój dom?

— Stań lepiej tutaj — rzekł Marcello wiedząc, jaką sprawia przyjemność Linowi tym podkreśleniem swojego udziału w znowie — żeby mnie nikt nie zobaczył, jak wysiadam z twojego samochodu.

Wóz zatrzymał się. Marcello wysiadł, a Lino podał mu przez okienko książki mówiąc zdecydowanym tonem:

— A więc do poniedziałku, będę w alei w tym samym miejscu co dziś.

— Ale ja — odrzekł Marcello biorąc od niego książki — mam udawać, że cię nie widzę, tak?

Zobaczył wahanie Lina i ogarnęło go uczucie niemal okrutnego zadowolenia. Lino pożerał go wzrokiem, w jego głęboko osą

dzonych oczach iskrzyło się pożądanie. Potem powiedział z uniesieniem:

— Rób, jak chcesz. Możesz Jerobić ze mną wszystko, co tylko zechcesz. — Głos jego przybrał na zakończenie żalosno-namiętą nutę.

— Wiedz, że nawet na ciebie nie spojrzę — ostrzegł go po raz ostatni Marcello.

Widział, że Lino zrobił jakiś gest, którego nie zrozumiał, ale który zdawał się być rozpaczliwym potwierdzeniem. Potem samochód ruszył oddalając się powoli w kierunku alei.

ROZDZIAŁ III

Marcella budziła co rano o oznaczonej godzinie kucharka, która miała do niego szczególną słabość. Wchodziła do pokoju wnosząc na tacy śniadanie i stawiała je na marmurowym blacie komody. Potem Marcello widział, jak ujmując w obie ręce sznur żaluzji i jak ją otwiera dwoma lub trzema pociągnięciami swoich silnych ramion. Potem kładła mu na kolanach tacę i stała przy łóżku, podczas gdy jadł śniadanie, a gdy skończył, zrywała z niego kołdrę i ponaglała, żeby się ubierał. Pomagała mu przy tym sama, podając kolejno części garderoby, czasami nawet przyklękała i wkładała mu buty. Była to kobieta pełna życia, wesoła i rozsądna; zachowała akcent i serdeczny sposób bycia właściwy ludziom prowincji, z której pochodziła. Marcello obudził się w poniedziałek z niejasnym wspomnieniem kłótni rodziców; słyszał przed zaśnięciem ich podniesione głosy dobiegające albo z sypialni, albo z jadalnego pokoju. Zjadł najpierw śniadanie, po czym obojętnie zapytał kucharkę, która jak zwykle stała przy nim czekając, aż skończy jeść: — Co się stało dziś w nocy?

Kobieta spojrzała na niego z udanym i przesadnym zdziwieniem:

— Nic o tym nie wiem.

Marcello domyślił się, że kucharka miałaby wiele do powiedzenia, zdradzała to jej nieszczerze zdumiona mina, ironiczny błysk w oczach, całe zachowanie. Powiedział:

— Słyszałem krzyki...

— Ach, krzyki — odrzekła kobieta — to przecież normalna rzecz, czy nie wiesz, że twój tatuś i twoja mamusia często krzyczą?

— Tak — potwierdził Marcello — ale krzyczeli głośniejsze niż zwykle.

Uśmiechnęła się i opierając obydwie ręce o poręcz łóżka, powiedziała:

— Może krzycząc lepiej się rozumieją, nie uważasz?

Taki już miała zwyczaj, że lubiła zadawać pytania, nie wymagające odpowiedzi. Marcello zapytał:

— Ale dlaczego tak krzyczeli?

Kobieta Uśmiechnęła się znowu:

— A dlaczego ludzie krzyczą? Dlatego, że nie żyją w zgodzie.

— A dlaczego oni nie żyją w zgodzie?

— Oni? — zawołała uradowana pytaniami chłopca. — Z tysiąca powodów... Jednego dnia dlatego, że twoja matka chciałyby spać przy otwartym oknie, a ojciec przy zamkniętym...

Drugiego dnia dlatego, że ojciec ma ochotę wcześniej iść spać, a matka lubi przesiadywać do późna w noc... powodów nigdy nie brak, czy nie?

Marcello powiedział nagle z powagą i przekonaniem, jak gdyby wyrażał dojrzewające w nim od dawna uczucie:

— Nie chciałbym być tutaj dłużej.

— A co chciałbyś zrobić? — zawołała kobieta coraz bardziej rozweselona. — Jesteś mały i nie możesz się wyprowadzić z domu... musisz poczekać, aż będziesz dorosły.

— Wolałbym — rzekł Marcello — żeby mnie oddali do internatu.

Kobieta spojrzała na niego z rozrzewnieniem i zawołała:

— Masz rację... w internacie miałbyś przynajmniej jakąś opiekę... Wiesz, dlaczego twój tatuś i twoja mamusia tak dziś w nocy głośno krzyczeli?

— Nie, dlaczego?

— Poczekaj, zaraz ci pokażę. — Ochoczo skierowała się do drzwi i znikła. Marcello usłyszał, że prędko zbiega ze schodów, i znów zadał sobie pytanie, co się mogło stać ubiegłej nocy. Po chwili rozległy się kroki powracającej na górę kucharki, która weszła zaraz potem do pokoju z tajemniczo rozbawioną miną. Trzymała w ręku jakiś przedmiot, który Marcello poznał już z daleka: była to duża fotografia w srebrnej ramce, stojąca zazwyczaj na fortepianie w salonie. Przedstawiała ona matkę Marcella, ubraną na biało, z synem na ręku, także w białej sukience, z białą przepaską na długich włosach. — Widzisz tę fotografię? — zawołała wesoło kucharka. — Wczoraj wie

czorem, kiedy twoja mamusia wróciła z teatru i weszła do salonu, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, była ta fotografia... Biedaczka, o mało nie zemdląca... zobacz tylko, co twój tatuś z nią zrobił.

Marcello zdumiony spojrział na fotografię. Ostrzem noża czy scyzoryka ktoś wydlubał matce i synowi oczy, a potem dorysował pod nimi czerwonym ołówkiem punkciki, mające przedstawiać łzy, spływające z czterech pustych oczodołów. Było to tak nieoczekiwane i dziwne, a zarazem tak ponure, że Marcello w pierwszej chwili nie wiedział, co o tym myśleć.

— To zrobił twój tatuś! — zawołała kucharka. — Twoja mamusia miała rację, że krzyczała.

— Ale dlaczego to zrobił?

— To jest zakłęcie, wiesz, co to jest zakłęcie?

— Nie.

— Kiedy się chce wyrządzić komuś coś złego... robi się to, co zrobił twój tatuś... czasami zamiast oczu przedziurawia się pierś w okolicy serca... i wiesz, co się potem dzieje?

— Go?

— Ta osoba umiera... albo spotyka ją jakieś nieszczęście... zależy.

— Ale przecież ja — wybelkotał Marcello — nie zrobiłem nic złego tatusiowi.

— A co mu zrobiła twoja mamusia? — krzyknęła oburzona kucharka.. — Wiesz, co

to aa człowiek twój tatuś i jak skończy?

"" To wariat... i skończy w Sant'Onofrio, w szpitalu dla wariatów... A teraz prędko, wstawaj, czas już iść do szkoły... ja pójdę odnieść tę fotografię. — Rozochocona, wybiegła i Marcello został sam.

Zamyślony, zaskoczony tą niewytłumaczoną historią z fotografią, zaczął się ubierać.

Nigdy nie żywił do ojca żadnych specjalnych uczuć i jego wrogość, prawdziwa czy udana, nie zabolala go; lecz słowa kucharki na temat złowróznej potęgi zaklęcia dawały mu wiele do myślenia. Nie żeby był przesądny i wierzył, że wystarczy na fotografii wykluć oczy jakiejś osobie, a spotka ją nieszczęście; ale to szaleństwo ojca zbudziło w nim ponownie ów niepokój, który zdawał się już uśpiony. To samo przepojone lękiem i bezsilnością uczucie, że znalazł się w kręgu tragicznego przeznaczenia, gnębiło go (przez całe lato, a teraz, jak gdyby wywołane złowieszczym drgnieniem na widok tej fotografii, splamionej krwawymi łzami, rozibudziło się w nim ponownie ze zdwojoną siłą.

Czym było nieszczęście, zadał sobie pytanie: czy nie zagubionym w błękitie pogodnego nieba czarnym punktem, który rośnie, aż staje się drapieżnym ptakiem, spadającym na swoją ofiarę niczym sęp na padlinę? Albo pułapką, o której się wie, którą nawet dokładnie się widzi, a mimo to nie można jej wyminąć. Albo po prostu przekleństwem bezsilności, lekkomyślności i ślepoty,

które przeniknęło ruchy, zmysły, krew? To ostatnie sformułowanie wydało mu się najbliższe prawdy, ponieważ sprowadzało nieszczęście do braku szczęścia, a brak szczęścia tłumaczył się głębokim, wrodzonym, tajemniczym fatalizmem, na który postępki ojcowi, niby znak drogowy na drodze do zguby, znów zwrócił jego uwagę. Wiedział, że ów fatalizm domaga się od niego morderstwa, lecz bardziej niż samo zabójstwo przerażała go myśl, że jest na nie skazany nieuchronnie, cokolwiek by uczynił. Słowem, paraliżował go strach na myśl, że nawet pełna świadomość tego fatalizmu jest tylko dodatkowym bodźcem do poddania się mu, jak gdyby ta świadomość była właśnie nieświadomością, ale nieświadomością tak szczególnego rodzaju, że nikt, a już najmniej on sam, nie mógłby jej tak sklasyfikować.

Lecz potem, w szkole, z dziecinną beztroską zapomniał o tych przeczuciach. Jego sąsiadem w ławce był jeden z jego prześladowców, najstarszy i zarazem najgorszy uczeń w klasie, nazwiskiem Turchi. Tylko on jeden z całej klasy brał lekcje boksu i umiał zadawać ciosy zgodnie z wszystkimi zasadami tej sztuki; z ostrzyżonymi na jeża włosami, z twardą i kanciastą twarzą o płaskim nosie i wąskich wargach, w grubym sportowym swetrze, wyglądał już na zawodowego boksera. Turchi nie miał zielonego pojęcia o łacinie; ale gdy po szkole,

na ulicy, podnosił muskularną rękę, by wyjąć z ust niedopałek, i oświadczał spoglądając z góry na grupkę kolegów i marszcząc niskie, pokryte bruzdami czoło: — Według mnie mistrzostwo zdobędzie Colucci — wszyscy chłopcy milczeli jak trusie, pełni szacunku. Turchi na zawołanie mógł pokazać, ujmując nos dwoma palcami i odchylając go na bok, że ma złamaną przegrodę nosową, jak prawdziwy bokser; zajmował się nie tylko pięściarstwem, ale również piłką nożną oraz innymi popularnymi i brutalnymi dyscyplinami sportu. W stosunku do Marcella Turchi zachowywał się sarkastycznie i z mitygowaną gwałtownością. On właśnie, dwa dni przedtem, trzymał Marcella za rękę, podczas gdy inni wciągali mu spódniczkę; Marcello dobrze to pamiętał i myślał tego ranka, że znalazł w końcu sposób, by przewyciężyć jego pogardę i zdobyć nieosiągalny dotąd szacunek.

Wykorzystując moment, kiedy nauczyciel geografii odwrócił się, by pokazać długim kijkiem mapę Europy, szybko napisał na zeszyt: "Będę dziś miał prawdziwy rewolwer" — i podsunął zeszyt Turchiemu. Ten pomimo swego nieuctwa sprawował się wzorowo, zawsze uważny, niewzruszony, prawie ponury w swoim obojętnym i tępym skupieniu. Lecz gdy go wywoływano, nie umiał nigdy dać odpowiedzi nawet na najprostsze pytania, co zdumiewało Marcella, który zastanawiał się, o czym myśli Turchi podczas

lekcji i dlaczego, skoro się nie uczy, udaje taką pilność. Teraz Turchi na widok zeszytu zareagował gestem zniecierpliwienia, jakby chciał powiedzieć: "Zostaw mnie w spokoju... nie widzisz, że słucham lekcji?" — Ale Marcello, nieustępliwy, trącił go łokciem, wtedy Turchi, nie poruszywszy głową, spuścił oczy i przeczytał napisane w zeszycie zdanie. Chwycił ołówek i napisał z kolei: "Nie wierzę". Dotknięty do żywego, Marcello potwierdził również na piśmie: "Słowo honoru". Turchi, nadal nieufny, odpisał mu: "Jakiej marki?" To pytanie wprawilo w zmieszanie Marcella, mimo to po chwili wahania dał odpowiedź: "Wilson". Przekreślił nazwę Weston, którą^o wymienił niegdyś właśnie Turchi. Turchi napisał natychmiast: "Nigdy o takiej nie słyszałem." Marcello skreślił na zakończenie: "Jutro go przyniosę do szkoły." Tu dialog urwał się, bo profesor odwrócił się nagle i wywołał Turchiego pytając go, jaka jest największa rzeka w Niemczech. Turchi wstał i jak zwykle po długim namyśle przyznał bez cienia zakłopotania, niemal z lojalnością sportową, że nie wie. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i zajrzał woźny oznajmiając koniec lekcji.

Idąc potem ulicami w kierunku platanowej alei, Marcello postanowił sobie za wszelką cenę zmusić Lina, żeby dotrzymał obietnicy i dał mu rewolwer. Wiedział, że Lino będzie mu robił trudności, zadał sobie pyta-

nie, jak się powinien zachować, żeby na pewno osiągnąć swój cel. Chociaż nie rozumiał prawdziwej przyczyny szaleńczych wybryków Lina, jakiś instynkt, pokrewny kobiecej kokieterii, mówił mu, że najłatwiejszy sposób zdobycia rewolweru podsunął mu ubiegłej soboty sam Lino: trzeba nie zwracać uwagi, na Lina, pogardliwie odrzucać jego propozycje, być nieczułym na błagania, słowem, cenić się; a wreszcie nie wsiadać do samochodu, nie upewniwszy się z góry, że Lino naprawdę gotów jest dać mu rewolwer. Oczywiście Marcello nie umiałby odpowiedzieć, dlaczego szoferowi tak na nim zależało i dlaczego on mógł sobie pozwolić na ten rodzaj szantażu. Szantażował Lina instynktownie i tak samo instynktownie wyczuwał w swoich stosunkach z szoferem odcień niezwykle napięcia emocjonalnego, równie kłopotliwego, jak tajemniczego. Ale rewolwer górował nad wszystkimi innymi myślami, a z drugiej strony Marcello nie mógłby zaprzeczyć, że ta prawie kobieca rola, którą miał odegrać, była mu raczej miła. Wbiegając pędem, cały spocony, w platanową aleję zdążył jeszcze pomyśleć, że jednej rzeczy wolałby w każdym razie uniknąć, a mianowicie nie chciał, żeby Lino objął go znowu wpół, jak zrobił na korytarzu w willi przy pierwszym spotkaniu.

Tak samo jak w sobotę dzień był burzliwy i chmurny, wiał ciepły porywisty wiatr, niosąc zagarnięte po drodze śmieci, zeschnię

te liście, papiery, piórka, puch, źdźbła słomy, kurz. W alei wiatr zaatakował właśnie stertę zwiędłych liści, wzbijając je wysoko do góry, między nagie konary platanów. Marcello zapatrzył się na liście, które wirowały w powietrzu na tle ołowianego nieba, niczym miriady żółtych rąk z rozcapierzo-, nymi palcami, a potem, spuszczać oczy, zobaczył nagle wśród tych złotych rąk, wywijających młyńce na wietrze, długi, czarny i błyszczący kadłub samochodu stojącego przy chodniku. Serce zaczęło mu bić mocniej, sam nie wiedział dlaczego; zgodnie ze swoim planem nie przyśpieszył jednak kroku i ruszył w kierunku samochodu. Przeszedł koło niego powoli i od razu, jak na dany sygnał, otworzyły się drzwiczki, przez które wychylił się Lino, bez czapki, i powiedział:

— Marcello, chcesz wsiąść?

To stanowcze zaproszenie nie mogło go nie zdziwić po przysięgach, które słyszał poprzednim razem. Stwierdził w duchu, że Lino znał rzeczywiście na wylot swoją naturę; było nawet zabawnie obserwować, że szofer postępuje tak, jak sam przewidział, chociaż robi to wbrew woli. Marcello szedł dalej, jak gdyby nic nie usłyszał, i nie bez przyjemności zauważył, że samochód jedzie za nim. Chodnik, bardzo szeroki, biegnący między równiutkimi, pełnymi okien murami fabryk i grubymi, pochylonymi pniami platanów, był pusty, jak okiem sięgnąć. Sa

mochód wolniuteńko jechał za nim z cichym szumem silnika, miłym dla ucha; po dwudziestu metrach minął go i zatrzymał się w pewnej odległości; potem drzwi znów się uchyliły. Marcello przeszedł obok, nie oglądając się wstecz, i usłyszał znowu zboląły, błagalny głos: — Marcello, wsiądź... proszę cię., zapomnij o tym, co ci mówiłem wczoraj... Marcello, słyszysz mnie? — Marcello musiał sobie powiedzieć, że ten głos miał w sobie coś odpychającego; co się stało Linowi, że tak skamle? Aż wstyd; całe szczęście, że nikogo nie było w alei. Nie chciał jednak zniechęcać Lina do reszty, odwrócił więc głowę i zerknął za siebie, jak gdyby zachęcając go do dalszego nalegania. Zdawał sobie sprawę, że owo spojrzenie było niemal pieśzcotliwe, i doznał nagle tego samego, identycznego uczucia poniżenia, bynajmniej nie przykrego i nie udawanego, które przed dwoma dniami wzbudziła w nim na moment przypasana przez kolegów spódniczka. Jak gdyby w gruncie rzeczy sprawiało mu przyjemność, a nawet leżało w jego naturze odgrywanie roli kobiety wzdorliwej i zalotnej. A tymczasem samochód ruszył znowu w ślad za nim. Marcello zastanawiał się, czyby już nie ustąpić, ale zdecydował po namyśle, że jeszcze nie pora. Samochód minął go, nie przystając, tylko zwalniając biegu. Usłyszał głos mężczyzny, wołający: — Marcello... — i zaraz potem warkot oddalającego się samochodu. Prze

straszył się nagle, że Lino, zniecierpliwiony odjechał; ogarnął go paniczny lęk, że nazajutrz w szkole pokaże się z pustymi rękami; zaczął więc biec przed siebie, krzycząc: — Lino, Lino... stań, Lino! — Ale wiatr porywał jego słowa, wzbijając je w powietrze wraz z suchymi liśćmi i wprawiając je w szeleszczący wirowy ruch; samochód zniknął w oddali: najwidoczniej Lino nie usłyszał go i odjeżdżał, a on, Marcello, nie zdobędzie rewolweru i Turchi będzie miał jeden powód więcej, żeby się z niego natrzasać. Natychmiast jednak odetchnął z ulgą i zwolnił kroku: samochód wyprzedził go nie po to, żeby przed nim uciec, ale żeby czekać na niego na rogu poprzecznej ulicy; stanął tam właśnie, zagradzając całą szerokość chodnika.

Poczuł coś w rodzaju żalu do Lina, który wywołał w nim ten upokarzający lęk, i postanowił, w nagłym przypływie okrucieństwa, zemścić się na szoferze stawiając mu nieugięty opór z zimnym wyrachowaniem. Tymczasem bez pośpiechu doszedł do poprzecznej ulicy. Stał tam samochód, długi, czarny, lśniący, ze swymi starymi metalowymi częściami, z niemodną już karoserią. Marcello udał, że chce go obejść bokiem: drzwi otworzyły się natychmiast i wyjrzał Lino.

— Marcello — powiedział z rozpaczliwą stanowczością — zapomnij o wszystkim, co ci mówiłem w sobotę... wypełniłeś już swój

obowiązek aż za gorliwie... Chodź, Marcello. — Marcello przystanął koło maski. Cofnął się o krok i nie patrząc na Lina powiedział zimno:

— Nie pojedę... i nie dlatego, że prosiłeś mnie w sobotę, żebym cię nie słuchał... ale dlatego, że nie mam ochoty.

— A dlaczego nie masz ochoty?

— Bo nie... a dlaczego właściwie miałbym jechać? /

— Żeby mi zrobić przyjemność.

— A ja nie chcę ci zrobić przyjemności.

— Dlaczego? Nie lubisz mnie?

— Nie — odrzekł Marcello spuszcżając oczy i bawiąc się klamką od samochodu. Wiedział, że ma wyraz twarzy naburmuszony, odpychający, wrogi i sam się już nie orientował, czy gra komedię, czy też jest szczery. Zapewne, odgrywał przed szoferem komedię; ale jeśli to była komedia, dlaczego doznawał przy tym tak silnego i skomplikowanego uczucia, które było mieszaniną próżności, odrazy, upokorzenia, okrucieństwa i pogardy? Usłyszał, że Lino śmieje się cicho i szczerze, a potem pyta go:

— A dlaczego mnie nie lubisz? Tym razem podniósł oczy i spojrzał mu prosto w twarz. Tak, wyraźnie nie lubił Lina, lecz nie zastanowił się dotychczas dlaczego. Patrząc teraz na tę twarz surową i wychudzoną, niemal ascetyczną, zrozumiał przyczynę swojej antypatii; była to twarz fałszywa, nosząca niemal fizyczne piętno prze

wrotności. Miał wrażenie, że dostrzega tę przewrotność przede wszystkim na ustach: wąskich, suchych, wzgardliwych, które na pierwszy rzut oka miały niewinny wyraz, ale gdy rozchylały się w uśmiechu, było w nich coś dziwnie lepkiego i oślizłego. Zawahał się, wpatrzony w Lina, który z uśmiechem czekał na jego odpowiedź, a potem powiedział szczerze:

— Nie lubię cię, bo masz zaślinione usta.

Lino zachmurzył się, uśmiech znikł z jego twarzy.

— Po co wygadujesz takie głupstwa? — rzekł, po czym, opanowując się natychmiast, dodał z żartobliwą swobodą: — A więc, panie Marcello... chce pan wsiąść do samochodu?

— Wsiądę — rzekł Marcello decydując się w końcu — ale pod jednym warunkiem.

— Jakim?

— Że mi naprawdę dasz rewolwer.

— Zgoda... siadaj.

— Nie, musisz mi go dać od razu — nalegał z uporem Marcello.

— Nie mam go tu, Marcello — odparł poważnie szofer — od soboty leży w moim pokoju... Pojedziemy teraz do domu po ten rewolwer.

— Wobec tego nie jadę — rozstrzygnął Marcello nieoczekiwanie nawet dla siebie samego.

— Do widzenia.

I zrobił krok naprzód, jakby chciał już odejść; tym razem Lino stracił cierpliwość.

— Ależ chodź, nie bądź dzieckiem — zawołał. Wychyliwszy się chwycił Marcella za ramię i posadził go obok siebie na przednim siedzeniu. — Jedziemy natychmiast prosto do domu — dodał — i obiecuję ci, że dostaniesz rewolwer. — Marcello, zadowolony w głębi duszy, że został wciągnięty siłą do samochodu, nie protestował, lecz przybrał dziecinnie nadąsany wyraz twarzy. Lino szybko zatrzasnął drzwi, zapalił silnik i samochód ruszył. Przez dłuższą chwilę nie zamienili ze sobą ani słowa. Lino nie wyglądał na rozmownego, a może — jak pomyślał Marcello — był zbyt szczęśliwy, żeby rozmawiać; co do niego, to nie miał nic do powiedzenia; dostanie rewolwer, wróci z nim do domu, a nazajutrz zanieś go do szkoły i pokaż Turchiemu. Nie wybiegał myślą dalej poza te nieskomplikowane i miłe przewidywania. Obawiał się tylko, żeby Lino nie oszukał go w jakiś sposób. I obmyślał sobie na wszelki wypadek przewrotne wybiegi, aby doprowadzić Lina do rozpacz i zmusić go do dotrzymania obietnicy.

Wyprostowany, z książkami na kolanach, patrzył na migające za szybą platany i budynki w głębi alei. Gdy samochód zaczął piąć się pod górę, Lino zadał mu pytanie, które zapewne dojrzało w nim po dłuższym namyśle:

— Gdzie nauczyłeś się takiej kokieterii, Marcello?

Marcello niezupełnie pewien znaczenia tego słowa, zawahał się przed odpowiedzią. Lino, domyślając się, że chłopiec nie rozumie pytania, dorzucił:

— Chciałem powiedzieć, takiego sprytu.

— A dlaczego? — zapytał Marcello.

— No tak.

— To ty jesteś spryciarz — powiedział Marcello — obiecujesz mi rewolwer i wciąż mi go nie dajesz.

Lino roześmiał się i poklepał Marcella po gołym kolanie.

— Tak, dzisiaj jestem spryciarzem. — Marcello zakłopotany poruszył nogą. Lino, w dalszym ciągu trzymając rękę na jego kolanie, zawołał rozradowanym głosem: — Żebyś ty wiedział, Marcello, jak ja się cieszę, żeś dzisiaj przyszedł... Kiedy sobie pomyślę, że cię wtedy prosiłem, żebyś mnie nie słuchał i żebyś nie przychodził, sam się dziwię, jaki człowiek bywa czasem głupi... naprawdę głupi... ale na szczęście tyś miał więcej zdrowego rozsądku ode mnie, Marcello.

Marcello nic nie odpowiedział. Nie rozumiał tego, co mówił do niego Lino, a przy tym drażniła go ta dłoń spoczywająca na jego kolanie. Próbował kilkakrotnie poruszyć nogą, lecz ręka nie cofnęła się. Szczęśliwym trafem na zakręcie pojawił się samochód jadący z przeciwnej strony. Marcello zawołał z udanym przestachem. — Uważaj! Ten samochód jedzie wprost na nas —

i tym razem Lino puścił jego kolano, żeby oburącz ująć kierownicę. Marcello odetchnął z ulgą.

Ukazała się wiejska droga między murami ogrodów i żywopłotami; potem brama i pomalowane na zielono sztachety; wreszcie podjazd wysadzony obskubanymi cyprysami •i w głębi połyskująca szkłem szyb weranda. Marcello zauważył, że tak samo jak poprzednim razem wiatr targa cyprysami pod ciemnym, burzliwym niebem. Samochód stanął, Lino wyskoczył, pomógł Marcellowi wysiąść i skierował się wraz z nim do willi. Tym razem jednak Lino nie szedł przed nim, ale trzymał go za ramię, mocno, jak gdyby się bał, że on może uciec. Marcello chciał mu powiedzieć, żeby rozluźnił uścisk ręki, lecz nie zdążył. Lino pociągnął go tak gwałtownie, że Marcello ani się spostrzegł, kiedy minął salpn, niemal nie dotykając stopami ziemi, i znalazł się na korytarzu. Tutaj Lino niespodziewanie brutalnie złapał go za kołnierz i powiedział:

— Głupi jesteś... głupi... dlaczego nie chciałeś przyjść?

Głos nie był już żartobliwy, ale ochrypliwy, urywany, chociaż bezwiednie czuły. Marcello, zdumiony, chciał podnieść głowę i spojrzeć na twarz Lina, lecz w tej samej, chwili poczuł gwałtowne pchnięcie. Lino wrzucił go do pokoju jak psa albo kota, którego chwyta się za skórę na karku. Potem Marcello zobaczył, że Lino przekręca w zamku

klucz, chowa go do kieszeni i zwraca się do niego z wyrazem pełnym radości i gniewnego triumfu. Krzyknął na całe gardło:

— A teraz dosyć, zrobisz to, co ci każe., dosyć Marcello, tyranie, mały łajdaku, dosyć... marsz, masz być posłuszny i ani słowa więcej! — Wymawiał te rozkazujące, pogardliwe i władcze słowa z dziką radością, niemal z upojeniem; i Marcello pomimo całego zmieszania nie mógł nie zauważyć, że były to słowa pozbawione sensu, raczej strofy zwycięskiej pieśni niż wyraz myśli i świadomej woli. Przerażony i ogłupiały, patrzył, jak Lino chodzi wielkimi krokami po pokoju, zdejmuje czapkę z głowy i ciska ją na parapet; zwija wiszącą na krześle koszulę i wkłada ją do szuflady; wygładza zgniecioną koldrę, słowem, wykonuje zwykłe, codzienne czynności z jakąś niepojętą furią. Potem zobaczył, że wykrzykując nadal gwałtowne pogrożki, podchodzi do ściany, zrywa wiszący nad wezłowiem łóżka krucyfiks, zbliża się do szafy i wrzuca go do niej z ostentacyjną brutalnością; zrozumiał, że Lino chce zamanifestować w ten sposób, iż pozbył się ostatecznie wszelkich skrupułów. Jak gdyby na potwierdzenie tych domysłów, Lino wyjął z szufladki nocnego stolika upragniony rewolwer i pokazując mu go, krzyknął: — Widzisz? Nie dostaniesz tego nigdy... Będziesz musiał robić, co ci każe, bez żadnych prezentów, bez rewolwerów... po dobremu albo siłą!

Marcello pomyślał, że słusznie obawiał się podstępu: Lino chciał go oszukać. Poczł, że blednie ze złości, i powiedział:

— Daj mi rewolwer albo sobie pójdę.

— Nic z tego... albo po dobru, albo siłą. — Lino, nie wypuszczając z jednej ręki rewolweru, drugą szarpnął Marcella za ramię i rzucił go na' łóżko. Marcello siadł tak gwałtownie, że uderzył głową o ścianę. Lino, przechodząc natychmiast od brutalności do tkliwości i zmieniając ton z rozkazującego na błagalny, ukląkł przed nim. Objął mu ramieniem nogi, a dłoń, w której ściskał rewolwer, oparł na kołdrze. Jęczał i wzywał po imieniu Marcella; potem, wciąż jęcząc, objął ramionami kolana chłopca. Rewolwer leżał teraz na łóżku, rzucony na białą kołdrę. Marcello spojrział na klęczącego Lina, który to wznosił ku niemu błagalną twarz, zalaną łzami i rozpaloną pożądaniem, to spuszczał ją i ocierał głowę o jego nogi, jak przywiązany pies; chłopiec chwycił rewolwer, wyprężył się nagle i wstał. Lino, myśląc zapewne, że Marcello chce odpowiedzieć uściskiem na jego uścisk, otworzył ramiona. Marcello skoczył na środek pokoju i odwrócił się szybko.

Później, gdy' myślał o tym, co się stało, uświadomił sobie, że samo dotknięcie zimnej rękojeści rewolweru obudziło w nim bezlitosną i krwawą pokusę; lecz w tym momencie czuł tylko silny ból głowy, w miejscu, w którym uderzył się o ścianę, a

poza tym rozdrażnienie-i głęboki wstręt do Lina. Ten klęczał dalej przy łóżku, lecz widząc, że Marcello cofa się o krok i mierzy do niego z rewolweru, nie wstając z klęczek rozłożył ramiona teatralnym gestem i krzyknął błazeńskim tonem: — Strzelaj, Marcello... zabij mnie... zabij mnie jak psa! — Marcellowi wydało się, że dopiero teraz naprawdę nienawidzi Lina za ten odpychający wyraz twarzy, który był mieszaniną zmysłowości i ascetyzmu, żądz i skruchy; z przerażeniem i jednocześnie z pełną świadomością, jak gdyby uważał za swój obowiązek spełnić żądanie Lina, nacisnął cyngiel. W pokoju rozległ się suchy trzask wystrzału; Lino upadł na bok, lecz zaraz próbował się podnieść, odwrócony do chłopca plecami, chwytając się rękami za krawędź łóżka. Podciągnął się bardzo powoli, opadł na łóżko i (zastygł w bezruchu. Marcello podszedł do niego, położył na łóżku rewolwer, zawołał cicho: — Lino! — po czym, nie czekając na odpowiedź, skierował się do drzwi. Ale drzwi były zamknięte na klucz; przypomniał sobie, że Lino schował klucz do kieszeni. Zawahał się i wzdrygnął na myśl, że musiałby przeszukać kieszenie zmarłego; rzucił okiem na okno i uświadomił sobie, że jest na parterze. Wyskakując oknem, szybko odwrócił głowę i obrzucił ukradkowym, lęklwym spojrzeniem skwer i stojący przed gankiem samochód: zdawał sobie sprawę, że gdyby ktoś

przechodził w tej chwili, zobaczyłby go zeskakującego z parapetu, ale nie miał wyboru. Nigdzie nie widać było żywego ducha, także okoliczne pola, nagie i górzyste, zdawały się opustoszałe, jak okiem sięgnąć. Oddalił się od okna, zabrał z samochodu książki i bez pośpiechu skierował się do hramy. Idąc, przez całą drogę widział we własnym sumieniu niby w lustrze swój obraz, chłopca w krótkich spodenkach, z książkami pod pachą, w alei wysadzonej cyprysami. Postać niezrozumiałą i złowróżbną.

część I

ROZDZIAŁ I

Trzymając kapelusz w jednej ręce, drugą zdejmując ciemne okulary i J chowając je do kieszeni marynarki, Marcello wszedł do przedsionka biblioteki i zapytał woźnego, gdzie można przejrzeć roczniki gazet. Potem zaczął powoli wstępować na schody; na najwyższym podeście okno lśniło ostrym, majowym blaskiem. Czuł się lekki, niemal pusty w środku, rozpierała go tężyzna zdrowia fizycznego i świeżej młodzieńczej siły; nowy garnitur, szary, prostego kroju, przydawał mu ponadto nie mniej miłego poczucia elegancji, poważnej i nieposzlakowanej, zgodnej z jego gustem. Na drugim piętrze jx> dopełnieniu wstępnych formalności wszedł do czytelni i zbliżył się do lady, za którą dyżurowali stary woźny i młoda panienka. Zaczekał na swoją kolej i podając formularz poprosił o rocznik najpoczytniejszej gazety z 1920 roku. Czekał cierpliwie, oparty o ladę, rozglądając się po czytelni. W głębi sali ciągnęły się ustawione rzędami stoliki, a na nich lampy z zielonymi abażurami. Marcello obserwował uważnie stoliki; siedziało przy nich niewiele osób, przeważnie studenci; wybrał już

sobie w myśli miejsce w ostatnim rzędzie, pierwsze z prawej strony. Panienska wróciła niosąc oburącz duży oprawny rocznik żadanego czasopisma. Marcello wziął rocznik i poszedł do stolika.

Położył go na pochyłym pulpicie i usiadł, starannie podciągając na kolanach nogawki spodni; po czym spokojnie otworzył rocznik i zaczął przerzucać kartki. Tytuły straciły dawny blask, ich czerń stała się niemal zielonkawa; papier żółkł; fotografie były wyblakłe, niewyraźne, pozacierane. Zauważył, że tytuły wydawały się tym bardziej nikłe i absurdalne, im były większe i dłuższe; wzmianki, które straciły wagę i znaczenie już w kilka godzin po ich wydrukowaniu, nie warte były pamięci i nie przemawiały do wyobraźni. Najbardziej absurdalne, jak stwierdził, były te tytuły, w których wiadomości opatrzone mniej lub bardziej tendencyjnym komentarzem: ich sugestywne napięcie w połączeniu z brakiem jakiegokolwiek oddźwięku przypominało krzyk wariata, ogłuszający, ale nie przemawiający do nikogo. Marcello porównywał wrażenie, jakie na nim robiły, z tym, jakiego spodziewał się doznać na widok wzmianki, której szukał, i zadawał sobie pytanie, czy ta wiadomość także wywoła w nim owo uczucie pustki i absurdu. A więc to jest przeszłość, pomyślał przewracając w dalszym ciągu kartki, ten nieimy już hałas, ta wygaszona pasja; sam materiał, teai pożółkły papier,

który pokruszy się niedługo i rozpadnie w proch, wydawał się wulgarny, budził uśmiech politowania. Przeszłość składa się z gwałtów, błędów, oszustw, błażostek, kłamstw, pomyślał jeszcze czytając jedną po drugiej wiadomości na stronicach rocznika, a to są te jedyne rzeczy, które ludzie, dzień za dniem, uważali za godne wydrukowania i które miały ich upamiętnić potomności. Życie normalne, głębsze jego treści pominięto na tych kartkach; a zresztą on sam, robiąc te obserwacje, czego tam szukał, jeśli nie sprawozdania z morderstwa?

Nie śpieszył się z odnalezieniem dotyczącej go wiadomości, chociaż pamiętał dokładnie datę i mógł ją od razu odszukać. Oto dwudziesty drugi, dwudziesty trzeci, dwudziesty czwarty październik tysiąc dziewięćset dwudziestego roku: z każdą przerzuconą kartką zbliżał się coraz bardziej do wydarzenia, które uważał za najważniejsze w swoim życiu; lecz w prasie nic go nie zapowiadało z góry, nic do niego nie przygotowywało. Wśród wszystkich wiadomości, które ami grzały, ami ziębiły, ta jedna, która go obchodziła, miała się ukazać nagle, niespodziewanie, tak jak wyskakuje z głębin na powierzchnię morza ryba miotająca się na wędce. Próbował obrócić to w żart rmyśląc: "Zamiast tych wielkich tytułów nad artykułami politycznymi powinni byli wydrukować: Marcello spotyka po raz pierwszy Lina, Marcello żąda od niego

rewolweru, Marcello godzi się wsiąść do samochodu". Nagle opuściła go ochota do żartów, ogarnął go taki niepokój wewnętrzny, że zabrakło mu tchu: doszedł do daty, której szukał. Szybko przerzucił stronę i w kronice wypadków, jak oczekiwał, znalazł na jednej kolumnie tytuł: "Śmiertelny wypadek".

Zanim przeczytał, rozejrzał się dokoła, jak gdyby zdjęty lękiem, że go obserwują. Potem spuścił oczy na gazetę. Wiadomość brzmiała następująco: "Wczoraj szofer Pas- auale Seminara, zamieszkały przy ulicy Camilluccia, pod numerem trzydziestym trzecim, czyszcząc rewolwer postrzelił się przez nieuwagę. Po udzieleniu mu pierwszej pomocy przewieziono go do szpitala Santo Spirito, gdzie lekarze orzekli, iż kula trafiła go w okolicę serca, i uznali jego stan za beznadziejny. Istotnie wszelkie środki ratunku zawiodły i Seminara zmarł tego wieczora".

Ta notatka nie mogła być bardziej zwięzła i konwencjonalna" — pomyślał odczytując ją powtórnie. A jednak pomimo bezosobowego stylu utartych formułek dziennikarskich zawierała dwie ważne wiadomości. Po pierwsze, że Lino umarł naprawdę, o czym Marcello zawsze był przekonany, ale czego nigdy nie miał odwagi sprawdzić, po drugie, że ową śpiercz złożono na karb wypadku, zapewne w związku z tym, co zeznał zmarły przed śmiercią. Tak więc

Marcello uniknął wszelkiej odpowiedzialności: Lino umarł i nikt nigdy nie będzie mógł go o tę śmierć oskarżyć. Lecz nie w tym celu, żeby się o tym upewnić, przyszedł do biblioteki szukać wiadomości o wydarzeniu z dawnych lat. Niepokój, którego nigdy nie mógł naprawdę uspić przez wszystkie te lata, nie dotyczył ewentualnych konsekwencji jego czynu. Przeształ tego dnia próg biblioteki po to, żeby się przekonać, jakie wrażenie zrobi na nim potwierdzenie śmierci Lina. Myślał, że w ten sposób dowie się, czy pozostał tym chłopcem, przytłoczonym kompleksem własnej anormalności, którym był niegdyś, czy też stał się mężczyzną już dojrzałym, najzupełniej normalnym, jakim chciał być zawsze i jakim był w swoim przekonaniu.

Poczuł dziwną ulgę, a może raczej zdziwienie niż ulgę, uświadamiając sobie, że ta wiadomość drukowana na papierze, który zdążył już pożółknąć przez siedemnaście lat, nie wywołała w nim właściwie żadnego echa. Przyszło mu na myśl, że mógłby się porównać z kimś, kto przez długi czas nosi bandaż na głębokiej ranie i decydując się wreszcie zdjąć opatrunek, widzi ku swemu zdumieniu, że tam, gdzie spodziewał się zobaczyć co najmniej bliznę, skóra jest nietknięta, gładka, nie oszpecona najmniejszym nawet śladem. Pomyślał jeszcze, że odszukanie wiadomości było jak zdjęcie bandaża; a stwierdzona obojętność stanowi oznakę

zdrowia. Nie umiałby powiedzieć, jak nastąpiło wyleczenie. Na pewno jednak nie było wyłącznie dziełem czasu.' Wiele zawdzięczał też sobie, swoim wysiłkom woli, bo w ciągu tych lat robił wszystko, żeby przewyciężyć anormalne objawy i być takim jak inni ludzie. A jednak, nie uwolniony jeszcze od wątpliwości, oderwał oczy od gazety, zapatrzył się przed siebie i postanowił przemyśleć śmierć Lina, czego zawsze dotąd instynktownie unikał. Notatka w gazecie była napisana stylem kroniki wypadków, i to również mogło być przyczyną obojętności i apatii; lecz samo wspomnienie musiało pozostać żywe, a więc zdolne obudzić dawne lęki, jeśli drzemały w nim jeszcze. Tak więc posłusznie, kierując się pamięcią, która niczym przewodnik bezstronny i bezlitosny prowadziła go w przeszłość, odtworzył swoje chłopięce dzieje: pierwsze spotkanie z Linem; wizytę w willi, drugie spotkanie z Linem; napady obłędu homoseksualisty, jego błaizeński krzyk, na klęczkach, z raz krzyżowanymi ramionami. "Zabij mnie, Marcello... zabij jak psa", strzał oddany niemal bezwiednie, jak gdyby dla spełnienia prośby, upadek Lina, wysiłek, z jakim próbował się dźwignąć na łóżko, ciało zastygłe w pozycji leżącej na boku. Rozpamiętując Jtolej- no te wszystkie szczegóły, uświadomił sobie od razu, że jego obojętny stosunek do przeczytanej w gazecie notatki utwierdza

się jeszcze i pogłębia. Istotnie, nie tylko sumienie nic mu nie wyrzucało, ale nie czuł nawet odrobiny współczucia, żalu czy odrazy do Lina, słowem, wygasło w nim wszystko, co przez lata zdawało się niedłaczne od tego wspomnienia. Cieszyła go ta obojętność świadcząca wymownie, że między chłopcem z dawnych lat a mężczyzną, jakim był dzisiaj, nie istniał już związek nawet utajony, -nawet pośredni, nawet drzemiący w podświadomości. Stał się naprawdę inny — stwierdził zamykając powoli rocznik i wstając od stolika; tak, chociaż jego pamięć potrafiła mechanicznie odtworzyć to, co zaszło w owym dalekim październiku, cała jego istota już o tym zapomniała.

Bez pośpiechu podszedł do lady i oddał tórn bibliotekarce. Po czym, zachowując postawę powściągliwą i zarazem pełną energii, jaka odpowiadała mu najbardziej, wyszedł z czytelni i schodząc ze schodów skierował się do przedsionka. Naprawdę — nie mógł powstrzymać się od myśli, gdy wyszedł z gmachu biblioteki i znalazł się na zalanej światłem ulicy — naprawdę wydrukowana wiadomość i potem wspomnienie śmierci Lina nie wywołały w nim żadnego echa. A jednak nie był tak podniesiony na duchu, jak mu się z początku wydawało. Przypomniał sobie wrażenie, jakiego doznał przerzucając stronicę starej gazety: jak gdyby zdjął bandaż z rany i zobaczył z wielkim zdumieniem, że jest idealnie zagojona, ale

teraz powiedział sobie, że kto wie, czy pod gładkim naskórkiem nie tkwi jeszcze dawny jad w postaci zasklepionego i niewidocznego wrzodu. Utwierdziła go w tym przekonaniu nie tylko ta przelotna ulga, której doznał przez moment uświadamiając sobie, że śmierć Lina jest mu obojętna, ale również lekka, ponura melancholia przesłaniająca mu rzeczywistość niczym przejrzysty żałobny welon. Jak gdyby wspomnienie historii z Linem, chociaż zanikające pod wpływem potężnego odczynnika czasu, rzucało nadal cień na wszystkie jego myśli i uczucia.

Idąc powoli po zatłoczonych i pełnych słońca ulicach zastanawiał się, jaki był przed siedemnastu laty i jaki jest teraz, aby ściśle określić tę różnicę. Pamiętał, że jako trzynastoletni chłopiec był kapryśny, gwałtowny, porywczy: natomiast teraz, w trzydziestym roku życia, nie był nieśmiały, przeciwnie, wyjątkowo pewny siebie, męski w upodobaniach i w zachowaniu, spokojny, systematyczny aż do pedanterii, niemal pozbawiony wyobraźni, opanowany, chłodny. Wydało mu się, że dobrze pamięta swoją dawną bujną, burzliwą i tajemniczą naturę. Teraz natomiast wszystko w nim było proste, choć może trochę przygaszone, a ubóstwo myśli, sztywność przekonań, wąski krąg zainteresowań zastąpiły dawną chaotyczną i bujną obfitość. Wreszcie jako chłopiec skłonny był do zwierzeń i wylewny często aż do przesady. Teraz był skryty, tak zrównoważony, że

jego brak zapału wywierał wrażenie smutku, milczący. Lecz najbardziej znamienne rysem radykalnej odmiany w ciągu tych siedemnastu lat był jak gdyby zanik pasji życia, objawiającej się wrzeniem instynktów niezwykłych, a może nawet anormalnych; obecnie, jak się zdawało, zajęła jej miejsce szara i układna normalność. Pomyślał jeszcze, że tylko dzięki przypadkowi nie uległ żądom Lina; i na pewno jego rachowanie wobec szofera, pełne kokieterii i kobiecego despotyzmu, wypływało nie tylko z dziecinnej chciwości, ale również z podświadomych i podejrzanych skłonności zmy- - słów. Teraz jednak był naprawdę takim mężczyzną, jak wszyscy inni. Przechodząc przed lustrem sklepowym, długo się sobie przyglądał obiektywnym spojrzeniem, nie lubując się swoim odbiciem: tak, był takim samym mężczyzną, jak wielu innych, w swoim szarym garniturze, w dyskretnym krawacie, w ciemnych okularach, ze swoją roslą i proporcjonalną budową, ze smagłą, owalną twarzą, z gładko przyczesanymi włosami. Przypomniał sobie, jak na uniwersytecie zrobił nagle radosne odkrycie, że około tysiąca młodych ludzi, jego rówieśników, mówi, myśli i zachowuje się tak samo jak on. Teraz zapewne można by pomnożyć tę liczbę przez milion. Jest nor- k malnym mężczyzną, pomyślał z cierpką i pogardliwą satysfakcją, normalnym bez wątpienia, chociaż sam nie umiałby powiedzieć, jak się to stało.

Przypomniał sobie nagle, że nie ma już papierosów, i wszedł do trafiki w galerii na placu Colonna. Podeszedł do lady i poprosił o swój ulubiony gatunek: w tej samej chwili trzy inne osoby zażądały tych samych papierosów i sprzedawca szybko rozrzucił na marmurowym blacie lady, przed czterema rękami trzymającymi pieniądze, cztery identyczne paczki, po które cztery ręce sięgnęły identycznym ruchem. Marcello zauważył, że chwycił paczkę, wymacał, czy dostatecznie ugina się w dotyku, i wreszcie przedarł opakowanie w taki sam sposób, jak tamci trzej. Zauważył również, że dwaj mężczyźni z tej trójki schowali paczkę, jak i on, do wewnętrznej kieszeni marynarki. I w końcu, że jeden z trzech zaraz za progiem trafiki zatrzymał się i zapalił papierosa srebrną zapalniczką, bardzo podobną do jego zapalniczki. Te obserwacje sprawiały mu niemal rozkosz. Tak, był taki sam jak inni, taki sam jak wszyscy. Jak ci, którzy kupowali papierosy tej samej marki i sięgali po nie takim samym ruchem; a także jak ci, którzy, podobnie jak on, przechodząc obok wyzywająco ubranej kobiety oglądali się, by zerknąć na jej podrygujące pod cienkim materiałem sukni pośladki. W tym jednak wypadku podobieństwo raczej wypływało z jego chęci naśladowania innych niż z analogicznych inklinacji.

Niski i ułomny gazetciarz wyszedł naprzeciw niego z plikiem gazet pod pachą, powiewając jednym egzemplarzem i krzycząc głośno, zaczerwieniony z wysiłku, jakieś niezrozumiałe zdanie, z którego można było wyłowić dwa słowa: "Zwycięstwo" i "Hiszpania". Marcello kupił gazetę i uważnie przeczytał tytuł, który zajmował całą szerokość pierwszej strony. W Hiszpanii oddziały generała Franco znowu odniosły zwycięstwo. Uświadomił sobie, że czyta tę wiadomość ze szczerym zadowoleniem, które, jak pomyślał, stamowi nowy dowód jego normalności. Dowiedział się o wybuchu tej wogny z pierwszego obłudnego nagłówka: "Co się dzieje w Hiszpanii?" Potem ta wojna rozszerzyła się, wyolbrzymiła, stała się w równym stopniu walką oręża, co walką idei; a on w miarę jej przebiegu zdawał sobie coraz wyraźniej sprawę, że uczestniczy w niej ze szczególnym uczuciem, nie mającym nic wspólnego z jakimikolwiek pojęciami moralnymi i politycznymi (choć często się nad tymi pojęciami zastanawiał), tak mniej więcej jak zapalony kibic sportowy, który w meczu piłkarskim sprzyja swojej drużynie. Od początku pragnął zwycięstwa generała Franco, bez zacietrzewienia, ale niezłomie i głęboko, jak gdyby to zwycięstwo miało potwierdzić słuszność jego upodobań i poglądów dotyczących nie tylko polityki, ale wszystkich innych dziedzin. A może życzył

sobie i przedtem, i teraz zwycięstwa generała Franco przez umiłowanie symetrii: jak ktoś, kto urządzając swoje mieszkanie dba o to, żeby wszystkie meble były w jednym stylu. Zdawało mu się, że dostrzega tę symetrię w wydarzeniach ostatnich lat, występujących stopniowo z coraz to większą jasnością i nabierających coraz większego znaczenia: ustalenie faszyzmu we Włoszech, potem w Niemczech, potem wojna Etiopii, potem w Hiszpanii. Ta progresja podobała mu się, nie wiedział dlaczego, może dlatego, że łatwo było się w niej dopatrzeć nadludzkiej logiki, i to spostrzeżenie dawało poczucie bezpieczeństwa i potęgi. Z drugiej strony, jak pomyślał składając gazetę i chowając ją do kieszeni, /nie mógł powiedzieć, żeby przekonały go o słuszności sprawy Franco argumenty polityczne albo propagandowe. To przekonanie powstało w nim samorzutnie, tak jak kształtują się zapewne przekonania prostych ludzi ;z gminu; przyszło, jak się to mówi, z powietrza. Był zwolennikiem generała* Franco, tak samo jak rzesze innych ludzi, szarych^ przeciętnych, którzy o Hiszpanii wiedzieli bardzo mało albo zgoła nic, którzy czytali w gazetach tylko nagłówki, którzy nie mieli żadnego wykształcenia. Słowem, przez sympatię, ale nie przemyślaną, nie umotywowaną, irracjonalną. I tylko w przenośni, można było powiedzieć, że sympatia ta unosiła się w powietrzu; w powietrze ulatują

pyłki kwiatów, %dymy z kominów, kurz, światło, nie idee. Tak więc ta sympatia pochodziła z głębszych źródeł i dowodziła raz jeszcze, że zmiany, które w nim zaszły, nie były powierzchowne i że nie przyswajał sobie pochopnie ogólnie przyjętych kryteriów i poglądów: odczuwał instynktowną, niemal fizjologiczną potrzebę tej wiary, którą podzielał z milionami innych ludzi. Robił to samo co społeczeństwo i naród, w którym żył, nie był jednostką anormalną, samotnikiem, wariatem, był jednym z nich, bratem, obywatelem, towarzyszem; po obawach, że zabójstwo Lina może go raz na zawsze odciąć od ogółu ludzi, było to nadzwyczaj pocieszające.

A zresztą, pomyślał jeszcze, Franco czy inny, mniejsza z tym, byle tylko istniała ta spójnia, ten most, ten znak łączności i wspólnoty. W tym przypadku nie był to nikt inny, lecz Franco, a ten fakt świadczył, że uczuciowy udział Marcella w hiszpańskiej wojnie był symbolem nie tylko spójni i braterstwa duchowego, ale poglądem zgodnym z prawdą i słusznym. Czym bowiem mogła być prawda, jeśli nie tym, co jest oczywiste dla wszystkich, w co wszyscy wierzą i co wszyscy uważają za bezsporne? Tak więc łańcuch był nieprzerwany, z mocno spojonymi ogniwami: od jego sympatii, wcześniejszej od wszelkiego rozumowania, do świadomości, że sympatię tę podzielają miliony innych ludzi w taki

sam sposób; od tej świadomości do przekonania o słuszności swoich poglądów; od przekonania o słuszności własnych poglądów do czynu. Ponieważ, jak pomyślał jeszcze, posiadanie prawdy nie tylko pozwala działać, ale wzywa do czynu. Trzeba dowieść sobie samemu i innym swojej (normalności, która nie byłaby normalnością, gdyby nie wymagała nieustannego pogłębiania, objawiania, potwierdzania.

Doszedł już na miejsce. Brama ministerstwa znajdowała się po przeciwnej stronie ulicy, za podwójną kolumną jadących samochodów i autobusów. Przeczekał chwilę, po czym podążył za dużym czarnym samochodem, który wjeżdżał właśnie do bramy. Wszedł za nim, podał woźnemu nazwisko urzędnika, z którym chciał mówić, i usiadł w poczekalni, prawie zadowolony, że czeka tak samo jak inni, razem z innymi. Nie śpieszyło mu się, nie odczuwał zniecierpliwienia ani rozdrażnienia z powodu porządku i etykiety, obowiązujących w ministerstwie. Co więcej, przypadły mu one do smaku jako symbol szerszej i ogólniej pojętych porządku i etykiety i • skwapliwie się im poddawał. Był bardzo spokojny, obojętny, a nawet, co zresztą także nie było dla niego nowością, trochę smutny. Tym tajemniczym smutkiem, który uważał już za nieodłączną część swojego charakteru. Zawsze cechował go smutek, a raczej brak wesołości, jak niektóre jeziora u podnóża wyso

kiej góry, która przegląda się w ich wodach zasłaniając światło słoneczne, pogrążając je w czerni i melancholii. Oczywiście, gdyby odsunąć górę, wody uśmiechnęłyby się w słońcu, lecz góra stoi zawsze i jezioro jest smutne. On był smutny jak owe jeziora; lecz czym była góra, tego nie umiałby powiedzieć.

Poczekalnie, pokoik przylegający do portierni gmachu, wypełniali dziwaczni ludzie: nie takich interesantów spodziewał się zastać w przedsionku tego ministerstwa słynącego z elegancji i światowych obyczajów swoich urzędników. Trzej osobnicy o powierzchowności drapieżnej i ponurej, może tajni agenci, palili papierosy i rozmawiali półgłosem. Obok młoda kobieta o czarnych włosach, uszmkowanej, . biało-czerwonej twarzy, wyzywająco ubrana, wyglądała na prostytutkę najniższego rzędu. Potem staruszek, ubrany na czarno, schludnie, ale biednie, z siwymi wąsami i brodą, może nauczyciel. Potem chuda niewiasta o szpakowatych włosach, wyraźnie zdenerwowana i stroskana, może matka rodziny. Wreszcie on.

Obserwował ukradkiem tych wszystkich ludzi z uczuciem niepohamowanej odrazy. Zdarzało mu się to zawsze: uważał się za normalnego, podobnego do wszystkich innych, dopóki widział tłum w abstrakcji, jako olbrzymią armię zjednoczoną wspólnymi uczuciami, wspólnymi ideami, wspólnymi celami, i cieszył się, że stanowi jej czę-

stkę. Ale gdy od tego tłumu odrywali się poszczególni ludzie, tak różnili się od niego, że złudzenie podobieństwa rozbijało się o ten kontrast, nie poznawał już w nich siebie i odczuwał zarazem wstręt i obcość. Cóż on miał wspólnego z tymi ponurymi, pospolitymi osobnikami, z tą uliczną dziewczyną, z tym siwowłosym starcem, z tą skłopotaną i zaniedbaną matką? Nic, prócz tego obrzydzenia i tej litości. "Clerici" — dał się słyszeć głos woźnego. Wzdrygnął się i wstał. "Pierwsze drzwi na prawo". Nie oglądając się za siebie, poszedł we wskazanym kierunku.

Wszedł na bardzo szerokie schody wysłane czerwonym chodnikiem i o piętro wyżej stanął na pódęście, gdzie znajdowało się troje dużych, dwuskrzydłowych drzwi. Skierował się do środkowych, otworzył je i znalazł się w pogrążonej w mroku sali. Stał tam długi masywny stół, a pośrodku stołu globus. Marcello pokręcił się przez chwilę po tej sali, najwidoczniej rzadko używanej, na co wskazywały zamknięte w oknach żaluzje i pokrowce na rozstawionych pod ścianami kanapach; potem otworzył jedno z wielu drzwi i wyjrzał na ciemny, wąski korytarz, zastawiony oszklonymi szafami. W głębi korytarza zza uchylonych drzwi wydobywała się smuga światła. Podeszedł bliżej, zawahał się, po czym pchnął lekko drzwi. Nie wiedła go tam ciekawość, po prostu szukał woźnego, który

mógłby mu wskazać drogę. Zszedł przez szparę i przekonał się, że rzeczywiście zablądził. Miał przed sobą długi i wąski pokój z oknem zasłoniętym żółtą ^ firanką, dyskretnie przyćmiewającą blask. Pod oknem stał stół, a za stołem, plecami do okna, siedział młody mężczyzna o charakterystycznej dla ludzi tegich, jędrnej i szerokiej twarzy. Naprzeciw stołu, odwrócona tyłem do Marcella, stała kobieta w lekkiej sukni w czarne kwiaty na białym tle i w czarnym kapeluszu z woalką, ozdobionym koronkami. Była bardzo wysoka i bardzo szczupła w talii, ale szeroka w ramionach i w biodrach, nogi miała długie i smukłe w kostkach. Pochylona nad stołem, mówiła coś po cichu do mężczyzny, który słuchał zwrócony profilem, bez ruchu, i patrzył nie na nią, lecz na swoją dłoń, bawiącą się machinalnie ołówkiem na blacie stołu. Potem pani zbliżyła się do poręczy fotela, na którym siedział mężczyzna, i zwrócona twarzą do okna, oparta biodrami o stół, przybrała bardziej poufałą pozę; ale czarny, nasunięty na oko kapelusz nie pozwolił Mar- cellowi dostrzec jej twarzy. Po chwili wahania pochyliła się niezręcznie, takim ruchem, jakim zwykle człowiek spragniony schyla się nad fontanną, i zgięta w pół, z uniesioną jedną nogą, dotknęła ustami ust mężczyzny; ten pozwolił się pocałować, nie poruszony, żadnym znakiem nie zdradzając, czy ten pocałunek sprawił mu przy-

jemność. Ona, przegnięta w bok, zakrywając szerokim rondem kapelusza zarówno swoją, jak jego twarz, zachwiała się i byłaby straciła równowagę, gdyby mężczyzna nie podtrzymał jej, obejmując ramieniem w pół. Stała teraz zasłaniając sobą siedzącego mężczyznę, może głaskała go po głowie. Ramię mężczyzny w dalszym ciągu opasywało jej talię, potem rozluźniło uścisk i wtedy tłusta, szeroka dłoń opadła, jakby pociągnięta własnym ciężarem, ześliznęła się na pośladek kobiety i pozostała na nim z rozcapierzonymi grubymi palcami, podobna do kraba lub do pająka uczepionego śliskiej, kulistej powierzchni, na której trudno mu się utrzymać. Marcello przymknął drzwi.

Wrócił przez korytarz do sali z globusem. Scena, którą zobaczył, potwierdzała sławę obyczajów ministra, bo siedzący w pokoju mężczyzna był właśnie ministrem i Marcello poznał go od razu; ale, rzecz dziwna, moralizatorskie skłonności Marcella nie sięgały w głąb jego przekonań. Ten minister, światowiec i kobieciarz, nie budził w nim sympatii, przeciwnie, napawał go odrazą, a wybryki erotyczne w biurze wydawały mu się wręcz nieprzyzwoite. Lecz nie naruszało to w najmniejszym stopniu jego poglądów politycznych. Podobnie reagował, kiedy osoby godne zaufania mówiły mu, że niektórzy ludzie na świeczniku kradną albo nie mają odpowiednich kwali

fikacji, albo posługują się wpływami politycznymi dla osobistych celów. Przyjmował te wiadomości niemal obojętnie, jak gdyby nie mogły go już dotyczyć, skoro dokonał raz na zawsze wyboru i nie zamierzał nic zmieniać. Rozumiał poza tym, że takie historie nie dziwią go, ponieważ w pewnym sensie już bardzo dawno zdążył się z nimi oswoić, poznając przedwcześnie mniej przyjemne strony ludzkiej natury. Przede wszystkim jednak uważał, że nie ma żadnego związku między wiernością ustrojowi a surowymi zasadami moralnymi, wedle których chciał kształtować własne postępowanie: przyczyny wierności miały o wiele głębsze źródło od wszelkich kryteriów moralnych i nie mogła ich zachwiać ani ręka, poklepująca kobiece biodro w urzędzie państwowym, ani kradzież, ani żadne inne przestępstwo czy błąd. Ale jakie to były źródła, tego nie umiałby dokładnie powiedzieć: odcinała je od jego świadomości szara i matowa otoczka upartej melancholii.

Nieprzenikniony, spokojny, cierpliwy, podszedł do innych drzwi sali i za nimi zobaczył ten sam korytarz; cofnął się, otworzył trzecie drzwi i znalazł w końcu poczekalnię, której poszukiwał. Ludzie siedzieli na kanapkach pod ścianami, wygalonowani woźni stali przy drzwiach. Jednemu z tych woźnych powiedział cicho nazwisko urzędnika, z którym chciał się zobaczyć, a potem usiadł na kanapie. Żeby skrócić sobie cze

kanie, znowu rozłożył gazetę. Wiadomość o zwycięstwie w Hiszpanii zajmowała całą szerokość strony tytułowej, a ta przesada w wątpliwym guście napełniła go niesmakiem. Przeczytał jeszcze raz wydrukowany grubą czcionką tryumfalny nagłówek i przeszedł do długich komunikatów drukowanych kursywą, szybko jednak zaniechał tej lektury, bo drażnił go zmanierowany, fałszywie żołnierski styl specjalnego wysłannika. Zastanawiał się przez chwilę, jak on by napisał ten artykuł; i nie bez zdziwienia stwierdził, że gdyby to zależało od niego, nie tylko depesza z Hiszpanii, ale wszystkie komentarze polityczne, od mniej ważnych do najważniejszych, brzmiałyby zupełnie inaczej. Pomyślał, że w rzeczywistości niemal wszystko raziło go w tym ustroju; a jednak to była jego droga i musiał jej pozostać wierny. Znowu otworzył gazetę i przejrzał kilka innych wiadomości, unikając starannie artykułów patriotycznych i propagandowych. W końcu podniósł oczy znad gazety i rozejrzał się dokoła.

W salonie pozostał już tylko jeden starszy pan, siwy, z kulistą głową, o czerstwej twarzy, na której malowała się bezczelność, zachłanność i chytrość. Ubrany w jasną, sportową marynarkę młodzieżowego kroju z kontrafałdą na plecach, w grubych półbutach na gumie, w jaskrawym krawacie, zachowywał się w ministerstwie jak u siebie w domu, spacerując tam i z powrotem

po salonie i bezceremonialnie, z żartobliwą niecierpliwością nagabywał uniżonych woźnych rozstawionych przed drzwiami. Potem jedne drzwi otworzyły się i wyszedł z nich mężczyzna w średnim wieku, łysy, chudy, ale z wystającym brzuchem, o zapadniętej żółtej twarzy, której ostre rysy wyrażały bystrą inteligencję, sceptycyzm i dowcip; oczy jego ginęły za dużymi ciemnymi okularami. Starszy pan podbiegł do niego z okrzykiem filuternego protestu, tamten przywitał się z szacunkiem, a potem starszy pan ujął poufale mężczyznę o żółtej twarzy nie za ramię, ale w pasie, jak kobietę, i idąc z nim razem przez salon zaczął rozmowę szeptem, zaabsorbowany i nadskakujący. Marcello śledził z obojętnością tę scenę; po czym, ni stąd, ni zowąd, zdał sobie nagle sprawę, że sam nie wie czemu, ale zije nienawiścią do tego starucha. Dla Marcella nie było. to niespodzianką, że w każdej chwili i z najrozmaitszych powodów z jego zaskorupiałej, zwykłej apatii — niczym potwór na spokojną powierzchnię morza — może się wyłonić nagle poryw nienawiści; a jednak zawsze był tym tak zaskoczony, jak gdyby odkrył w sobie coś zupełnie nowego i nieznanego, co stanowiło przeciwieństwo dobrze mu znajomych i wypróbowanych cech jego charakteru. Czuł na przykład, że byłoby dla niego fraszką zabić albo kazać zabić tego starego; a nawet że pragnie go zabić. Dlaczego? Może dlatego — pomyślał —

że sceptycyzm, którego nienawidził ponad wszystko, malował się tak wyraźnie na tej i czerwonej twarzy. A może dlatego, że marynarka była przecięta z tyłu i ten stary, trzymając rękę w kieszeni, unosił jedną jej połę, odsłaniając tylną część spodni, zbyt luźną i obwisłą, wskutek czego przypominał stojący na wystawie u krawca manekin. Tak czy inaczej, czuł do niego nienawiść, i w dodatku tak niepohamowaną, że wołał spuścić z powrotem oczy na gazetę. Gdy podniósł je po dłuższej chwili, nie zobaczył już ani starego, ani jego towarzysza; salon był pusty.

Wkrótce potem jeden z woźnych zbliżył się do niego oznajmiając półgłosem, że może już wejść; Marcello wstał i podążył za nim. Woźny otworzył jedno z wielu drzwi i wpuścił go. Marcello znalazł się w obszernym pokoju, którego sufit i ściany pokryte były freskami; w głębi stał zavalony papierami stół. Za stołem siedział mężczyzna o żółtej twarzy, którego widział przedtem w salonie, a z boku inny mężczyzna, dobry znajomy Marcella: jego bezpośredni szef z Tajnego Wywiadu. Na widok Marcella urzędnik o żółtawej cerze, jeden z sekretarzy ministra, wstał; natomiast ten drugi nie wstając powitał Marcella skinieniem głowy. Był to stary, chudy człowiek o purpurowej, jakby z drewna wystruganej twarzy; miał postawę wojskowego, a jego bardzo czarne i nastroszone wąsy łudząco przy-

nominały zarost przyprawiany do masek karnawałowych; Marcello- pomyślał, że stanowi on przeciwieństwo sekretarza. Wiedział zresztą, że jest to człowiek pełen poświęcenia, bezkompromisowy, uczciwy, który przywykł ślepo służyć sprawie i przekładał to, co uważał za swój obowiązek, ponad wszystko, nawet ponad własne sumienie; sekretarz natomiast, o ile pamiętał, był ty[^] pem nowocześniejszym i ulepionym z innej gliny: ambitny, sceptyczny, światowy, miał zamiłowanie do intryg posunięte aż do okrucieństwa, przekraczające granice obowiązków zawodowych i sumienia. Oczywiście cała sympatia Marcella skupiała się na star-
ram szefie; między innymi dlatego, że zdawało mu się, iż dostrzega na tej czerwonej i wyniszczonej twarzy nieokreśloną melancholię, która gnębiła tak często jego samego. Być może, podobnie jak on, pułkownik Baudino dostrzegał sprzeczność między tym poświęceniem, niemal magicznym, które nie miało w sobie nic wyrozumowanego, a obliczem codziennej rzeczywistości, często godnym ubolewania. A może, pomyślał jeszcze patrząc na starego pułkownika, było to tylko złudzenie; może, jak się często zdarza, przypisywał szefowi swoje własne uczucia przez sympatię, niemal w nadziei, że nie jest wyjątkiem.

Pułkownik powiedział sucho, nie patrząc ani na Marcella, ani na sekretarza:

— To jest doktor Clerici, o którym wam

mówiłem w swoim czasie — i sekretarz ze skwapliwością ceremonialną i prawie ironiczną, przechylając się przez stół, podał mu rękę i poprosił, żeby usiadł. Marcello usiadł, usiadł także sekretarz, i sięgnął po paczkę papierosów, częstując najpierw pułkownika, który odmówił, a potem Marcella, który wziął papierosa. Sekretarz zapalił także, po czym powiedział:

— Bardzo mi miło was poznać, Clerici... Pułkownik nie przestaje śpiewać hymnów pochwalnych na waszą cześć... wygląda na to, że jesteście, jak się to mówi, asem... — Zwrot "jak się to mówi" podkreślił uśmiechem i ciągnął dalej: — Przystudiowaliśmy razem z ministrem wasz plan i uznaliśmy go za znakomity... Znacie dobrze Quadriego?

— Tak — rzekł Marcello — był moim profesorem na uniwersytecie.

— I jesteście pewni, że Quadri nie jest poinformowany o charakterze waszej pracy?

— Przypuszczam, że nie.

— Ten wasz pomysł, żeby symulując nawrócenie polityczne zaskarbić sobie zaufanie i wejść do ich organizacji, a nawet otrzymać od nich zlecenie i rozwinąć działalność na terenie Włoch — mówił sekretarz spuszczać oczy na stół, na notatkę, którą miał przed sobą — jest dobry... Minister także jest zdania, że bezzwłocznie należy przedsięwziąć tego rodzaju próbę... Kiedy moglibyście wyjechać, Clerici?

— Kiedy będzie potrzeba.

— Bardzo dobrze — odrzekł sekretkrz, był jednak trochę zdziwiony, jak gdyby spodziewał się innej odpowiedzi — doskonale... Jednakże pewien punkt wymaga wyjaśnienia. Podejmujecie się misji, określmy to w ten sposób, raczej delikatnej i niebezpiecznej... Mówiliśmy tu o tym z pułkownikiem, że musicie, aby się za bardzo nie rzucać w oczy, wynaleźć, wyszukać, wymyślić jakiś wiarogodny pretekst waszego pobytu w Paryżu... Nie twierdę bynajmniej, że oni wiedzą, kim jesteście, ani że mogą to wytropić... ale ostrożność nigdy nie zawadzi... zwłaszcza że Quadri, jak stwierdzacie w waszym raporcie, wiedział w swoim czasie o waszej lojalności w stosunku do ustroju.

— Gdyby tego nie było, nie byłoby także nawrócenia — powiedział sucho Marcello.

— Słusznie, zupełnie słusznie... ale nie jedźcie się do Paryża tylko po to, żeby stawić się przed obliczem Quadriego i powiedzieć mu: oto jestem... On musi myśleć, że przyjechaliście do Paryża w sprawach prywatnych, a nie politycznych... i korzystacie z tej okazji, aby mu się zwierzyć, że dokonał się w was przełom... Trzeba — oświadczył na zakończenie sekretarz spoglądając na Marcella — połączyć ten wyjazd z jakąś waszą sprawą osobistą, nie oficjalną. — Tu zwrócił się do pułkownika i dorzucił: — Jak się na to zapatrujecie, pułkowniku?

— Jestem tego samego zdania — odrzekł

pułkownik nie podnosząc oczu. I dodał po chwili: — Ale taki pretekst może znaleźć tylko sam doktor Clerici.

Marcello pochylił głowę nie myśląc o niczym. Uznał, że na razie nie ma nic do powiedzenia, bo wyszukanie tego rodzaju pretekstu wymaga namysłu. Chciał odpowiedzieć: “Dajcie mi parę dni czasu do namysłu” — gdy nagle wyrwało mu się bezwiednie:

— Żenię się za tydzień... można połączyć moją misję z podróżą poślubną.

Tym razem zdumienie sekretarza było bezgraniczne, chociaż starał się je pokryć wybuchem entuzjazmu. Pułkownik natomiast nadal pozostał niewzruszony, jak gdyby Marcello nic w ogóle nie powiedział.

— Dobrze, doskonale! — zawołał sekretarz skonsternowany — żeni się pan... nie można by doprawdy znaleźć lepszego pretekstu... Klasyczna podróż poślubna do Paryża.

— Tak — odrzekł Marcello bez uśmiechu — klasyczna podróż poślubna do Paryża.

Sekretarz zląkł się, że go obraził:

— Miałem na myśli, że Paryż to najodpowiedniejsze miejsce na podróż poślubną... nie jestem, niestety, żonaty... ale gdybym miał zamiar wstąpić w związki małżeńskie, to sądzę, że ja także wybrałbym się do Paryża.

Tym razem Marcello nie odezwał się ani słowem. Często zdarzało mu się odpowiadać

P ten sposób ludziom, do których czuł awersję: kompletnym milczeniem. Sekretarz, chcąc zamaskować zmieszanie, Zagadnął pułkownika:

— Mielicie rację, pułkowniku...¹ tylko doktor Clerici mógł znaleźć tego rodzaju pretekst; my, gdybyśmy nawet na to wpadli, nie (moglibyśmy mu go proponować.

To zdanie, wypowiedziane dwuznacznym i na wpół żartobliwym tonem, było, jak pomyślał Marcello, obosieczne: rzeczywiście mogło być pochwałą, choć nieco uszczypliwą, w rodzaju: "do diabła, co za fanatyzm", ale równie dobrze mogło być też wyrazem nieoczekiwanej pogardy: "co za służalczość... nie umie uszanować nawet własnego ślubu." Prawdopodobnie — pomyślał — kryło się za tym i jedno, i drugie, bo nie ulegało wątpliwości, że sekretarz nie rozróżnia dokładnie granicy między fanatyzmem i służalczością — dwoma środkami, którymi się posługiwał nieustannie dla osiągnięcia zawsze tych samych celów. Marcello stwierdził z zadowoleniem, że na twarzy pułkownika nie pojawił się uśmiech, który pragnął wywołać sekretarz swoim dwuznacznym zdaniem. Nastąpiła chwila ciszy. Teraz Marcello patrzył sekretarzowi prosto w oczy, twardym i nieugiętym spojrzeniem, z pełną świadomością, że jest ono onieśmielające. Istotnie sekretarz nie wytrzymał jego wzroku i nagle, opierając się obiema rękami o blat stołu, wstał z krzesła.

— Dobrze... wobec tego wy, pułkowniku, omówicie z doktorem Clerici wszystkie formalności związane z wyjazdem, a wy — ciągnął dalej zwracając się do Marcella — wiedźcie, że macie całkowite poparcie ministra... i moje, a nawet — dodał sztucznie i jakby od niechcienia — minister wyraził życzenie zawarcia z wami osobistej znajomości.

Także i tym razem Marcello nie odpowiedział ani słowem, lecz wstał i z szacunkiem skinął głową. Sekretarz, który spodziewał się może podziękowań, odruchowo okazał zdziwienie, które izresztą opanował natychmiast:

— Zostańcie, Clerici... minister kazał mi zaprowadzić was prosto stąd do jego gabinetu.

Pułkownik wstał i powiedział:

— Clerici, wiecie, gdzie możecie mnie zastać. — Wyciągnął rękę do sekretarza, lecz ten chciał za wszelką cenę odprowadzić go do drzwi z ceremonialnością gorliwą i pełną szacunku. Marcello widział, jak uścisnęli sobie dłonie, potem pułkownik wyszedł, a sekretarz wrócił do niego:

— Chodźcie, Clerici... minister jest ogromnie zajęty, ale mimo to koniecznie chce was zobaczyć i wyrazić wam swoje zadowolenie... Zapewne po raz pierwszy znajdziecie się u ministra? — Sekretarz wypowiedział te słowa już w mniejszej poczekalni, sąsiadującej z jego pokojem. Potem podszedł do drzwi, otworzył je, dał znak

Marcellowi, żeby zaczekał, i za chwilę, prawie natychmiast, wrócił i kazał mu iść za sobą.

Gdy Marceilo wszedł, jego oczom ukazał się ten sam pokój, do którego zajrzał niedawno przez szparę w drzwiach; z tą tylko różnicą, że teraz widział go od innej strony, znalazłszy się naprzeciw stołu. Za stołem siedział tęgi mężczyzna o jędrnej i szerokiej twarzy, którego podpatrywał, gdy całowała go kobieta w dużym czarnym kapeluszu. Zauważył, że stół był pusty, lśniący jak lustro; nie było na nim żadnych papierów, stał tylko duży kałamarz z brązu i leżała zamknięta teczka z ciemnej skóry.

— Ekscelencjo, to jest doktor Clerici... — powiedział sekretarz.

> Minister wstał wyciągając dłoń do Marcella z uprzedzającą serdecznością, bardziej ostentacyjną niż u sekretarza, ale pozbawioną jowialności, a nawet zdecydowanie władczą.

— Jak się macie, Clerici? — Wymawiał słowa pieczołowicie i powoli, rozkazująco, jak gdyby każde z nich pełne było szczególnego znaczenia. — Wspominano mi o was w chwalebnych słowach... ustrój potrzebuje takich ludzi jak wy. — Minister usiadł teraz i wyciągnąwszy z kieszeni chusteczkę, wycierał sobie nos oglądając jednocześnie papiery, które przyniósł mu sekretarz. Marcello przez dyskrecję usunął się w najodleglejszy kąt pokoju. Minister, spoglądał na

papiery, podczas gdy Sekretarz szeptał mu coś do ucha, potem spojrział na chusteczkę i Marcello zobaczył na białym płótnie czerwone plamy; przypomniał sobie od razu, że gdy stanął przed ministrem, jego usta wydały mu się nienaturalnie czerwone: szminka kobiety w czarnym kapeluszu. W dalszym ciągu przeglądając papiery podsuwane mu przez sekretarza, nie tracąc zimnej krwi i nie zważając na obserwujących go świadków, minister zaczął pocierać sobie mocno usta chusteczką, sprawdzając raz po raz, czy widać jeszcze na niej ślady szminki. W końcu lustracja papierów i chusteczki zakończyła się równocześnie i minister wstał, ponownie wyciągając rękę do Marcella: — Do widzenia, Clerici; jak wam już zapewne powiedział mój sekretarz, misja, której się podejmujecie, ma moje bezwarunkowe, całkowite poparcie.

Marcello skłonił się, uściskał grubą i krótką dłoń i wraz z sekretarzem wyszedł z pokoju.

Wrócili do pokoju sekretarza. Ten położył na stole przejrzone przez ministra papiery, po czym odprowadził Marcella do drzwi.

— A więc, Clerici: w paszczę lwa, nie dajcie się — powiedział i dodał z uśmiechem: — Najlepsze życzenia z okazji ślubu.

Marcello podziękował skinieniem głowy, ukłonem i jakąś niewyraźną formułką. Sekretarz uściskał mu dłoń obdarzając go uśmiechem. Potem drzwi się zamknęły.

ROZDZIAŁ II

Było już późno i Marcello po wyjściu z ministerstwa przyśpieszył kroku. | Na przystanku autobusowym stanął w ogonku, między ludźmi wygłodniałymi i zdenerwowanymi, jak zwykle w południe, i cierpliwie czekał na swoją kolej, żeby wsiąść do zatłoczonego autobusu. Przejechał ,część drogi na stopniu uczepony wozu, potem z wielkim trudem udało mu się dostać na pomost i stał tam wciśnięty między innych pasażerów, podczas gdy autobus podskakując i hucząc podjeżdżał biegnącymi pod górę ulicami do śródmieścia. Lecz te niewygody nie drażniły Marcelła, a nawet wydawały mu się pożyteczne, skoro dzielił je z tyloma ludźmi i skoro dzięki nim upodabniał się do innych. Zresztą wolał zetknięcie z tłumem, jakkolwiek uciążliwe i krę- ' pujące, od kontaktów z poszczególnymi osobami: tłum — pomyślał wspinając się na palce na platformie, by zaczerpnąć świeżego powietrza — budził w nim krzepiące poczucie wielokształtnej wspólnoty, przejawiającej się rozmaicie i na różnych szczeblach, od ścisku w autobusie do zbiorowego entuzjazmu podczas politycznych wieców.

Natomiast kontakty indywidualne budziły w nim tylko z wątpienie o sobie i o innych, jak to się zdarzyło tego ranka w ministerstwie.

Dlaczego na przykład zaraz po wystąpieniu z propozycją, żeby połączyć misję z podróżą poślubną, doznał przykrego uczucia, że zachował się jak nadgorliwy fagas albo jak ślepy fanatyk? Dlatego — odpowiedział sobie — że zrobił tę propozycję sceptycznemu, na wskroś zepsutemu intrygantowi, niegodziwemu, nienawistnemu sekretarzowi. To jego obecność sprawiła, że wstydził się tego, co zaoferował tak bezinteresownie i spontanicznie. I teraz, podczas gdy autobus przemierzał trasę od jednego przystanku do drugiego, Marcello na pociechę wmawiał sobie, że nie poczułby wstydu, gdyby nie obecność tego człowieka, dla którego nie istniało ani poświęcenie, ani oddanie, ani wierność, tylko kalkulacja, wyrachowanie i korzyść osobista. Propozycja, z którą wystąpił, nie wypływała z wyrachowania, lecz z niezbadanej głębi jego istoty, co między innymi dowodziło niezbiecie jego więzi z normami życia społecznego i politycznego. Ktoś inny, na przykład taki sekretarz, zrobiłby tego rodzaju propozycję po długim i chytrym namyśle; on natomiast zaimprovizował ją. Co do niedogodności połączenia podróży poślubnej z misją polityczną, to nie warto było nawet zastanawiać się nad tym. No cóż, był taki, jaki był, a wszystko, co

robił, było słuszne, jeśli zgadzało się z jego osobowością.

Pochłonięty tymi myślami wysiadł z autobusu i ruszył ulicą dzielnicy urzędniczej, po chodniku i wysadzonym białymi i różowymi oleandrami. Kamienice urzędników państwowych były masywne i obdrapane, w głębi ich dużych bram widniały ciemne i nagie podwórka. Między bramami (znajdowały się skromne sklepy, które Marcello znał już na pamięć: trafikę, piekarnię, zielarnię, rzeźnię, drogiastę). Było (południe i na wet wśród tych bezimiennych budynków objawiała się, na różne sposoby, radość, jaką daje przerwa w pracy i domowy posiłek w rodzinie: zapachy kuchenne dolatujące z przymkniętych okien na parterze; pośpiech skromnie ubranych mężczyzn, którzy niemal biegiem wpajdali do bramy; głosy płynące z radia, dźwięki gramofonu. Z ogródka, wciśniętego we wnękę jednej z kamienic, ściana pnących róż powitała go w przejściu powiewem mocnego, przenikającego przez kurz zapachu. Marcello przyśpieszył kroku i pod numerem dziewiętnastym wszedł do bramy razem z dwoma urzędnikami, nie bez przyjemności naśladowując ich pośpiech.

Zaczął wstępować powoli na szerokie schody, których mrok rozjaśniało na każdym podejściu wpadające przez okna jaskrawe światło. Dopiero na drugim piętrze uświadomił sobie, że o czymś zapomniał:

O kwiatach, które przynosił narzeczonej za każdym razem, kiedy był do niej zapraszany na obiad. Zadowolony, że spostrzegł w porę swoje uchybienie, zbiegł ze schodów, wyszedł na ulicę i skierował się do narożnika kamienicy, gdzie siedząca na stołku kobieta sprzedawała sezonowe kwiaty. Wybrał szybko pół tuzina róż, najładniejszych, jakie się znalazły u kwiaciarki, intensywnie czerwonych, długich, z prostymi łodygami; trzymając je pod nosem i wdychając ich zapach, wrócił do kamienicy i tym razem dotarł na ostatnie piętro. Tutaj na podeście znajdowały się tylko jedne drzwi: mniejsze schodki prowadziły nieco wyżej, do małych prymitywnych drzwiczek, pod którymi jarzyło się światło padające z tarasu. Zadzwonił myśląc: "Miejmy nadzieję, że nie otworzy mi matka". Przyszła teściowa rzeczywiście pałała do niego taką miłością, że wprawiało go to w zakłopotanie. Drzwi otworzyły się za chwilę i Marcello z ulgą zobaczył w cieniu przedpokoju postać służącej, jeszcze prawie dziecka, w białych, za dużym fartuchu, o bladej twarzyczce i czarnych warkoczach oplecionych dwukrotnie dokoła głowy. Zamknęła drzwi wychyliwszy się przedtem z ciekawością na klatkę schodową; Marcello wciągnął w nozdrza silny zapach kuchni, który unosił się w powietrzu, i przeszedł do salonu.

Okno w salonie było zasłonięte dla ochrony przed światłem i upałem, nie na tyle

jednak, żeby w półmroku nie można było dostrzec ciemnych mebli w fałszywym stylu odrodzenia, którymi zavalony był cały pokój. Te meble ciężkie, surowe, suto rzeźbione stanowiły dziwaczny kontrast z pretensjonalnymi, niegustownymi drobiazgami, rozstawionymi na konsolkach i na stole: naga kobietka klęcząca na brzegu popielniczki, marynarz z niebieskiej majoliki grający na harmonii, grupka białych i czarnych psów, kilka lamp w kształcie kwiatów lub kielichów. W popielniczkach z metalu i porcelany rozpoznawał pamiątki ze ślubów przyjaciółek i kuzynek swojej narzeczonej. Na ścianach obitych czerwonym materiałem imitującym adamaszek wisiały pejzaże i martwe natury w żywych kolorach, oprawione w czarne ramy. Marcello usiadł na tapczanie przykrytym już letnim pokrowcem i rozejrzał się dokoła z zadowoleniem. Było to mieszkanie prawdziwie mieszczańskie — stwierdził po raz nie wiadomo który — typowe dla najskromniejszego i najbardziej pospolitego środowiska mieszczańskiego, zupełnie podobne do innych mieszkań w tym domu, w tej dzielnicy; i to właśnie cenił sobie najbardziej: wrażenie, że znalazł się w otoczeniu bardzo przeciętnym, niemal tuzinkowym, a jednak dającym poczucie krańcowego spokoju i bezpieczeństwa. Uświadomił sobie, że brzydota tego domu budzi w nim jakieś niemal poniżające upodobanie. On sam wychował

się w pięknym i ze smakiem urządzonym mieszkaniu i zdawał sobie sprawę, że to, co go teraz otacza, jest beznadziejnie brzydkie; tego właśnie potrzebował, tej brzydoty, której banalność stanowiła jeszcze jeden element zrównujący go z innymi. Pomyślał sobie, że z braku pieniędzy on i Giulia, w każdym razie w pierwszych latach po ślubie, będą musieli mieszkać w tym domu, i prawie błogosławił ubóstwo. Sam, kierując się swoim gustem, nie potrafiłby tak szkaradnie urządzić mieszkania. A więc niedługo będzie to jego salon; tak jak sypialnia w stylu liberty, w której przez trzydzieści lat sypiała jego przyszła teściowa ze swoim nieżyjącym już dziś mężem, będzie jego sypialnią, a mahoniowa jadalnia, gdzie Giulia i jej rodzice jadali posiłki przez całe życie, będzie jego jadalnią. Ojciec Giulii był wyższym urzędnikiem w ministerstwie i to mieszkanie, umeblowane zgodnie z kanonami gustu lat jego młodości, było czymś w rodzaju świątyni, patetycznie wzniesionej ku czci bliźniaczych bóstw: szacowności i pospolitości. Z uniesieniem zachłannym i zmysłowym, a zarazem smutnym, myślał, że wkrótce przypadnie mu w udziale prawo uczestniczenia w szacowności i pospolitości.

Drzwi otworzyły się i do pokoju wtargnęła z impetem Giulia kończąc rozmowę z kimś stojącym w korytarzu, może ze służącą. Potem zamknęła drzwi i szybko po

deszła do narzeczonego. Dwudziestoletnia Giulia miała kształty kobiety trzydziestoletniej; jej pospolita uroda, mało subtelna, ale jędrna i świeża, promieniała młodością, nieokreślonymi złudzeniami i radością cielesną. Giulia miała wyjątkowo białą cerę, oczy duże, ciemne, przejrzyste, o miękkim wejrzeniu, włosy gęste, kasztanowate i falujące, usta pełne i czerwone. Marcello widząc ją zbliżającą się w lekkim kostiumiku męskiego kroju, który zdawały się rozsadzać jej bujne kształty, pomyślał w przyływie zadowolenia, że żeni się z normalną dziewczyną, bardzo pospolitą, zharmonizowaną z tym salonem, który przed chwilą nappełnił go taką otuchą. I raz jeszcze spłynęła na niego otucha, prawie orzeźwienie, gdy usłyszał jej głos dobronuszny, przeciągający sylaby, zatraćający dialektem:

— Jakie śliczne róże... Ale po co? Tyle razy ci mówiłam, żebyś sobie nie robił kłopotu... jak gdybyś pierwszy raz był u nas na obiedzie. — Poszła w głąb pokoju, gdzie w narożniku, na żółtym marmurowym postumencie stał niebieski wazon, i zaczęła w nim układać róże.

— To dla mnie przyjemność, przynosić ci kwiaty — rzekł Marcello.

Giulia westchnęła z zadowolenia i osunęła się na tapczan, tuż obok niego. Marcello popatrzał na nią i uświadomił sobie, że pełnia swobody, którą odczuwał jeszcze przed chwilą, ustępuje pod wpływem zmieszania:

nieomylny znak budzącego się w nim niepokoju. Nagle Giulia zwróciła się ku niemu i zarzucając mu rękę na szyję, szepnęła:

— Pocałuj mnie.

Marcello objął ją ramieniem w pół i pocałował w usta. Giulia była zmysłowa i w tych pocałunkach, których domagała się. zawsze od niezdecydowanego Marcella, nieuchronnie przychodził moment, gdy agresywna zmysłowość brała górę nad ustalonym, niewinnym charakterem ich narze- czeńskich stosunków. Także i tym razem, kiedy ich wargi miały już oderwać się od siebie, Giulia, jakby w nagłym przyływie niepohamowanego pożądania, objęła go ramieniem za szyję i mocno przycisnęła usta do jego ust. Poczł jej język wciskający mu się między wargi i poruszający się zwinnie, okrężnym ruchem w jego ustach. Jednocześnie Giulia ujęła jego rękę i położyła ją sobie na piersi, żeby pieścił jej lewą sutkę. Sapała przy tym przez nos i oddychała ciężko, z pomrukiem zwierzęcym, niewinnym, nienasyconym.

Marcello nie był zakochany w narzeczonej; ale Giulia podobała mu się i nigdy nie pozostawał obojętny na te zbliżenia, tak bardzo namiętne. A jednak nie skłaniał się do odwzajemniania jej uniesień: chciał utrzymać stosunki z narzeczoną w trady- cyjnych granicach, jak gdyby mu się zdawało, że większa intymność wprowadzi znów do jego życia chaos i anormalność,

które od dawna i nieustannie w sobie zwalczał. Tak więc po chwili oderwał rękę od piersi Giulii i łagodnie odepchnął dziewczynę.

— Ach, jakiś ty zimny — powiedziała Giulia odsuwając się i patrząc na niego z uśmiechem — naprawdę, czasami mogłabym pomyśleć, że mnie nie kochasz.

Marcello odrzekł:

— Wiesz, że cię kocham.

Ona ciągnęła dalej z upojeniem:

— Jestem taka zadowolona... nigdy nie byłam taka szczęśliwa... A propos, wiesz, że mamusia dziś rano nalegała znowu, żebyśmy zajęli jej sypialnię... ona się przeniesie do tego pokoiku w głębi korytarza... co o tym sądzisz? Mamy się zgodzić?

— Myślę — powiedział Marcello — że byłoby jej przykro, gdybyśmy odmówili.

— Ja też tak uważam... Czy wiesz, że jak byłam dzieckiem, marzyłam o tym, żeby się chociaż raz przespać w takiej sypialni... Ale teraz sama nie wiem, czy ona mi się jeszcze tak podoba... A tobie się podoba? — zapytała zarazem z powątpiewaniem i z lubością, jak osoba, która boi się oceny swojego gustu i chciałaby usłyszeć słowo aprobaty. Marcello odpowiedział skwapliwie:

— Bardzo mi się podoba... jest śliczna — i zobaczył, że jego słowa ucieszyły Giulie.

Uradowana, cmoknęła go głośno w policzek, po czym ciągnęła dalej:

— Spotkałam dziś rano panią Persico... zaprosiłam ją na przyjęcie... Wiesz, ona wcale nie wiedziała, że wychodzę za ihaż! Zasypała mnie pytaniami... Kiedy jej powiedziałam, kto ty jesteś, powiedziała, że zna twoją matkę... kilka lat temu spotkała się z nią nad morzem.

Marcello nic nie odpowiedział. Nie lubił mówić o matce, z którą nie mieszkał już od wielu lat i którą bardzo rzadko widywał. Na szczęście Giulia nie dostrzegła jego zmieszania i trzepała dalej, zmieniając temat:

— A co do przyjęcia... zrobiłyśmy już listę gości, chcesz zobaczyć?

Wyciągnęła z kieszeni kartkę i podała mu. Marcello spojrział na kartkę. Była to długa lista osób, ułożona rodzinami: ojciec, matka, syn, córka. Mężczyźni wymienieni byli nie tylko z imienia i nazwiska, lecz podano również ich tytuły zawodowe — lekarz, adwokat, inżynier, profesor — a nawet honorowe, jeśli je posiadali: commendatore, cavaliere. Obok każdego z nich członkowie rodziny; Giulia dla większej pewności wpisała liczbę osób, trzy, pięć, dwie, cztery. Marcello nie znał prawie żadnego z tych nazwisk, a jednak wydawały mu się one dobrze znajome: wszyscy ci ludzie pochodzili ze środowiska drobnomieszczańskiego, pracowali w urzędach państwowych lub uprawiali wolne zawody; mieli córki na wydaniu podobne do Giulii i wydawali je

za młodych absolwentów uniwersytetu i urzędników, podobnych, jak się spodziewał, do niego, i wszyscy mieszkali na pewno w mieszkaniach takich jak to, z salonami takimi jak ten, z identycznymi meblami. Długo przeglądał listę, zatrzymując się przy nazwiskach bardziej charakterystycznych i rozpowszechnionych, z głębokim zadowoleniem, zaprawionym jednak zwykłą chłodną i niewzruszoną melancholią.

— Ale kto to jest na przykład Arcangeli? -¹ - nie mógł powstrzymać się od zapytania — Giuseppe Arcangeli, z żoną Lolą, córkami Silvaną i Beatrice oraz z synem, doktorem Gino?

— I tak ich nie znasz... Arcangeli był przyjacielem ojca z ministerstwa.

— Gdzie on mieszka?

— O dwa kroki stąd, przy ulicy Porpora.

— A jaki ma salon?

— No wiesz, że jesteś śmieszny z twoimi pytaniami — zawołała wybuchając śmiechem. — Jaki ma mieć salon? Taki jak ten i jak setki innych... Dlaczego tak się interesujesz salonem Arcangelego?

— A jego córki są zaręczone?

— Tak, Beatrice... a dlaczego?

— A jaki jest ten narzeczony?

— Uff, jeszcze i narzeczony... No, więc narzeczony ma dziwne nazwisko, Schirinzi, i pracuje w kancelarii u notariusza.

Marcello zauważył, że z odpowiedzi Giulii trudno wywnioskować, jacy są ci jej zna

jomi. Prawdopodobnie nie wiedziała o nich nic więcej, niż zapisała na tej kartce, ot nazwiska osób szanowanych, niczym się nie wyróżniających, normalnych. Ponownie przebiegł wzrokiem listę i zatrzymał się -na chy- bił-trafił przy innym nazwisku:

— A kto to jest doktor Cesare Spadoni, z żoną Livią i bratem, mecenasem Tullio?

— To lekarz pediatra... jego żona jest moją koleżanką szkolną... może ją poznałeś: bardzo ładniutka, ciemnowłosa, drobna, blada... On jest przystojny, kulturalny, dystyngowany... jego - brat też jest bardzo przystojny... to bliźniaki.

— A Luigi Pace z żoną Teresą i czworgiem dzieci: Maurycym, Giovannim, Vittorio i Ricardem?

— To też przyjaciel ojca... jego synowie są na studiach... Riccardo jest jeszcze w liceum.

Marcello zrozumiał, że nie warto dłużej wypytywać o osoby wpisane na listę. Giulia nie umiałaby mu powiedzieć więcej, niż wynikało z samego spisu. I przyszło mu na myśl, że gdyby nawet opisała mu szczegółowo życie i charakter tych ludzi, to siłą rzeczy, przy jej braku lotności i bardzo ograniczonej inteligencji, te informacje nie byłyby wiele warte. Niemniej był zadowolony, nawet jeśli w tym zadowoleniu nie było radości, iż dzięki swojemu małżeństwu wejdzie do tego tak pospolitego towarzystwa. Miał jednak na końcu języka pewne

pytanie i zdecydował się je zadać po chwili wahania:

— Powiedz mi... czy ja jestem podobny do tych wszystkich gości?

— Co przez to rozumiesz?... Czy z wyglądu?

— Nie... chciałem wiedzieć, czy według ciebie przypominam ich ze sposobu zachowania, z prezencji, z powierzchowności... słowem, czy jestem do nich podobny.

— Dla mnie nikt nie może się z tobą równać — odpowiedziała z uniesieniem — ale tak na oko jesteś tak jak oni: dystyngowany, poważny, kulturalny... słowem, widać, że tak jak oni jesteś człowiekiem z dobrego towarzystwa... Ale dlaczego mnie o to pytasz?

— Ot, tak sobie.

— Jaki ty jesteś dziwny — powiedziała przyglądając mu się z zaciekawieniem — każdy chciałby się od reszty ludzi różnić... a tobie jakby zależało na tym, żeby być takim jak wszyscy. Marcello nic nie odpowiedział i oddał jej listę mówiąc prawie szeptem:

— Tak czy inaczej, nie znam ani jednej z tych osób.

— A czy ty myślisz, że ja ich wszystkich znam? — zawołała wesoło Giulia. — Większość z nich zna tylko matka... a zresztą przyjęcie szybko mija... godzinka i nie zobaczysz ich więcej.

— Będzie mi przecież bardzo miło ich zobaczyć — rzekł Marcello.

— Tak sobie tylko powiedziałam... A teraz posłuchaj, jakie będzie menu w hotelu, i powiedz, czy ci dogadza. — Giulia wyjęła z kieszeni drugą kartkę i przeczytała głośno:

— Zimny bulion

Sola a la meuniere

Pularda z ryżem, sos supreme

Sałata

Sery

Lody diplomate

Owoce, likiery, koniak.

— No i co powiesz? — zapytała tym samym tonem pełnym zarazem powątpiewania i zadowolenia, jakim mówiła o sypialni matki. — Czy uważasz, że jest dobrze obmyślane? I czy się goście najedzą?

— Wydaje mi się, że jest doskonale i obfite — odrzekł Marcello.

I Giulia ciągnęła dalej:

— Szampan będzie włoski; nie jest taki dobry jak francuski, ale w sam raz odpowiedni na toasty. — Umilkła na chwilę, po czym dodała przeskakując swoim zwyczajem z tematu na temat: — Wiesz, co powiedział Don Lattanzi: Że skoro się żenisz, musisz przystąpić do komunii, a żeby przystąpić do komunii, musisz się wyświadczyć... W przeciwnym razie on nam nie da ślubu.

Marcello, zaskoczony, nie wiedział przez chwilę, co odpowiedzieć. Nie był wierzący i chyba już od dziesięciu lat jego noga nie postąpiła w kościele. Poza tym od dawna nabrał odrazy do kleru. Teraz natomiast

Potwierdził z najwyższym zdumieniem, że myśl o tej spowiedzi i komunii cieszy go i _;pociąga, tak samo jak cieszyło go i pociągało ślubne przyjęcie, ci goście, których nie znał, małżeństwo z Giulia i sama Giulia, taka pospolita i podobna do wielu innych dziewcząt. Pomyślał, że nadarza mu się jedno więcej ogniwo w łańcuchu normalności, którym próbował się zakotwiczyć w ruchomych. piaskach życia; i w dodatku ogniwo wykute z metalu szlachetniejszego i bardziej odpornego od innych: z religii. Zdziwił się, że nie przyszło mu to na myśl przedtem, przypisywał to przeoczenie prostodusznemu i nie- wojowniczemu charakterowi religii, w której się urodził i z którą czuł się związany, pomimo iż nie praktykował. Lecz ciekawy, co mu na to odpowie Giulia, powiedział:

— Ale ja nie jestem wierzący.

— A kto jest wierzący? — odpowiedziała spokojnie. — Myślisz, że wśród ludzi chodzących do kościoła jest dziewięćdziesiąt procent wierzących? A sami księża?

— Ale ty wierzysz?

Giulia zrobiła nieokreślony ruch ręką w powietrzu:

— Tak sobie, do pewnego stopnia... i mówię od czasu do czasu Don Lattanzjemu: tylko wy, księża, przestańcie mnie czarować tymi waszymi historiami... Wierzę i nie wierzę... a raczej — dodała skrupulatnie — powiedzmy, że mam swoją własną religię... inną od religii księży.

“Co to znaczy mieć swoją własną religię?” — pomyślał Marcello. Lecz wiedząc z doświadczenia, że Giulia często plecie trzy po trzy, sama nie wiedząc, co mówi, nie nalegał. Powiedział natomiast: — Mój przypadek jest bardziej krańcowy... nie wierzę i nie mam żadnej religii.

Giulia machnęła ręką dobrodusznie i obojętnie:

— Ale co cię to kosztuje? ^ Idź i tak... Im tak na tym zależy, ciebie nie kosztuje nic.

— Tak, ale będę zmuszony kłamać.

— Puste słowa, a jeśli nawet, będzie to kłamstwo w dobrej intencji... Wiesz, co mówi Don Lattanzi? Że trzeba robić niektóre rzeczy tak, jakby się w nie wierzyło, choć- ciał się nie wierzy... wiara przychodzi później.

Marcello milczał przez chwilę, potem powiedział:

—Dobrze... wobec tego wyświadam się i przyjmę komunię. — I mówiąc to poczuł dreszcz tej samej nabrzmiałej smutkiem rozkoszy, jaką wzbudziła w nim przedtem lista zaproszonych gości. — I wobec tego — dodał — pójdę do spowiedzi do Don Lattanziego.

— Wcale nie musisz chodzić do niego — powiedziała Giulia — możesz iść do jakiegokolwiek spowiednika w jakimkolwiek kościele.

— A do komunii?

— Komunii udzieli ci Don Lattanzi

w dniu ślubu... razem przystąpimy do komunii. Od jak dawna nie byłeś u spowiedzi?

— Zdaje mi się, że spowiadałem się przed moją pierwszą komunią... kiedy miałem osiem lat — powiedział Marcello nieco zmieszany — potem już nigdy więcej.

— Pomyśl — zawołała wesoło — z ilu grzechów będziesz się musiał spowiadać.

— A jeśli nie dostanę rozgrzeszenia?

— Na pewno dostaniesz — odrzekła z czułością, głaszcząc go po twarzy — zresztą, jakie ty możesz mieć grzechy... Jesteś dobry, masz gołębie serce, nigdy nie wyrządziłeś nikomu żadnej krzywdy... Od razu dostaniesz rozgrzeszenie.

— To skomplikowana rzecz brać ślub — powiedział ogólnikowo Marcello.

— A mnie te wszystkie komplikacje i przygotowania sprawiają wielką przyjemność...

Ostatecznie zawieramy związek na całe życie, czy nie? Ale czekaj, a propos, dokąd się wybierzemy w podróż - poślubną?

Marcello poczuł po raz pierwszy, że Giulia budzi w nim nie tylko pobłażliwą czułość, ale także litość. Wiedział, że mógłby się jeszcze wycofać i zamiast jechać do Paryża, gdzie czekała go tajna misja, wybrać się gdzie indziej w podróż poślubną. Potem powiedziałby w ministerstwie, że zrzeka się tego zadania. Lecz zarazem zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe. Podjęta misja miała być może najbardziej stanowczym, ryzykownym i decydującym krokiem na je-

go drodze do pełnej normalności; podobnymi krokami, ale — jego zdaniem — o mniejszym znaczeniu, były: małżeństwo z Giulią, przyjęcie weselne, obrządki religijne, spowiedź, komunia.

Nie analizował dłużej tego spostrzeżenia, którego ponure, niemal złowieszcze podłoże nie uszło jego uwagi, i odpowiedział szybko:

— Myślę, że moglibyśmy pojechać do Paryża.

Giulia, nieprzytomna z radości, klasnęła w dłonie:

— Ach, jak to świetnie... Paryż... moje marzenie. — Zarzuciła mu ręce na szyję i obsypała gwałtownymi pocałunkami. — Żebyś ty wiedział, jaka jestem szczęśliwa... ale nie chciałam ci tego mówić, że tak bardzo pragnę pojechać do Paryża... bałam się, że to będzie drogo kosztowało.

— Będzie kosztowało mniej więcej tyle, co każda inna podróż — rzekł Marcello — ale nie martw się o pieniądze... znajdą się na ten cel.

Giulia była w siódmym niebie.

— Jaka ja jestem szczęśliwa! — powtarzała. Przytuliła się mocno do Marcella i szepnęła: — Kochasz mnie? Dlaczego mnie nie chcesz pocałować. — Znowu objęła go ramionami za szyję i przywarła ustami do jego ust. Tym razem płomiennosc pocałunku zdawała się spotęgowana wdzięcznością, Giulia sapała, wiła się całym ciałem, przygniatała do piersi dłoń Marcella, spazmatycznie

i gwałtownie wciskała mu język w usta. Marcello, podniecony, myślał: "Teraz, gdybym chciał, mógłbym ją wziąć, tu, na tym tapczanie" — i zdawało mu się, że raz jeszcze dostrzega kruchość tego, co uważał w sobie za normalne. W końcu oderwali się od siebie i Marcello powiedział z uśmiechem:

— Na szczęście, wkrótce się pobierzemy... Gdyby nie to, obawiam się, że w najbliższych dniach zostalibyśmy kochankami.

Giulia, jeszcze zaróżowiona od pocałunku, wzruszyła ramionami odpowiadając z egzaltowanym i niewinnym bezwstydem:

— Tak bardzo cię kocham... że tego bym właśnie chciała.

— Naprawdę? — zapytał Marcello.

— Choćby zaraz ■ — odpowiedziała zuchwale — choćby i tu, teraz. — Ujęła dłoń Marcella i całowała ją leciutko, spoglądając na niego wilgotnymi ze wzruszenia oczyma. Potem otworzyły się drzwi i Giulia odsunęła się od narzeczonego. Weszła jej matka.

Także i ona, pomyślał Marcello przyglądając się jej, była jedną z postaci, które pojawiły się w jego życiu wskutek pogoni za zbawczą normalnością. Nie mógł mieć nic wspólnego z tą kobietą sentymentalną, nie do zniesienia czułościową, nic go z nią nie łączyło prócz pragnienia trwałej, głębokiej więzi z solidnym i ustabilizowanym środowiskiem społecznym. Matka Giulii, pani Delia Ginami, była korpulentną niewiastą, na

której ząb czasu zaznaczył się czymś w rodzaju deformacji zarówno ciała, jak i ducha: ciało nabrało galaretowatej, sflaczałej tuszy, a wrodzona dobroduszość przerodziła się w skłonność do umizgów i nieustannych uniesień. Zdawało się, że za każdym jej krokiem każda część ciała pod nieforemną szatą porusza się z osobna, przesuając się z miejsca na miejsce samoistnym ruchem; wystarczał byle drobiazg, a traciła panowanie nad sobą pod wpływem spazmatycznego wzruszenia, które napełniało łzami jej bla- doniebieskie oczy. Poza tym w ostatnich dniach zbliżający się ślub córki wprowadził panią Delię w stan nieustannego roztkliwienia: wciąż tylko płakała tłumacząc się, że są to łzy radości; i co chwila czuła potrzebę tulenia w ramionach Giulii albo przyszłego zięcia, do którego, jak twierdziła, zdążyła się przywiązać jak do syna. Te wylewy uczucia napełniały Marcella zakłopotaniem, chociaż wiedział, że jest to tylko jedno oblicze więcej tej rzeczywistości, do której chciał się włączyć; znosił je więc i oceniał z tym samym nieco melancholijnym zadowoleniem, jakie budziły w nim brzydkie meble w mieszkaniu, paplanina Giulii, uroczystości ślubne i polecenie Don Lattanziego dotyczące wypełnienia obowiązków religijnych.

Tym razem jednak pani Delia nie była rozczulona, ale oburzona. Powiewała arkusikiem papieru, który trzymała w ręku,

i przywitawszy się z Marcellem powiedziała:

- List anonimowy... ale najpierw przejdźmy tam... obiad na stole.
- List anonimowy? — krzyknęła Giulia biegnąc za matką.
- Tak, anonim... Jacy ludzie są obrzydliwi.

Marcello wszedł do jadalni usiłując ukryć twarz w chusteczce. Wiadomość o anonimowym liście wstrząsnęła nim i nie chciał, żeby panie to zauważyły. Na okrzyk matki Giulii: "List anonimowy!", jak echo odezwała się w nim myśl: "Ktoś napisał o historii z Linem". Krew uciekła mu z twarzy, zabrakło mu tchu, błyskawicznie ogarnęło go uczucie zgrozy, wstydu i lęku, niewytłumaczone, nieoczekiwane uczucie, jakiego nie doznawały odkąd skończył się okres dzieciństwa, gdy gnębiło go świeże jeszcze wspomnienie Lina. Było to silniejsze od niego; i jego opanowanie prysnęło w jednej chwili, tak jak pęka utrzymujący porządek zwarty kordon policji pod naporem tłumy porwanego paniką. Zbliżając się do stołu, przygryzł wargi aż do krwi: a więc pomylił się tam w bibliotece, kiedy szukając wiadomości o zbrodni nabrał przekonania, że rana całkiem się zabiłniła: rana nie tylko się nie zabiłniła, ale była o wiele głębsza, niż przypuszczał. Na szczęście miał się przy stole pod światło, plecami do okna. Sztywno, w milczeniu usiadł przy końcu stołu, po je

go prawej stronie zajęła miejsce Giulia, po lewej pani Ginami.

List anonimowy leżał teraz na obrusie, koło talerza pani Ginami. A tymczasem weszła służąca-dziecko niosąc oburącz tacę, a na niej makaron. Marcello zagłębił widelec w czerwone, tłuste zwoje, nadział nań makaron i nałożył sobie małą porcję na talerz. Obydwie panie natychmiast wyraziły sprzeciw: — Za mało... cóż to, chcesz pościć... weź więcej. — Pani Ginami dodała: — Pan pracuje, musi pan jeść. — Giulia natomiast energicznym ruchem nadziała na widelec nową porcję makaronu i włożyła ją na talerz narzeczonego.

— Nie jestem głodny — powiedział Marcello głosem, który wydał mu się niedorzecznie przygaszony i smutny.

— Apetyt przychodzi w czasie jedzenia — odrzekła pompatycznie Giulia nakładając sobie makaron. Służąca wyszła zabierając prawie pustą tacę; wtedy matka powiedziała:

— W ogóle nie chciałam wam tego pokazywać... Uważałam, że nie warto... ale na jakim my świecie żyjemy!

Marcello nic nie odpowiedział, pochylił twarz nad talerzem i napełnił sobie usta makaronem. Bał się w dalszym ciągu, że list dotyczy sprawy Lina, chociaż rozsądek mówił mu, że to niemożliwe. Był to nieprzeparty lęk, silniejszy od wszelkiego rozumowania. Giulia zapytała:

.— Czy powiesz nam wreszcie, co jest w tym liście?

Matka odrzekła:

— Ale przede wszystkim chcę powiedzieć Marcellowi, że gdyby napisano w tym liście nawet tysiąc razy gorsze rzeczy, moje uczucie dla niego nie ulegnie zmianie... Marcello jest dla mnie jak syn i z pewnością wie, że uczucie matki do syna jest silniejsze od wszystkich oszczerstw. — Oczy wypełniły się jej nagle łzami; powtórzyła: — Jak rodzony syn! — po czym chwyciła Marcella za rękę, położyła ją sobie na sercu i powiedziała: — Drogi Marcello! — Nie wiedząc, co mówić i co robić, Marcello siedział bez ruchu, w milczeniu, czekając, aż minie jej uniesienie. Pani Ginami spojrzała na niego rozczulonym wzrokiem i dorzuciła: — Marcello, musi pan wybaczyć, starej kobiecie.

— Bzdury, mamusiu, nie jesteś stara — rzekła Giulia, zbyt przyzwyczajona do tych wzruszeń matki, żeby dziwić się im lub przejmować się nimi.

— Tak, jestem stara, pozostaje mi już tylko kilka lat życia — odpowiedziała pani Delia. Bliska śmierć stanowiła jeden z jej ulubionych tematów, być może dlatego, że miała nadzieję wzruszyć nie tylko siebie, ale także innych. — Umrę niedługo i dlatego jestem tak bardzo, bardzo szczęśliwa, że zostawiam córkę takiemu dobremu człowiekowi, jak pan, panie Marcello.

Marcello, któremu niewygodnie było siedzieć z ręką wyciągniętą nad talerzem makaronu i przyciśniętą do serca pani Delii, nie mógł powstrzymać odruchu lekkiego zniecierpliwienia, co nie uszło uwagi starszej pani; wzięła to jednak za protest przeciw nadmiarowi pochwał.

— Tak — potwierdziła — pan jest dobry... taki dobry... często mówię Giulii: jesteś szczęśliwa, żeś znalazła tak dobrego młodzieńca.. Wiem dobrze, Marcello, że dzisiaj dobroć już wyszła z mody... proszę pozwolić powiedzieć to osobie o tyle starszej od pana: nic na świecie nie równa się dobroci... a pan, na szczęście, jest tak bardzo, bardzo, bardzo dobry.

Marcello zmarszczył brwi i nic nie odpowiedział.

— Ale dajże mu coś zjeść, temu biedakowi — zawołała Giulia. — Czy nie widzisz, że brudzisz mu rękaw sosem?

Pani Ginami puściła rękę Marcella i biorąc list powiedziała:

— To list pisany na maszynie... ze stemplem Rzymu... Nie byłabym zdziwiona, Marcello, gdyby napisał go któryś z pańskich kolegów biurowych.

— Ależ, mamó, czy dowiemy się nareszcie, co tam jest napisane?

— Masz — powiedziała matka podając list córce — przeczytaj... ale nie czytaj na głos... nie chcę słyszeć tych obrzydliwości... a kiedy przeczytasz, daj go Marcellowi.

Marcello z niepokojem śledził narzeczoną w trakcie czytania listu. Po chwili Giulia, wydymając wzgardliwie usta oświadczyła:— Co za świństwo! — i podał & mu list, napisany na prębitce maszynowej i zawierający tylko kilka linijek; litery odbite były przez wyblakłą taśmę. “Pozwalając córce poślubić doktora Clerici, popełnia pani coś gorszego niż omyłkę: popełnia pani zbrodnię. Ojciec doktora Clerici przebywa od wielu lat w szpitalu dla wariatów, jest bowiem chory umysłowo, w następstwie syfilisu, a jak pani wiadomo, ta choroba jest dziedziczna. Może pani jeszcze przeszkodzić temu małżeństwu. Przyjaciół”.

“Tylko tyle!” — pomyślał Marcello, prawie rozczarowany. Stwierdził jednak, że doznał raczej rozczarowania niż ulgi: jak gdyby żywił nadzieję, że ktoś dowie się wreszcie o tragedii jego dzieciństwa i dzięki temu uwolni go częściowo od tego ciężaru. Lecz uderzyło go jedno zdanie: “Jak pani wiadomo, ta choroba jest dziedziczna”. Wiedział doskonale, że choroba umysłowa ojca nie miała podłoża wenerycznego i że w tym sensie nie grozi mu obłąd przekazany w spadku przez ojca. A jednak wydało mu się, że to zdanie w swojej złowieszczej zjadliwości nawiązuje do innego rodzaju szaleństwa, które, rzeczywiście mogło być dziedziczne. Ta myśl zresztą mignęła mu tylko i odrzucił ją natychmiast. Potem oddał list pani Ginami, mówiąc spokojnie:

— Nie ma w tym ani słowa prawdy.

— Ależ Ja wiem, że to nieprawda — odrzekła zacna kobiecina iniemal obrażona. — Wiem tylko to, że moja córka wychodzi za mąż za człowieka dobrego, inteligentnego, uczciwego, poważnego... i w dodatku pięknego chłopca — dodała z odcieniem kokieterii.

— Przede wszystkim za pięknego chłopca: możesz to mówić głośno — potwierdziła Giulia — i właśnie dlatego ten, co napisał ten list, doszukuje się w nim skaz... Wydaje mu się niemożliwe, żeby takiej wyjątkowej urody nie toczył jakiś ukryty robak... Kretyn!

“Ciekaw jestem, co by one powiedziały— mimo woli pomyślał Marcello — gdyby się dowiedziały, że jako trzynastoletni chłopiec byłem o krok od nawiązania stosunków miłosnych z mężczyzną i że go zabiłem.” — Spostrzegł się, że teraz, gdy minął lęk wywołany listem, powróciła znowu zwykła apatia, melancholijna i wyrachowana. “Prawdopodobnie — pomyślał jeszcze patrząc na narzeczoną i na panią Ginami — ani by je to grzało, ani ziębiło... ludzie normalni są gruboskórni”; i uświadomił sobie, że znów czegoś zazdrości tym kobietom: ich gruboskórności.

Rzekł nagle:

— Właśnie dziś mam odwiedzić mojego ojca.

— Idziesz razem z matką?

— Tak.

Skończyli jeść makaron, wróciła służąca-

-dziecko, zmieniła talerze i postawiła na stole mięso i sałatę. Matka wzięła list, przyjrzała mu się, a gdy służąca wyszła z pokoju, powiedziała:

— Chciałabym wiedzieć, kto napisał ten anonim.

— Mamusiu — rzekła nagle Giulia z niespodziewaną i przesadną powagą — daj mi na chwilę ten list.

Wzięła kopertę, obejrzała ją z uwagą, potem wyciągnęła z niej cienki arkusik i przyglądała mu się marszcząc brwi; w końcu zawołała donośnym i pogardliwym głosem:

— Wiem doskonale, kto napisał ten list... nie mam co do tego żadnych wątpliwości... Co za podłość!

— Ale kto taki?

— Pewien... nikczemnik — odrzekła Giulia spuszczać oczy.

Marcello nic nie odpowiedział. Giulia pracowała jako sekretarka w kancelarii adwokata, pomyślał więc, że autorem listu był prawdopodobnie jeden z licznych dependentów. Matka powiedziała:

— Na pewno jakiś "zawistny" człowiek... wielu mężczyzn chciałoby mieć taką pozycję, jaką wyrobił sobie Marcello w trzydziestym roku życia.

Marcello nie z ciekawości, lecz tylko pro forma zapytał narzeczonej:

— Skoro wiesz, kto jest autorem listu, dlaczego nie chcesz powiedzieć jego nazwiska?

— Nie mogę — odpowiedziała, teraz już raczej z namysłem niż z pogardą — ale wiedziałam ci już: to nędznik. — Oddała list matce i wzięła kawałek mięsa z półmiska, który podała jej służąca. Milczeli przez chwilę wszyscy troje. Potem matka odezwała się szczerze nie dowierającym tonem:

— Trudno mi doprawdy uwierzyć, że znalazł się ktoś aż tak podły, żeby oczerniać w ten sposób Marcella.

— Przecież nie wszyscy go tak kochają, jak my, mamusiu — odparła Giulia.

— Ale kto —¹ zapytała matka z emfazą — kto może nie kochać naszego Marcella?

— Wiesz, co mówi o tobie mamusia? — zawołała Giulia, już znów wesoła i beztroska. — Że nie jesteś człowiekiem, lecz aniołem... więc może któregoś dnia zamiast wejść do nas drzwiami, wlecisz oknem. — Stłumiła śmiech i dodała: — Jak pójdziesz do spowiedzi, zrobisz przyjemność księdzu, kiedy się okaże, że jesteś aniołem... Nie codziennie się zdarza słuchać spowiedzi anioła...

— No i znowu żartujesz sobie ze mnie — powiedziała matka — ale ja wcale nie przesadzam... dla mnie Marcello to anioł. — Spojrzała na Marcella z głęboką, przesłodzoną tkliwością i jej oczy od razu napełniły się łzami. Po chwili dodała: — Znałam w życiu tylko jednego człowieka równie dobrego jak Marcello... to był twój ojciec, Giulio.

Na takie dictum Giulia spoważniała, jak przystało, i spuściła oczy na talerz. A tymczasem oblicze matki zmieniało się stopniowo: z jej oczu spływały rzęsiste łzy, patetyczny grymas wykrzywił nabrzmiałe, opuchnięte rysy twarzy, okolonej potarganymi kosmykami włosów, tak że wszystko, ... kontury i kolory, zdawało się zamazywać i zlewać ze sobą, jak gdyby oglądane przez obficie skropioną szybę. Szybko poszukała chusteczki i podnosząc ją do oczu wybełkotała: — Naprawdę dobry człowiek... prawdziwy anioł... i tak nam było dobrze z sobą we troje... A teraz umarł i nie ma go już... Marcello przypomina mi twojego ojca swoją dobrocią i dlatego go tak kocham... Kiedy pomyślę, że ten człowiek, taki dobry, umarł, pęka mi serce. — Ostatnie słowa stłumiła chusteczka.

Giulia powiedziała spokojnie: — Jedz, mamusiu.

— Nie, nie, nie jestem głodna [jj] odparła matka szlochając —* ale wy musicie mi wybaczyć... jesteście szczęśliwi i tego szczęścia nie powinien zakłócać smutek starej kobiety. — Wstała gwałtownie, skierowała się ku drzwiom i wyszła.

Pomyśl, to już sześć lat — powiedziała Giulia spoglądając na drzwi — i wciąż jest tak samo, jak pierwszego dnia.

Marcello nic nie odpowiedział. Sięgnął po papierosa i palił go ze spuszczoną głową. Giulia wyciągnęła rękę i ujęła jego dłoń.

— O czym myślisz? — zapytała prawie błagalnie.

Giulia pytała go często, o czym myśli, zaciekawiona, a czasami także zaniepokojona poważnym i skrytym wyrazem jego twarzy. Marcello odrzekł:

— Myślałem o twojej matce... jej wygórowane pochwały wprawiają mnie w zmieszanie... nie zna mnie dostatecznie, żeby mówić, że jestem dobry. Giulia ścisnęła go za rękę i odpowiedziała:

— To wcale nie są komplementy... także w twojej nieobecności mówi często: jaki ten Marcello jest dobry.

— Ale skąd ona o tym wie?

— Te rzeczy się widzi. — Giulia wstała i stanęła przy nim, przyciskając krągłe biodro do jego ramienia i głaszcząc go dłonią po włosach: — Dlaczego nie chcesz, żebyśmy cię uważały za dobrego człowieka?

— Tego nie powiedziałem — odrzekł Marcello. — Powiedziałem, że to może być nieprawda.

Giulia potrząsnęła głową:

— Masz tę wadę, że jesteś za skromny... Posłuchaj: ja nie jestem taka jak matka, która by chciała, żeby wszyscy byli dobrzy... według mnie istnieją i dobrzy, i źli... ale ty jesteś dla mnie jednym z najlepszych ludzi, jakich spotkałam w życiu... i nie mówię tego dlatego, że jesteśmy zaręczeni i że cię kocham...

— Ale na czym polega ta moja dobroć?

Już ci powiedziałam, że to się widzi...
Dlaczego mówi się o jakiejś kobiecie, że jest ładna?... Bo się widzi, że jest ładna... i tak samo widzi się, że jesteś dobry.

— Może — powiedział Marcello spuszczać głowę. Głębokie przekonanie tych kobiet o jego dobroci nie było dlań nowością, ale wprawiało go zawsze w wielkie zakłopotanie. Na czym polegała ta dobroć? I czy naprawdę był dobry? Czy raczej Giulia i jej matka nie nazywały dobrocią jego anormalności, czyli tego oderwania, odgradzania się od wspólnoty życia? Ludzie normalni nie są dobrzy, pomyślał jeszcze, bo stale muszą płacić za normalność — świadomie lub nieświadomie — wysoką cenę, przykładając rękę do różnych spraw, zawsze niskich, nacechowanych głupotą, podłością, cynizmem, jeśli nie wręcz zbrodniczych. Wyrwał go z tych rozmyślań głos Giulii: — A wiesz, że przysłali suknię?... Chcę ci ją pokazać, poczekaj.

Wybiegła z pokoju, a Marcello wstał od stołu, podszedł do okna i otworzył je. Okno wychodziło na ulicę, a raczej, ponieważ mieszkanie znajdowało się na ostatnim piętrze, na szeroki gzyms kamienicy, który zasłaniał widok w dole. Widać było natomiast górną część fasady stojącej naprzeciw kamienicy: rząd okien z otwartymi żaluzjami, a za oknami pokoje. Było to mieszkanie bardzo podobne do mieszkania Giulii: sypialnia, zdaje się, z nie zaścielonymi jeszcze łóżka

mi; "ładny" salon z fałszywymi, rzeźbionymi meblami; jadalnia, w której siedziały teraz iprzy stole trzy osoby, dwaj mężczyźni i kobieta. Te pokoje naprzeciw znajdowały się bardzo blisko, ponieważ ulica nie była szeroka, i Marcello widział wyraźnie biesiadników w jadalni: krępy starszy mężczyzna z siwą bujną czupryną, młodszy mężczyzna, chudy i ciemnowłosy, i kobieta w średnim wieku, dość tęga blondynka. Jedli spokojnie przy stole podobnym do tego, przy którym on siedział przed chwilą, pod lampą niewiele różniącą się od lampy wiszącej w pokoju, w którym sam się znajdował. A jednak, chociaż widział ich z tak bliska, chociaż miał wrażenie, że mógłby dosłyszeć ich rozmowę, może wskutek złudzenia przepaści, które stwarzał wystający gzyms, wydawali mu się dalecy, nieskończenie dalecy. Narzucała mu się myśl, że tamto mieszkanie uosabia normalność: widział je: gdyby podniósł głos, mógłby wszcząć rozmowę z osobami siedzącymi tam przy stole, a mimo to znajdował się poza ich kręgiem, nie tylko w sensie materialnym, ale również moralnym. Dla Giulii natomiast nie istniała ani ta odległość, ani ta obcość; tamte pokoje były zwykłym materialnym faktem, przebywała w nich i teraz, i zawsze, a gdyby on ją o to zagadnął, dostarczyłaby obojętnie wszystkich informacji, jakie miała o mieszkających tam ludziach, tak samo jak przed chwilą o gościach, zaproszonych

na przyjęcie ślubne. I ta obojętność wypływała z czegoś więcej niż z przyzwyczajenia: po prostu z roztargnienia. Rzeczywiście Giulii nie przyszłoby do głowy szukać nazwy dla tej zwyczajności, w której tkwiła po uszy, tak samo jak można przypuszczać, że gdyby zwierzęta mówiły, nie nadałyby żadnego imienia przyrodzie, której są nieodłączną częścią. Lecz on znajdował się poza normalnością i odróżniał ją właśnie dlatego, że był od niej odcięty i wyczuwał ją przez kontrast z własną anormalnością. Żeby być podobnym do Giulii albo trzeba się było takim urodzić, albo...

Drzwi otworzyły się za jego plecami, obejrzał się»- Stała przed nim Giulia w ślubnej sukni z białego jedwabiu, unosząc obiema rękami, żeby Marcello mógł ją podziwiać, suty welon, spływający jej z głowy. Powiedziała uradowana: — No, popatrz... czy nie jest prześliczna? — i wciąż podtrzymując szeroko rozłożony welon, stanęła między stołem a oknem i okręciła się dokoła, żeby narzeczony mógł obejrzeć ze wszystkich stron jej strój. Była to, jak pomyślał Marcello, ślubna suknia zupełnie podobna do innych ślubnych sukien; ale spodobało mu się to, że Giulia pomimo to cieszy się swoim strojem, tak samo jak cieszyły się nim przedtem miliony kobiet. Kragłe i wydatne kształty Giulii uwypuklały się przesadnie pod lśniącem białym jedwabiem; zbliżyła się nagle do Marcella i powiedziała, odrzucając we-

lon i nadstawiając twarz: — Pocałuj mnie teraz... ale nie dotykaj, bo się pogniecie suknia. — W tym momencie Giulia stała odwrócona plecami do okna, a Marcello miał je przed sobą. Gdy pochylił się, by musnąć ustami jej wargi, zobaczył, że w jadalni na ostatnim piętrze przeciwległej kamienicy siwy mężczyzna wstał i wyszedł, a zaraz potem szczupły młody brunet i blondynka niemal jednocześnie, autom atycznie, zerwali się <na nogi i stojąc zaczęli się całować. Ten widok sprawił mu przyjemność, ostatecznie robił to samo, co tamtych dwoje, a jeszcze przed chwilą wydawało mu się, że dzieli go od nich odległość nie do pokonania. W tym samym momencie Giulia zawołała niecierpliwie: — Do diabła z suknią! — i nie odrywając się od Marcella przymknęła jedną ręką oba skrzydła żaluzji. Potem gwałtownie przywarła do niego całym ciałem, zarzucając mu ręce na szyję. Całowali się po ciemku, mając ruchy skrepowane welonem, i gdy narzeczona tuliła się do niego, wiła mu się w objęciach, wzdychała i całowała go, Marcello pomyślał raz jeszcze, że robiła to niewinnie, nie wiedząc, że ten uścisk jest sprzeczny ze ślubnym strojem: jeszcze jeden dowód więcej, że ludzie normalni traktują normalność za pan brat. Wreszcie, bez tchu, oderwali się od siebie i Giulia szepnęła mu: — Nie bądźmy niecierpliwi... jeszcze kilka dni i będziesz mnie mógł całować nawet na ulicy.

— Muszą już iść — powiedział Marcello ocierając usta chusteczką.

— Odprowadzę cię.

Wyszli po omacku z jadalni, przeszli do * przedpokoju.. — Zobaczmy się dziś wieczór, po kolacji — powiedziała Giulia. Rozczulona, zakochana, spoglądała na niego od progu, oparta o ramę drzwi. Welon przekreślił się jej podczas pocałunku i zwisał nierówno z jednej strony. Marcello podszedł do niej i poprawił welon, mówiąc: — Teraz. dobrze. — W tej chwili dał się słyszeć gwar głosów o piętro niżej. Giulia, zawstydzona, cofnęła się, końcami palców przesłała mu pocałunek i szybko zatrzasnęła drzwi.

ROZDZIAŁ III

yśl o spowiedzi niepokoiła Marcella. Nie był religijny w sensie formalnego wypełniania praktyk nakazanych przez Kościół; pewien był jednak, że nim jest w innym' sensie, że mianowicie* cała jego natura skłania się do religii; pomimo to uznałby chętnie nakazaną przez Don Lat- tanziego spowiedź za jeden z czysto konwencjonalnych aktów, którym się podporządkowywał, żeby zakotwiczyć się definitywnie w normalności, gdyby ta spowiedź nie pociągała za sobą przymusu ujawnienia dwóch spraw, które z różnych powodów uważał za ęciemżliwe do wyznania: tragedii jego dzieciństwa i jego misji w Paryżu. Wyczuwał niejasno, że subtelna więź łączy te dwie sprawy, nawet jeśli trudno by mu było dokładnie określić, na czym owa więź polega. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że spośród wielu zasad nie wybrał zasady chrześcijańskiej, która zakazuje zabijać, lecz inną, całkiem odmienną, polityczną i nowszą, która nie brzydzi się krwią. Słowem, uważał, że chrześcijaństwo, to reprezentowane przez Kościół, z setkami jego papieży, z niezliczoną ilością kościołów,

z jego świętymi, z jego męczennikami, nie daje mu możliwości zespolenia się z ludźmi, któremu stanęła na przeszkodzie sprawa Lina; przypisywał natomiast tę możliwość grubemu ministrowi z uszmiłowanymi ustami, jego cynicznemu sekretarzowi, swoim przełożonym z Tajnego Wywiadu. To wszystko podyktowane było nie myślą, lecz niejasnym wyczuciem; i potęgowało jego melancholię: był jak człowiek, który widzi przed sobą jedno tylko wyjście, bo wszystkie inne drogi są zamknięte; a ta jedyna droga mu nie odpowiada.

Trzeba się jednak zdecydować, pomyślał wsiadając do tramwaju jadącego w kierunku bazyliki Santa Maria Maggiore, należy dokonać wyboru: albo odbyć spowiedź całkowitą, zgodnie z nakazami Kościoła, albo ograniczyć się do spowiedzi częściowej, czysto formalnej, żeby zrobić przyjemność Giulii. Chociaż nie był ani praktykujący, ani wierzący, skłaniał się do pierwszej alternatywy; jak gdyby miał nadzieję, że jeśli nawet przez spowiedź nie zmieni swego przeznaczenia, to przynajmniej raz jeszcze się w nim utwierdzi. Rozwahał ten problem jadąc tramwajem, ze zwykłą powagą, nieco tępą i pedantyczną. Jeśli chodziło o Lina, Czuł się mniej więcej spokojny: potrafiłby przedstawić tę historię tak, jak wyglądała w rzeczywistości, i ksiądz po zwykłych dociekaniach i zwykłych upomnieniach nie mógłby mu nie dać rozgrzeszenia. Lecz jeśli

szło o misję, z którą łączyło się oszustwo, zdrada, a w końcowej fazie może i śmierć człowieka, zdawał sobie sprawę, że wszystko wygląda inaczej. Tutaj zagadnienie nie polegało na tym, żeby uzyskać aprobatę misji, ale na tym, czy w ogóle należy o niej mówić. Nie miał żadnej pewności, że potrafi się na to zdobyć; bo mówić o niej byłoby czymś równoznacznym z odstępstwem od jednej zasady na rzecz drugiej; oddaniem pod sąd chrześcijański czegoś, co dotychczas uważał za niezawisłe; niedotrzymaniem obowiązującego milczenia, złamaniem tajemnicy; słowem, postawieniem pod znakiem zapytania całego misternie wzniesionego gmachu jego wcielenia w normalność. Pomyślał jednak, że warto "podać się tej próbie, która w razie zwycięstwa byłaby dla niego jeszcze jednym potwierdzeniem solidności tego gmachu.

Lecz uświadamiał sobie, że roztrząsa te możliwości bez wielkiego przejęcia, chłodno i spokojnie, jak obiektywny widz; jak gdyby w rzeczywistości dokonał już tego wyboru i jakby za to wszystko, co się miało stać w przyszłości, odpokutował już z góry, nie wiedząc ani jak, ani kiedy. Nie odczuwał żadnej rozterki wewnętrznej, do tego stopnia, że gdy wszedł do ogromnego kościoła pełnego cienia, ciszy i chłodu, tak orzeźwiających po świetle, zgiełku i upale ulicy, zapomniał nawet o spowiedzi i zaczął spacerować po nagich posadzkach, od nawy

do nawy, niczym opieszały turysta. Zawsze lubił kościoły jako punkty oparcia w tym płynnym świecie, trwałe budowle, gdzie w innych czasach znalazło potężny i prześwietny wyraz to, czego szukał: porządek, norma, reguła. Co więcej, zdarzało mu się bardzo często wstępować do kościołów, tak licznych w Rzymie, siadać w ławce i nie modląc się podziwiać to, co, jak myślał, byłoby jak stworzone dla niego, ale w innych warunkach. Nie urzekały go proponowane przez Kościół rozwiązania, które -kategorycznie odrzucał, ale skutek, którego nie mógł nie doceniać i nie podziwiać. Podobały mu się wszystkie; lecz tym bardziej, im bardziej były imponujące i wspaniałe, słowem, świeckie; w tych kościołach, gdzie religia wyparowała, przekształcając się w majestatyczną i uporządkowaną światowość, zdawał się dostrzegać ów punkt przejściowy od naiwnego wierzenia religijnego do społeczeństwa już dojrzałego, które jednak bez tej dalekiej wiary nie mogłoby istnieć.

O tej godzinie kościół był pusty. Marcello podszedł aż do ołtarza, a potem stanął przy jednej z kolumn prawej nawy i pochylił się starając się popatrzeć na posadzkę tak, jak gdyby jego oczy znajdowały się na jej poziomie: oglądana w perspektywie, w jakiej mogłaby ją widzieć mrówka, była ogromna; wyglądała niemal jak równina i przyprawiała o lekki zawrót głowy. Potem

wyprostował się i podniósł oczy, śledząc słaby odbłask rzucany przez skąpe światło na wypukłą powierzchnię olbrzymich trzonów marmurowych kolumn, przeskakiwał ' wzrokiem od kolumny do kolumny aż do głównych drzwi kościoła. W tej samej chwili wchodził ktoś, unosząc ciężką żasłonę, w smudze ostrego i białego światła: jakże drobna wydawała się tam, w głębi świątyni, ta figurka jednego z wiernych, gdy ukazał się na progu! Marcello poszedł za ołtarz i popatrzył na mozaiki w absydzie. Przykuła jego uwagę postać Chrystusa między czterema świętymi; pomyślał, że ten, kto przedstawił ją w ten sposób, nie miał na pewno żadnych wątpliwości, co jest normalne, a co anormalne. Spuścił głowę i powoli zmierzał do konfesjonału w prawej nawie. Myślał teraz, że nie warto żałować, iż nie przyszedł na świat w innych czasach i w innych warunkach: był taki, jaki był, właśnie dlatego, że jego czasy i warunki różniły się od tych, które pozwoliły na wzniesienie tego kościoła; i jego główne zadanie polegało na uświadomieniu sobie owej rzeczywistości.

Podszedł do olbrzymiego konfesjonału, z ciemnego rzeźbionego drzewa, na miarę bazyliki, i zdążył zobaczyć w nim księdza, który zaciągał żasłonę, chowając się za nią. Nim ukląkł, podciągnął zwykłym ruchem spodnie na kolanach, żeby się nie zgmiotły; po czym cicho powiedział:

. — Chciałbym się wyspowiadać. •

Ksiądz odpowiedział z drugiej strony głosem przytłumionym, ale różnym i energicznym, że może rozpocząć spowiedź. Ten głos, harmonijny, bardzo niski, silnie zabarwiony południowym akcentem, był typowym basem dojrzałego, mężczyzny. Marcello mimo woli wyobraził sobie mnisią twarz okoloną czarną brodą, z grubym nosem, z gęstymi brwiami, z uwłosionymi nozdrzami i uszami. Człowiek, pomyślał, równie masywny i ciężki jak ten konfesor, gruboskórny, nie bawiący się w żadne subtelności. Ksiądz, jak przewidział, zapytał go, od jak dawna nie był u spowiedzi; odpowiedział mu, że od czasów dzieciństwa i że przyszedł się teraz wyspowiadać, bo ma się żenić. Głos księdza, po chwili milczenia, obwieścił mu spoza kraty, tonem raczej obojętnym:

— To bardzo źle, mój synu... A ile masz lat?

— Trzydzieści — rzekł Marcello.

— Żyłeś trzydzieści lat w grzechu .^powiedział ksiądz tonem księgowego, który oznajmia, że bilans jest ujemny. Po chwili ciągnął dalej: — Żyłeś trzydzieści lat jak zwierzę, nie jak istota ludzka.

Marcello przygryzł wargi. Teraz uświadamiał sobie, że władza spowiednika wyrażona w sposób tak pochopny i familiarny, osądzająca jego przypadek jeszcze przed zbadaniem szczegółów, jest dla niego drażniąca i po prostu nie do zniesienia. Nie dla

tego, żeby nie podobał mu się ksiądz, zapewne zacny człowiek, wypełniający sumiennie obowiązki kapłańskie, czy też to miejsce lub sam obrządek; w przeciwieństwie do ministerstwa, gdzie nie podobało mu się wszystko, ale gdzie władza "wydawała mu się oczywista i niezaprzeczalna, tutaj instynktownie miał ochotę się zbuntować. Powiedział jednak z trudem:

— Popełniłem wszystkie grzechy... także i najcięższe.

— Wszystkie?

Pomyślał: powiem teraz, że zabiłem, i zobaczę, jakiego doznam wrażenia, kiedy to wypowiem. Zawahał się, po czym zdobył się na wysiłek i powiedział czystym i stanowczym głosem:

— Tak, wszystkie, nawet zabójstwo.

Ksiądz zawołał żywo, ale bez oburzenia czy zdziwienia:

— Zabiłeś i nie czujesz potrzeby oczyszczenia się przez spowiedź!

Marcello pomyślał, że odpowiedź księdza jest właśnie taka, jak być powinna: żadnej zgrozy, żadnego zdziwienia, tylko oficjalna nagana, że nie wyznał w porę tak ciężkiego grzechu. I był za to wdzięczny księdzu, tak samo jak byłby wdzięczny komisarzowi[^] policji, który po wysłuchaniu takiej samej spowiedzi aresztowałby go natychmiast, bez żadnych komentarzy. Każdy, pomyślał, musi grać swoją rolę i tylko w ten sposób świat może trwać. Tymczasem jednak zdawał so

bie sprawę, po raz nie wiadomo który, że wyjawiając swoją tragedię, nie odczuwa nic szczególnego; i zdziwiła go ta obojętność stanowiąca kontrast z przejmującym lękiem, który ogarnął go niedawno, kiedy matka Giulii oznajmiła, że dostała list anonimowy. Powiedział spokojnym głosem:

— Zabiłem, kiedy miałem trzynaście lat... i zrobiłem to broniąc się... i prawie mimo woli.

— Opowiedz, jak to było.

Zmienił trochę pozycję na obolałych kołach i zaczął mówić:

— Jednego przedpołudnia, gdy wychodziłem z gimnazjum, podszedł do mnie pod jakimś pretekstem pewien mężczyzna... Bardzo pragnąłem wtedy mieć rewolwer... nie zabawkę, ale prawdziwy rewolwer... On obiecał, że mi da rewolwer, i udało mu się zwabić mnie w ten sposób do swego samochodu... Był szoferem pewnej cudzoziemki i przez cały dzień miał samochód do dyspozycji, bo jego chlebodawczyni wyjechała w podróż za granicę... Byłem wtedy zupełnie nie uświadomiony i kiedy robił mi pewne propozycje, nie zrozumiałem w ogóle, o co chodzi.

— Jakie propozycje?

— Propozycje miłosne — powiedział powściągliwie Marcello — nie wiedziałem, co to jest miłość ani normalna, ani anormalna... wsiałem więc i on mnie zawiózł do willi swojej pani.

— I co się tam stało?

— Nic... albo prawie nic... najpierw robił pewne próby, potem poczuł skruchę i kazał mi obiecać, że nigdy go już nie posłucham, nawet gdyby mnie znowu zapraszał do samochodu.

— Co to znaczy "prawie nic"?... Pocałował cię?

— Nie — odrzekł Marcello, trochę zdziwiony — na chwilę objął mnie w pól, w korytarzu.

— Mów dalej.

— Ale przewidział z góry, że nie będzie mógł o mnie zapomnieć... i rzeczywiście następnego dnia znów na mnie czekał pod gimnazjum... i także tym razem powiedział, że mi da rewolwer, a ja, ponieważ bardzo mi na tym zależało, najpierw dałem się prosić, a potem zgodziłem się wsiąść do samochodu.

— I dokąd pojechaliście?

— Tak jak poprzednim razem, do willi, do jego pokoju.

— A tym razem jak się zachowywał?

— Był zupełnie zmieniony — rzekł Marcello — wyglądał tak, jak gdyby już nie panował nad sobą... Powiedział, że nie da mi rewolweru i że- po dobremu albo pod przymusem zrobię to, co on mi każe... Kiedy to mówił, trzymał w ręku rewolwer... potem chwycił mnie za ramię i rzucił na łóżko, tak że uderzyłem głową o ścianę... Tymczasem rewolwer upadł na łóżko, a on

ukłękł przy mnie i objął mnie za nogi... Chwyciłem rewolwer, wstałem z łóżka, cofnąłem się o kilka kroków, a wtedy on krzyknął, rozkładając ramiona: "Zabij mnie, zabij mnie jak psa"... Wtedy ja, jak gdyby spełniając jego prośbę, wystrzeliłem i on upadł na łóżko... potem uciekłem i nie wiedziałem, co się z nim stało... Było to wiele lat, temu... Dopiero w ostatnich dniach poszedłem przejrzeć gazety z tamtego roku i wyczytałem, że ten człowiek zmarł tego samego wieczora w szpitalu.

Marcello opowiedział to wszystko bez pośpiechu, starannie dobierając słów i wymawiając je wyraźnie. Zauważył, że mówiąc nie odczuwa nic, jak zawsze; nic prócz tego lodowatego smutku, który towarzyszył mu stale, niezależnie od tego, co mówił i co robił. Ksiądz zapytał od razu, nie wdając się w żadne komentarze:

- Czy jesteś pewien, że powiedziałeś całą prawdę?
- Tak, oczywiście — odrzekł Marcello, zdziwiony.
- Wiesz — ciągnął dalej ksiądz z nagłym uniesieniem — że przemilczając albo zniekształcając prawdę popełnisz ciężkie świętokradztwo i spowiedź jest nieważna... Co zaszło naprawdę między tobą a tym człowiekiem za drugim razem? .
- Ależ... to, co powiedziałem.
- Nie było stosunku cielesnego? Nie zgwałcił cię?

Tak więc, nie mógł nie pomyśleć Marcello, zabójstwo było mniej ważne od grzechu przeciw naturze. Potwierdził:

— Było tylko to, co powiedziałem.

— Można by powiedzieć — ciągnął dalej ksiądz, niewzruszony — żeś zabił tego człowieka, żeby się zemścić za to, co ci zrobił...

— Nie zrobił mi absolutnie nic.

Zapadła chwila ciszy nabrzmiałej, jak mu się zdawało, źle ukrywanym niedowierzaniem.

— A potem — zapytał nagle ksiądz w sposób całkiem nieoczekiwany — nie miałeś nigdy stosunków z mężczyznami?

— Nie... Moje życie seksualne było i jest zupełnie normalne.

— Co rozumiesz przez normalne życie płciowe?

— Jestem pod tym względem takim samym mężczyzną jak wszyscy inni... po raz pierwszy zetknąłem się <z kobietą mając lat siedemnaście, w domu publicznym... i potem miewałem zawsze stosunki tylko z kobietami.

— I nazywasz to normalnym życiem seksualnym?

— Tak, a dlaczego?

— Przecież to jest także anormalne — oświadczył zwycięsko ksiądz — to także jest grzechem... Nigdy ci tego nie mówiono, biedny mój synu? Normalne jest ożenić się

i mieć stosunki z własną żoną w celu wydania na świat potomstwa.

— Właśnie zamierzam to zrobić.

— Dobrze, ale to nie wystarcza... nie możesz się zbliżyć do ołtarza z rękami splamionymi krwią.

“No, wreszcie” — pomyślał Marcello, któremu już się przez chwilę zdawało, że ksiądz zapomniał o zasadniczym przedmiocie spowiedzi. Powiedział, jak umiał, naj- pokorniej:

— Niech ksiądz mi powie, co mam zrobić.

— Musisz żałować — rzekł ksiądz — tylko szczerą i głęboką skruchą możesz odkutować zło, które wyrządziłeś.

— Odczuwałem skruchę — powiedział z namysłem Marcello — jeżeli skruchą można nazwać to, że było moim najgorętszym pragnieniem, żeby się odstały pewne rzeczy, które stały się z mojej winy. — Miałby ochotę dodać: “Lecz ta skrucha nie wystarczyła... nie mogła wystarczyć” — powstrzymał się jednak. Ksiądz odrzekł szybko:

— Moim obowiązkiem jest uprzedzić cię, że jeśli to, co teraz mówisz, nie jest zgodne z prawdą, moje rozgrzeszenie jest nieważne... Wiesz, co cię czeka, jeżeli mnie oszukasz?

— Co?

— Potępienie.

Ksiądz wymówił to słowo z szczególną satysfakcją. Marcello próbował uprzytomnić

sobie, jak odbiło się to słowo w jego wyobraźni, i nie znalazł nic: nawet odwiecznego obrazu ognia piekielnego. Ale zarazem rozumiał, że ten wyraz miał o wiele większe znaczenie niż to, które nadał mu ksiądz. I przeniknął go dreszcz zgrozy, jak gdyby pojął, że niezależnie od skruchy owo potępienie istnieje i że ksiądz nie ma władzy uwolnić go od niego.

— Naprawdę odczuwałem skruchę powtórzył z goryczą.

' — I nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

Marcello pomilczał chwilę, zanim odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że oto nadszedł moment, aby zaczął mówić o misji, która, jak wiedział, wiązała się z czynami zasługującymi na potępienie, a nawet z góry potępionymi przez zasady chrześcijańskie. Przewidział ten moment i nie bez racji przykładał największą wagę do tego, czy w ogóle potrafi to powiedzieć. I kiedy poruszył wargami, żeby mówić, uświadomił sobie z uczuciem spokoju i smutku, wywołanym z góry przewidzianym odkryciem, że ogarnia go nieprzewyciężony wstręt. Nie był to wstręt moralny ani wstyd, ani też żadne poczucie winy, lecz coś całkiem innego, co nie miało nic wspólnego z winą. Coś w rodzaju kategorycznego zakazu podyktowanego krańcową wiernością i oddaniem sprawie, w której współuczestniczył. Nie wolno mu było mówić o misji, to

wszystko; nakazywało mu to władczo to samo sumienie, które milczało, kiedy oznajmił księdzu: zabiłem. Niezupełnie przekonany, fcaz jeszcze spróbował mówić, lecz poczuł znowu, że ów wstręt — równie automatycznie jak zamek, który zatrzaskuje się po przekręceniu klucza — paraliżuje mu język i nie pozwala wypowiedzieć ani słowa. Tak więc ponownie i tym jaskrawiej potwierdzała się ipotęga władzy, reprezentowanej tam w ministerstwie przez nikczemnego ministra i jego nie mniej nikczemnego sekretarza. Tajemnicza jak wszelka władza, zdawała się wrastać korzeniami w samą głębię ducha, podczas gdy Kościół, na pozór o tyle potężniejszy, sięgał tylko powierzchni. Powiedział wtedy, uciekając się po raz pierwszy do kłamstwa:

— Czy mam powiedzieć przed ślubem mojej narzeczonej to, co wyznałem dziś księdzu?

— Nigdy jej o tym nie wspomniałeś?

— Nigdy, to byłoby po raz pierwszy.

— Nie widzę konieczności — odrzekł ksiądz — niepotrzebnie byś ją zaniepokoił i mógłbyś raz na zawsze zakłócić spokój twojej rodziny.

— Ma ksiądz słuszność — powiedział Marcello.

Znowu zapadło milczenie. Potem ksiądz powiedział takim tonem, jak gdyby dawał mu do zrozumienia, że zadaje ostatnie i decydujące pytanie:

— A powiedz mi, synu... czy nigdy nie należałeś do żadnej grupy czy sekty wywrotowej?

Marcello nie spodziewał się tego pytania i zmieszany milczał przez chwilę. Pomyślał, że najprawdopodobniej ksiądz zadał je z wyższego rozkazu, żeby się upewnić co do nastrojów politycznych wśród wiernych. A jednak znamienne było, że je zadał właśnie jemu, traktującemu praktyki religijne czysto formalnie, jako obrządki przyjęte przez społeczeństwo, do którego chciał należeć, że mu zalecał, aby nie występował przeciwko temu społeczeństwu. To uważał za gorsze niż występowanie przeciwko sobie samemu. Odpowiedziałby najchętniej: "Nie, należę do grupy, która poluje na wywrotowców". Lecz stłumił tę sarkastyczną pokusę i powiedział po prostu:

— Jestem urzędnikiem państwowym.

Ta odpowiedź musiała spodobać się księdzu, rzekł po chwili pojednawczo:

— Teraz musisz mi przyrzec, że się będziesz modlił... nie przez kilka dni czy przez kilka miesięcy... czy przez kilka lat... ale przez całe życie... będziesz się modlił za swoją duszę i za duszę tego człowieka... i skłonisz do modlitwy swoją żonę i twoje dzieci... jeśli je będziesz miał... Tylko modlitwa może cię przypomnieć Bogu i sprawić, by spłynęło na ciebie Jego miłosierdzie... rozumiałeś?... A teraz skup się i módl się razem ze mną.

Marcello automatycznie spuścił głowę i usłyszał poprzez kratki stłumiony głos księ- dza» 'który odmawiał modlitwę po łacinie. Potem nieco głośniej, w dalszym ciągu po łacinie, ksiądz wypowiedział formułę rozgrzeszenia; i Marcello wstał od konfesjonału.

Lecz kiedy przed nim przechodził, rozsunęła się zasłonka i spowiednik dał mu znak, żeby się zatrzymał. Marcello był zaskoczony, że wygląda tak właśnie, jak go sobie wyobraził; tęgawy, łysy, z szerokim, wypukłym czołem, gęstymi brwiami, z okrągłymi piwnymi oczyma, poważnymi, ale nieinteligentnymi, z grubymi wargami. Pro- bostzcz wiejski — pomyślał — zakonnik chodzący po kweście. Tymczasem ksiądz podawał mu w milczeniu cienką książeczkę z kolorowym obrazkiem na okładce: żywot świętego Loyoli, dla użytku młodzieży katolickiej. — Dziękuję — powiedział Marcello oglądając książeczkę. Ksiądz znów dał znak ręką, jak gdyby chciał powiedzieć, że nie ma za co, i zasunął firankę. Marcello skierował się do głównych drzwi.

Lecz przed wyjściem objął wzrokiem cały kościół, dwa rzędy kolumn, kasetony na suficie, pustą posadzkę, ołtarz — i wydało mu się, że żegna na zawsze dawny i przestarzały już obraz świata, za którym tęsknił i który nie mógł już istnieć. Coś w rodzaju mirażu na opak, tkwiącego w bezpośredniej przeszłości, od którego oddalał się z każdym

krokiem. Wreszcie podniósł ciężką zasłonę i wyszedł z kościoła na ostre światło spływające z czystego nieba, na plac, gdzie przenikliwie skrzypiały tramwaje, a w głębi ciągnął się rząd pospolitych bezimiennych kamienic i bazarów.

Rozdział IV

Gdy Marcello wysiadł z autobusu w dzielnicy, gdzie mieszkała jego matka, zauważył prawie od razu, że idzie za nim w pewnej odległości jakiś człowiek. Zerknął na niego z ukosa, idąc bez pośpiechu pod murem ogrodów. Był to mężczyzna średniego wzrostu, dosyć tęgi, z kwadratową twarzą o wyrazie uczciwym i dobrodusznym, lecz nie pozbawionym utajonego sprytu, jaki często spotyka się u chłopów. Miał na sobie lichy garnitur, spłowiały, w kolorze brązowo-liliowym, a na głowie kapelusz w brudnoszarym odcieniu, wciśnięty na oczy, ale z rondem po chłopsku podniesionym nad czołem. Gdyby Marcello spotkał go w dniu targowym w jakimś miasteczku, wzięłby go za wiejskiego dzierżawcę. Jechał tym samym autobusem co Marcello, wysiadł na tym samym przystanku i teraz szedł za nim po przeciwległym chodniku, nie starając się tego ukryć, dostosowując swój krok do kroku Marcello i ani na chwilę nie spuszczał go z oczu. Lecz w jego uporczywym spojrzeniu było jakieś wahanie, jak gdyby ów mężczyzna nie był pewien tożsamości Marcello i chciał

mu się lepiej przypatrzeć, zanim do niego podejdzie.

Tak więc przeszli razem biegnącą pod górę ulicę, w ciszy i upale wczesnopopołudniowych godzin. Za sztachetami zamkniętych bram, w ogródkach nie było nikogo; nikt też nie ukazywał się na całej długości ulicy, pod zielonym tunelem utworzonym przez gałęzie rozłożystych drzew. Ta pustka i ta cisza, sprzyjająca zaskoczeniu i napaści, nasunęły mu w końcu przypuszczenie, że idący jego śladami mężczyzna nie znalazł się tu przypadkowo. Po wzięwszy nagłą decyzję, raptownie przeszedł z chodnika na drugą stronę ulicy, kierując się wprost na nieznanego.

— Czy może mnie szukacie? — zapytał, gdy znaleźli się o kilka kroków od siebie.

Mężczyzna także przystanął na pytanie Marcella, przybierając prawie lękliwy wyraz twarzy.

— Wybaczcie — powiedział półgłosem — szedłem za wami tylko dlatego, że obaj idziemy pod ten sam adres... w przeciwnym razie nigdy bym sobie nie pozwolił... Wybaczcie, czy to wy jesteście doktor Clerici?

— Tak, to ja — odrzekł Marcello — a wy?

— Agent do specjalnych poruczeń, Orlando — rzekł mężczyzna kłaniając się niemal po wojskowemu — przysłała mnie pułkownik Baudino... Dał mi dwa wasze adresy... adres pensjonatu, w którym mieszkać, i

ten tutaj... Ponieważ w pensjonacie was nie zastałem, przyjechałem was tu szukać i przypadkowo znaleźliśmy się w tym samym autobusie..- idzie o pilną sprawę.

— Chodźcie — rzekł Marcello skręcając od razu do furtki willi swojej matki. Wyjął z kieszeni klucz, otworzył furtkę i poprosił mężczyznę, żeby wszedł. Agent usłuchał, zdejmując z szacunkiem kapelusz i odsłaniając idealnie okrągłą głowę z rzadkimi, czarnymi włosami i z białą, jakby wyrysowaną cyrklem łysiną na środku czaszki, przypominającą tonsurę. Marcello prowadził go alejką w głąb ogrodu, gdzie pod pergolą znajdował się stolik i dwa żelazne krzesła. Idąc przed agentem, nie mógł raz jeszcze nie pomyśleć o rzucającym się w oczy opuszczonym i zdziczałym wyglądzie ogrodu. Białe i czysteutki żwir, po którym tak lubił biegać jako dziecko, znikł bez śladu, wdeptany w ziemię lub rozsypany w różne strony; ślad tej alejki, całkowicie porośniętej chwastami, wyznaczały już tylko resztki dwóch małych mirtowych żywopłotów, które choć nierówne i przerywane, można było jeszcze rozpoznać. Na grządkach, po obu stronach żywopłotu, także pieniały się bujne chwasty; między róże wdarły się inne krzewy, splatając się z nimi w jedną całość. Poza tym tu i ówdzie widać było w cieniu drzew kupy śmieci, skrzynki bez dna, służące niegdyś do pakowania, potłuczone butelki oraz przeróżne inne dziwaczne przed

mioty, które zwykle trzyma się na strychu. Z obrzydzeniem odwrócił oczy od tego widoku i z bolesnym zdziwieniem znów zadał sobie pytanie: "Dlaczego nie doprowadzą tego do porządku? Trzeba by tak niewiele... dlaczego?" Dalej alejka biegła między willą a ogrodzeniem; był to mur porośnięty bluszczem, poprzez który, jako dziecko, porozumiewał się z Robertem, swoim sąsiadem. Wszedł pierwszy pod pergolę i usiadł na żelaznym foteliku, zapraszając agenta, żeby także usiadł. Lecz ten pozostał w pełnej szacunku, stojącej postawie.

— Panie doktorze — rzekł szybko — chodzi o drobną rzecz, pułkownik kazał mi wam powiedzieć, że w drodze do Paryża musicie się zatrzymać w S. — tu wymienił miasto położone niedaleko granicy — i skontaktować się z panem Gabrio, ulica dei Glicini, numer trzeci.

"Zmiana programu" — pomyślał Marcello. Wiedział, że zmienianie dyspozycji w ostatniej chwili było charakterystyczne dla Tajnego Wywiadu, który w ten sposób unikał odpowiedzialności i mylił ślady. 1— Ale co tam jest na tej ulicy dei Glicini — nie mógł się powstrzymać od zapytania — mieszkanie prywatne?

— Prawdę powiedziawszy, to nie, panie doktorze — odrzekł agent z szerokim uśmiechem, zakłopotanym i zarazem dającym wiele do zrozumienia — tam jest dom publiczny, właścicielka nazywa się Enrichetta

Parodi, ale wy zapytacie o pana Gabrio... Ten dom, jak wszystkie tego rodzaju domy, jest otwarty do północy... ale, doktorze, lepiej by było, żebyście tam poszli rano, kiedy nie ma nikogo... ja też tam będę. — Agent umilkł na chwilę, a potem, nie mogąc nic wyczytać z niewzruszonej twarzy Marcella, dodał zmieszany: — Tak będzie bezpieczniej, doktorze.

Marcello bez słowa spojrział na agenta i przyglądał mu się przez chwilę. Powinien był go teraz odprawić, ale sam nie wiedział dlaczego, może z powodu uczciwego i swojskiego wyrazu tej kwadratowej twarzy, chciał dorzucić jakieś nieoficjalne zdanie, okazać swoją sympatię. W końcu zapytał od niechcienia:

— Od jak dawna jesteście na służbie, Orlando?

— Od 1925 roku, doktorze. — Zawsze we Włoszech?

— To znaczy, prawie nigdy, doktorze — odpowiedział z westchnieniem agent, najwyraźniej skłonny <do zwierzeń. — Eh, doktorze, gdybym wam opowiedział, jak wyglądało moje życie i ile przeszedłem... Stale w drodze: Turcja, Francja, Niemcy, Kenia, Tunis... nigdy na miejscu. — Milczał przez chwilę, wpatrując się w Marcella, potem z retoryczną, a jednak szczerą emfazą dodał: — Wszystko dla rodziny i dla ojczyzny, doktorze.

Marcello podniósł oczy i znowu spojrział

na agenta, który stał wyprostowany, z kapeluszem w ręku, prawie na baczność, po czym z pożegnalnym gestem powiedział:

— A więc dobrze, Orlando, powtórzcie pułkownikowi, że zatrzymam się w S., tak jak sobie życzy.

— Tak, doktorze.' — Agent pożegnał się i oddalił idąc wzdłuż ściany willi.

Gdy Marcello został sam, popatrzył przed siebie. Ciepło było pod pergolą i słońce przeświecające przez liście i pędy (dzikiego wina paliło mu twarz niezliczonymi medalionami rozjarzonego światła. Żelazny lakierowany stolik, niegdyś śnieżnobiały, był teraz brudnobiaławego koloru, upstrzony w wielu miejscach czarnymi i rdzawymi plamami. Za pergolą mógł dostrzec kawałek muru, tam gdzie znajdowało się okienko w bluszczu, przez które zwykł był porozumiewać się z Robertem. Bluszcz rósł tam nadal i można było jeszcze zajrzeć do przyległego ogrodu; lecz rodzina Roberta nie mieszkała już w sąsiedniej willi, zajął ją teraz dentysta, który przyjmował tam swoich pacjentów. Nagle z gałęzi dzikiego wina zbiegła jaszczurka i bez lęku ześliznęła się na stolik. Była to duża jaszczurka z najpospolitszego gatunku, z zielonym grzbietem i białym brzuszkiem, który pulsował na tle pożółkłego lakieru stolika. Podbiegła do Marcella szybkimi posuwistymi kroczkami, po czym zatrzymała się, unosząc szpi-

czastą główkę i wpatrując się przed siebie maleńkimi czarnymi ślepkami. Popatrzył na nią z czułością, nie poruszając się, aby jej nie spłoszyć. Jednocześnie wspomniął, jak pozabijał w dzieciństwie jaszczurki i jak, chcąc się uwolnić od wyrzutów sumienia, pragnął zrobić z nieśmiałego Roberta swojego sprzymierzeńca i współnika. Nie udało mu się wtedy znaleźć nikogo, kto podzieliłby z nim ciężar winy. Pozostał sam w obliczu śmierci jaszczurek; i widział w tej samotności piętno zbrodni. Lecz teraz — pomyślał — nie jest i nie będzie już sam. Nawet gdyby popełnił zbrodnię, oczywiście dla ściśle określonych celów, stanęłoby przy nim państwo, organizacje polityczne, społeczne i wojskowe tegoż państwa, masy, które myślały tak samo jak on, i poza Włochami inne państwa i dalsze miliony ludzi. To, czego miał dokonać — rozważał — było jednak bez porównania gorsze niż zabicie kilku jaszczurek; pomimo to były przy nim tłumy, poczynając od agenta Orlando, zacnego człowieka, żonatego, ojca pięciorga dzieci. “Dla rodziny i dla ojczyzny”: to zdanie, tak naiwne przy całej swojej pompa* tyczności, podobne do pięknego sztandaru w jasnych kolorach, który powiewa na wesołym wietrzyku, podczas gdy grają fanfary i maszerują żołnierze, to zdanie brzmiało mu w uszach, patetyczne i melancholijne, zabarwione nadzieją i smutkiem. “Dla rodziny i dla* ojczyz-ny — pomyślał — Orlan-

dowi to wystarcza, dlaczego nie miałyby wystarczać i mnie?"

Usłyszał warkot motoru w ogrodzie od strony ulicy i wstał gwałtownym ruchem, który spłoszył jaszczurkę. Wyszedł bez pośpiechu z pergoli i skierował się w tamtą stronę. Stary samochód stał w alei niedaleko bramy, która była jeszcze otwarta. Szofer w białej liberii z błękitnymi szamerunkami właśnie zamykał bramę, lecz na widok Marcella stanął i zdjął czapkę.

— Alberi — powiedział Marcello bardzo spokojnym tonem — jedziemy dziś do kliniki, nie wstawiaj samochodu do garażu.

— Tak jest, panie Marcello — odrzekł szofer. Marcello zerknął na niego z ukosa. Alberi był młodym mężczyzną o oliwkowej cerze i czarnych jak węgiel oczach, z białkami lśniącymi porcelanową bielą. Miał bardzo regularne rysy, zęby nadzwyczaj białe i zwarte, włosy czarne, starannie wypomadowane. Nie wysoki, robił jednak wrażenie nadzwyczaj proporcjonalnego, może dzięki wyjątkowo drobnym stopom i dłoniom. Był w wieku Marcella, lecz wyglądał na starszego, z rysów jego bowiem biła owa wschodnia miękkość, która z biegiem czasu nieuchronnie przeradza się w nadmierną otyłość. Marcello spojrzął na niego raz jeszcze, z głęboką odrazą, gdy zamykał bramę; potem poszedł do willi.

Otworzył drzwi balkonowe i wszedł do salonu, prawie po ciemku. Natychmiast ude

rzył go jak obuchem ciężki zaduch, jeszcze znośny w porównaniu z tym, jaki panował w innych pokojach, w których panoszyło się dziesięć pekińczyków matki, ale może tym bardziej dający się we znaki tutaj, gdzie nie wchodziły prawie nigdy. Gdy otworzył okno, trochę światła wpadło do salonu i zobaczył na chwilę przykryte szarymi pokrowcami meble, zwinięte dywany ustawione w kątach pod ścianami, fortepian spowity w spięte szpilkami prześcieradła.. Minął salon i jadalnię, potem hall i poszedł na górę. W połowie schodów, na marmurowym stopniu (dywan, cały w strzępach, usunięto od dawna i nie położono na jego miejsce innego), leżała psia kupka, którą obszedł, żeby w nią nie wdepnąć. Znalazłszy się na podeście, skierował się do drzwi pokoju matki i uchylił je. Nie zdążył ich jeszcze całkiem otworzyć, gdy hurmem, niczym długo powstrzymywany strumień, rzuciło mu się pod nogi wszystkie dziesięć pekińczyków, które rozbiegły się z poszczekiwaniami na podeście i na schodach. Znudzony i niepewny, patrzył na uciekające psy, z ogonami jak pióropusze i ze wzgardliwymi, prawie kocimi pyszczkami. Potem z pogrążonego w półcieniu pokoju dobiegł go głos matki:

— Czy to ty, Marcello?

— Tak, to ja, mamó... ale co z tymi psami?

— Daj im trochę pobiegać, biedactwa były zamknięte przez całe rano... Daj im trochę pobiegać.

Marcello gniewnie zmarszczył brwi i wszedł. Powietrze w pokoju od razu wydało mu się duszne, -nie do wytrzymania: zamknięte okna zachowały z nocy -pomieszane zapachy snu, psów i perfum, które zdawały się już kwaśnieć i fermentować pod wpływem ciepła promieni, słonecznych, padających na zamknięte żaluzje. Sztywny, czujny, jak gdyby bał się zabrudzić i przesiąknąć tym zapachem przy lada poruszeniu, podszedł do łóżka i usiadł na krawędzi, opierając dłonie na kolanach.

Teraz, gdy jego wzrok zaczął się przyzwyczajać do półmroku, mógł już zobaczyć cały pokój. Pod oknem, w mętnym świetle przebijającym poprzez poźółkłe i zbrukane firanki, które były, zdaje się, uszyte z tego samego zwiotczałego materiału, co porozrzucone po całym pokoju różne części bielizny, stały aluminiowe miseczki z jedzeniem dla psów. Na podłodze wałały się buciki i pończochy; koło wejścia do łazienki, w prawie ciemnym kącie, widać było różowy szlafrok ze zwisającym rękawem, rzucony poprzedniego wieczora na krzesło, z którego zsunął się częściowo na podłogę. Przeniósł zimny i pełen odrazy wzrok z pokoju na łóżko, na którym leżała matka. Jak zazwyczaj, nie pomyślała o tym, aby się przykryć, gdy wszedł, i była na wpół naga. Wyciągnięta, trzymała ręce nad głową, opierając złożone dłonie o poręcz łóżka, obita niebieskim jedwabiem, przetartą już i poczer

niała, i patrzyła na niego przenikliwie, w milczeniu. Wśród bujnych włosów, spływających na dwie strony jak ciemne puszyste skrzydła, widniała jej twarz delikatna, wymizerowana, trójkątna, pożerana przez oczy, które mrok żalobnie powiększał i pogłębiał. Miała na sobie przejrzystą zielonkawą halkę, sięgającą ledwie po uda; i przyszło mu na myśl znowu, po raz nie wiadomo który, że nie jest to kobieta dojrzała, ale wysuszona i postarzała dziewczynka. Wy-chudzona klatka piersiowa ukazywała nad mostkiem drabinkę ze spiczastych kosteczek; poprzez batyst przeświecały dwiema ciemnymi plamami zwiędłe, nie uwypuklające się sutki. Lecz największą odrazę i jednocześnie litość budziły w Marcellu jej uda:.. chude i spłaszczone, wyglądały jak uda dwunastoletniej dziewczynki, która nie nabrała jeszcze kobiecych kształtów. Wiek matki zdradzała nieomylnie pomarszczona, zwiotczała skóra, a także kolor tej skóry: zimna i matowa biel, na której odcinały się ostro tajemnicze plamy to błękitne, to sine. "Ślady uderzeń — pomyślał — albo zębów Alberiego". Lecz poniżej kolan nogi z maleńkimi stopami o zwartych palcach były wyjątkowo piękne. Marcello wołałby nie okazywać matce swego złego humoru; jednakże i tym razem nie mógł się powstrzymać:

— Mówiłem ci już tyle razy, żebyś mnie nie przyjmowała na pół naga — rzekł z po-

gardą, nie patrząc na nią. Odpowiedziała niecierpliwie, ale bez urazy: — Och, jakiego mam surowego syna — naciągając na siebie rąbek kołdry. Głos jej był zachrypnięty, i to także raziło Marcella. Pamiętał z okresu dzieciństwa, że brzmiał on czysto i dźwięcznie, jak śpiew: ta chrapliwość była skutkiem alkoholu i rozwiązłości. Powiedział po chwili:

—Więc jedziemy dziś do kliniki.

—No, to jedźmy — rzekła matka unosząc się i szukając czegoś za poręczą łóżka — chociaż ja się bardzo źle czuję, a tego biedaka nasze wizyty ani ziębią, ani grzeją.

—Ale on jest twoim mężem i moim ojcem — powiedział Marcello ujmując głowę w dłonie i patrząc w ziemię.

— Oczywiście, że tak — odrzekła. Wymacała guziczek od kontaktu i nacisnęła go. Na nocnym stoliczku zabłysła słabym światłem lampka, która — tak mu się przynajmniej wydało — owinięta była damską koszulą. — Chociaż — ciągnęła dalej, podnosząc się i spuszczać stopy na ziemię — powiem ci prawdę, że pragnęłabym, żeby umarł... On nawet nie zdawałby sobie z tego sprawy... a ja nie musiałabym wydawać pieniędzy na klinikę... mam ich tak mało, pomyśl — dodała nagle żalnym tonem — pomyśl, że może będę nawet musiała zrezygnować z samochodu.

— Cóż w tym strasznego?

— A właśnie, że to straszne — powiedzia

ła z dziecinnym wyrzutem i bezwstydem — pod pretekstem samochodu mogę trzymać Alberiego i widywać go, kiedy mi się podoba... a tak nie będę już miała tego pretekstu.

— Mamo, nie opowiadaj mi o swoich kochankach — rzekł spokojnie Marcello przy-
patrując się paznokciom swoich splecionych rąk.

— O moich kochankach?... Mam tylko tego jednego... a jeśli ty opowiadasz mi o tej gęsi
twojej narzeczonej z kurzym mózdzkiem, to i ja mam prawo mówić o tym drogim nieboraku,
który jest o tyle miłszy i o tyle inteligentniejszy od niej!

O dziwo, krytyczne nastawienie matki do Giulii, której nie mogła ścierpieć, nie obrażało
Marcella. "To prawda — pomyślał — może i ma kurzy mózdzek, ale taka właśnie mi się
podoba". Powiedział łagodniejszym tonem:

— Może byś się zaczęła ubierać... jeśli mamy jechać do kliniki, to czas niedługo
wyruszyć.

— Już zaraz będę gotowa. — Lekka, niczym cień, przeszła na palcach przez pokój, po
drodze zdjęła z krzesła szlafrok i zarzucając go na ramiona otworzyła drzwi do łazienki, za
którymi znikła.

Gdy matka wyszła, Marcello natychmiast podszedł do okna i otworzył na całą szerokość.
Na dworze było gorąco i duszno, pomimo to miał wrażenie, że doznał tak

wielkiej ulgi, jak gdyby się wychylił nie na parny ogród, ale na lodowiec. A zarazem wydało mu się nieomal, że czuje w pokoju, za plecami ruch powietrza, ciężkiego od stęchłych perfum i zwierzęcego odoru, powietrza, które leniwie się przesunęło, powoli wydostawało się oknem i ulatniało w przestrzeni niczym olbrzymie powietrzne torsje buchające z gardzieli zatrutego domu. Stał przez dłuższą chwilę patrząc w dół na gęste liście glicynii, otaczającej gałązkami okno, po czym odwrócił się w stronę pokoju. Wydało mu się nagle, że widzi matkę taką, jaką była w młodości, i targnęło nim uczucie gwałtownego, bolesnego buntu przeciwko zwyrodnieniu i zepsuciu, które zmieniły dziewczątko z dawnych lat w taką kobietę, jaką była teraz. Coś niezrozumiałego, nieuchronnego stanowiło źródło owej przemiany; nie wiek, nie namiętność, nie ruina finansowa, nie ograniczona inteligencja ani żaden inny konkretny powód; coś, co wyczuwał intuicyjnie i co zdawało się nieodłączne od tego życia, a nawet było w swoim czasie jego największą cnotą, by później stać się, wskutek tajemniczego przeobrażenia, śmiertelnym grzechem. Odszedł od okna i zbliżył się do komody, na której wśród mnóstwa drobiazgów stała fotografia matki z czasów młodości. Patrząc na tę delikatną twarz, niewinne oczy* wdzięczne usta, ze zgrozą zadał sobie pytanie, dlaczego nie jest już taka, jak wtedy. W tym pytaniu wyra-

żał się jego wstręt do wszelkiego zwyrodnienia i zepsucia, tym trudniejszy do zniesienia, że obciążony cierpkim uczuciem żalu i synowskiego bólu: może to z jego winy matka stoczyła się tak nisko, może gdyby ją kochał bardziej albo inaczej, nie znalazłaby się teraz w stanie tego żalosego i nieodwracalnego opuszczenia. Poczuł, że na tę myśl oczy napełniły mu się łzami, tak że widział teraz fotografię jak przez mgłę, więc energicznie potrząsnął głową. W tej samej chwili otworzyły się drzwi łazienki i matka, w szlafroku, ukazała się na progu. Od razu zasłoniła ramieniem oczy, wołając:

— Zamknij, zamknij okno... jak możesz znieść ten blask.

Marcello szybko poszedł, aby opuścić żaluzję; potem zbliżył się do matki, ujął ją za ramię, posadził koło siebie na krawędzi łóżka i zapytał łagodnie:

— Mamusiu, jak możesz znieść ten nieporządek?

Spojrzała na niego niepewnie, z zakłopotaniem:

— Sama nie wiem, jak się to dzieje... Powinam zawsze kłaść każdą rzecz na swoje miejsce... ale jakoś zawsze o tym zapominam.

I— Mamusiu — powiedział nagle Marcello —.w każdym wieku trzeba umieć zachować swoją godność osobistą... Dlaczego tak się (zaniedbałaś?

Ścisnął ją za rękę; w drugiej ręce matka

trzymała w powietrzu wieszak, na którym wisiała suknia. Wydało mu się przez chwilę, że widzi w tych olbrzymich, j dzieciennie zatroskanych oczach wyraz prawdziwego cierpienia: usta matki rzeczywiście lekko zadrżały. Po czym niespodziewanie pogardliwy girymas odegnał wzruszenie. Zawołała: — Wiem, że wszystko we mnie i wszystko, co robię, nie podoba ci się... nie możesz ścierpieć moich psów, moich sukienek, moich przyzwyczajień... Ale ja jestem jeszcze młoda, mój drogi, i chcę używać życia po swojemu... Teraz puść mnie — zakończyła, gwałtownie wrywając rękę — bo nigdy się nie ubiorę.

Marcello nic nie odpowiedział. Matka poszła w kąt pokoju, zrzuciła szlafrok, który spadł na ziemię, potem otworzyła szafę i przed lustrem włożyła suknię. W sukni uwydatniła się jeszcze bardziej niezwykła chudość szpiczastych bioder, zapadniętych ramion i zwiędłego biustu.

Przejrzała się w lustrze, poprawiając jedną ręką włosy, potem, podskakując najpierw na jednej, potem na drugiej nodze, włożyła jedną z licznych par rozrzuconych na podłodze pantofli.

— Idziemy — powiedziała biorąc torebkę z komody i kierując się ku drzwiom.

— Nie wkładasz kapelusza?

— A po co? Nie potrzeba.

Na schodach matka powiedziała:

— Nie wspomniałeś mi nic o twoim ślubie.

— Żenię się pojutrze.

— A dokąd jedziesz w podróż poślubną?

— Do Paryża.

— Klasyczna podróż poślubna — rzekła matka. Gdy znaleźli się w hallu, podeszła do kuchennych drzwi i powiedziała kucharce: — Matyldo, pod wieczór proszę wpuścić do domu psy.

Wyszły do ogrodu. Samochód, czarny i matowy, stał za drzewami w alei wjazdowej. Matka powiedziała:

— A więc stanowczo nie chcesz się tu wprowadzić i zamieszkać razem ze mną... Choć nie czuję sympatii do twojej żony, zrobiłabym jeszcze jedno poświęcenie więcej... a poza tym jest tyle miejsca.

— Nie, mam — odrzekł Marcello.

— Wolisz się wprowadzić do twojej teściowej — powiedziała zdawkowo — do tego potwornego mieszkania: cztery pokoje z kuchnią. S Schyliła się, żeby zerwać źdźbło trawy, lecz zachwiała się przy tym i byłaby upadła, gdyby Marcello nie podtrzymał jej, ujmując pod ramię. Poczł pod palcami chude i zwiotczone ciało, które zdawało się nie trzymać kości, jak gałgan owinięty dokoła patyka, i znowu ogarnęło go współczucie dla matki. Wsiadł do samochodu, przy którym stał Alberi z czapką w rękę, trzymając otwarte drzwiczki. Potem Alberi usiadł na swoim miejscu i przejechał przez bramę. Marcello wykorzystał moment, kiedy Alberi poszedł zamknąć bramę, żeby powiedzieć matce:

— Zamieszkałbym z tobą bardzo chętnie... gdybyś zwolniła Alberiego i trochę uporządkowała swoje życie... i gdybyś przestała brać te zastrzyki.

Spojrzała na niego z ukosa, nie wyczytała zrozumienia w jej oczach. Ale drgnął jej wąski nos, potem małe i zwiędłe usta, na których owo drgnienie przeszło w błady i kurczowy uśmiech:

— Wiesz, co mówi doktor? Że któregoś dnia może się-to skończyć śmiercią.

— Więc czemu nie wyrzekasz się tego?

— A powiedz mi, dlaczego miałabym się wyrzec?

Alberi wszedł do samochodu i włożył ciemne okulary. Matka pochyliła się do przodu, oparła mu dłoń na ramieniu.- Była to wychudzona, przezroczysta dłoń o skórze napiętej na ścięgnach i upstrzonej czerwonymi i sinymi plamami, o paznokciach, których szkarłat miał prawie czarny odcień. Marcello chciał nie patrzeć, lecz nie mógł. Widział tę dłoń przesuwaną się po ramieniu mężczyzny i potem łaskoczącą pieszczotliwie jego ucho. Matka powiedziała:

— Jedziemy do kliniki.

— Tak jest, proszę pani — powiedział Alberi nie oglądając się za siebie.

Matka zamknęła szybę rozdzielczą i rzuciła się na poduszki, a samochód powoli ruszył. Opadając na siedzenie auta, spojrzała z ukosa na syna i ku zdziwieniu Marcella, który nie posądzał jej o taką intuicję, powiedziała:

— Jesteś zły dlatego, że pogłaskałam Al-beriego, prawda?

Mówiąc to spoglądała na niego z tym swoim dziecięcym, rozpaczliwym i jakby konwulsyjnym uśmiechem. Marcello nie zdołał opanować wyrazu niechęci, który malował się na jego twarzy. Odpowiedział:

— Nie jestem zły... po prostu wolałbym tego nie widzieć.

Odrzekła nie patrząc na niego:

— Ty nie wiesz, co to jest dla kobiety nie być już młodą... to -gorsze od śmierci.

Marcello milczał. Samochód jechał teraz cicho między drzewami, których puszyste gałęzie muskały z szelestem szyby. Matka dodała po chwili:

— Czasami chciałabym być już stara... byłabym chudą, czyściutką staruszką — uśmiechnęła się zadowolona i już pochłonięta swoją wizją — podobną do zaszuszonego kwiatu, przechowanego między kartkami książki. — Oparła rękę na ramieniu Marcella i zapytała: — Czy nie wolałbyś mieć takiej matki-staruszki, przedwcześnie postarzałej, dobrze zakonserwowanej jak w naftalinie?

Marcello popatrzał na nią i odpowiedział zmieszany:

— Będiesz kiedyś taka.

Spoważniała i powiedziała spoglądając na niego spod oka, z bladym uśmiechem:

— Naprawdę tak myślisz?... A ja jestem pewna, że w najbliższych dniach znajdą

mnie nieżywą w tym pokoju, którego tak nienawidzisz.

— Dlaczego, mamó? — zapytał Marcello; lecz zdawał sobie sprawę, że ma tka mówi ina serio i może nawet ma rację: — Jesteś młoda i musisz żyć.

— To nie wyklucza, że umrę niedługo, wiem o tym, kazałam sobie zrobić horoskop. — Niespodziewanie podsunęła mu dłoń, dorzucając bez żadnych wstępów: — Podoba ci się ten pierścionek?

Był to gruby pierścionek, z półszlachetnym opalizującym kamieniem.

— Tak — powiedział Marcello, prawie nań nie patrząc — bardzo ładny.

—¹ Wiesz — rzekła matka przeskakując jak zwykle z tematu na temat — czasami myślę sobie, żeś ty się zupełnie wrodził w twojego ojca... on także, kiedy był jeszcze przy zdrowych zmysłach, niczego nie lubił, piękno nie przemawiało do niego... myślał tylko o polityce... tak jak ty.

Tym razem Marcello, sam nie wiedząc dlaczego, nie mógł powstrzymać gwałtownego rozdrażnienia.

— Wydaje mi się — odrzekł —" że między mną i moim ojcem nie ma nic wspólnego... Jestem człowiekiem w najwyższym stopniu rozsądnym, słowem: normalnym... On natomiast, nawet zanim poszedł do kliniki, był, jak pamiętam i jak ty zawsze twierdziłaś... jakby to powiedzieć... trochę egzaltowany.

— Tak, ale macie coś wspólnego... nie umiecie cieszyć się życiem i nie chcecie, żeby inni się nim cieszyli. —]NJą moment wyrzała oknem i dorzuciła niespodziewanie: — Nie przyjdę na twój ślub... nie obrażaj się o to, od dawna nigdzie nie bywam... Ale ponieważ, ostatecznie, jesteś moim synem, chcę ci dać prezent... Co byś chciał dostać?

— Nic, mamó — odpowiedział obojętnie Marcello.

— Szkoda — odparła naiwnie matka — gdybym wiedziała, że nic nie chcesz, nie wydałabym pieniędzy... ale już ci coś kupiłam... masz. — Przeszukała torebkę i wyjęła z niej białe pudełeczko, obciążone gumką: — To papierośnica... Zauważyłam, że wkładasz ęło kieszeni papierosy w paczkach.

Otworzyła pudełko i wyciągnęła z niego srebrną papierośnicę, płaską, cyzelowaną w drobne paseczki; otworzyła ją i podała synowi. Była napelniona orientalnymi papierosami. Matka, korzystając z okazji, sięgnęła od razu po papierosa, którego zapalił jej Marcello. Był nieco zmieszany i patrząc na leżącą na kolanach matki papierośnicę, powiedział, nie dotykając jej:

— Jest prześliczna, nie wiem, jak ci podziękować, mamó... jest może nawet za ładna dla* mnie.

— Uff, jakiś ty nudny — odrzekła matka. Zamknęła papierośnicę i wepchnęła ją

wdzięcznie arbitralnym ruchem do kieszeni marynarki Marcella. Samochód ściął ostro zakręt i matka wpadła na Marcella. Wykorzystała to, opierając mu dłonie na ramionach, odchylając nieco głowę do tyłu i patrząc na niego: — Pocałujesz mnie za ten prezent?

Marcello pochylił się i musnął ustami policzek matki. Ona rzuciła się w tył na poduszki samochodu i powiedziała z westchnieniem, przyciskając rękę do piersi:

— Co za serdeczność!... Kiedy byłeś mały, nie musiałam cię prosić o pocałunki... Byłeś tak uczuciowym dzieckiem!

— Mamo — rzekł nagle Marcello — czy pamiętasz tę zimę, kiedy zachorował ojciec?

— Czy pamiętam? — odrzekła naiwnie matka. To była straszna zima... żądał separacji i chciał cię z sobą zabrać... już wtedy był nienormalny... na szczęście; to znaczy na szczęście dla ciebie; zwariował do reszty i wtedy się okazało, że miałdm rację, chcąc cię zatrzymać przy sobie... A dlaczego pytasz?

— A więc, mamo — rzekł Marcello starając się nie patrzeć na matkę — tej zimy marzyłem o tym, żeby nie być w domu z wami, z tobą i z ojcem, i żebyście mnie oddali do internatu... co bynajmniej nie przeszkadzało mi cię kochać... i dlatego nie masz racji, kiedy mówisz, że się zmieniłem, od tamtego czasu... Byłem wtedy taki, jaki jestem teraz... i wtedy, tak samo jak teraz,

nie znośłem nieporządku i bałaganu... to wszystko. — Mówił sucho i prawie twardo; lecz niemal od razu tego pożałował, widząc ponure zgnębienie na twarzy matki. Nie chciał jednak dorzucić nic, co wyglądałoby na odwołanie: powiedział prawdę i, niestety, nie mógł mówić nic innego, jak tylko prawdę. Ale zarazem, uświadamiając sobie, że okazał się bezlitosny wobec matki, poczuł silniej niż kiedykolwiek ciężar przytłaczającej go melancholii. Matka powiedziała zrezygnowanym głosem:

— Może masz rację. — W tej chwili samochód stanął.

Wysiedli i poszli do bramy kliniki; ulica leżała w spokojnej dzielnicy i sąsiadowała z dawną królewską rezydencją. Była to krótka ulica: po jednej stronie stało parę staroświeckich kamieniczek, częściowo zasłoniętych drzewami; po drugiej ciągnęło się ogrodzenie kliniki. W głębi przesłaniał widoczność szary, stary mur i gęsta roślinność królewskiego parku. Marcello odwiedzał ojca co najmniej raz w miesiącu od wielu lat, a jednak nie przyzwyczał się jeszcze do tych wizyt i za każdym razem doznawał uczucia przygnębienia i odrazy. Było to mniej więcej to samo uczucie, jakie budziły w nim wizyty u matki, w willi, w której spędził dzieciństwo i młodość, lecz o wiele silniejsze: nieład u matki i jej zepsucie zdawały się jeszcze możliwe do naprawienia; ale na szaleństwo ojca nie było lekar-

stwa i nasuwało ono myśl o nieładzie i zepsuciu szerzej pojętych i absolutnie nieuleczalnych. Tak więc i tym razem, gdy wszedł w tę ulicę przy boku matki, serce ścisnął mu straszliwy niepokój i ugięły się pod nim kolana. Wiedział, że zbladł, i przez chwilę, spoglądając przelotnie na czarne iprety sztachet kliniki, zapragnął histerycznie zrezygnować z wizyty i odejść pod jakimkolwiek pretekstem. Matka, która nie zauważyła jego zmieszania, powiedziała zatrzymując się przed małą czarną furtką i naciskając porcelanowy guzik dzwonka:

— Wiesz, jaka jest jego ostatnia mania?

— Jaka?

— Że jest jednym z ministrów Mussoliniego... to się zaczęło już przed miesiącem... może dlatego, że pozwalają mu czytać gazety.

Marcello zmarszczył brwi, ale nie powiedział ani słowa. Furtka otworzyła się i ukazał się młody pielęgniarz w białym fartuchu, tęgi, wysoki blondyn, z przystrzyżonymi przy skórze włosami i bladą, nieco obrzmiałą twarzą.

— Dzień dobry, Franz — powiedziała przymilnie matka. — Co słyhać?

— Dzisiaj czujemy się lepiej niż wczoraj — odrzekł pielęgniarz swoim twardym niemieckim akcentem — wczoraj czuliśmy się bardzo źle.

— Bardzo źle?

— Musieliśmy włożyć kaftan bezpieczeń-

stwa —• wyjaśnił pielęgniarz używając w dalszym ciągu liczby mnogiej, podobnie jak afektowane guwernantki, kiedy mówią o swoich pupilach.

— Kaftan bezpieczeństwa... to okropnej — Weszli tymczasem do środka i szli wąską aleją między murem ogrodzenia i ścianą kliniki. — Żebyś ty widział ten kaftan bezpieczeństwa... to nie jest naprawdę kaftan, tylko jakby dwa rękawy, które unieruchamiają mu ręce... Dawniej wyobrażałam sobie, że to taka zwyczajna koszula nocna... Jakie to smutne widzieć go z rękami przyciśniętymi do boków. — Matka paplała dalej beztrosko, niemal wesoło. Obeszli dokoła klinikę i wyszli na plac, przed główną bramę. Klinika, nieduży, biały, trzypiętrowy budynek, wyglądała na zwykły dom mieszkalny, tyle tylko, że w oknach były kraty. Pielęgniarz, wchodząc szybko na schody ganku, powiedział: — Profesor czeka na panią, pani Clerici. — Wszedł przed nimi do pustego, ocienionego przedsionka i zastukał do zamkniętych drzwi, na których przybita była emaliowana tabliczka z napisem: "Dyrekcja".

Drzwi otworzyły się natychmiast i wypadł z nich dyrektor kliniki, profesor Er- mini, śpiesząc na powitanie gości z całym impetem swojej imponującej wzrostem i tuszą osoby. — Moje uszanowanie pani, dzień dobry, panie doktorze. — Jego tubalny głos rozbrzmiewał niczym spiżowy gong w lodo

watej ciszy kliniki, między nagimi ścianami. Matka podała mu rękę, którą profesor pochylając z widocznym wysiłkiem okutane w fartuch cielsko, ucałował z galanterią; Marcello ograniczył się do powściągliwego ukłonu. Profesor był z twarzy uderzająco podobny do puchacza: miał duże okrągłe oczy, gruby nos zagięty jak dziób, rude wąsy postrzępione nad krzykliwymi ustami; tylko jowialny wyraz nie przypominał smutnego nocnego ptaka, chociaż ta jowialność była wystudowana i wynikała z zimnego wyrachowania. Profesor wszedł pierwszy na schody, przed Marcellem i jego matką. Gdy doszli do połowy schodów, jakiś silnie rzucony z podestu metalowy przedmiot potoczył się .podskakując po schodach. W tej samej chwili dał się słyszeć przenikliwy krzyk, który przeszedł w chichot. Profesor schylił się i podniósł ten przedmiot: aluminiową miseczkę.

—To pani Donegalli — rzekł zwracając się do gości — nic groźnego... to starsza pani, na ogół bardzo spokojna, tylko czasami rzuca wszystkim, co jej wpadnie w rękę... He, he, gdybyśmy jej nie utrudniali treningu, zostałaaby mistrzynią w rzucie kulą. Sg Podał miszkę pielęgniarzowi i wszedł gawędząc na długi korytarz z dwoma rzędami zamkniętych drzwi po bokach. —; Jak się to stało, że jest pani jeszcze w Rzymie? Myślałem, że wyjechała pani w góry albo nad morze.

!Wyjadę za miesiąc — odrzekła matka. — Sama jeszcze nie wiem dokąd... ale tym razem, mam nadzieję, nie do Wenecji.

.— Coś pani .poradzę — rzekł profesor skręcając korytarzem — niech się pani wybierze na Ischię... byłem tam właśnie na wycieczce... coś cudownego... Poszliśmy do restauracji niejakiego Carminiella: jedliśmy zuppa di pesce: poemat! — Profesor odwrócił się i cmoknął wulgarnie, ale wymownie, przykładając dwa palce do ust. — Poemat, powiadam pani, dzwonka ryby, o, takie duże... i wszystkiego po trochu, wyśmienite ostryżki i kraby, i krewetki, i to wszystko w sosie alla marinara... czosnek, oliwa, pomidory, pieprz turecki... nie dodam nic więcej, proszę pani. — Przy opisie potrawy rybnej profesor posłużył się żartobliwie akcentem neapolitańskim, który kaleczył niemiłosiernie, potem powrócił do rodzimego, rzymskiego, dodając: — Wie pani, co powiedziała moja żona? “Zobaczysz, że do ro-\ ku zbudujemy sobie domek na Ischii”.

Matka powiedziała:

— Wolę Capri.

— Capri to miejscowość dla literatów i zbrojeńców — odrzekł profesor niedbale i grubiańsko. W tej samej chwili rozległ się w jednym z pokoiów przejmujący wrzask. Profesor podszedł do drzwi, otworzył judasza, zajrzał do środka, zamknął okienko, po czym odwracając się oświadczył: — Ischia, droga pani, Ischia to odpowiednie miejsce:

zuppa di pesce, morze, słońce, życie na łonie natury... nie ma jak Ischiaż

Pielęgniarz Franz, który wyprzedził ich o kilka kroków, czekał teraz, stojąc nieruchomo w drzwiach jednego z licznych pokoi; jego potężna postać rysowała się wyraźnie na tle okna w głębi korytarza. — Zażył ten środek uspokajający? — zapytał cicho profesor. Pielęgniarz skinął głową. Profesor otworzył drzwi i wszedł, matka i Marcello podążyli za nim.

Był to mały pokój o gołych ścianach, z umocowanym w murze łóżkiem; naprzeciw zakratowanego okna stał stolik z białego drzewa. Przy tym stoliku Marcello, z dreszczem odrazy, zobaczył ojca, siedzącego plecami do drzwi i zajętego pisaniem. Gęsta siwa czupryna jeżyła mu się na głowie, nad chudym karkiem, wystającym z szerokiego kołnierza sztywnego, pasiastego kitla. Siedział trochę na ukos, w olbrzymich filcowych pantoflach na nogach, z szeroko rozsuniętymi kolanami i łokciami, z głową przekrzywioną na bok. Podobny, pomyślał Marcello, do marionetki, odciętej od sznurków. Gdy weszli w trójkę, nie obejrzał się nawet; co więcej, zdawał się jeszcze bardziej pochłonięty pisaniem. Profesor zbliżył się do niego, stanął (między oknem i stołem i powiedział ze sztucznym ożywieniem:

— No, jak się pan dzisiaj czuje, majorze, jak tam?».

Obłąkany nie odezwał się, tylko podniósł

rękę, jak gdyby chciał powiedzieć: "Chwileczkę, nie widzicie, że jestem zajęty?" Profesor rzucił porozumiewawcze spojrzenie matce i powiedział:

— Wciąż pracuje pan nad tym memoriałem, co, majorze... ale czy nie będzie za długi?... Duce nie ma czasu czytać takich rozległych rzeczy, sam jest zwięzły, ścisły... zwięzłość, ścisłość, majorze.

Wariat wykonał znowu ten sam gest, unosząc do góry kościstą rękę; potem, w przypiływie furii, wyrzucił w powietrze nad pochyloną głowę kartkę papieru, która upadła na środek pokoju. Marcello schylił się, aby ją podnieść. Zawierała tylko kilka niezrozumiałych słów, krzywo napisanych i podkreślonych w wielu miejscach. Może nawet nie były to słowa. Podczas gdy oglądał kartkę, wariat zaczął rozrzucać dalsze, ciągle tym samym zaferowanym gestem. Kartki fruwały nad siwą głową i rozlatywały się po pokoju. W miarę ciskania papierów ruchy wariata stawały się coraz gwałtowniejsze i teraz cały pokój był już pełen pokratkowanych kartek. Matka powiedziała:

— Drogi mój biedak... zawsze miał zamiłowanie do pisania.

Profesor nachylił się ku obłąkanemu:

— Majorze, przyszła pańska żona i pański syn... Nie chce się pan z nimi zobaczyć?

Tyni razem wariat przemówił, głosem niskim, mrukliwym, wrogim, szybko, jak ktoś, komu przeszkadzają przy ważnym zajęciu:

— Niech przyjdą jutro... chyba że mają konkretne propozycje... Czy nie widzicie, że mam poczekalnię pełną ludzi i nie mogę nadażyć z przyjmowaniem ich?

— Zdaje mu się, że jest ministrem — szepnęła matka do Marcella.

— Ministrem spraw zagranicznych — potwierdził profesor.

— Sprawa Węgier — powiedział nagle wariat nie przerywając pisania,, szybko, głosem ściszym, zadyszany — sprawa Węgier, ten szef rządu, który jest w Pradze... w Londynie, co oni robią? A Francuzi dlaczego nie rozumieją? Dlaczego nic nie rozumieją? Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? — Każde "dlaczego" wymawiał coraz donośniej głosem; wreszcie przy ostatnim "dlaczego", wypowiedzianym prawie z rykiem, skoczył na równe nogi i odwrócił się twarzą do przybyłych. Marcello podniósł oczy i spojrzał na niego. Pod siwymi, najeżonymi włosami chuda, wynędzniała, ciemna, poorana podłużnymi bruzdami twarz nacechowana była powagą uroczystą, niemal bolesną z powodu napięcia, którego wymagało wyimaginowane oficjalne wystąpienie. Wariat trzymał na wysokości oczu jedną ze swoich kartek; i nie czekając, z dziwacznym i chaotycznym pośpiechem, zaczął czytać: — "Duce, wódz bohaterów, król ziemi, morza i nieba, książę, papież, cesarz, dowódca i żołnierz — tu wykonał ruch niecierpliwy, ale hamowany przez wzgląd na powagę

chiwili, który miał oznaczać: et cetera, et ce- tera — napisałem tu memoriał — wariat znów zrobił gest, jak gdyby chciał powiedzieć: opuszczam Tzeczy nieistotne, po czym ciągnął dalej: — napisałem memoriał i proszę, żebyś go przeczytał od pierwszej — tu przerwał i spojrzał na przybyłych jggg do ostatniej linijki. Oto memoriał". —^ Po tym wstępie rzucił kartkę do góry, odwrócił się do stolika, wziął drugą i zaczął czytać memoriał. Lecz tym razem Marcello nie uchwycił ani jednego słowa: wariat czytał wprawdzie wyraźnym i bardzo donośnym głosem, ale nadzwyczaj szybko, tak że wyrazy zlewały się z sobą, jak gdyby całe przemówienie było tylko jednym słowem niespotykanej długości. Wyrazy, pomyślał, musiały mu się plątać na języku, jeszcze zanim je wypowiadał, jak gdyby niszczycielski ogień szaleństwa stapał, niby wosk, ich kształty, zlewając się w jedną substancję oratorską, miękką, wymykającą się, niezrozumiałą. W miarę czytania słowa zdawały się coraz bardziej zazębiać o siebie, skracać się i kurczyć, a wariat był jakby przytłoczony tą lawiną. Odrzucał kartki coraz szybciej, po przeczytaniu zaledwie kilku linijek; w końcu, niespodzianie przestał czytać, wskoczył ze zdumiewającą zręcznością na łóżko, stanął w jego głowach, wyprostowany pod ścianą, i chyba zaczął przemawiać.

Marcello raczej z jego gestów niż ze słów

urywanych i bezsensownych domyślił się, że wygłasza mowę; wariat, jak mówca na nie istniejącym balkonie, to wznosił ramiona do sufitu, to pochylał się wyciągając rękę przed siebie, jakby dla podkreślenia jakiegoś szczegółu, to znów wygrażał zaciśniętą pięścią lub podnosił na wysokość twarzy rozwarłe dłonie. W pewnej chwili wyimaginowany tłum, do którego się zwracał, najwidoczniej zaczął go oklaskiwać, bo opuścił otwartą dłoń gestem charakterystycznym, nakazując milczenie. Najwidoczniej jednak oklaski nie ustały, a nawet się wzmogły; wobec tego wariat, raz jeszcze nawołując do spokoju owym błagalnym ruchem, zeskoczył z łóżka, podbiegł do profesora i chwytając go za rękaw poprosił płaczliwym głosem: Bp Niech ich pan uciszy... po co mi oklaski... wypo.wiedzenie wojny... jak można wypowiedzieć wojnę, jeżeli przez te oklaski nie można dojść do słowa?

— Wypowiemy wojnę jutro, majorze — rzekł profesor-wielkolud, spoglądając na niego z góry.

— Jutro, jutro, jutro! — ryknął wariat wpadając w nagłą furję, w której mieszała się złość i rozpacz — zawsze jutro... Wojnę trzeba wypowiedzieć natychmiast.

— A dlaczego, majorze? Co to kogo obchodzi? W taki upał? Chce pan, żeby biedni żołnierze szli na wojnę w taki upał? — Profesor chytrze wzruszył ramionami. Wariat

patrzył na niego niepewnie, był najwyraźniej skonsternowany tym zarzutem. Po czym krzyknął:

— Żołnierze będą jedli lody... w lecie jada się lody, czy nie?

— Tak — powiedział profesor — latem jada się lody.

— No więc — odrzekł wariat z triumfującą miną — lody, dużo lodów, dla wszystkich lody! — Mrucząc podszedł do stolika, chwycił ołówek i na stojąco napisał szybko kilka słów na ostatniej kartce, którą podał profesorowi: — Oto wypowiedzenie wojny... nie mogę już sobie dać rady... niech pan to zanieś gdzie trzeba... te dzwony, och, te ■ dzwony. — Po wręczeniu kartki profesorowi zaszył się w kąt przy łóżku, jak zwierzę, i siadł na ziemi, ściskając rękami głowę i powtarzając z bólem: — Te dzwony... czy nie mogłyby przestać na chwilę?

Lekarz szybko przejrzał kartkę i podał ją Marcellowi. Na górze napisane było: "Rzeź i melancholia", a poniżej: "Wojna jest wypowiedziana", wszystko tym samym dużym i rozstrzelonym pismem. Lekarz powiedział:

— Rzeź i melancholia, to jego motto... znajdzie je pan na tych wszystkich kartkach... on ma manię na punkcie tych dwóch słów.

— Dzwony — skamlał wariat.

— Czy on je naprawdę słyszy? — zapytała niepewnie matka.

— Najprawdopodobniej tak... to halucynacje słuchowe, tak jak przedtem oklaski... chorzy mogą słyszeć najrozmaitsze dźwięki... a także głosy wypowiadające słowa... albo wydawane przez zwierzęta... jak również odgłosy motorów, na przykład warkot motocykla.

— Dzwony! — ryknął wariat straszliwym głosem.

Matka cofnęła się w stronę drzwi szepcząc:

— Ależ to musi być potworne... jak on musi cierpieć, drogi mój biedak... Kiedy jestem w pobliżu dzwonnicy i biją dzwony, mam zawsze wrażenie, że oszaleję.

— Czy on cierpi? — zapytał Marcello.

— A pan by nie cierpiał, gdyby wielkie spiżowe dzwony dzwoniły panu nad uchem? — Profesor zwrócił się do chorego i dodał: — Każemy im zaraz umilknąć... pošlemy spać dzwonnika... damy panu coś do wypicia i nie będzie już pan ich słyszał. — Skinął na pielęgniarza, który natychmiast wyszedł; potem powiedział do Marcella: — To są bardzo ciężkie stany... chory przechodzi od frenetycznej euforii do głębokiej depresji... Przed chwilą, kiedy czytał, był pełen egzaltacji... teraz wpadł w depresję... chce mu pan coś powiedzieć? Marcello spojrzał na ojca, który nie przestawał skamleć żałośnie, trzymając się za głowę, i odrzekł chłodno:

— Nie, nie mam mu nic do powiedzenia... a zresztą na nic by się to nie zdało. I tak by mnie nie zrozumiał.

— Czasami rozumieją — rzekł profesor — rozumieją więcej, niż się wydaje, poznają osoby, oszukują także nas, lekarzy... he, he, to nie takie proste.

Matka podeszła do wariata i powiedziała miękko:

— Antonio, poznajesz mnie? To jest Marcello, twój syn... pojutrze się żeni... rozumiesz? Żeni się.

Wariat spojrział do góry, na matkę, niemal z nadzieją, jak zraniony pies na swego pana, który pochyla się nad nim i pyta ludzkimi słowami, co mu dolega. Lekarz zwrócił się do Marcella z okrzykiem:

— Ślub, ślub... Drogi doktorze, nic o tym nie wiedziałem; moje gratulacje, najlepsze, najserdeczniejsze życzenia!

— Dziękuję j!g rzekł sucho Marcello.

Matka powiedziała naiwnie, kierując się do drzwi:

— Biedaczysko nie rozumie... gdyby rozumiał, nie cieszyłby się z tego, tak samo jak ja się nie cieszę.

— Proszę cię, mamó — powiedział krótko Marcello.

— To nie ma znaczenia, twoja żona powinna się podobać tobie, a nie innym — rzekła matka pojednawczym tonem. Zwróciła się do wariata i powiedziała: — Do widzenia, Antonio.

— Dzwony — jęczał wariat.

Wyszli na korytarz, mijając się z Fran- zem, który wchodził niosąc uspokajającą miksturę w kieliszku. Profesor zamknął drzwi i powiedział:

— To ciekawe, doktorze, jak chorzy umysłowo we wszystkim się orientują i o wszystkim wiedzą... Jak są wrażliwi na wszystko, oo nurtuje społeczeństwo. Jest faszyzm, jest Duce, i oto trafia się wielu chorych, którzy, jak pański ojciec, mają manię na punkcie faszyzmu i Mussoliniego... Podczas wojny trudno było zliczyć chorych, którzy uważali się za generałów i chcieli zająć miejsce Cadorna czy Diaza... A nawiązując do bliższych wydarzeń, kiedy odbył się lot Nobilego do bieguna północnego, miałem co najmniej trzech chorych, którzy wiedzieli na pewno, gdzie się znajduje słynny czerwony namiot, i wymyślili specjalny aparat, żeby uratować rozbitków... Wariaci są zawsze związani z tym, co się aktualnie dzieje... w gruncie rzeczy, pomimo szaleństwa, nie przestają brać udziału w życiu publicznym i właśnie szaleństwo jest środkiem, którym się posługują, żeby brać w nim udział. — Lekarz roześmiał się obojętnie, zadowolony ze swego dowcipu. Potem zwrócił się do matki, ale z wyraźną intencją prapochlebiania się Marcellowi: — Ale jeśli idzie o Duce, to jesteśmy wszyscy wariaci, jak pani mąż, niebezpieczni wariaci, których się powinno

leczyć zimnymi natryskami i zakładać im kaftany bezpieczeństwa... całe Włochy to jeden dom wariatów, he, he, he!

— Pod tym względem mój syn to naprawdę wariat — rzekła matka wtórując naiwnie pochlebstwu lekarza. — Jadąc tutaj, powiedziałam nawet Marcellowi, że ma wiele wspólnego ze swoim biednym ojcem.

Marcello zwolnił kroku, żeby ich nie słyszeć. Widział, jak Mą w głąb korytarza, wciąż rozmawiając; potem skręcili i znikli mu z oczu. Przystanął; trzymał dotąd w ręku kartkę, na której ojciec napisał swoje wypowiedzenie wojny. Zawahał się, wyciągnął z kieszeni portfel i włożył do niego kartkę. Potem przyśpieszył kroku, doganiając lekarza i matkę na parterze.

— No więc... do widzenia, profesorze — mówiła matka — ale ten mój drogi biedak... czy nie ma sposobu wyleczenia go?

— Na razie wiedza jest bezsilna — rzekł profesor bez śladu namaszczenia, jak gdyby automatycznie powtarzał wyświechtany frazes.

— Do widzenia, profesorze — rzekł Marcello.

— Do widzenia, doktorze, i raz jeszcze moje najszczerze, najserdeczniejsze życzenia.

Wyszli wysypaną żwirem alejką na ulicę i skierowali się do samochodu. Alberi stał przy otwartych drzwiczkach, z czapką w ręku. Wsiedli bez słowa i samochód ruszył.

Marcello milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— Mamo, chciałbym cię o coś zapytać... myślę, że mogę mówić z tobą szczerze, prawda?

— Zapytać, o co? — odparła z roztargnieniem matka przeglądając się w lusterku puderniczki.

Czy ten, którego nazywam ojcem i którego odwiedziliśmy teraz, jest naprawdę moim ojcem?

Matka zaczęła się śmiać: .Doprawdy, jesteś dziwny czasami... Dlaczego nie miałby być twoim ojcem?

— Mamo... miałaś już wtedy — Marcello urwał i zaraz potem .dokończył — kochanków... Przecież mogło się zdarzyć...

— Och, nic się nie mogło zdarzyć — odparła matka ze spokojnym cynizmem — kiedy zdecydowałam się zdradzić po raz pierwszy twojego ojca, ty miałeś już dwa lata... A co najciekawsze — dodała — że właśnie od tego podejrzenia, iż ty jesteś synem innego, zaczął się obłąd twojego ojca... Wbił sobie do głowy, że nie jesteś jego synem... i wiesz, co kiedyś zrobił? Wziął moją fotografię z tobą, jako małym dzieckiem...

— I wyklął nam obojgu oczy — dokończył Marcello.

— Ach, wiedziałeś o tym! — rzekła matka nieco zdziwiona. — A więc to był właśnie początek jego obłądu... Dostał ma

nii, że jesteś synem pewnego człowieka, | którym się wtedy czasem spotykałam... ale powtarzam ci, że to było jego urojenie... jesteś jego synem, wystarczy na ciebie spojrzeć.

Marcello nie mógł się powstrzymać i wtrącił:

— Powiedziawszy prawdę, jestem podobny raczej do ciebie, niż do niego.

— Do obojga — ucięła krótko matka. Schowała puderniczkę do torebki i dorzuciła: — Powiedziałam ci już, że macie obaj manię na punkcie polityki... ale on jak wariat, a ty, Bogu dzięki, jak normalny człowiek.

Marcello nic nie odpowiedział i odwrócił głowę do szyby. Myśl, że podobny jest do ojca, napęłniała go wielkim przygnębieniem. Związki rodzinne, sprowadzające rzecz do ciała i krwi, zawsze napawały go odrazą jako określenie niewłaściwe i niesprawiedliwe. Podobieństwo, o którym mówiła matka, budziło w nim nie tylko wstręt, ale również niejasne przerażenie. Jakże istniało powiązanie między najtajniejszą głębią jego istoty a obłędem ojca? Przypomnił sobie przeczytane na kartce zdanie: "Rzeź i melancholia" — i przeszył go dreszcz zgrozy.

Melancholię nosił w sobie, była jego drugą naturą; a co do rzezi...

Samochód przejeżdżał teraz ulicami śródmieścia w mdłym i niebieskim świetle zmierzchu. Marcello powiedział do mat-

- Wsiądę tutaj — i pochylił się, żeby zastukać w" szybę, za którą siedział Alberi. Matka odrzekła: — Wobec tego zobaczymy się po twoim powrocie — zaznaczając w ten sposób, że nie będzie na ślubie; Marcello był jej wdzięczny za tę powściągliwość: lekkomyślność i cynizm raz się na coś przydały. Wsiadł, mocno zatrzęsął drzwiami i oddalił się w tłumie.

Część II

ROZDZIAŁ I

Gdy tylko pociąg ruszył, Marcello odsunął się od okna, przez które rozmawiał z teściową, a raczej słuchał tego, co ona do niego mówiła, i wszedł do przedziału. Giulia została przy oknie: Marcello widział z przedziału, jak się wychyla i powiewa chusteczką z pełnym przejścia rozmachem, dzięki któremu ów banalny gest nabrał patetyczności. Na pewno, pomyślał, nie przestanie powiewać chusteczką, dopóki będzie się jej zdawało, że widzi na peronie postać matki; a gdy ta zniknie jej z oczu, będzie to dla Giulii niewątpliwy znak ostatecznego rozstania z panieńskim życiem, rozstania zarazem upragnionego i przerażającego, które z chwilą gdy pociąg ruszył, a matka została na peronie, nabrało boleśnie konkretnego charakteru. Marcello spoglądał jeszcze chwilę na wychylającą się przez okno żonę, w jasnym kostiumie, który przy ruchach ręki marszczył się na jej krągłych kształtach, po czym osunął się na poduszki i przymknął oczy. Kiedy otworzył je po kilku minutach, żony nie było już na korytarzu, a pociąg mknął przez szczerą wieś: wyschniętą, bezdrzewną równinę, spo-

witą w półmrok zmierzchu pod zielonym niebem. Czasem wyrastały nagie wzgórza, a między nimi ukazywały się dziwnie opustoszałe doliny, nigdzie ani domów, ani ludzi. Migające od czasu do czasu na szczytach pagórków rumowiska z cegieł potęgowały jeszcze wrażenie pustki. Odprężający krajobraz — pomyślał Marcello — skłania do rozmyślań i pobudza wyobraźnię. Tymczasem w głębi równiny, na horyzoncie wschodził księżyc, okrągły, krwawoczerwony, z rozjarzoną białą gwiazdą po prawej stronie.

Żona znikła i Marcello pragnął, żeby nie wracała jeszcze przez kilka minut: chciał myśleć i czuć, po raz ostatni, że jest samu. Powracał teraz myślą do tego, co robił w ciągu ostatnich dni, i uświadomił sobie, że te wspomnienia sprawiają mu prawdziwą, głęboką przyjemność.

Pomyślał, że to jedyny sposób, aby zmienić swoje życie i siebie samego: działać, poruszać się w czasie i w przestrzeni. Jak zazwyczaj, cieszyły go przede wszystkim te rzeczy, które zacieśniały jego więzy z normalnym, z góry przewidzianym, zwykłym światem. Ranek w dniu ślubu: Giulia w ślubnej sukni biega wesoło z pokoju do pokoju, szeleści jedwabiem; on wchodzi do windy, z bukietem konwalii w obciążonej rękawiczką dłoni; w przedpokoju teściowa rzuca mu się z płaczem na szyję; Giulia wciąga go za drzwi szafy, żeby się z nim wycałować; potem

przybycie świadków, dwóch przyjaciół Giulii, lekarza i adwokata, i dwóch jego przyjaciół z ministerstwa; wyjazd do kościoła trzema samochodami, wśród tłumu gapiów przyglądających im się z okien i z chodnika: w pierwszym samochodzie on i Giulia; w drugim świadkowie, w trzecim teściowa z dwiema przyjaciółkami. Po drodze przytrafiło im się coś dziwnego: gdy samochód zatrzymał się czekając na zmianę świateł na skrzyżowaniu, ktoś zajrzał przez okno: czerwona brodata twarz, z łysą czaszką, z dużym nosem. Żebrak; ale nie upomniał się o jałmużnę, tylko poprosił ochrypłym głosem: "Dajcie mi trochę confetti, państwo młodzi!" — a jednocześnie wsunął rękę do samochodu. Nagłe pojawienie się twarzy w oknie i ta ręka wyciągnięta natarczywie do Giulii rozdrażniły Marcella, który może odpowiedział mu zbyt ostro: "Wynoście się, nie ma żadnych confetti". Wtedy ów mężczyzna, zapewne pijany, krzyknął na całe gardło: "Bądź przeklęty!" aj|g| i znikł im z oczu. Giulia, wystraszona, przytuliła się do niego, szepcząc: — Przyniesie nam nieszczęście — a on, wzruszywszy ramionami, odpowiedział: — Banialuki... to pijak. — Potem samochód ruszył i incydent od razu wyleciał mu z pamięci.

W kościele wszystko odbyło się normalnie, to znaczy w uroczystym spokoju, zgodnie z przyjętym ceremoniałem. Grupka krewnych i przyjaciół zasiadła w pierwszych

rzędach ławek przed głównym ołtarzem, mężczyźni w ciemnych garniturach, panie w jasnych wiosennych toaletach. Kościół był bogaty i strojny, pod wezwaniem jednego ze świętych kontrreformacji. Tuż za głównym ołtarzem, pod baldachimem ze złoczonego brązu, stał ogromny posąg z szarego marmuru przedstawiający tego właśnie świętego, z oczyma wzniesionymi ku niebu i wyciągniętymi rękoma. Dalej widać było absydę pokrytą pełnymi rozmachem, żywymi w kolorach, barokowymi freskami. Uklękli z Giulią na czerwonej aksamitnej poduszce przed marmurową balustradą. Za nimi stanęli świadkowie, po dwóch z każdej strony. Nabożeństwo było długie, rodzina Giulii zatroszczyła się, aby wszystko odbyło się jak najuroczyściej. Gdy rozpoczęła się msza, huknęły organy na chórze nad głównym wejściem i nie umilkły już ani na chwilę, to grając cichutko, to rozbrzmiewając głośnym echem pod łukowatym sklepieniem. Ksiądz był bardzo flegmatyczny, Marcello więc, gdy już z zadowoleniem przyjrzał się wszystkim szczegółom ceremonii, która wyglądała⁴ tak właśnie, jak sobie wyobrażał i życzył, gdy utwierdził się w przekonaniu, że robi to samo, co robiły przez całe stulecia miliony nowożeńców, zaczął się rozglądać po kościele. Kościół nie był ładny, ale bardzo duży, zaprojektowany i zbudowany z teatralną pompą, jak wszystkie kościoły jezuitów. Olbrzymi posąg świętego,

klęczącego w ekstatycznej pozie pod złożonym baldachimem, wyrastał nad ołtarzem pomalowanym w żyłki imitujące marmur i zastawionym srebrnymi świecznikami, wazonami pełnymi kwiatów, ozdobnymi figurkami, lampkami z brązu. Za baldachimem sklepiała się absyda pokryta freskami barokowego malarza: mgliste obłoki, które mogłyby się znaleźć na kurtynie w teatrze, pęczniały na lazurowym niebie przeszywane promieniami niewidocznego słońca; na obłokach siedziały najrozmaitsze postacie świętych, wymalowane śmiało, raczej ze zmysłem dekoracyjnym niż religijnym. Górował wśród owych postaci Bóg Ojciec z trójkątem nad głową; i nagle Marcello dostrzegł w tej brodatej twarzy podobieństwo do żebraka, który przed chwilą zajrzał do okna samochodu, prosząc o confettii a potem rzucił na niego przekleństwo. W tej chwili organy grały głośno, z powagą niemal groźną, która zdawała się wykluczać wszelką pobłażliwość, i wtedy owo podobieństwo, choć przy innej okazji wywołałoby u niego uśmiech (Bóg Ojciec w przebraniu żebraka zagląającego do okna taksówki i proszącego o confetti), przypomniało mu, sam nie wiedział dlaczego, wersety o Kainie, na które natrafił w kilka lat po historii z Linem, otworzywszy na chybił- trafił Biblię: “Cóżś uczynił? Głos krwi brata twego woła do mnie z ziemi. Teraz przeklętym będziesz na ziemi, która otwo

rzyła usta swe, aby przyjęła krew brata twego, z ręki twojej. Gdy będziesz sprawował ziemię, nie wyda więcej mocy swej tobie, tułaczem i zbiegiem będziesz na ziemi. Tedy rzekł Kain Panu: — Większa jest nieprawość moja, niżby mi ją odpuścić miano. Oto mię dziś wyganiaasz z oblicza tej ziemi, a przed twarzą twoją skryję się i będę tułaczem i zbiegiem na ziemi i stanie się, że ktokolwiek mię znajdzie, zabije mię. I rzekł mu Pan: Zaiste, ktobykolwiek zabił Kaina, siedmioraką odniesie pomstę. I włożył Pan na Kaina piętno, aby go nie zabijał, ktobykolwiek znalazł". Wydało mu się wtedy, że owe wersety dotyczą właśnie jego: był przeklęty za swoją mimowolną zbrodnię, a zarazem ta klątwa uświęcała go i czyniła nietykalnym. Potem odczytywał je i rozmyślał nad nimi wielokrotnie, lecz jak się często zdarza, z biegiem czasu znużył się i Napomniał o nich. Ale tego ranka w kościele przypomniał sobie te słowa wpatrując się w postać na fresku i wydało mu się znowu, że można je zastosować w jego przypadku. Nabożeństwo trwało, a on chłodno, ale nie bez ponurego przeświadczenia, że wkracza na grunt wróżb i niebezpiecznych analogii, uchwycił, się następującej myśli: jeśli klątwa rzeczywiście istnieje, to dlaczego została rzucona? Na to pytanie ogarnęła go znowu uparta melancholia człowieka, który wie, że się gubi, i nic na to nie może poradzić, i po

myślał sobie, że jeśli nie świadomość, to w każdym razie instynkt mówi mu, że jest przeklęty. Nie dlatego jednak, że zabił Lina, ale dlatego że usiłował, i przedtem, i teraz, i zawsze, uwolnić się od ciężaru skruchy, zepsucia i anormalności dawnego występku poza religią i Kościołem. Ale co można na to poradzić, pomyślał jeszcze, skoro taki już jest i nie potrafi się zmienić? Słowem, nie było w nim złej woli, tylko lojalne pogodzenie się z własną, daną mu wyrokiem losu, naturą, ze światem, w którym przyszło mu żyć. A była to natura daleka od religii i świat, w którym religię zdawały się zastępować inne rzeczy. Na pewno wolałby powierzyć swoje życie odwiecznym i łaskawym postaciom religii chrześcijańskiej, Bogu Ojcu tak sprawiedliwemu, Matce Bożej tak macierzyńskiej, Chrystusowi tak miłosiernemu; lecz pragnąc tego, zarazem zdawał sobie sprawę, że jego życie nie należy do niego, a więc nie może go powierzyć, komu chce; że odszedł od religii i nie może do niej wrócić, nawet po to, by się oczyścić i stać się normalnym. Normalności — pomyślał — trzeba szukać teraz gdzie indziej... albo może wcale jeszcze jej nie ma i trzeba ją budować żmudnie, po omacku, krwawo. •

Jak gdyby dla utwierdzenia się w owych myślach spojrzął na tę, która miała za chwilę zostać jego żoną. Giulia klęczała przy jego boku, ze złożonymi rękami, z twarzą

i oczyma zwróconymi do ołtarza; wyglądała niemal jak zatopiona w ekstazie radosnej i pełnej nadziei. A jednak na jego spojrzenie, które poczuła na sobie jak dotknięcie ręki, odwróciła się natychmiast i uśmiechnęła się do niego oczami i ustami: uśmiechem delikatnym, nieśmiałym, wdzięcznym, który miał w sobie niewinność prawie zwierzęcą. On również uśmiechnął się w odpowiedzi, tylko dyskretniej i, jak gdyby porwany tym uśmiechem, po raz pierwszy od chwili jej poznania doznał przyływu jeśli nie miłości, to w każdym razie głębokiego uczucia, które było tkliwością i litością zarazem. Potem przez moment miał dziwaczne przywidzenie, że rozbiera ją wzrokiem, zdejmując z niej ślubną suknię i bieliznę i widzi ją piersistą, brzuchatą, jędrną, zdrową i młodą, klęczącą całkiem nago na tej poduszce z czerwonego aksamitu, przy jego boku, ze złożonymi rękami. On też był nagi; i po dopełnieniu uświęconego obrządku mieli się z sobą połączyć naprawdę, jak łączą się zwierzęta w lesie; i to zespolenie, bez względu na to, czy wierzył, czy nie wierzył w odprawiany obrządek, stanie się faktem i narodzą się z niego, zgodnie z jego pragnieniem, dzieci. Wydało mu się, że po raz pierwszy staje na pewnym gruncie, i pomyślał: "Za chwilę ona zostanie moją żoną... posiadę ją i będzie mi rodzić dzieci... i to na razie, w braku czegoś lepszego, będzie punktem wyjścia normalności". Lecz

zobaczył, że Giulia modląc się porusza wargami, i wydało mu się, że to żarliwe drganie jej ust przyobleka ją nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, w ślubne szaty, i zrozumiał, że ona, w przeciwieństwie do niego, wierzy niezłomnie w uświęcenie ich związku przez obrządek kościelny, i wcale nie był niezadowolony z tego odkrycia, a nawet przyniosło mu ono pewną ulgę. Giulia nie potrzebowała, jak on, ani szukać normalności, ani jej rekonstruować; po prostu była w niej bez reszty i na zawsze, niezależnie od tego, co mogłoby się kiedykolwiek wydarzyć.

Tak więc gdy ceremonia dobiegała końca, ogarnęło go wzruszenie, o które nigdy by się nie posądził i które budziło się w nim pod wpływem głębokich osobistych przeżyć, a nie nastroju panującego w kościele i uroczystej ceremonii. Słowem, wszystko odbyło się zgodnie z zasadami tradycji, zadowolając nie tylko tych, którzy w inie wierzyli, ale również jego, który nie wierzył, lecz chciał postępować tak, jak gdyby wierzył. Gdy wychodził z kościoła trzymając żonę pod rękę i przed zejściem ze schodów stanął na chwilę w progu, usłyszał za plecami głos matki Giulii, która mówiła do jednej ze swoich przyjaciółek: "On jest taki dobry, taki dobry... widziałaś, jaki był wzruszony... bardzo ją kocha... Giulia nie mogłaby znaleźć lepszego męża". I był zadowolony, że potrafił wywołać tego rodzaju wrażenie.

W wyniku tych rozmyślań obudziła się w nim niecierpliwość, ostra i gwałtowna, żeby powrócić do roli małżonka w punkcie, w którym porzucił ją po ceremonii ślubnej. Zwrócił oczy ku oknu, które zapadająca noc wypełniła czarną i lekko połyskliwą ciemnością, po czym spojrział na korytarz szukając Giulii. Uświadomił sobie, że drażni go jej nieobecność, i ucieszył się, uznając to za dowód, że naturalnie odgrywa swoją rolę. Zastanawiał się teraz, czy ma posiąść Giulie na niewygodnej kanapce wagonu sypialnego, czy też poczekać, aż dojadą do S., gdzie mieli przerwać podróż; na tę myśl poczuł nagle i silne pożądanie i zdecydował, że stanie się to w pociągu. Tak się to musiało chyba zawsze odbywać w podobnych wypadkach, pomyślał, a utwierdzało go w tym zarówno pożądanie zmysłowe, jak chęć wiernego odegrania roli świeżo upieczonego małżonka. Ale Giulia była dziewicą, nie miał co do tego wątpliwości, i nie będzie łatwo ją posiąść. Zdał sobie sprawę, że prawie byłby zadowolony, gdyby po nieudanych próbach pozbawienia jej dziewictwa musiał zaczekać, aż znajdą się w S., na wygodnym małżeńskim łóżu w hotelu. Nowożeńcom zdarzały się te rzeczy, śmieszne, ale normalne, a on chciał być najnormalniejszym z normalnych, za wszelką cenę, choćby nawet miał uchodzić za impotentą.

Miał już wyjrzeć na korytarz, gdy otwo-

rzyły się drzwi i weszła Giulia. Była tylko w spódnicy i w bluzce, zdjęła żakiet, który trzymała na ręku. Obfity biust rozpieął batystową bluzkę nadając jej lekko różowa wy odcień nagiego ciała; z twarzy było radosne zadowolenie; tylko oczy, znużone i większe niż zazwyczaj, zdawały się zdradzać namiętne rozgorączkowanie, niepokój graniczący z lękiem. Marcello zauważył to wszystko z głęboką satysfakcją: Giulia była rzeczywiście pełną oczekiwania oblubienicą, która ma się oddać po raz pierwszy. Od- wióciła się niezdarnie (zawsze poruszała się niezdarnie, pomyślał, lecz była to ujmująca niezdarność zdrowego i poczciwego zwierzęcia), aby zamknąć drzwi i zaciągnąć zasłonkę, po czym, zwrócona znów do niego, próbowała zawiesić żakiet na' haczyku u półki. Lecz pociąg jechał bardzo szybko; przy nagłym skřęcie wagon szarpnął, jak gdyby wyskoczył z szyn, i Giulia upadła na niego. Skorzystała z tego, żeby usiąść mu na kolanach, i zarzuciła mu ręce na szyję. Marcello poczuł na swoich chudych nogach cały ciężar jej ciała i odruchowo objął ją w pól. Powiedziała cicho: — Kochasz mnie? — i jednocześnie pochyliła głowę szukając ustami jego ust. A tymczasem pociąg mknął naprzód, sprzyjając jakby swoim pędem namiętności pocałunków, przy każdym wstrząsie ich zęby uderzały o siebie, a nos Giulii wpijał się w twarz Marcella. W końcu przestali się całować

i Giulia, nie schodząc z jego kolan, wyciągnęła z torebki chusteczkę i wytarła mu usta mówiąc: — Masz na wargach co najmniej kilogram szminki. — Marcello, obolały, wykorzystał ponowny wstrząs pociągu, aby zsunąć to ciężkie ciało z kolan na ławkę. Giulia powiedziała:

— Ty niedobry, nie chcesz mnie?

— Przyjdą tu jeszcze pościelić łóżka — odrzekł Marcello, nieco zmieszany.

— Pomyśl — powiedziała ni stąd, ni zowąd Giulia, rozglądając się dokoła — że jadę po raz pierwszy wagonem sypialnym.

Jej ton był tak naiwny, że Marcello nie mógł powstrzymać uśmiechu i zapytał:

— I podoba ci się taka podróż?

— Tak, bardzo — znów rozejrzała się dokoła. — Kiedy przyjdą ścielić łóżka?

— Niedługo.

Umilkli; potem Marcello spojrział na żonę i zobaczył, że ona także patrzy na niego, ale już inaczej, praiwie nieśmiało i lękliwie, chociaż twarz jej nie zatraciła poprzedniego wyrazu, promiennego i radosnego. Widząc, że Marcello na nią spogląda, uśmiechnęła się, jak gdyby prosząc o przebaczenie, i w milczeniu ścisnęła jego dłoń. w swojej dłoni. Potem z jej wilgotnych i pełnych tkliwości oczu spłynęły na policzki dwie łzy, a po nich dwie dalsze. Giulia płakała, wciąż patrząc na niego i próbując żałośnie uśmiechnąć się przez łzy. W końcu z nieoczekiwaną gwałtownością pochyliła głowę

i obsypała jego dłoń pocałunkami. Ten płacz zbił z tropu Marcella: Giulia miała wesołe i trzeźwe usposobienie, po raz pierwszy widział ją płaczącą. Giulia jednak nie pozostawiła mu czasu na żadne domysły; zerwała się szybko, mówiąc:

— Wybacz mi, że płaczę... ale myślałam o tym, że jesteś o tyle lepszy ode mnie i że nie jestem cię warta.

— Mówisz teraz jak twoja matka —jj odrzekł Marcello z uśmiechem.

Giulia wytarła nos i odpowiedziała spokojnie:

— Nie, mama mówi to ot tak sobie... a ja mam powód.

— Jaki?

Patrzała na niego przez dłuższą chwilę, po czym oświadczyła:

— Muszę ci coś powiedzieć, chociaż może potem nie będziesz mnie już kochał... ale muszę ci to powiedzieć.

— Co takiego?

Odpowiedziała powoli, wpatrując się w niego z napięciem, jak gdyby śledziła niespokojnie, czy nie dostrzeże na jego twarzy wyrazu pogardy:

— Nie jestem taka, za jaką mnie uważasz.

— Co to znaczy?

— Nie jestem... no, nie jestem dziewicą.

Marcello spojrział na nią i nagle zrozumiał, że normalne cechy, które dotąd przypisywał żonie, były fikcją. Nie wiedział, co się kryje za tym wstępnym wyznaniem, ale

wiedział już na pewno, że Giulia, zgodnie z jej słowami, nie była taka, za jaką ją uważał. Ogarnęła go niechęć na myśl o tym, co usłyszy, oraz pragnienie, by nie dopuścić do tych zwierzeń. Ale przedtem musiał ją uspokoić; przyjdzie mu to bez trudu, bo w gruncie rzeczy owo osławione dziewictwo nic go nie obchodziło. Odpowiedział serdecznym tonem:

— Nie przejmuj się tym, ożeniłem się z tobą dlatego, że cię pokochałem... nie dlatego, że uważałem cię za dziewicę. Giulia odrzekła potrząsając głową: — Wiedziałam, że masz nowoczesne poglądy... i że nie będziesz do tego przywiązywał wagi... ale i tak musiałam ci to powiedzieć. — "Nowoczesne poglądy" — nie mógł nie powtórzyć sobie w myśli Marcello, niemal ubawiony. To wyrażenie pasowało do Giulii i wynagradzało utracone dziewictwo. Było ono niewinne, choć nie tą niewinnością, jakiej się spodziewał. Powiedział, biorąc ją za rękę:

— Nie przejmuj się, nie myślmy o tym więcej — i uśmiechnął się do niej.

Giulia odwzajemniła uśmiech. Ale jednocześnie łzy znów stanęły jej w oczach i stoczyły się po twarzy. Marcello zaprotestował:

— No, no, co ci jest?... Przecież ci powiedziałem, że nie przywiązuję do tego wagi!

Giulia zrzębiła coś dziwnego: zarzuciła mu ramiona na szyję, ale odwróciła głowę

i przytuliła się do jego piersi, tak żeby nie mógł widzieć jej twarzy.
Muszę ci wszystko powiedzieć.

— Jak to, wszystko?

- Wszystko, co było ze mną.

— Ależ to nie ma znaczenia.

— Proszę cię... może to słabość z mojej strony... ale jeżeli ci tego nie powiem, zawsze będzie mi się zdawało, że chciałam coś przed tobą ukryć.

— Ale dlaczego? — rzekł Marcello głaszcząc jej włosy. — Miałas pewnie kochanka... zdawało ci się, że go kochasz... albo kochałaś naprawdę... dlaczego miałbym o tym wiedzieć?

— Nie, nie kochałam go — odpowiedziała od razu, prawie wzgardliwie — i nigdy mi się nie zdawało, że go kocham... Byliśmy kochankami niemal do dnia, kiedy się z tobą zaręczyłam... ale on nie był młody jak ty... sześćdziesięcioletni starzec: obrzydliwy, zły, bezwzględny, wymagający... przyjaciel rodziny, znasz go.

— Kto?

— Adwokat Fenizio — odrzekła krótko.

Marcello wzdrygnął się:

— Ależ to jeden ze świadków!

— No tak, uparł się... ja nie chciałam, ale nie mogłam odmówić... to i tak dużo, że pozwolił mi wyjść za ciebie.

Marcello przypomniał sobie, że i nigdy nie czuł sympatii do tego adwokata Fenizio, którego często widywał u Giulii, niskiego,

ryżawego, łysego, w złotych okularach, ze spiczastym nosem, który marszczył się przy uśmiechu, z wąsikami, prawie niewidocznymi wargami. O ile pamiętał, był to człowiek chłodny i spokojny, ale pod pokrywką tego chłodu i spokoju agresywny i arogancki w szczególnie przykry sposób. I silny: jednego z upalnych dni zdjął marynarkę i zawinał rękawy od koszuli, ukazując białe, potężne ręce z dobrze rozwiniętymi mięśniami. — Ale cóżeś ty w nim widziała? — wykrzyknął nie mogąc się powstrzymać od tego pytania.

— To on coś we mnie. widział... i od bardzo dawna... byłam jego kochanką nie przez miesiąc, nie przez rok... Przez sześć lat!

Marcello szybko obliczył w myśli: Giulia miała teraz dwadzieścia jeden lat albo trochę więcej, wobec tego... Zdumiony powtórzył:

— Sześć lat!

— Tak, sześć lat... miałam piętnaście lat, kiedy... rozumiesz? — Zauważył, że Giulia, chociaż mówiła o sprawach, które zapewne sprawiały jej ból, zachowała swój zwykły śpiewny i pogodny ton, jakim rozmawiała na obojętne tematy. — Zgwałcił mnie tego samego dnia, kiedy umarł tatuś... nie, nie tego samego dnia, w tydzień potem... mogę ci zresztą podać dokładną datę: zaledwie w osiem dni po pogrzebie mojego ojca... którego w dodatku był najserdeczniejszym przyjacielem i doradcą. — Umilkła na chwi

lę, jak gdyby chcąc podkreślić bezwstyd tego człowieka; po czym ciągnęła dalej: — •Ma ma ciągle płakała i naturalnie często chodziła do kościoła.. On przyszedł któregoś wieczora, kiedy byłam sama w domu, mama wyszła, a służąca była w kuchni., ja siedziałam w moim pokoju przy stole i odrabiałam lekcje... chodziłam wtedy do piątej klasy gimnazjum, przygotowywałam się do egzaminów... On wszedł na palcach, stanął za moimi plecami, pochylił się nad zeszytem i zapytał, co robię... Odpowiedziałam mu, nie oglądając się, nie podejrzewałam niczego, przede wszystkim dlatego, że byłam niewinna, możesz mi wierzyć, jak dwuletnie dziecko, a poza tym traktowałam go jak kogoś z rodziny... Wyobraź sobie, że mówiłam mu: wuju... Powiedziałam mu, że odrabiam łacinę, a on, wiesz, co zrobił? Chwytał minie za włosy jedną ręką, ale bardzo mocno... robił to często dla zabawy, bo miałam wspaniałe, długie, wijące się włosy i on mówił, że swędzą go palce... więc myślałam, że i tym razem żartuje, i powiedziałam mu: "Puść mnie, to boli". On jednak nie tylko mnie nie puścił, ale zmusił, żebym wstała, i pociągnął w stronę łóżka, które stało tam gdzie i teraz, w kącie koło drzwi... Ja, pomyśl tylko, byłam taka niewinna, że jeszcze nic nie rozumiałam, i powiedziałam mu, dobrze paniętam: "Puść mnie, muszę odrabiać lekcje". Wtedy puścił moje włosy... Nie, nie mogę ci tego powiedzieć.

Marcello przypuszczając, że umilkła ze wstydu, chciał jej rzucić słowo zachęty; lecz Giulia przerwała opowiadanie tylko po to, by wywołać większe wrażenie; ciągnęła dalej:

— Chociaż nie miałam jeszcze piętnastu lat, byłam już bardzo rozwinięta, jak kobieta... wiesz, nie chciałam ci tego powiedzieć, bo ciężko mi nawet o tym mówić... Puścił moje włosy i złapał mnie za pierś, ale tak mocno, że nawet nie krzyknęłam, tylko prawie zemdlałam... może naprawdę zemdlałam... Potem już sama nie wiem, co się stało: leżałam na łóżku, a on na mnie, i wtedy zrozumiałam wszystko, i uczułam się bezsilna, byłam jak martwy przedmiot w jego rękach, bierna, bezwładna, bezwolna... więc on zrobił ze mną co chciał... Potem płakałam i on, żeby mnie pocieszyć, mówił, że mnie kocha, że za mną szaleje, wiesz, to, co się zawsze mówi... Ale powiedział także, na wypadek gdyby tamto mnie nie przekonało, żebym nie pisnęła ani słowa matce, jeśli nie chcę, żeby on nas doprowadził do ruiny... Byłyśmy majątkowo zależne od niego, bo ojcu w ostatnich latach, zdaje się, kiepsko szły interesy... Od tej pory nadal przychodził... ale nieregularnie... i zawsze zaskakiwał mnie znienacka... wchodził na palcach do mojego pokoju, pochylał się nade mną i mówił surowym głosem: "Odrobiłaś już lekcje? Nie? No, to chodź je odrobić ze mną" — i potem zawsze chwycił mnie za włosy i ciągnął do łóżka... Mówię ci, że to była jego pasja, ciągnąć mnie za włosy... — na wspomnienie tego nawyku dawnego kochanka roześmiała się niemal serdecznie, jak można się śmiać z czyjegoś oryginalnego i miłego dziwactwa. — I tak było przez rok... on przysięgał, że mnie kocha, że ożeniłby się ze mną, gdyby nie miał żony i dzieci... i nie powiem nawet, żeby nie był szczery... Ale jeżeli mnie naprawdę kochał, mógł mi to okazać tylko w jeden sposób: zostawić mnie w spokoju... Dość, że po roku, zrozpaczona, próbowałam się uwolnić: powiedziałam mu, że go nie kocham, że nie pokocham go nigdy i że nie mogę żyć tak dalej, że jestem wykończona, niezdolna do żadnego wysiłku, że nie zdałam egzaminów i jeśli nie zostawi mnie w spokoju, będę musiała przerwać naukę... I wyobraź sobie, on poszedł wtedy do matki i powiedział, że jego zdaniem z moich studiów nic nie będzie, a ponieważ mam już szesnaście lat, lepiej, żebym poszła do pracy, i na początek ofiarował mi posadę sekretarki u siebie w biurze... rozumiesz?... Oczywiście opierałam się, jak mogłam, ale mama, biedaczka, powiedziała mi, że jestem niewdzięczna, że on wyświadczał nam i wyświadcza tyle dobrego, że nie mogę marnować takiej okazji, no i w końcu musiałam się zgodzić... A kiedy się znalazłam w jego biurze i spędzałam z nim całe dni, jak możesz sobie wyobrazić, nie było już mowy o zerwaniu... toteż

wszystko zaczęło się od nowa i weszło w końcu w przyzwyczajenie, tak że nawet przestałam się buntować... Wiesz, jak to bywa: wydawało mi się, że nie ma już dla mnie nadziei... stałam się fatalistką... Ale kiedy rok temu powiedziałeś mi, że mnie kochasz, poszłam do niego i oświadczyłam, że tym razem naprawdę koniec... a on, bo trzeba ci wiedzieć, że to w dodatku tchórz, sprzeciwił się i zagroził mi, że pójdzie do Ciebie i "powie ci o wszystkim... I wiesz, co wtedy zrobiłam? Złapałam z biurka długi nóż do przycinania kartek, przyłożyłam mu ostrze do gardła i powiedziałam: "Jeżeli to zrobisz, zabiję cię". A potem dodałam: "On i tak dowie się o tym, co było między nami... bo powinien o tym wiedzieć... ale powiem mu wszystko ja sama, nie ty... i jeżeli ośmielisz się stanąć między mną a nim, zabiję cię, pójdę do więzienia, ale cię zabiję". Powiedziałam to takim tonem, że zrozumiał, że to nie przelewki... i od tej pory nie puścił pary z ust... Tylko przez zemstę napisał ten list anonimowy, w którym wspomniał o twoim ojcu.

— Ach, więc to on — zawołał mimo woli Marcello.

— Oczywiście... poznałam od razu papier i czcionki maszyny. — Umilkła na chwilę, po czym z nagłym niepokojem, ujmując Marcella za rękę, dodała: — Teraz powiedziałam ci wszystko... i wydaje mi się, że jakoś mi lżej na duszy... ale może nie po

winnam była jej tego mówić>.. może teraz nie będziesz mógł mnie ścierpieć i znienawidzisz mnie.

Marcello nic nie odpowiedział i milczał przez dłuższy czas. Opowiadanie Giulii nie wzbudziło w nim nienawiści do człowieka, który ją wyzyskał, ani litości nad nią, która padła jego ofiarą. Sam sposób opowiadania, apatyczny i rozsądny, mimo słów wstrętu i (pogardy, wyłączał uczucia tak zdecydowane, jak nienawiść i litość. Więc on także, jak gdyby tym zrażony, skłaniał się do pobłażania i rezygnacji. Czuł tylko zdumienie, czysto fizyczne, dalekie od jakichkolwiek sądów, jak gdyby nagle zapadł się w czeluść, a poza tym smutek, bardziej dotkliwy niż zwykle, wobec niespodziewanego potwierdzenia reguły dekadencji, od której Giulia, wbrew temu, co sądził przez pewien czas, nie była wyjątkiem. Lecz, o dziwo, nie ucierpiało na tym jego przeświadczenie o na wskroś normalnej naturze Giulii. Zrozumiał nagle, że normalność nie polega na unikaniu pewnych doświadczeń życiowych, ale na ich właściwej ocenie. Przypadek zrządził, że zarówno on, jak i Giulia mieli coś do ukrycia w swoim życiu, a co za tym idzie, coś do wyznania. Ale podczas gdy on był niezdolny mówić o Linie, Giulia nie zawahała się wyjawić mu swoich stosunków z adwokatem, wybierając na to najwłaściwszy jej zdaniem moment, ich ślub, który w jej pojęciu przekreślał przeszłość i otwie

rał przed nią nowe życie. Ta myśl sprawiła mu przyjemność, potwierdzała bowiem, pomimo wszystko, normalność Giulii, umiejętność odradzania się przy pomocy zwykłych i odwiecznych środków: religii i uczuć. Pogrążony w tych rozmyślaniach, wpatrywał się w okno i nie zauważył, że jego milczenie ją przeraża. Potem poczuł, że Giulia próbuje go objąć, i usłyszał jej pytający głos:

— Nic nie mówisz?... A więc to prawda... brzydzisz się mną... powiedz prawdę: nie możesz mnie ścierpieć, masz do mnie wstręt?

Marcello pragnął ją uspokoić i odwrócił się, żeby odpowiedzieć uściskiem na jej uścisk. Lecz wstrząs pociągu odrzucił na bok jego rękę, tak że niechcący uderzył żonę łokciem w twarz. Pociąg w tej samej chwili wjechał z przeciągłym gwizdem do tunelu; ciemności za szybą stały się jeszcze gęściej- sze. W hałasie spotęgowanym przez echo wydało mu się, że słyszy żaloszny płacz Giulii, która z wyciągniętymi przed siebie rękami, chwiejąc się i potykając szła do drzwi przedziału. Zdziwiony, nie wstając, zawołał ją: *— Giulio! — Zamiast odpowiedzi Giulia, wciąż zataczając się z bólu, otworzyła drzwi i znikła na korytarzu.

Przez chwilę nie ruszał się z miejsca, po czym zaniepokojony wstał i 'także wyszedł. Przedział znajdował się w środku wagonu, toteż od razu zobaczył żonę, która szła szybkim krokiem przez pusty korytarz

w kierunku drzwi. Widząc ją uciekającą po miękkim dywanie między mahoniowymi ścianami, przypomniał sobie, co powiedziała swojemu dawnemu kochankowi: "Jeżeli to zrobisz, zabiję cię" i — pomyślał, że może nie znał dotąd jednego rysu jej charakteru, biorąc dobroduszość za indolencję. W tej samej chwili zobaczył, że Giulia pochyla się i chwyta za klamkę drzwi wagonu. Dopadł ją jednym skokiem i złapał za ramiona, zmuszając, żeby się wyprostowała.

— Giulio, co robisz? — powiedział ścisząc głos, chociaż pociąg dudnił ogłuszająco. — Coś ty myślała? To wagon szarpnął... Chciałem się odwrócić, a niechący cię uderzyłem.

Ona zeszywniała mu w ramionach, jak gdyby chciała się wyrwać z jego uścisku. Lecz jego spokojny i szczerze zdziwiony głos uspokoił ją prawie natychmiast. Powiedziała po chwili, zwieszając głowę:

— Wybacz mi, może się pomyliłam, ale miałam wrażenie, że znienawidziłeś mnie, i chciałam skończyć z sobą... Nie zrobiłam tego na pokaz... Gdybyś nie nadbiegł w porę, byłoby już po wszystkim.

— Ależ dlaczego... co ci strzeliło do głowy?

Zobaczył, że wzruszyła ramionami:

— No tak, żeby się więcej nie męczyć... Dla mnie zamążpójście znaczyło więcej, niż możesz przypuszczać... Kiedy wydało mi się, że po tym wszystkim masz mnie dosyć, po

myślałam sobie: nie wytrzymam dłużej. — Znowu wzruszyła ramionami i dodała podnosząc wreszcie- twarz ku niemu i uśmiechając się: -r. Pomyśl, zostałbyś wdowcem zaraz po ślubie.

Marcello patrzył na nią przez chwilę bez słowa. Na pewno, pomyślał, Giulia była szczerą; przywiązywała do małżeństwa o wiele większą wagę, niż on mógł sobie wyobrazić. Wtedy z uczuciem zdumienia pojął, że to pokorne zdanie świadczyło o jej uaprawdę szczerym stosunku do ceremonii ślubnej, która dla niej, inaczej niż dla niego, była naprawdę tym, czym być powinna, niczym mniej, niczym więcej. Nic więc dziwnego, że w swojej żarliwości, przy pierwszym zwątpieniu, zapagnęła odebrać sobie życie. Przyszło mu na myśl, że ze strony Giulii był to niemal szantaż: albo mi przebacysz, albo odbiorę sobie życie; i raz jeszcze poczuł ulgę, widząc ją właśnie taką, jak sobie życzył. Giulia odwróciła się i zdawała się patrzeć w okno. Objął ją wpół i szepnął jej do ucha:

— Wiesz, że cię kocham.

Odwróciła się natychmiast i pocałowała go z tak gwałtownym uniesieniem, że niemal go to przeraziło. W ten sposób, pomyślał, niektóre dewotki całują w kościołach stopy posągów, krzyże, relikwie. A tymczasem huk tunelu przeszedł w zwykłe dudnienie kół o szyny, które biegły teraz po otwartej przestrzeni. Oderwali się od siebie.

Potem stali razem przy oknie, trzymając się za ręce i wpatrując się w ciemności nocy.

— Popatrz — powiedziała wreszcie Giulia już zwykłym głosem — patrz tam... co to może być? Pożar?

Istotnie pożar, podobny do czerwonego kwiatu, błyszczał teraz pośrodku ciemnej szyby. Marcello odrzekł: — Może — i opuścił okno. Znikł połysk, jaki nadawało nocy szkło szyby, powiał mu w twarz zimny wiatr, lecz czerwony kwiat pozostał, nie wiadomo, w górze czy w dole, blisko czy daleko, tajemniczo zawieszony w ciemnościach. Wpatrywał się długo w tych kilka ognistych płatków, które zdawały się poruszać i pulsować, po czym zwrócił oczy na biegnący wzdłuż toru nasyp, po którym wraz z cieniami jego i Giulii przesuwały się nikłe światła pociągu. Poczul wtedy nagłe, silne oszołomienie. Dlaczego znalazł się w tym pociągu? Kim jest kobieta stojąca przy jego boku? Dokąd jedzie? Kim jest on sam? I skąd przybywa? Oszołomienie nie było bolesne, wprost przeciwnie, sprawiało mu przyjemność jako uczucie dobrze znajome i stanowiące może najintymniejszą głębię jego istoty. "I oto — pomyślał chłodno — jestem jak ten ogień w otchłani nocy... Zapłonę i spalę się bez powodu, bez następstw... trochę w mroku".
zniszczenia

Wzdrygnął się na głos Giulii, która powiedziała:

— Słuchaj, musieli już chyba pościelić łóżka — i zrozumiał, że gdy on zagubił się w kontemplacji dalekiego ognia, ją bez reszty pochłaniała ich miłość; a raczej, ściślej mówiąc, bliskie już połączenie się ich dwojga ciał: słowem to, co działo się w danej chwili, nic więcej. Skierowała się już, jak gdyby z hamowaną niecierpliwością, do przedziału. I Marcello poszedł za nią, trzymając się w pewnej odległości. Przystanął na progu, żeby przepuścić konduktora, i wszedł do przedziału. Giulia stała przed lustrem i, nie zważając na otwarte drzwi, zdejmowała bluzkę, odpinając guziki od dołu do góry. Powiedziała mu, nie oglądając się za siebie:

— Ty będziesz spał na górnym łóżku... ja na dolnym.

Marcello zamknął drzwi, wdrapał się na górę i od razu zaczął się rozbierać, układając kolejno na siatce części garderoby. Słyszał krzątanicę Giulii, brzęk szklanki stawianej na metalowej podstawce, stuknięcie pantofla rzuconego na miękkim chodniku... Potem, z suchym trzaskiem, zgasły jaśniejsze światła, zabłysło fioletowe światełko nocnej lampki i dał się słyszeć głos Giulii:

— Przyjdiesz teraz do mnie? — Marcello spuścił nogi, przewrócił się na bok, oparł stopę o dolne łóżko i pochylił się, żeby się na nie zsunąć. W trakcie tej czynności zobaczył

Giulię wyciągniętą na wznak, nagą, zasłaniającą oczy jedną ręką, z rozsuniętymi nogami. W nikłym i mętnym świetle jej karnacja nabrała zimnej bieli perłowej masy, na której odcinały się czarnymi plamami ¹ pachy i łono, a ciemnoróżowymi piersi; ciało to wyglądało jak martwe nie tylko z powodu swej śmiertelnej bladości, ale również dlatego, że spoczywało w idealnie nieruchomej i bezwładnej pozycji. Lecz gdy Marcello znalazł się nad nią, otrząsnęła się nagle gwałtownym ruchem, jak pułapka, która zatrzaskuje się i zamyka, i przyciągnęła go do siebie zarzucając mu ręce na szyję i oplą- WM tając nogami jego plecy. Później twardo go odepchnęła i odwróciła się do ściany skulona, z czołem opartym o kolana. I Marcello, leżąc przy niej, zrozumiał, że to, co odebrała od niego z takim zapamiętaniem, a potem zamknęła i strzegła tak zazdrośnie w swoim brzuchu, nie należy już do niego i w niej będzie dojrzewało. I pomyślał, że zrobił to, aby przynajmniej raz móc sobie powiedzieć; "Byłem mężczyzną takim jak wszyscy inni... kochałem, połączyłem się z kobietą i spłodziłem nowego człowieka".

ROZDZIAŁ II

Marcello, gdy tylko wydało mu się, że ani Giulia zasnęła, uniósł się na łóżku, spuścił nogi na podłogę i zaczął się ubierać. W pokoju panował świeży i przezroczysty półmrok, zdradzający czerwcową pełnię blasku na niebie i na morzu; był to typowy pokój hotelowy na Riwierze, wysoki i biały, ozdobiony niebieskimi stiukami przedstawiającymi kwiaty, łądygi i liście, z meblami z jasnego drzewa w tym samym stylu, co stiuki, i ze stojącą w kącie dużą zieloną palmą. Kiedy się już ubrał, podszedł do okna, odemknął żaluzję i wyjrzał na dwór. Od razu rzuciło mu się w oczy morze, rozległe i wesołe, wyolbrzymione jeszcze przejrzystością nieba; jego niemal fioletowy błękit zdawał się przy lekkich podmuchach wiatru zapalać na każdej fali rozpylonym odblaskiem światła słonecznego. Marcello spojrział w dół na biegnący wybrzeżem deptak: był pusty, nikt też nie siedział na ławkach ustawionych w cieniu palm frontem do morza. Przez dłuższą chwilę oglądał ten widok, po czym przytknął żaluzję i odwrócił się, by popatrzeć na leżącą na łóżku Giulie. Była naga, spała. Pozycja jej spo-

ożywającego na boku ciała uwydatniała kragłość białego i pulchnego biodra, zaś tors zdawał się opadać martwo i bezwładnie, niczym łodyga izwiedniętego kwiatu w wazonie. Marcello wiedział, że jędrne i masywne były w tym ciele tylko biodra i plecy; i przypomniał sobie niewidoczny w tej chwili brzuch, lekko pofałdowany, przelewający się na łóżko, piersi opadające jedna na drugą. Głowa Giulii zasłonięta była ramieniem; Marcello na myśl o tym, że niedawno ją posiadał, doznał nagle wrażenia, iż patrzy nie na kobietę, ale na maszynę z ciała, dorodną i ponętą, lecz brutalną, stworzoną do miłości, i tylko do miłości. Giulia, jak gdyby zbudzona jego bezlitosnym spojrzeniem, poruszyła się nagle, westchnęła i powiedziała wyraźnie: — Marcello... — Szybko do niej podszedł i odrzekł z czułością: — Jestem tutaj. — Zobaczył, że przewraca na drugi bok to swoje ciężkie kobiece ciało, że wyciąga ręce i szuka po- omacku. Potem objęła go ramionami w pół i przycisnęła zasłoniętą włosami twarz do jego podbrzusza. Pocałowała go z bałwochwalczą i namiętną pokorą i, przytulona do niego zastygła na chwilę w bezruchu, po czym, zmożona sennością, opadła na łóżko z rozsypanymi wokół twarzy włosami. Zasnęła w tej samej pozycji, co przedtem, tyle że leżała teiraz na lewym boku. Marcello zdjął z wieszaka marynarkę, na palcach pomknął do drzwi i wyszedł na korytarz.

Zbiegł z szerokich akustycznych schodów, wyszedł z hotelu i znalazł się na deptaku. Słońce, odbijając się od powierzchni morza rozjarzonymi iskrami, oślepiło go na chwilę; przymknął oczy i wtedy, jak gdyby nagle zaostrzył mu się węch, poczuł przenikliwy zapach końskiego moczu. Tuż za hotelem, w zacienionym pasie, stało rzędem kilka dorożek. Siedzenia były przykryte białymi pokrowcami, dorożkarze drzemali na koźle. Marcello podszedł do pierwszej z brzegu dorożki i wsiadł podając adres: — Ulica dei Glicini. — Zauważył, że dorożkarz obrzucił go krótkim znaczącym spojrzeniem, po czym, bez słowa, śmignął batem.

Dorożka długo jechała brzegiem morza, potem skręciła w krótką ulicę zabudowaną willami stojącymi w ogrodach. Naprzeciw, w głębi ulicy, wyrastało typowo liguryjskie wzgórze, świetliste, najeżone winnicami, nakrapiane szarymi oliwkami; tu i, ówdzie na zboczu sterczały wysokie czerwone domki o zielonych oknach. Ulica prowadziła do stóp pagórka; chodniki i asfalt nagle się urywały i dalej ciągnęło się coś w rodzaju zarosłej trawą drogi. Dorożka stanęła, Marcello podniósł oczy i zobaczył trzypiętrowy dom, szary z czerwonym łupkowym dachem i mansardowymi oknami. Dorożkarz powiedział opryskliwie: j|| To tutaj — wziął pieniądze i szybko zawrócił. Marcellowi przemknęło przez myśl, że dorożkarz czuł się urażony w swojej godności, przywożąc

go pod ten adres; lecz otwierając furtkę doszedł do wniosku, że po prostu przypisuje temu człowiekowi odrazę, jaką sam odczuwa.

Przeszedł alejkę wysadzaną poszarzałym od kurzu żywopłotem, kierując się ku drzwiom z kolorowymi szybami. Zawsze miał głęboką awersję do takich domów i odwiedzał je kilkakrotnie tylko w okresie wczesnej młodości, zawsze z niesmakiem, i za każdym razem sumienie mówiło mu, że ubliżało to jego godności własnej i że nie powinien tego robić. Z dreszczem obrzydzenia wszedł, na schodki, pchnął oszklone drzwi, wprawiając przy tym w ruch ostry dzwonek, i znalazł się w pompejańskim westybulu, przed schodami z drewnianą poręczą. Rozpoznał zapach pudru, potu i męskiego nasienia; dom pogrążony był w ciszy i ciepłe letniego popołudnia. Podczas gdy Marcello rozglądał się dokoła, zjawiała się nie wiadomo skąd osoba wyglądająca na pokojówkę, ubrana w czarną suknię i biały, przewiązany w pasie fartuszek, mała, ruchliwa, ze spiczastą twarzą łasicy, z błyszczącymi oczyma, i stanęła przed nim z piskliwym, wesołym "dzień dobry".

— Chcę się rozmówić z właścicielką — powiedział może z przesadną uprzejmością, zdejmując kapelusz.

— Dobrze, ładny chłopysiu, rozmówisz się z nią — odpowiedziała kobieta dialektem — ale na razie idź do salonu... pani tam przyjdzie... wejdz. .

Marcella rozdrażnił zarówno-jej poufały ton, jak to, że padł ofiarą nieporozumienia, ale usłuchał i podszedł do wskazanych^ drzwi. Zobaczył za nimi salon, pogrążony w lekkim cieniu, długi i prostokątny, pusty, dokoła rozstawione były pod ścianami czerwone obite sofy. Podłoga była zakurzona jak w poczekalni dworcowej; także materiał, którym obite były sofy, brudny i wytarty, ukazywał w intymnym wnętrzu tego domu szarzyznę lichego lokaliku publicznego. Marcello siadł niepewnie na jednej z sof. Równocześnie w całym domu, jak w brzuchu, którego kiszki po dłuższym zastoju nagle się uwalniają od swego ciężaru, powstał ruch, rozległy się jakieś szmery i niepokojący tupot na schodach. Potem stało się to, czego obawiał się Marcello. Otworzyły się drzwi i grubiański głos pokojówki oznajmił:

— Są już panienki... możesz wybierać.

Weszły gnuśne, rozleniwione, niektóre na pół nagie, inne nieco przyzwoiciej odziane, dwie blondynki i trzy brunetki, trzy średniego wzrostu, jedna zdecydowanie mała i jedna olbrzymka. Ta ostatnia usadowiła się koło Marcella, osuwając się na sofę z westchnieniem ospałego zadowolenia. On najpierw odwrócił twarz, lecz potem, nie mogąc się oprzeć pokusie, obrócił się bokiem i zerknął na nią. Była rzeczywiście olbrzymia i zbudowana na kształt piramidy: biodra szersze od talii, talia szersza od ramion, ramiona szersze od głowy, wyjątkowo zre-

szta małej; nos miała spłaszczony, nad czołem wysoko upięty warkocz. Stanik z żółtego jedwabiu opinał jej wydęte, nisko osadzone piersi; czerwona spódnica, rozchylająca się szeroko pod pępkiem niczym kurtyna, ukazywała czarny wzgórek Wenery i białe masywne uda. Widząc, że jest obserwowana, uśmiechnęła się znacząco do jednej ze swoich towarzyszek, siedzącej pod przeciwległą ścianą, westchnęła, a potem włożyła dłoń między uda, jak gdyby chcąc je szerzej rozsunąć dla ochłody. Marcello, podrażniony tym nieruchawym bezwstydem, najchętniej szarpnąłby ją za tę rękę, którą drapała się teraz po podbrzuszu, ale nie miał siły się poruszyć. W zbydlęceniu tych kobiet uderzał go najbardziej nieodwracalny charakter ich upadku; to samo, co napawało go dreszczem odrazy na" widok nagości matki i obłędu ojca i z czego zrodziło się jego niemal histeryczne umiłowanie ładu, spokoju, czystości, porządku. W końcu kobieta powiedziała dobrodusznym i żartobliwym tonem, zwracając się do niego: - co, nie podoba ci się twój harem? Zdecydujesz się w końcu? — Wtedy natychmiast, zdjęty niepohamowanym wstrętem, zerwał się i wybiegł z salonu, żegnany, jak mu się wydawało, śmiechem i jakimś ordynarnym zdaniem wypowiedzianym w dialekcie. Wściekły skierował się na schody, chcąc wejść na >pierwsze piętro i poszukać tam właścicielki, lecz w tejże chwili

za jego plecami znowu rozdzwonił się dzwonek u drzwi, i gdy się obejrzał, zobaczył na progu zdumionego Orlanda, który w tej sytuacji wydał mu się nadal ojcowski.

— Dzień dobry, doktorze... ale dokąd idziecie? — zawołał od razu agent. — To nie tam, nie mieliście iść na górę.

— Rzeczywiście — rzekł Marcello zatrzymując się, nagle uspokojony — obawiam się, że wzięto -mnie za jednego z klientów.

— Głupie baby — rzekł agent potrząsając głową — chodźcie ze mną, doktorze... zaprowadzę was... już tam na was czekają.

Wszedł pierwszy przez oszklone drzwi do ogrodu, Marcello za nim. Alejką między żywopłotami obeszli willę. Słońce paliło tę część ogrodu suchym żarem, cierpkim od kurzu i zdziczałej roślinności. Marcello zauważył, że we wszystkich Oknach willi żaluzje były spuszczone, jak gdyby nikt w niej nie mieszkał. Agent skręcił teraz ku niskiemu białemu pawilonowi, który zajmował całą tę część ogrodu. Marcello przypomniał sobie, że widywał tego rodzaju domki w podobnych ogrodach za podobnymi do tej willami, w miejscowościach kąpielowych: właściciele wynajmowali wille na lato, a sami przenosili się do takich pawilonów i, dla zarobku, tłoczyli ęię w paru klitkach. Agent nie stukając otworzył drzwi i wszedł oznajmiając;

— Przyszedł doktor Clerici.

Marcello wszedł za nim i znalazł się w niewielkim pokoju, umeblowanym mniej więcej jak biuro. Powietrze było gęste od dymu; przy stole siedział mężczyzna z założonymi rękoma i z twarzą zwróconą ku niemu. Był albinosem, jego twarz, usiana żółtymi piegami, miała przejrzystość lśniącego, różowego alabastru; niebieskie oczy połyskiwały czerwienią, brwi były białe, jak u zwierząt żyjących w krajach polarnych. Marcello, przyzwyczajony do dziwnego kontrastu między tępym biurokracyzmem wielu jego kolegów z Tajnego Wywiadu a ich często okrutnymi zadaniami, powiedział sobie od razu, że ten jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Na jego upiornej twarzy malowało się coś więcej niż okrucieństwo: coś w rodzaju bezlitosnej wściekłości, pokrytej jednak konwencjonalnym chłodem niemal wojskowego sposobu bycia. Mężczyzna siedział przez chwilę bez ruchu, po czym wstał gwałtownie, ujawniając swój niski wzrost:

— Gabrio. — Usiadł znowu i mówił dalej ironicznym tonem: Zjawiliście się wreszcie, doktorze ClericL

Miał głos metaliczny, nieprzyjemny. Marcello nie czekając na zaproszenie usiadł także i powiedział:

— Przyjechałem dziś rano.

— Właśnie rano was oczekiwałem/ Marcello zawahał się: czy powinien mu powiedzieć, że jest w podróży poślubnej.

Zdecydował, że nie, i spokojnie dokończył:

— Nie mogłem przyjść wcześniej.

— Widzę to — odrzekł tamten.. Pchnął: w stronę Marcella paczkę papierosów,, z krótkim: "Palicie?", bez cienia uśmiechu: ^ potem, pochyliwszy głowę, przez chwilę czytał leżący przed nim arkusz papieru. •— Zostawiają mnie w tym domu, może i gościnnym, ale wcale nie gwarantującym tajemnicy, bez informacji, bez poleceń, prawie bez pieniędzy... no proszę! — Czytał jeszcze przez dłuższą chwilę, po czym podnosząc głowę dorzucił: ■»— W Rzymie powiedziano wam, że macie się do mnie zgłosić, czy tak?

— Tak, agent, który mnie tu przyprowadził, uprzedził mnie, że mam przerwać podróż i stawić się u was.

— No taki — Gabrio wyjął z ust papierosa, odłożył go ostrożnie na brzeg popielniczki. — Wygląda na to, że w, ostatniej chwili coś się zmieniło, program uległ zmianie.

Marcello nawet nie mrugnął okiem; nagle, sam nie wiedząc dlaczego, poczuł przyływ ulgi i nadziei, rozpierających mu serce; może uda mu się pojechać do Paryża tylko i wyłącznie w podróż poślubną? Ale odpowiedział rzeczowo:.

— To znaczy?

— To znaczy, że w związku ze zmianą planu zmieni się także wasza misja — cią

gnął dalej Gabrio, — Quadri, o którego nam chodzi, był śledzony, wy mieliście nawiązać z nim stosunki, wzbudzić jego zaufanie i postarać się, żeby powierzył wam jakieś zadanie do wykonania... tymczasem ostatni komunikat z Rzymu podaje, że Quadri stał się osobnikiem niewygodnym i należy go sprzątnąć. ^-Gabrio wziął papierosa, raz zaciągnął się dymem, znów położył go na popielniczce, S Słowem — wyjaśnił bar-4 dziej narracyjnym tonem — wasza misja ogranicza się prawie do zera... macie nawiązać kontakt z Quadrim, odnawiając starą znajomość, i wskazać go agentowi Orlan- do, który też udaje się do Paryża... Moglibyście na przykład zaprosić go do jakiegoś lokalu, gdzie przyszedłby także Orlando, do kawiarni, do restauracji... Orlando ma go tylko zobaczyć, zidentyfikować... i to wszyst- i ko, czego się od was żąda, po czym możecie już sobie odbywać waszą podróż poślubną, jak wam się podoba.

A więc Gabrio wie także o podróży poślubnej — pomyślał Marcello, zdumiony. Lecz natychmiast zdał sobie sprawę, że uchwycił się gorączkowo tej pierwszej myśli, by zamaskować swój głęboki niepokój wewnętrzny. Ze słów Gabria wynikało coś znacznie ważniejszego niż to, że wie on o podróży poślubnej: mianowicie decyzja zgładzenia Quadriego. Całym wysiłkiem woli zmusił się do obiektywnego rozpatrzenia tej niezwyklej i tragicznej wiadomości.

I od razu doszedł do zasadniczego wniosku:; przecież agent Orlando mógł bez trudu sam odnaleźć ofiarę i ustalić jej tożsamość. A więc, pomyślał, szło im o to, żeby go wmieszać w tę sprawę, chociaż był całkiem zbyteczny, i skompromitować raz na za- - wsze. Co do zmiany planu natomiast, była o; a tylko pozorem. Na pewno w chwili, gdy r n udał się do ministerstwa, plan, o któ- ffym teraz wspomniął Gabrio, był już gotowy i ustalony ze wszystkimi szczegółami; a rzekoma zmiana wynikała z charakterystycznej tendencji dzielenia i pogmatwania odpowiedzialności. Ani on, ani najprawdopodobniej Gabrio nie otrzymali rozkazów na piśmie; tak więc w razie niepomyślnego przebiegu wypadków ministerstwo mogło umyć ręce od całej afery i obwiniono by <f morderstwo jego, Gabria, Orlanda oraz innych, którzy wzięliby w nim pośredni udział.

Zawahał się, po czym, chcąc zyskać na czasie, powiedział:

— Wydaje mi się, że nie jestem potrzebny Orlandowi do znalezienia Quadriego... myślę, że mógłby odszukać go nawet w spisie telefonów.

— Takie są rozkazy — odrzekł Gabrio z tak skwapliwym pośpiechem, jak gdyby spodziewał się tego sprzeciwu.

Marcello zwiesił głowę. Uświadomił sobie, że wpadł w pułapkę; że podał palec i teraz, podstępem, chwytano go za rękę; ale, rzecz

dziwna, gdy minęło pierwsze zdziwienie, H uprzytomnił sobie, że ta zmiana planu nie ! budzi w nim odrazy, tylko tępe i melancholijne uczucie rezygnacji, jak wobec obo- I więzku, który choć stał się przykry, jest na- dal konieczny i nieunikniony. Agent Orlando na pewno nie znał wewnętrznego mechanizmu owego obowiązku, on natomiast rozumiał go, i to była jedyna różnica. Ani on, ani Orlando nie mogli się wyłamać spod tego, co Gabrio nazwał rozkazami, a co dla każdego z nich było osobistą sytuacją teraz już definitywnie ustaloną, tak że dla nich obu już nic nie istniało prócz chaosu i zguby. Powiedział w końcu podnosząc głowę:

— Więc dobrze... a gdzie znajdę Orlanda w Paryżu?

Gabrio odpowiedział rzucając okiem na rozłożony na stole arkusz papieru:

— Podajcie swój adres... Orlando się dó was zgłosi.

Tak więc, pomyślał Marcello, nie mieli do niego pełnego zaufania, nie uważali za stosowne podać mu adresu agenta w Paryżu. Wymienił nazwę hotelu, w którym postanowił się zatrzymać, i Gabrio zapisał pełny adres na arkuszu. Dorzucił potem, uprzejmiejszym tonem, jak gdyby chcąc podkreślić, że oficjalna część wizyty jest skończona:

— Nigdy nie byliście w Paryżu?

— Nie, jadę tam po raz pierwszy.

— Ja spędziłem tam dwa lata, zanim znalazłem się tutaj, w tej dziurze — rzekł Gabrio z goryczą wyzyskiwanego urzędnika. — Po Paryżu nawet Rzym wydaje się prowincjonalnym miastem... a co dopiero ta miejscowość. — Zapalił nowego papierosa od niedopałka i dodał z cierpką chępliwością: — W Paryżu miałem aksamitne życie... apartament, samochód, znajomości, stosunki z kobietami... wiecie, zwłaszcza pod tym względem Paryż jest wymarzony.

Marcello, chociaż Gabrio budził w nim odrazę, uznał, że musi w jakiś sposób odwzajemnić jego uprzejmość, i powiedział:

— No, mając ten dom pod bokiem, można się chyba nie nudzić.

Gabrio potrząsnął głową:

— Uff, średnia przyjemność zabawiać się z tymi cielskami ocenianymi na wagę... Nie — dorzucił — jedyna ucieczka to kasyno... Gracie?

— Nie, nigdy.

— A jednak to jest ciekawe — rzekł Gabrio przechylając się w tył na krześle, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. — Fortuna może się uśmiechnąć do każdego, do mnie, jak i do was... Nie bez powodu jest kobieta... cała sztuka w tym, żeby ją w porę uchwycić. — Wstał, podszedł do drzwi i otworzył je. "Jest rzeczjrwicie bardzo niski" — pomyślał sobie Marcello patrząc na jego krótkie nogi i sztywny tors, opięty w mary

narękę wojskowego koloru i kroju. Gabrio, patrząc na Marcella, stał przez chwilę w słonecznej smudze, która zdawała się jeszcze bardziej uwydatniać przejrzystość jego różowej i lśniącej cery, po czym powiedział: — Przypuszczam, że już się więcej nie zobaczymy... Wy z Paryża wracacie prosto do Rzymu?

— Tak, prawie na pewno.

— Niczego wam nie trzeba? | zapytał z wyraźną niechęcią Gabrio. — Zaopatrzone was w odpowiednie środki? Nie dysponuję większymi sumami... ale jeśli wam czegoś potrzeba...^r

— Nie, dziękuję, nic mi nie trzeba.

— No, to życzę szczęścia... nie dajcie się w tej paszczy wilka — uścisnęli sobie ręce i Gabrio szybko zatrzęsął drzwiami pawilonu. Marcello, skierował się do furtki.

Lecz gdy znalazł się w alejce z żywopłotem, przypomniał sobie, że uciekając z salonu zostawił tam kapelusz. Zawahał się, poczuł obrzydzenie na samą myśl o powrocie do tego pokoju, śmierdzącego butami, pudrem i potem, a także obawiał się drwinek i zalotów ze strony kobiet. W końcu zdecydował się, zawrócił i pchnął drzwi, wprawiając w ruch automatyczny dzwonek.

Tym razem nikt się nie zjawił, ani pokojówka o twarzy łasicy, ani żadna z dziewcząt. Lecz przez otwarte drzwi dobiegł go z salonu dobrze znany, gruby i dobrodusz

ny głos agenta Orlando; nabrał więc ochoty i wszedł.

Salon był pusty; agent siedział w kącie przy drzwiach, z kobietą; Marcello, o ile pamiętał, nie widział jej wśród tych, które za jego pierwszą bytnością zjawiły się w salonie. Ta kobieta, ciemnowłosa, miała wysokie białe czoło, jasne oczy, twarz podłużną i szczupłą, duże usta ożywione pąsową szminką i jak gdyby wzgardliwe w wyrazie. Ubrana była prawie zwyczajnie, w białą wieczorową, głęboko dekolowaną suknię bez rękawów. Jedyne niezwykle szczególne stanowiło przecięcie sukni, od pasa w dół, odsłaniające brzuch i nogi, założone jedna na drugą, długie, smukłe i wytworne, piękne i czyste w linii jak u tancerki. Trzymała dwoma palcami zapalonego papierosa, ale nie paliła: rękę miała opartą na poręczy sofy, dym ulatywał w powietrze. Drugą rękę trzymała na kolanie agenta, jak na wiernym łbie dużego psa. Lecz co uderzyło go najbardziej, to czoło, nie tyle białe, ile rozjaśnione w tajemniczy sposób skupionym wyrazem jej oczu; ta czystość blasku przywiodła mu na myśl brylantowe diademy, które niegdyś kobiety nosiły na galowych przyjęciach. Marcello, zdumiony, nie odrywał od niej wzroku; ale jednocześnie uświadamiał sobie, że odczuwa coś w rodzaju żalu i pogardy. A tymczasem Orlando, oniesmielony jego natrętnym spojrzeniem, wstał.

— Mój kapelusz! — powiedział Marcello. Kobieta siedziała i patrzyła teraz na niego bez zainteresowania, Agent usłużnie poszedł po kapelusz, leżący na sofie w drugim kącie salonu. I wtedy Marcello zrozumiał nagle, dlaczego widok tej kobiety obudził w nim bolesne rozżalenie: pojął, iż nie chce, żeby była powolna agentowi, a widząc, że pozwala mu się obejmować, cierpiał jak wobec ciężkiej profanacji. Ona na pewno nie wiedziała o tym blasku, który rozjaśniał jej czoło i który nie był jej własnością, jak na ogół uroda nie jest własnością tych, którzy ją posiadają. Pomimo to wydawało mu się, że jest niemal jego obowiązkiem nie dopuścić, żeby to świetliste czoło schyliło się dla zaspokojenia erotycznych zachcianek Orlanda. Pomyślał, żeby wykorzystać swoją władzę i wyprowadzić ją z salonu: porozmawialiby przez chwilę, a potem, kiedy by się już upewnił, że Orlando wybrał sobie inną, mógłby stąd odejść. Przyszła mu nawet szaleńcza myśl, żeby ją zabrać z domu publicznego i wprowadzić na nową drogę życia. Lecz równocześnie zdawał sobie sprawę, że jest to czysta fantazja: ona nie mogła być inna od swoich towarzyszek, na pewno musiała być zepsuta i musiała stoczyć się na dno jak tamte. Potem poczuł, że ktoś dotknął jego ramienia: Orlando podawał mu kapelusz. Odebrał go machinalnie.

Lecz agent zdążył się już zastanowić nad

szczególnym spojrzeniem Marcella. Wystąpił krok naprzód i wskazując na kobietę, tak jak wskazuje się na jedzenie czy napoje dostojnemu- gościowi, zaproponował:

— Doktorze, jeśli pan chce, jeśli się ona panu podoba... to ja mogę poczekać.

Początkowo Marcello nie zrozumiał. Potem zobaczył uśmiech Orlando, zarazem ironiczny i pełen szacunku, i zaczerwienił się po uszy. Więc Orlando nie rezygnował, tylko przez uprzejmość koleżeńską i poczucie dyscypliny wobec ' przełożonego godził się dać mu pierwszeństwo: zupełnie jak w barze albo przy bufecie. Marcello odrzekł pośpiesznie:

— Pan chyba oszalał... niech pan robi, co pan chce, ja muszę już iść.

— W takim razie, doktorze... — powiedział agent z uśmiechem. Orlando kiwnął na kobietę, a potem Marcello z bólem zobaczył, że ona posłusznie wstaje i, wysoka, wyprostowana, z tym swoim diademem światła na czole, zbliża się do agenta. Orlando powiedział jeszcze: —. Zobaczmy się niebawem, doktorze ~ i odsunął się na bok, by przepuścić kobietę. Marcello także cofnął się niemal bezwiednie, a ona przeszła między nimi, bez pośpiechu, z papierosem w ręku. Lecz gdy znalazła się koło Marcella, przystanęła i powiedziała: — Gdybyś mnie chciał, mam na imię Luiza. — Sprawdziły się jego obawy: jej głos był wulgarny i chrypliwy, pozbawiony uroku;

Luiza chcąc kokieteryjnie zaakcentować te słowa, wysunęła język i oblizała górną wargę. Marcellowi wydało się, że po tych słowach i tych gestach może już nie robić sobie wyrzutów, iż nie przeszkodził jej pójść z Orlandem. A tymczasem idąca przed agentem kobieta była już przy schodach. Rzuciła palącego się papierosa, przydeptała go, uniosła oburącz spódnicę i zaczęła szybko wchodzić na schody; za nią, o stopień niżej, szedł Orlando. W końcu oboje znikli za zakrętem schodów. Ktoś schodził teraz na dół, zapewne jedna z dziewcząt ze swoim klientem, słychać było rozmowę. Marcello pośpiesznie wyszedł z tego domu.

ROZDZIAŁ IU

Marcello dał portierowi polecenie, żeby połączył go z numerem Quadriego, po czym usiadł w hallu na uboczu. Był to duży hotel i hall był ogromny, z kolumnami podtrzymującymi łuki sklepienia, pełen foteli, gablot zastawionych luksusowymi towarami, biurek i stolików; kręciło się tam wiele osób, przechodzących od drzwi wejściowych do windy, od lady portiera do lady dyrekcji, od restauracji do salonów, znajdujących się za kolumnami. Marcello chętnie skróciłby sobie czekanie rozglądając się po wesołym i rojącym się od ludzi hallu, lecz trawiący go niepokój kazał mu sięgnąć w głąb pamięci i niemal wbrew woli powrócił myślą do pierwszej i jedynej wizyty u Quadriego przed wielu laty. Marcello był wtedy studentem, a Qua'dri jego profesorem; poszedł do domu Quadriego, starej czerwonej kamienicy w pobliżu dworca, by zasięgnąć jego rady w sprawie tematu magisterskiej pracy. Gdy wszedł, uderzyła go ogromna ilość książek piętrzących się w każdym kącie mieszkania. Już w przedpokoju zauważył stare kotary, które, jak mu się zdawało, zasłaniały drzwi; lecz

gdy je odchylił, zobaczył całe mnóstwo książek ustawionych rządami we wnękach ściennych. Pokojówka poprowadziła go bardzo długim i krętym korytarzem, biegnącym zapewne wokół podwórza kamienicy, a po obu stronach korytarza także stały półki wypełnione książkami i papierami. A gdy w końcu wprowadziła Marcella do gabinetu Quadriego, znalazł się w czterech ścianach zawalonych od podłogi do sufitu książkami. Książki leżały także na biurku, ułożone w dwa równe stosy, a między nimi, jak poprzez szczelinę, widać było brodatą twarz profesora. Marcello spostrzegł od razu, że Quadri miał dziwnie płaską i asymetryczną twarz, przypominającą do złudzenia maskę z papierowej masy, z czerwonymi obwódkami dokoła oczu, trójkątnym nosem, z przyklejonymi niedbale sztucznymi wąsami i brodą. Także włosy nad czołem, za czarne i jakby wilgotne, sprawiały wrażenie źle dopasowanej peruki. Między szczoteczką wąsów i rozłożystą brodą widniały bardzo czerwone usta o niekształtnych wargach i Marcello nie mógł powstrzymać się od myśli, że ten groźny zarost zakrywa coś szpetnego, na przykład cofniętą brodę albo straszliwą szramę. Słowem, nie było nic pewnego ani prawdziwego w tej twarzy, sztucznej niczym maska. Profesor wstał na powitanie Marcella, ujawniając swój niski wzrost i garb, a raczej skrzywienie lewego ramienia, co dodawało bolesnego wyrazu

jego przesadnej serdeczności i wylewności. Ściskając mu dłoń poprzez książki, Quadri sponad grubych szkieł okularów obrzucił gościa wzrokiem krótkowidza, tak że Marcellowi zdawało się przez chwilę, iż obserwuje go nie dwoje, ale czworo oczu. Zauważył także staromodny strój Quadriego: czarny żakiet z jedwabnymi wyłogami, czarne spodnie w paski, biała koszula z nakrochmalonymi mankietami i kołnierzykiem, złoty łańcuszek na kamizelce. Marcello nie czuł sympatii do Quadriego; wiedział, że jest on antyfaszystą, i w jego pojęciu antyfaszyzm Quadriego, jego tchórzliwy, chorowity i niechlujny wygląd, jego erudycja, jego książki składały się na konwencjonalny i pogardliwie wytykany przez propagandę partii obraz szkodliwego i jałowego intelektualisty. Jednocześnie niezwykła wylewność Quadriego mierzyła Marcella jako oznaka fałszu: wydawało mu się, że człowiek nie może być aż tak serdeczny bez zakłamania i bezinteresownie.

Quadri przyjął Marcella ze zwykłymi u niego wyrazami czułości, niemal przymilnie. Wtrącał często takie zwroty jak: "drogi synku", "synku mój", "synku drogi", wymachując nad stosami książek małymi, białymi dłońmi, zasypywał go pytaniami na rodzinne i osobiste tematy. Gdy się dowiedział, że ojciec Marcella przebywa w klinice dla umysłowo chorych, zawołał: — Och, biedny mój synku, nic o tym nie wie

działem}., a czy wiedza lekarska nie może nic zrobić, żeby przywrócić mu świadomość? — Nie czekał jednak na odpowiedź Marcella i od razu zaczął mówić o czymś innym. Miał gardłowy głos, śpiewny i harmonijny, łagodny, pełen nadskakującej uprzejmości. Lecz, rzecz dziwna, Marcello doznał wrażenia, że pod tą niezwykłą uprzejmością, którą widział, jak oglądane pod światło znaki wodne na papierze, kryje się kompletna obojętność: Quadri nie tylko się nim nie interesował, ale może go nawet nie dostrzegał. Marcella uderzył również brak odcieni i zmian w brzmieniu głosu Quadriego: profesor mówił wciąż tym samym, monotonicznym i sentymentalnym tonem, zarówno o rzeczach, które wymagały tego tonu, jak i o tych, które nie wymagały go wcale. Quadri zakończył swój grad pytań, informując się, czy Marcello jest faszystą; po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi, nie zmieniając tonu ani nie uzewnętrzniając żadnych uczuć, oświadczył niemal zdawkowo, jak truidno mu jest z jego antyfaszystowskimi przekonaniami, które są wszystkim wiadome, kontynuować w ustroju faszystowskim wykłady z dziedzin takich, jak historia i filozofia. Marcello, zakłopotany, próbował skierować rozmowę na temat celu swojej wizyty. Lecz Quadri przerwał mu od razu: — Może zadaje pan sobie pytanie, dlaczego mówię mu to wszystko... Synku drogi,

mówię to nie z gadulstwa i nie z chęci osobistych zwierzeń... nie pozwoliłbym sobie zabierać panu czasu, który powinien pan poświęcić nauce... Mówię to, żeby usprawiedliwić w jakiś sposób fakt, że nie będę mógł się zająć ani panem, ani pańską pracą: porzucam wykłady:

— Porzuca pan wykłady — powtórzył Marcello, zdumiony.

— Tak — potwierdził Quadri przesuwając charakterystycznym dla niego gestem dłoni po ustach i wąsach. — Z bólem, z wielkim bólem, bo do tej pory poświęcałem wam całe moje życie, zmuszony jestem rzucić pracę na uniwersytecie. — Po chwili, bez patosu, profesor dodał z westchnieniem: — No tak, zdecydowałem się przejść od myśli do czynu... Może te słowa nie wydadzą się panu nowe, ale wiernie oddają moją sytuację.

Marcello niemal się uśmiechnął. Wydał mu się naprawdę komiczny ten profesor Quadri, ten mały człowieczek w żakiecie, brodaty, garbaty, krótkowidz, który siedząc w fotelu wśród stosów swoich książek oznajmiał mu, że postanowił przejść od myśli do czynu. A jednak sens tego zdania był niedwuznaczny: Quadri, pozostający przez całe lata w biernej opozycji, zamknięty w -kręgu swoich myśli i zawodu, postanowił przejść do czynnej polityki, może przystąpić do konspiracji. Marcello w porywie gwałtownej niechęci ostrzegł go zimno i groźnie:

— Żle pan robi mówiąc mi o tyńi... jestem faszystą i mógłbym zrobić na pana donos. Lecz Quadri odpowiedział mu z nadzwyczajną łagodnością, przechodząc od "pana" na "ty":

— Wiem, że jesteś^ dobrym i kochanym chłopcem, uczciwym i dzielnym chłopcem, i nie zrobiłbyś nigdy czegoś podobnego.

"A niech go diabli wezmą" — pomyślał Marcello podrażniony. I odpowiedział z całą szczerością: — A właśnie że mógłbym to zrobić... Uczciwość, dla nas, faszystów, polega właśnie na denuncjowaniu i unieszkodliwianiu ludzi takich jak pan.

Profesor potrząsnął głową: ";— Synku drogi, sam wiesz najlepiej, że to, co mówisz, nie zgadza się z prawdą... Wiesz, a raczej wie to twoje serce... W rzeczywistości ty, jako uczciwy chłopak, chciałeś mnie ostrzec... Ktoś inny, prawdziwy donosiciel, wiesz, co by zrobił? Udawałby, że podziela moje poglądy, a potem, gdybym się skompromitował jakąś nieostrożną wypowiedzią, zrobiłby na mnie doniesienie... Ale tyś mnie ostrzegł.

— Ostrzegłem pana — odrzekł twardo Marcello -r- bo uważam, że nie jest pan zdolny do tego, co nazywa pan czynem'... Dlaczego nie zadowala się pan wykładami na uniwersytecie? O jakim czynie pan mówi?

— O czynie... nie warto mówić, o ja-

kim... — odpowiedział Quadri wpatrując się w niego przenikliwie. Po tych słowach Marcello bezwiednie rzucił okiem na ścianę, na półki zavalone książkami. Quadri uchwycił w lot owo spojrzenie i z wielką słodyczą dorzucił: — Wydaje ci się to dziwne, prawda, że ja mówię o czynie? Wśród tych wszystkich książek?... Myślisz sobie w tej chwili: o jakim to czynie plecie ten mały garbaty człowieczek, koślawy, krótkowzroczny, brodaty? i Powiedz prawdę, tak właśnie myślisz./ Gazetki twojej partii opisywały ci tyle razy człowieka, który nie umie i nie może działać, intelektualistę, i masz ochotę uśmiechnąć się z politowaniem widząc jego portret we mnie... Czy nie tak?

Zdumiony tą niezwykłą przenikliwością, Marcello zawołał:

— Jak się pan tego domyślił?

— Och, mój synku drogi — odrzekł Quadri wstając — mój synku drogi, zrozumiałem to od razu, ale nigdzie nie powiedziano, że działać może tylko ten, kto ma złotego orła na czapce i galony na rękawach... Do widzenia, w każdym razie, do widzenia i życzę ci szczęścia... Do widzenia. — Mówiąc to, łagodnie, ale stanowczo pchnął Marcella w kierunku drzwi.

Marcello, rozpamiętując teraz to spotkanie, uświadamiał sobie, że pogarda, jaką budził w nim garbaty, brodaty i pedantyczny Quadri, wpływała w dużym stopniu z młodzieńczej niecierpliwości i niedoświad-

czenia. Sam Quadri zresztą udowodnił mu faktami jego pomyłkę: uciekł w kilka miesięcy po ich rozmowie do Paryża, stał się w krótkim czasie jednym z przywódców antyfaszystowskiego ruchu, może najzdolniejszym, najlepiej przygotowanym, najbardziej bojowym. Jego specjalnością było, zdaje się, apostołstwo. Wykorzystując swoje doświadczenie dydaktyczne i znajomość psychiki młodzieży, nawracał młodych, zarówno obojętnych, jak i tych, którzy mieli przeciwne poglądy, a potem pchał ich do czynów ryzykownych, niebezpiecznych i kończących się prawie zawsze katastrofalnie, nie dla niego, który był inspiratorem, lecz dla nich, lojalnych wykonawców. Rzucając do walki konspiracyjnej swoich adeptów, zdawał się jednak nie mieć żadnych humanitarnych względów, które można by mu przypisywać znając jego charakter; poświęcał ich beztrąsko w desperackich akcjach, które dałyby się usprawiedliwić tylko planami obliczonymi na długą metę i wymagającymi właśnie tej okrutnej obojętności dla ludzkiego życia. Słowem, Quadri posiadał niektóre z rzadkich zalet wielkich polityków, a w każdym razie pewnej ich kategorii: był przebiegły, a zarazem pełen entuzjazmu, nieposzlakowany, a zarazem cyniczny, rozważny, a zarazem nieostrożny. Marcello z racji swego zawodu często zajmował się Quadrim, którego określano w raportach policyjnych jako

osobnika wyjątkowo niebezpiecznego, i człowiek ten zdumiewał go zawsze swoją* niezbadaną i głęboką osobowością, łączącą w sobie tyle skrajnie kontrastowych cech. Tak więc powoli, pod wpływem zbieranych na odległość wiadomości oraz informacji, często niedokładnych, jego pogarda przerodziła się w gniewny szacunek. Lecz dawna antypatia pozostała; Marcello bowiem był przekonany, że Quadriemu przy wszystkich jego zaletach brakowało odwagi, czego dowodem był fakt, że wystawiając na śmiertelne niebezpieczeństwo swoich ludzi, sam nie narażał się nigdy.

Pogrążony w tych myślach, drgnął usły-r szawszy głos pracownika hotelowego, który idąc szybkim krokiem przez hall wywoływał głośno jego nazwisko. Wydało mu się przez moment, że to nie jego nazwisko, i owo złudzenie spotęgował jeszcze francuski akcent portiera. Lecz ten "monsieur Clai- rici" to jednak był on, z czego zdał sobie sprawę z przykrym uczuciem, kiedy udając sam przed sobą, że wierzy naprawdę, iż jest to ktoś inny, próbował sobie wyobrazić, jak też mógłby wyglądać ten ktoś z jego twarzą, z jego figurą, w jego ubraniu. A tymczasem portier, wciąż go -wołając, oddalił się w kierunku sali przeznaczonej na załatwianie korespondencji. Marcello wstał i poszedł wprost do kabiny telefonicznej.

Wziął leżącą na półeczce słuchawkę i przyłożył ją do ucha. Kobięcy głos, czysty

i z lekka śpiewny, zapytał po francusku, kto jest przy telefonie. Marcello odpowiedział w tym samym języku:

— Jestem Włochem.-. Clerici, Marcello Clerici... i chciałbym mówić z profesorem Quadri.

— Jest bardzo zajęty... Nie wiem, czy będzie mógł podejść do telefonu... Pana nazwisko Clerici?

— Tak, Clerici.

— Proszę chwilę poczekać.

Dał się słyszeć stuk odłożonej słuchawki, potem oddalających się kroków i nastąpiła cisza. Marcello czekał długo, przewidując, że ponowny odgłos kroków obwieści powrót kobiety albo przybycie profesora. A tymczasem nagle zabrzmiał głos Quadri- go, dobywając się niespodziewanie z tej głębokiej ciszy:

— Halo, tu Quadri... kto mówi?

Marcello wyjaśnił szybko:

— Nazywam się Marcello Clerici, byłem pańskim uczniem, kiedy wykładał pan w Rzymie... chciałbym się z panem zobaczyć.

— Clerici — powtórzył Quadri powątpiewającym tonem. Po czym dorzucił stanowczo: — Clerici... nie znam pana.

— Ależ tak, panie profesorze — nalegał Marcello — odwiedziłem pana niemal w przeddzień pana odejścia z uniwersytetu... chciałem przedstawić panu projekt mojej pracy.

— Chwileczkę — rzekł Quadri — nie

przypominam sobie pańskiego nazwiska... ale to nie wyklucza, że było tak, jak pan mówi... I chce pan się ze mną zobaczyć?

— Tak.

— A w jakim celu?

— Bez żadnego specjalnego powodu — odpowiedział Marcello — ponieważ byłem pańskim uczniem, a potem, zwłaszcza w ostatnich czasach, dużo słyszałem o panu... Chciałem się z panem zobaczyć, to wszystko.

— A więc dobrze — rzekł Quadri ustępliwie. — Proszę mnie odwiedzić.

— Kiedy?

— Choćby dzisiaj... po południu... po obiedzie, proszę przyjść na kawę... około trzeciej.

— Muszę pana powiadomić. — oświadczył Marcello — że jestem w podróży poślubnej... Czy mogę też przyprowadzić moją żonę?

— Ależ naturalnie... oczywiście... dó zo- . baczenia.

Profesor odłożył słuchawkę i Marcello po chwili namysłu zrobił to samo. Lecz nie zdążył jeszcze wyjść z kabiny, kiedy zjawił się portier, ten sam, który wywoływał przedtem jego nazwisko, i powiedział:

— Jest pan proszony do telefonu.

— Już rozmawiałem — odrzekł Marcello wychodząc.

— Ale dzwoni do pana inna osoba. Mechanicznie wrócił do kabiny i znowu

podniósł słuchawkę. Od razu gruby głos, dobroduszny i wesoły, zawołał mu do ucha:

— Czy to wy, doktorze Clerici?

Marcello poznał głos agenta Orlando i odpowiedział spokojnym głosem:

— Tak, to ja.

— Mielicie dobrą podróż, doktorze?

— Tak, znakomitą.

— Pani ma się dobrze?

— Doskonale.

— A co powiecie o Paryżu?

— Nie wychodziłem jeszcze z hotelu — odpowiedział Marcello, nieco zniecierpliwiony tą poufałością.

— Zobaczycie... co Paryż, to Paryż... A więc zobaczymy się, doktorze?

— Oczywiście, Orlando... powiedzcie tylko, gdzie.

— Nie znacie Paryża, doktorze, spotkamy się więc w miejscu, gdzie łatwo trafić... w kawiarni na rogu placu Madeleine... nie pomylcie się: na lewo, idąc od rue Royale... stoliki są na dworze, ale ja będę na was czekał wewnątrz... wewnątrz nie będzie nikogo.

— Dobrze... o której godzinie?

— Jestem już w kawiarni... ale będę czekał, jak długo zechcecie...

— Za pół godziny.

— Wspaniale, doktorze... za pół godziny.

Marcello wyszedł z kabiny i skierował się

do windy. Gdy do niej wchodził, usłyszał, że ten sam portier po raz trzeci wywołuje jego

nazwisko, i tym razem naprawdę się zdziwił. Ogarnęła go niemal nadzieja, że nastąpi jakaś nadludzka interwencja, jak gdyby głos wyroczni, posługując się czarną ebonitową tubką telefoniczną, miał wypowiedzieć decydujące słowo o jego życiu. Z zapartym tchem zawrócił i wszedł po raz trzeci do kabiny.

— Czy to ty, Marcello? — zapytał pie- • szczotliwy, miękki głos żony.

— Ach, to ty! — wyrwał mu się bezwiednie okrzyk, sam nie wiedział, czy ulgi, czy rozczarowania.

— Ja, oczywiście... a tyś myślał, że kto? — Nie, nic takiego... Ponieważ czekałem na telefon...

— Co robisz? — zapytała tonem przepojonym tkliwością.

— Nic... wybierałem się właśnie na górę, żeby cię uprzedzić, że wychodzę i wrócę za godzinę.

— Nie, nie przychodź na górę... Idę teraz do łazienki... dobrze, za godzinę będę czekała na ciebie w hallu.

— Za półtorej godziny.

— Dobrze, za półtorej godziny... tylko nie spóźniaj się, proszę.

— Powiedziałem tak na wszelki wypadek, żebyś na mnie nie czekała... ale zobaczysz, że to nie potrwa dłużej niż godzinę.

Giulia powiedziała szybko, jak gdyby bojąc się, żeby Marcello nie odszedł od telefonu:

- Kochasz mnie?
- Ależ oczywiście, dlaczego mnie o to pytasz?
- Tak sobie.,, a gdybyś był teraz ze mną, pocałowałbyś mnie?
- No pewnie... chcesz, żebym przyszedł?
- Nie, nie przychodź... i powiedz mi...
- Co?
- Powiedz, podobałam ci się dziś w nocy?
- Giulio, co za pytania! — zawołał trochę zakłopotany. Ona dodała od razu:
- Wybacz mi... sama nie wiem, co mówię... no, więc kochasz mnie?
- Powiedziałem ci już, że tak.
- Wybacz mi... Więc czekam na ciebie za półtorej godziny, tak jak było powiedziane... do widzenia, kochanie.

Tym razem, pomyślał odkładając słuchawkę, mógł się nie spodziewać żadnego telefonu. Poszedł do obrotowych drzwi z kryształowymi szybami, pchnął je i wyszedł na ulicę. Hotel zwrócony był ku wybrzeżu Sekwany. Gdy Marcello znalazł się za progiem, stał przez chwilę zaskoczony wesołym widokiem miasta i pogodnego dnia. Wzdłuż parapetu rzeki, jak daleko oko sięgało, wyrastały z chodników duże drzewa o rozłożystych gałęziach, pokrytych połyskliwym wiosennym listowiem. Nie znał tych drzew: były to może kasztany. Słońce pięknego dnia lśniło na każdym listku, przeobrażając się w zieleń, jasną, świetlistą, uśmiechniętą

ta. Ustawione na balustradzie półki handlarzy zaofiarowywały rzędy używanych książek i sterty druków. Ludzie spacerować powoli wzdłuż póltek, pod drzewami, wśród wesołego migotania światła i cieni, w błogim nastroju spokojnej niedzielnej przechadzki. Marcello przeszedł ulicę i stanął przed balustradą, między dwiema półkami. Za rzeką, na drugim brzegu, widniały szare kamienice z mansardowymi dachami; dalej dwie wieże Notre-Dame; dalej jeszcze wieżyczki innych kościołów, kontury domów, dachów, kominów. Zauważył, że niebo jest* bledsze i bardziej przestronne niż we Włoszech, jak gdyby rozbrzmiewające echem niewidzialnego i ruchliwego niby mrowisko olbrzymiego miasta rozciągającego się pod jego sklepieniem. Spojrzał na rzekę: wciśnięta w obmurowanie z ciosanego kamienia, z czystymi bulwarami, wyglądała w tym miejscu jak kanał; woda tłusta, wezbrana, o mętnej zieleni otaczała pierścieniami błyszczących wirów białe słupy najbliższego mostu. Czarno-żółty statek płynął szybko po tej gęstej wodzie, nie pozostawiając za sobą piany, z komina buchały gwałtownie kłęby dymu, na dziobie widać było dwóch rozmawiających z sobą mężczyzn, jeden z nich miał na sobie niebieską koszulę, drugi biały słomkowy kapelusz. Tłusty i poufały wróbel usiadł na parapecie koło jego ręki i ćwierkał z ożywieniem, jak gdyby chciał mu coś powiedzieć, po czym odleciał

w kierunku mostu. Chudy młodzieniec, może student, nędznie ubrany, w berecie na głowie i z książką pod pachą, przykuł jego uwagę: siedł w stronę Notre-Dame, bez pośpiechu, przystając raz po raz, by przejrzeć książki i druki. Obserwując go Marcello zdziwił się, że w takim nawale przytłaczających go spraw może mu jeszcze poświęcić tyle uwagi: mógłby być tym studentem i wtedy rzeka, niebo, Sekwana, drzewa, cały Paryż miałyby dla niego zupełnie inne znaczenie. W tej samej chwili zobaczył jadącą wolno po asfalcie pustą taksówkę i zatrzymał ją gestem, który go niemal zaskoczył: nie myślał o tym przed chwilą. Wsiadł podając adres kawiarni, w której czekał na niego Orlando.

Rozsiadłszy się wygodnie, spoglądał podczas jazdy na ulice Paryża. Zauważył, jak wesołe jest to stare miasto, szare, a pomimo to uśmiechnięte i wdzięczne, pełne inteligentnego uroku, który zdawał się wpadać falami razem z wiatrem przez okno jadącego samochodu. Podobali mu się stojący na skrzyżowaniach policjanci, sam nie wiedział dlaczego: wydawali mu się eleganccy, w okrągłych sztywnych kepi, w krótkich pelerynkach, ze szczupłymi nogami. Jeden z nich zajrzał przez okno, żeby coś powiedzieć szoferowi: blady i energiczny blondynek, z gwizdkiem w zębach, białą pałeczką, wyciągniętą do tyłu, wstrzymywał ruch. Podobały mu się wielkie kasztany, wznoszą

ce gałęzie ku lśniącym szybowym starych ciemnych fasad; podobały mu się szyldy sklepów, przestarzałe, z białymi, pełnymi zakrętów napisami na tle brązowym albo ciemnoczerwonym, podobał mu się nawet nieestetyczny kształt taksówek i samochodów, których maski przypominały opuszczone pyski psów; wędzających po ziemi. Taksówka po krótkim postoju przejechała przed neoklasycznym gmachem Izby Deputowanych, wjechała na most, pomknęła szybko ku obeliskowi na placu de la Concorde. Tak więc, pomyślał spoglądając na olbrzymi wojskowy plac, zamknięty w głębi portykami, uszeregowanymi niczym pułki żołnierzy na defiladę, tak więc jest to stolica owej Francji, którą należało zniszczyć. Wydawało mu się teraz, że od dawna kocha to rozciągające się przed jego oczyma miasto, o wiele dawniej niż od dziś, kiedy przybył tu po raz pierwszy. A jednak właśnie ten podziw dla piękności miasta, majestatycznej, ujmującej, wesołej, utwierdzał go jeszcze w ponurym poczuciu obowiązku, który miał wypełnić. Może, gdyby Paryż był mniej piękny, pomyślał jeszcze, potrafiłby uwolnić się od tego obowiązku, uciec, wymknąć się przeznaczeniu. Lecz uroda miasta podtrzymywała w nim wrogi i negatywny nastrój; w podobny sposób, jak wiele odrażających aspektów sprawy, o którą walczył. Myśląc o tym wszystkim doznał wrażenia, że tłumaczy sam sobie niedorzeczność swojej sytuacji.

I rozumiał, że tłumaczy ją w ten sposób, ponieważ ani nie można wytłumaczyć jej inaczej, ani też świadomie i dobrowolnie się i nią pogodzić.

Taksówka stanęła i Marcello wysiadł przed kawiarnią, wskazaną przez Orlanda. Rozstawione na chodniku stoliki były zajęte, jak powiedział mu przez telefon agent; lecz gdy wszedł do środka, zobaczył, że kawiarnia jest pusta: Orlando siedział przy stoliku w okiennej wnęce. Gdy tylko go spostrzegł, wstał z powitalnym gestem ręki.

Marcello, nie przyśpieszając kroku, podszedł do agenta i usiadł naprzeciw niego. Przez szybę okna widać było plecy osób siedzących na dworze, w cieniu drzew, a dalej część kolumnady i trójkątnego frontonu kościoła Madeleine. Marcello zamówił kawę. Orlando czekał, aż kelner odejdzie, po czym powiedział:

— Myślicie pewnie, doktorze, że dadzą wam dobrą kawę z ekspresu, jak we Włoszech, ale nie łudźcie się... W Paryżu nie ma takiej kawy jak u nas... Zobaczycie, jaką lurę wam podadzą.

Orlando mówił tym samym co zawsze to- nem pełnym szacunku, dobrodusznym, spokojnym. "Uczciwa twarz — pomyślał Marcello zerkając spod oka na agenta i dolewając jeszcze odrobinę obrzydliwej kawy — twarz rządcy, dzierżawcy, małorolnego chłopca". Czekał, aż Orlando wypije kawę, potem zapytał:

— Skąd jesteście, Orlando?

— Ja? Z prowincji Palermo,, doktorze. Marcello, bez żadnego powodu, myślał zawsze, że Orlando pochodzi ze środkowych Włoch, z Umbrii albo z Marche. Teraz, przypatrując mu się uważniej, zrozumiał, że wprowadził go w błąd chłopski wygląd i masywna budowa agenta. Lecz twarz jego nie odzwierciedlała ani umbryjskiej łagodności, ani spokoju charakterystycznego dla mieszkańców prowincji Marche. Była to twarz uczciwa i dobroduszna, tak, ale czarne, jakby zmęczone oczy miały w sobie kobiecą i niemal orientálną powagę, nie spotykaną w tamtych okolicach kraju; także uśmiech jego ust, rozciątych szeroko, lecz" prawie bez warg, wykwitający pod małym, miękko zarysowanym nosem, nie tchnął ani spokojem, ani łagodnością. Powiedział cicho:

— Nigdy bym nie przypuszczał...

— A myślał pan, -że skąd pochodzę?

— Ze środkowych Włoch.

Orlando zdawał, się namyślać przez chwi-^ lę; potem powiedział z szacunkiem, ale szczerze:

— Mógłbym się założyć, doktorze, że wy także podzielacie ogólne uprzedzenie.

— Jakie uprzedzenie?

— Uprzedzenie północnych Włoch do południowych, a zwłaszcza do Sycylii... Nie chcecie się do tego przyznać, ale tak jest. — Orlando pokiwał głową, zmartwiony.

Marcello zaprzeczył:

—Naprawdę nie to miałem na myśli.,, brałem was za mieszkańca - środkowych Włoch na podstawie waszej powierzchowności. — Lecz Orlando już go nie słuchał.

— Powiem wam, że to jest obsesja — ciągnął dalej cz patosem, wyraźnie uradowany tym niezwykłym słowem. — Na ulicy, w domu, a także na służbie... niektórzy koledzy z północy wytykają nam nasz makaron... Ja odpowiadam: "Przed wszystkim wy także jecie makaron, i to więcej od nas, a poza tym, jaka znakomita jest wasza po- lenta!"

Marcello nic nie odpowiedział. Był w gruncie rzeczy zadowolony, że Orlando mówi o rzeczach nie mających związku z misją: pozwalało to uniknąć wszelkiej poufałości przy poruszaniu strasznego tematu, poufałości, która byłaby w tym wypadku nie do zniesienia. Orlando rzekł nagle dobitnie:

— Sycylia: jedno wielkie oszczerstwo... na przykład mafia... żebyście wiedzieli, czego to nie mówią o mafii... Dla nich nie ma Sycylijszyka, który by nie należał do mafii... Pomijam fakt, że nic o mafii nie wiedzą.

Marcello powiedział: . Mafia już nie istnieje.

— Rozumie się, że nie istnieje ||| odrzekł Orlando nie całkiem przekonany — ale, doktorze, wierzcie mi, że gdyby nawet istniała, byłaby lepsza, nieskończenie lepsza

od analogicznych zjawisk na północy, jak "teppisti" w Mediolanie, "barabasze" w Turynie... to dopiero zgraja prawdziwych opryszków, którzy ciągną zyski z kobiet, kradną, znęcają się nad słabszymi... Mafia to była przynajmniej szkoła odwagi.

— Wybaczcie, Orlando — powiedział zimno Marcello — ale musicie mi wytłumaczyć, dlaczego nazywacie mafię szkołą odwagi.

Pytanie zmieszało Orlanda nie z tej przyczyny, że Marcello zadał je chłodnym, niemal biurokratycznym tonem, ale dlatego, że natychmiastowe i wyczerpujące wyjaśnienie tak skomplikowanego problemu było niepodobieństwem.

— Och, doktorze — rzekł z westchnieniem — stawiacie mi pytanie, na które trudno odpowiedzieć... Na Sycylii od człowieka honoru wymaga się przede wszystkim odwagi, a mafia sama uważa się za stowarzyszenie ludzi honorowych... Cóż ja wam mogę powiedzieć; trudno to zrozumieć komuś, kto tam nie był i nie widział tego na własne oczy. Wyobraźcie sobie, doktorze, lokal, bar, kawiarnię, gospodę, restaurację, gdzie zebrała się grupa ludzi uzbrojonych i wrogo nastawionych do któregoś z członków mafii. Co robi ten człowiek?... Nie oddaje się pod opiekę policji, nie ucieka w inne strony... Przeciwnie, wychodzi z domu, ubrany jak z igły, świeżuteńko ogolony, zjawia się w tym lokalu sam i bez broni, i wypowiada tylko parę słów, mówi tyle, ile trzeba, i to, co trzeba... I jak myślicie, co dalej? Wszyscy, grupa wrogów, przyjaciele, całe miasteczko, mają oczy zwrócone na niego... On o tym wie i wie także, że gdyby czy to niespokojnym spojrzeniem, czy nie dość pewnym głosem lub mało pogodnym wyrazem twarzy zdradził, że się boi, byłby skończony... więc cały jego wysiłek skierowany jest ku temu, żeby wyjść zwycięsko z tej próby: zdecydowane spojrzenie, spokojny głos, opanowane ruchy, normalny wyraz... te rzeczy, kiedy się o nich mówi, wydają się łatwe... ale trzeba się samemu znaleźć w takiej sytuacji, by zrozumieć, jakie to trudne... To jest, doktorze, jeden z przykładów szkoły odwagi w mafii.

Orlando, który zapalił się podczas opowiadania, spojrział teraz w twarz Marcello- wi chłodnym i zaciekawionym wzrokiem, jak gdyby chciał powiedzieć: "Ale my dwaj mieliśmy przecież rozmawiać nie o mafii, jeśli się nie mylę". Marcello zauważył to spojrzenie i ostentacyjnie rzucił okiem na zegarek, który miał na ręku.

— Pomówmy teraz o naszych sprawach, Orlando — powiedział rozkazującym tonem — spotkam się dziś z profesorem Quadri... Zgodnie z instrukcją, mam wam pokazać profesora, żebyście się mogli upewnić co do jego tożsamości... taka jest moja rola, tak?

— Tak, doktorze.

— A więc zaproszę dziś wieczorem profesora Quadriego na kolację albo do ka-

wiarni... Na razie nie mogę wam jeszcze powiedzieć, gdzie... ale zadzwońcie do mnie do hotelu pod wieczór, około siódmej, wtedy będę już wiedział... A co do profesora Quadri, to umówmy się już teraz, W jaki sposób wam go wskażę... powiedzmy na przykład, że pierwsza osoba, której podam rękę po wejściu do kawiarni czy restauracji, to będzie profesor Quadri... w porządku?

— W porządku, doktorze.

—A teraz muszę już iść — oświadczył Marcello spoglądając znowu na zegarek. Położył na stole odliczone pieniądze za kawę, wstał i wyszedł; za nim, trzymając się w odległości kilku kroków, podążył agent.

Na chodniku Orlando obrzucił wzrokiem zatłoczoną ulicę, której środkiem jechały wolniutko dwie kolumny samochodów w dwóch przeciwnych kierunkach, i powiedział pompatycznym tonem:

— Paryż!

—Nie po raz pierwszy jesteście chyba w Paryżu, co, Orlando? — zapytał Marcello rozglądając się dokoła, by znaleźć wśród przejeżdżających samochodów wolną taksówkę.

— Po raz pierwszy? — odrzekł Orlando pyszałkowato. — Gdzież tam, spróbujcie tylko zgadnąć, doktorze, ile razy tu byłem.

— Nie mam pojęcia.

— Dwanaście — powiedział agent — a to trzynasty raz.

Szofer jednej z taksówek dostrzegł wzrok Marcella i zatrzymał się przed nim.

— Do widzenia, Orlando — rzekł Marcello wsiadając — czekam wieczorem na wasz telefon. — Agent kiwnął ręką porozumiewawczo. Marcello wsiadł do taksówki, podając adres hotelu.

Lecz podczas jazdy ostatnie słowa agenta, to “dwanaście” i “trzyście” (“dwanaście, o to trzynasty raz”), wciąż dźwięczały mu w uszach i budziły dalekie echa w jego pamięci. Był jak człowiek, który z krzykiem zagląda do groty i przekonuje się, że jego głos odbija się w głębokich czeluściach. Potem nagle, w związku z tymi liczbami, przypomniał sobie, że ma ucisnąć dłoń Quadriemu, żeby go wskazać agentowi, i zrozumiał, dlaczego uciekł się do tego sposobu, zamiast po prostu powiedzieć Orlandowi, że Quadriego łatwo poznać po garbie: dalekie reminiscencje Pisma świętego sprawiły, że zapomniał o ułomności profesora, która była o wiele wygodniejszym znakiem rozpoznawczym niż podanie ręki. Dwunastu było apostołów, • a trzynastym był ten, który pocałował Chrystusa, i wydał go żołnierzom, czyhającym na niego w oliwnym gaju. Teraz tradycyjne postacie ze stacji Męki Pańskiej, tyle razy oglądane w kościołach, nakładały się na współczesne tło restauracji francuskiej, pełnej nakrytych stolików i posilających się przy nich ludzi: on wstaje, idzie na spotkanie Quadriego i podaje mu

rękę, a siedzący na uboczu agent Orlando obserwuje ich obu. Potem postać Judasza, trzynastego apostoła, zlewa się z jego postacią, przybiera jego kształty, staje się nim samym.

Ogarnęła go chęć, niemal przekorna, żeby głębiej przemyśleć owo odkrycie. "Zapewne Judasz zrobił to z tych samych przyczyn, które mną powodują — pomyślał — on także musiał tak postąpić, chociaż wolałby tego nie robić, no bo ostatecznie ktoś to musiał zrobić... Ale czego się tu lękać? Sam przyznaję, że wybrałem sobie rolę Judasza... No i co z tego?"

Stwierdził, że istotnie wcale nie jest przerażony, co najwyżej — jak uświadomił sobie — przytłoczony tą samą co zawsze chłodną melancholią, w gruncie rzeczy bynajmniej nie przykrą. Pomyślał jeszcze, nie po to, żeby się usprawiedliwić, ale żeby pogłębić owo porównanie i ściśle określić jego granice, że Judasz był do niego podobny, i owszem, lecz tylko do pewnego stopnia. Do momentu podania dłoni; a może nawet, jeśli ktoś woli, choć on nie był uczniem Qu- driego, do chwili zdrady, pojętej w sensie ogólnym. Dalej przedstawiało się to inaczej. Judasz powiesił się, bo co miał zrobić innego, skoro ci, którzy go przekupili i namówili do zdrady, nie mieli potem odwagi bronić go i stanąć po jego stronie; lecz on nie odbierze sobie życia ani nie podda się rozpacz, bo za nim... Zobaczył zgromadzone

na placach tłumy oklaskujące tych, którzy wydawali mu rozkazy i tym samym usprawiedliwiali jego, wykonawcę owych rozkazów. A wreszcie, pomyślał, nie dostawał nic za to, absolutnie nic. Żadnych trzydziestu srebrników. Służba i tyle, jak mawiał agent Orlando. Analogia bladła i rozwiewała się, pozostawiając po sobie tylko ślad dumnej i wyniosłej ironii. W każdym razie — doszedł do wniosku —? najważniejsze było to, że owo porównanie przyszło mu na myśl, że je rozwinął i przez moment uważał je za trafne.

ROZDZIAŁ IV

Po obiedzie Giulia chciała wrócić do hotelu, żeby zmienić suknię przed wizytą u Quadriego. Lecz gdy wysiedli z windy, objęła go wpół ramieniem i szepnęła:

— Wcale nie chciałam się przebrać, chciałam (po prostu być przez chwilę sama z tobą.

Idąc długim pustym korytarzem, między dwoma szeregami zamkniętych drzwi, w uścisku tego czułego ramienia, Marcello nie mógł powstrzymać się od myśli, że podróż do Paryża, która dla niego była równocześnie i przede wszystkim misją, dla Giulii była tylko podróżą poślubną. Dlatego, myślał dalej, nie może oddać się wyłącznie roli świeżo poślubionego małżonka, którą był gotów odegrać, wsiadając z Giulią do pociągu, chociaż chwilami, jak na przykład teraz, przepęniało go bolesne uczucie dalekie od miłosego uniesienia. Lecz to była normalność, której tak pragnął: to opasujące go ramię, te spojrzenia, te pieszczoty; to zaś, czego miał dokonać wraz z Orlandem, było jedynie krwawą ceną owej normalności. Doszli tymczasem do swego pokoju: Giu-

lia, wciąż obejmując go ramieniem, otworzyła drugą ręką drzwi i weszli razem.

Gdy znaleźli się w pokoju, puściła go, przekreśliła klucz w zamku i powiedziała: — Zasłoń okno, dobrze? — Marcello podszedł do okna i opuścił żaluzję; gdy się obejrzał, zobaczył, że stojąca przy łóżku Giulia zdejmuje już suknię przez głowę; zrozumiał teraz, co oznaczały jej słowa: “Po prostu chcę być przez chwilę sama z tobą”. W milczeniu usiadł na krawędzi łóżka po przeciwnej stronie. Miała na sobie już tylko halkę i pończochy. Bardzo starannie rozłożyła suknię na krześle u wezłowia łóżka, zdjęła trzewiki, w końcu niezręcznym ruchem, kolejno uniosła nogi i położyła się na wznak, opierając głowę na zgiętym ramieniu. Milczała przez chwilę, po czym powiedziała:

— Marcello!

— Co?

— Dlaczego się nie kładziesz przy mnie?

Marcello posłusznie pochylił się, zdjął buty i wyciągnął się na łóżku przy boku żony. Giulia skwapliwie przysunęła się, tuląc się do niego całym ciałem i pytając z niepokojem:

— Co ci jest?

— Nic... a dlaczego?

— Nie wiem, robisz na mnie wrażenie przygnębionego.

— Często będziesz odnosiła takie wrażenie — odrzekł — wiesz, że nie mam bez-

I troskiego usposobienia... Nie znaczy to jednak, żebym był przygnębiony.

Giulia umilkła na chwilę, objęła go, po czym ciągnęła dalej:

— Chciałam, abyśmy tu przyszli, nie dlatego, żebym się mogła przebrać... ale i nie dlatego, że chciałam być z tobą sam na sam... Chodziło mi o coś innego.

Tym razem Marcello zdziwił się i niemal robił sobie wyrzuty, że posądził ją o niewybredne zapędy erotyczne. Spuszczając wzrok, zobaczył jej oczy pełne łez, zapatrzone w niego. Czule, ale nie bez odrobiny znudzenia powiedział:

— Teraz ja z kolei muszę cię zapytać, co ci jest.

— Tak — odrzekła. I od razu zaczęła płakać; Marcello wyczuwał całym ciałem, jak wstrząsa nią tłumione łkanie. Czekał chwilę w nadziei, że ten niezrozumiały płacz ucichnie. Tymczasem szlochanie stawało się coraz gwałtowniejsze. Wtedy, patrząc w sufit, zapytał:

— Czy dowiem się w końcu, dlaczego płaczesz?

Giulia płakała jeszcze przez chwilę, a potem odpowiedziała:

— Bez żadnego powodu... bo jestem głupia — i w jej zbolałym głosie zabrzmiała rażniejsza nuta.

Marcello popatrzał na nią i nalegał dalej:

— No powiedz... dlaczego płaczesz? — Zobaczył, że w załzawionych oczach, którymi

spoglądała na niego, zdaje się już przebły- skiwac iskierka nadziei; po chwili Giulia uśmiechnęła się leciutko i sięgnęła po chustkę do jego kieszonki w marynarce. Wytarła sobie oczy i nos, włożyła mu chustkę do kieszonki i obejmując go znowu, szepnęła:

— Jeżeli ci powiem, dlaczego płakałam, weźmiesz mnie za wariatkę.

— No, zbierz się na odwagę — powiedział głaszcząc ją — powiedz, dlaczego płakałaś.

— Wyobraź sobie — odrzekła — że kiedy widziałam przy obiedzie, że jesteś taki roz- targniony, a nawet zgnębiony, pomyślałam sobie, że masz już mnie dosyć i że żałujesz, iż ożeniłeś się ze mną... może dlatego, że dowiedziałeś się ode mnie w pociągu o tej historii, wiesz, z adwokatem, a może zrozumiałeś, żeś zrobił głupstwo, ty, z twoją przyszłością, z twoją inteligencją, a także z twoją dobrocią, biorąc sobie za żonę taką nieszczęsną istotę jak ja.. I potem, kiedy już przemyślałam to wszystko, postanowiłam pierwsza z tobą zerwać... to znaczy odjechać bez słowa, żeby ci oszczędzić przykrego pożegnania... Byłam zdecydowana spa- kować walizy zaraz po powrocie do hotelu i wrócić natychmiast do Włoch, zostawiając cię w Paryżu.

— Chyba nie mówisz tego na serio! — zawołał Marcello zdumiony.

— Jeszcze jak na serio! — mówiła dalej z uśmiechem, ponieważ pochlebilo jej zdzi

wienie Marcella. — Dowiedz się, że kiedy byliśmy na dole w hotelu i ty oddaliłeś się na chwilę, żeby kupić papierosy, poszłam do portiera i poprosiłam go, żeby mi zamówił miejsce w wagonie sypialnym do Rzymu, na dziś wieczór... Jak widzisz, to było na serio.

— Zwariowałaś! — powiedział Marcello, bezwiednie podnosząc głos.

— Powiedziałam ci — odrzekła — że weźmiesz mnie za wariatkę... wtedy jednak byłam pewna, że jeżeli cię opuszczę, jeżeli odjadę, tobie wyjdzie to na dobre... Tak, byłam tego pewna, tak jak jestem teraz pewna — dodała przysuwając się do niego, by musnąć mu wargami usta — że cię całuję.

— Dlaczego byłaś taka pewna? — zapytał Marcello, zmieszany.

— Nie wiem... ot tak... jak się jest pewnym wielu rzeczy... bez żadnego powodu.

— A dlaczego — wyrwał mu się okrzyk, w którym brzmiała niemal lekka nuta żalu — potem zmieniłaś zamiar?

— Dlaczego? Nie wiem... Może dlatego, że w windzie spojrzałeś na mnie w jakiś szczególny sposób, a w każdym razie zdawało mi się, że tak na mnie patrzysz... Ale potem przypomniałam sobie, że zdecydowałam się na wyjazd i że zamówiłam wagon sypialny, i na myśl, że już nie będę mogła się z tego wycofać, zaczęłam płakać.

Marcello nic nie odpowiedział. Giulia wy

tłumaczyła sobie na swój sposób jego milczenie i zapytała:

— Gniewasz się... gniewasz się o ten wagon sypialny? Ale bilet można zwrócić... płaci się tylko dwadzieścia procent.-

— Ależ to absurd! — odrzekł powoli i jak gdyby z zastanowieniem.

— Wobec tego — powiedziała tłumiąc wybuch śmiechu, w którym obok niedowierzania drgał jeszcze pewien lęk — jesteś niezadowolony, że nie wyjechałam naprawdę?

— Drugi absurd — odpowiedział. Lecz tym razem wydało mu się, że nie był zupełnie szczery. I jak gdyby chcąc przezwyciężyć ostatnie wahania i wyrzuty, dodał: — Gdybyś odeszła, całe moje życie byłoby zmarnowane. — I tym razem wydało mu się, że powiedział prawdę, chociaż wyraził ją w sposób dwuznaczny. Czy nie należało życzyć sobie, aby owo życie, które budował począwszy od sprawy z Linem, raczej legło w gruzach, niż dźwigało coraz to nowe ciężary i zadania, jak pałac, do którego właści- ciel-fanatyk stale dobudowuje dalsze tarasy, wieżyczki i balkoniki, aż wreszcie gmach grozi zawaleniem? Poczul, że ramiona Giulii obejmują go jeszcze ciaśniej w miłosnym uścisku; potem usłyszał jej szept:

— Mówisz prawdę?

— Tak — odrzekł — mówię prawdę.

— Ale co byś zrobił — nalegała z tym swoim radosnym i prawie pyszałkowatym zaciekawieniem — gdybym naprawdę cię

zostawiła i wyjechała... Pojechałbyś za mną?

Zawahał się, zanim odpowiedział, i znowu mu się wydało, że w jego głosie dźwięczy ów daleki wyrzut:

— Nie... nie przypuszczam... czy nie powiedziałem ci już, że całe moje życie byłoby zmarnowane?

— Zostałbyś we Francji?

— Tak... może.

— A twoja kariera? Zaprzepściłbyś swoją karierę?

— Bez ciebie to już nie miałyby sensu — wyjaśnił spokojnie — wszystko, co robię, robię dlatego, że ty jesteś przy mnie.

— No, więc jakbyś wtedy postąpił? — Zdawała się odczuwać prawie okrutną przyjemność, wyobrażając go sobie bez siebie, samego.

— Tak jak ci wszyscy, którzy porzucają swój kraj i swój zawód z tego rodzaju powodów; chwyciłbym się jakiegokolwiek zajęcia, byłbym kuchcikiem, marynarzem, szoferem... albo zaciągnąłbym się do Legii Cudzoziemskiej... A dlaczego tak się o to dopytujesz?

— Tak sobie... żeby o czymś mówić... Do Legii Cudzoziemskiej? Pod obcym nazwiskiem?

— Raczej tak.

— A gdzie jest Legia Cudzoziemska?

— W Maroku, zdaje mi się... a także w innych krajach.

i— w Maroku... A tymczasem ja zostałam — szepnęła przywierając do niego z zachłannym i zazdrosnym impetem. Zapadło milczenie: Giulia zamarła w bezruchu i gdy Marcello na nią spojrział, zobaczył, że ma zamknięte oczy, jak gdyby spała. Wobec tego on też zamknął oczy, chcąc się zdrzemnąć. Lecz nie mógł zasnąć, mimo że ogarniało go śmiertelne znużenie i apatia. Doznawał bolesnego i przenikliwego uczucia jakiegoś buntu przeciwko samemu sobie; i uporczywie powracało mu na myśl dziwaczne porównanie: był drutem, niczym innym jak żywym drutem, przez który płynął nieustannie potężny prąd elektryczny, on zaś nie mógł go ani przerywać, ani włączać. Drutem podobnym do przewodów wysokiego napięcia umocowanych do słupów, na których umieszcza się napis: "Dotknięcie grozi śmiercią". On był tylko jednym z owych przewodów i prąd to bzykał w jego ciele, nie powodując żadnych przykrych sensacji, a nawet wzmagając jego siły witalne, to znowu wydawał mu się zbyt mocny, zbyt intensywny, a wtedy pragnął nie być już tym napiętym i wibrującym drutem, ale drutem odciętym, rdzewiejącym na kupie śmieci w kącie jakiegoś podwórka czy fabryki. I dlaczego on właśnie musiał przewodzić ten prąd, który innych ludzi nigdy nawet nie musnął? A poza tym dlaczego był to prąd stały, dlaczego przepływał przez niego bez przerwy? Porównanie zarysowywa-

ło się wyraźnie, rozgałęziało się w pytania bez odpowiedzi; a tymczasem wzmagała się jego bolesna i zachłanna apatia, mącąc świadomość. W końcu zdrzemnął się i doznał wrażenia, że sen zdołał przerwać jakimś sposobem ów prąd i on, Marcello, stał się wreszcie kawałkiem zardzewiałego drutu, rzuconego w kącie razem z innymi odpadkami. Lecz w tej samej chwili poczuł dotyk ręki na ramieniu, poderwał się, usiadł i zobaczył stojącą przy łóżku Giulie, już ubraną i w kapeluszu na głowie. Powiedziała cicho!

— Spisz? Mieliśmy przecież iść do Qua- driego.

Marcello podniósł się z wysiłkiem i przez chwilę w milczeniu wpatrywał się w półmrok pokoju, trawstując w duchu jej słowa: "Mieliśmy przecież zamordować Qua- driego". Po czym zapytał, niby żartem:

—A gdybyśmy tak nie poszli do Qua- driego... gdybyśmy zamiast tego ucięli sobie długą drzemkę?

Było to ważne pytanie, pomyślał obrzucając Giulie wzrokiem od stóp do głów; i może zdążyłby się jeszcze w porę z tego wszystkiego wycofać. Zobaczył, że Giulia spoglądała na niego niepewnie, prawie niezadowolona, jak mu się wydało, że on proponuje jej pozostanie w hotelu teraz, kiedy przygotowała się już do wyjścia. Odpowiedziała:

— Przecież już się przespałeś... prawie godzinę... a poza tym czy sam nie mówiłeś, że

wizyta u tego Quadriego ma wielkie znaczenie dla twojej kariery?

Marcello milczał przez chwilę, po czym potwierdził:

— Tak, to prawda... wielkie znaczenie.

— No więc — odrzekła wesoło, pochylając się — wstawaj, nie ibądź leniuchem!

— Ale ja nie mam ochoty tam iść — powiedział Marcello udając, że ziewa. — Mam ochotę tylko spać ■— dodał i tym razem poczuł, że jest szczerzy spać, spać, spać.

—| Będziesz spał w nocy — odrzekła zdawkowo Giulia podchodząc do lustra i przeglądając się z uwagą. — Umówiłeś się i teraz jest za późnojj żeby zmieniać plany. Mówiła z dobronudszym rozsądkiem, jak zazwyczaj; i było zdumiewające, pomyślał Marcello, i zarazem nie pozbawione tajemniczego znaczeniaj że sama o tym nie wiedząc mówiła zawsze rzeczy słuszne. W tej chwili zadzwonił telefon na nocnym stoliku. Marcello uniósł się na łokciu, wziął do ręki słuchawkę i przyłożył ją do ucha. To portier zawiadamiął, że zamówił wagon sypialny do Rzymu na dzisiejszy wieczór.

— Proszę to odwołać — powiedział bez wahania Marcello — żona nie wyjeżdża, rozmyśliła się. — Giulia od lustra, w którym się przeglądała, rzuciła mu pełne wdzięczności spojrzenie. Marcello odkładając słuchawkę dodał: — Zrobione... Odwołają rezerwację i wobec tego nie wyjedziesz..

— Gniewasz się na mnie?

— Cóż ci znowu przychodzi do głowy?

Wstał z łóżka, włożył buty i przeszedł do łazienki. Myjąc się i czesząc zastanawiał się, co powiedziałaaby Giulia, gdyby wyjawiał jej całą prawdę o swoim zawodzie i o podróży poślubnej. I wydało mu się, że może sobie na to pytanie odpowiedzieć, iż najprawdopodobniej nie tylko nie potępiłaby go, ale w końcu przyznałaby mu rację, chociaż wystraszyłaby się i zapytałaby go pewnie, czy jest rzeczywiście konieczne, żeby robił to, co robi. Giulia była dobra, bez wątplenia, ale tylko w uświęconych granicach uczuć rodzinnych; poza tymi granicami zaczynał się dla niej świat niezrozumiały i zagmatwany, w którym mogło się także zdarzyć morderstwo popełnione z pobudek politycznych na starym, garbatym profesorze. To samo musiała czuć i tak samo rozumować żona agenta Orlando, stwierdził w duchu wychodząc z łazienki. Giulia, która czekała na niego siedząc na łóżku, wstała i powiedziała:

— Jesteś zły, że nie pozwoliłam ci spać? Wolałbyś nie iść do Quadriego?

— Wprost przeciwnie, dobrze zrobiłaś — odrzekł Marcello wychodząc przed nią na korytarz. Było mu teraz raźniej na duchu i miał wrażenie, że przestał się buntować przeciwko swemu losowi. Prąd nadal przepływał przez jego ciało, ale bezboleśnie i łatwo, jak przez naturalny kanał. Wyszedłszy z hotelu na biegnącą wzdłuż Se

kwany ulicą, obrzucił wzrokiem szare kontury olbrzymiego miasta, za balustradami, pod szerokim, pogodnym niebem. Przed nim ciągnęły się półki z używanymi książkami, przechodnie szli powoli, przystając, aby je obejrzeć. Wydało mu się nawet, że znów widzi tego samego nędznie ubranego młodzieńca, z książką pod pachą, który przechodził wolnym krokiem wzdłuż półek, podążając chodnikiem ku Notre-Dame. A może był to ktoś inny, podobny do tamtego z ubrania, z zachowania i w dodatku idący w tym samym kierunku. Wydało mu się, że teraz patrzy na niego nie z zazdrością, lecz z lodowatym i spokojnym uczuciem bezsilności: on musi pozostać sobą, a ten młodzieniec — sobą. Przejeżdżała taksówka, zatrzymał ją ruchem ręki i wsiadł za Giulią, podając adres Quadriego.

ROZDZIAŁ V

Gdy Marcello wszedł do domu Quadriego, uderzył go od razu kontrast z mieszkaniem, w którym widział profesora po raz pierwszy i ostatni w Rzymie. Już kamienica, położona w nowoczesnej dzielnicy, w głębi krętej uliczki, podobna ze swoimi prostokątnymi balkonami, odstającymi od gładkiej fasady, do komody o otwartych szufladach, nasunęła mu myśl o szarym i bezimiennym bytowaniu, - ukształtowanym na zasadzie mimikry społecznej; jak gdyby Quadriemu, po przeniesieniu się do Paryża zależało na zmieszaniu się z jednolitą masą zamożnego mieszczaństwa francuskiego. Gdy wszedł do wnętrza, różnica zarysowała się jeszcze wyraźniej: mieszkanie rzymskie było stare, ciemne, zawałone najróżniejszymi drobiazgami, książkami i papierami, zakurzone i zaniedbane; to natomiast było słoneczne, nowe, czyste, z niewielką ilością mebli, - i nic nie mówiło tu o pracy naukowej. Czekali przez kilka minut w salonie, przestronnym i pustym pokoju, gdzie tylko w rogu stało parę foteli dokoła stołu zę szklanym blatem. Jedynym szczegółem w mniej pospolitym guś-

cie był wiszący na ścianie duży obraz pędzla jakiegoś kubisty; chłodna i dekoracyjna mieszanina różnokolorowych kul, sześciątów, walców i równoległych kresek. Z książek, z tych książek, których obfitość tak uderzyła Marcella w Rzymie, tu nie zobaczył ani jednej! Odnosiło się wrażenie, myślał patrząc na lśniącą drewnianą posadzkę, na długie . jasne zasłony, nagie ściany, że jest się w nowoczesnym teatrze, na scenie, której dekoracja została zaprojektowana do dramatu z niewieloma osobami i jedną tylko sytuacją. Jaki to dramat? Jego i Quadriego, bez wątpienia; ale chociaż znał już sytuację, zdawało mu się, nie wiadomo dlaczego, że nie ujawniły się jeszcze wszystkie postaci. Kogoś jeszcze brakowało i kto wie, czy interwencja tej osoby nie zmieni całkowicie rozwoju akcji.

Jak. gdyby ina potwierdzenie tego niejasnego przeczucia otworzyły się drzwi w głębi salonu i zamiast Quadriego weszła młoda kobieta, zapewne ta sama, jak pomyślał Marcello, która rozmawiała z nim po francusku przez telefon. Wysoka, w letniej białej sukience z kloszową spódnicą, szła po lustrzanej posadzce niezwykle elastycznym i wdzięcznym krokiem. Marcello nie mógł się powstrzymać, żeby nie popatrzeć przez chwilę z ukradkową przyjemnością na zarys jej ciała, przebijający przez lekką suknię: zarys ciemny, ale o wyraźnych, zdecydowanych, wykwinnych kształtach gim-

nastyczki lub tancerki. Potem obrzucił wzrokiem jej twarz i wydało mu się, że widział" ją już przedtem, ale gdzie i kiedy, tego- nie mógł sobie przypomnieć. Podeszła do Giulii, uścisnęła jej obie dłonie swobodnie, niemal serdecznie, i wyjaśniła, płynnie po włosku, lecz z silnym akcentem francuskim, 1 że profesor jest zajęty i przyjdzie za kilka minut. O wiele mniej serdecznie, jak wydało się Marcelowi a nawet niedbale, powitała z daleka jego, po czym poprosiła ich oboje, by usiedli. Podczas gdy rozmawiała z Giulią, Marcello bacznie ją obserwował próbując dociec, dlaczego 'nie mógł się oprzeć wrażeniu, że poznał ją już dawniej. Była wysokiego wzrostu, miała duże dłonie i stopy, szerokie ramiona i nadzwyczaj szczupłą talię, odcinającą się od krągłego biustu i pełnych bioder. Jej szyja była długa i smukła, twarz blada, nie usminkowana, pozbawiona świeżości i jakby zniszczona, chociaż młoda, o wyrazie bystrym, niecierpliwym, niespokojnym i stanowczym. Gdzie ją już widział? Ona, jak gdyby czując, że jest obserwowana, niespodziewanie zwróciła głowę w jego stronę i wtedy Marcello, uderzony kontrastem jej niespokojnego i przenikliwego spojrzenia ze świetlistą pogodą wysokiego, białego czoła, uświadomił sobie nagle, gdzie ją już spotkał, a raczej gdzie spotkał podobną do niej osobę: w domu publicznym w S., kiedy wrócił po kapelusz do salonu i zastał tam Orlanda w towarzys

twie prostytutki Luizy. Właściwie całe podobieństwo polegało na szczególnym kształcie, bieli i jasności czoła, które i u tej także przypominało królewski diadem; poza tym te dwie kobiety wcale nie były do siebie podobne. prostytutka miała usta szerokie, o wąskich wargach; ta — małe, wypukłe, zaciśnięte, które, jak przyszło mu na myśl, można by porównać do małej róży o licznych, lekko przywiedłych płatkach. Inna różnica: ręka prostytutki była kobieca, gładka, pulchna; ta natomiast miała prawie męską dłoń, twardą, czerwoną, nerwową. I wreszcie prostytutka miała straszny, chrypliwy głos, jak wiele kobiet jej profesji; tymczasem głos tej był oschły, czysty, chłodny, miły jak wyrozumowana i subtelna muzyka: był głosem kobiety z towarzystwa.

Marcello zaobserwował te podobieństwa i różnice; potem, gdy rozmawiała z jego żoną, zauważył też krańcowy chłód jej zachowania w stosunku do niego. Może, pomyślał, Quadri poinformował ją o jego dawnych sympatiach politycznych i ona wolałaby nie widzieć go w tym domu. Zastanawiał się, kim ona jest; Quadri, o ile pamiętał, nie był żonaty; sądząc po jej uprzejmym zachowaniu, mogła być sekretarką albo po prostu wielbicielką profesora, występującą w roli sekretarki. Przypomniał sobie uczucie, którego doznał w domu w S., kiedy zobaczył prostytutkę Luizę, wchodzącą na

schody przy boku Orlanda: uczucie beznamiętnego buntu i rozdzierającej litości, i uprzytomnił sobie nagle, że nie było ono w istocie niczym innym, jak pożądaniem zmysłowym, zamaskowanym duchową zazdrością, i teraz powracało już bez maski, skierowane do kobiety siedzącej naprzeciw niego. Podobała mu się w sposób nowy i wstrząsający; i pragnął się jej podobać; i wrogość przebijająca z każdego jej gestu dotkliwie go bolała. Powiedział w końcu prawie bezwiednie, mając na myśli nie Quadriego, ale ją:

— Mam wrażenie, że nasza wizyta nie sprawi przyjemności profesorowi... może jest zbyt zajęty.

Odpowiedziała od razu, nie patrząc na niego:

— Wprost przeciwnie, mój mąż powiedział mi, że spotkanie z panem sprawi mu wielką przyjemność, doskonale pana pamięta... Każdy, kto przyjeżdża z Włoch, jest tutaj mile widziany... Prawda, że jest bardzo zajęty... ale ogromnie go cieszy pańska wizyta... Proszę poczekać, pójdę zobaczyć, czy już idzie. — Słowa te wypowiedziane były z nieoczekiwaną skwapliwością, która nappełniła otuchą serce Marcella.

Gdy wyszła z pokoju, Giulia zapytała, nie okazując jednak żadnego zaciekawienia:

— Dlaczego myślisz, że profesorowi nie będzie przyjemnie nas zobaczyć?

Marcello odpowiedział spokojnie:

— Przyszło mi to na myśl w związku z niezyczliwym zachowaniem tej pani.

— Dziwne - zawołała Giulia — ona zrobiła na mnie wręcz przeciwne wrażenie... Wydała mi się taka zadowolona z naszej wizyty.... jak gdybyśmy się od dawna znali... A czy ty poznałeś ją już dawniej?

— Nie — odrzekł odnosząc wrażenie, że kłamie — nigdy jej przedtem nie widziałem... Nie wiem nawet, kto to jest.

— Czyż to nie żona profesora?

— Nie wiem, nie wydaje mi się, żeby Quadri był żonaty... może to jego sekretarka.

— Przecież powiedziała: mój mąż — zawołała Giulia, zdumiona. — Gdzie ty masz głowę?... Powiedziała tak właśnie: mój mąż... o czym tyś myślał?

A więc, uświadomił sobie Marcello, ta kobieta aż tak na niego działa, że stawał się roztargniony, głuchy na wszystko. Odkrycie to sprawiło mu przyjemność i, rzecz dziwna, zapragnął przez chwilę porozmawiać o tym z Giulia, jak gdyby nie była zainteresowaną w tej sprawie osobą, tylko kimś postronnym, komu mógłby się zwierzać do woli. Powiedział:

— Nie zwróciłem uwagi... żona? Wobec tego musiał się niedawno ożenić.

— Dlaczego?

— Bo kiedy go znałem, był kawalerem.

— Jak to, to wy nie pisywaliście do siebie?

— Nie; był moim profesorem, potem wyjechał na stałe do Francji i zobaczę go dziś * po raz pierwszy od tego czasu.

— Ciekawe, myślałam, że jesteście za- ' przyjaźnieni.

Długo siedzieli w milczeniu. Potem drzwi, w które Marcello wpatrywał się bez zniecierpliwienia, otworzyły się i na progu ukazał się mężczyzna, w którym Marcello na pierwszy rzut oka nie poznał Quadriego. Ale kiedy z jego twarzy przeniósł wzrok na ramię i dostrzegł wypukłość sięgającą niemal ucha, zrozumiał, że Quadri po prostu • zgolił brodę. Rozpoznał teraz dziwny, prawie sześciokątny kształt twarzy, jednowymiarowej, płaskiej jak jaskrawa maska przykryta czarną peruką. Rozpoznał także oczy, przenikliwe. i błyszczące, z czerwonymi obwódkami, trójkątny nos, podobny do" serca dzwonu, nieforemne usta, jakby kółko z czerwonego, żywego mięsa. Jedyłą nowością była broda, ukryta dawniej pod zarostem: mała i krzywa, z głęboką bruzdą pod dolną wargą, odznaczająca się znamioną bnydotą, zdradzająca może charakter tego człowieka.

Quadri zamiast zakietu, w którym widział go Marcello podczas ich pierwszego i ostatniego spotkania, miał na sobie, zgodnie z upodobaniem do jasnych barw, typowym dla garbusów, sportowy garnitur z szarego, mieniącego się materiału. Pod marynarką miał cowboyską koszulę w czerwono-zieloną

kratę, a na niej krzykliwy krawat. Podeszedł do Marcella i powiedział tonem serdecznym, a zarazem całkowicie obojętnym:

— Clerici, czy tak?... Ależ oczywiście, doskonale sobie pana przypominam... między innymi także dlatego, że był pan ostatnim studentem, który mnie odwiedził przed moim wyjazdem z Rzymu... Bardzo jestem rad, że pana widzę.

Jego głos, pomyślał Marcello, również się nie zmienił: niezwykle łagodny i zarazem niedbały, czuły i zarazem roztargniony. Przedstawił żonę Quadriemu, który z galanterią, może zbyt ostentacyjną, pochylił się, by ucałować podaną mu przez Giulie dłoń. Gdy usiedli, Marcello powiedział z zakłopotaniem:

— Jestem w podróży poślubnej w Paryżu i przyszło mi na myśl, żeby pana odwiedzić... był pan moim profesorem... ale może przychodzę nie w porę?

—Ależ nie, synku drogi — odrzekł Quadri z właściwą mu wylewną łagodnością — nie, wprost przeciwnie, zrobił mi pan wielką przyjemność... To bardzo ładnie, że pan o mnie pamiętał... Każdy, kto przyjeżdża z Włoch, choćby dlatego, że mówi do mnie pięknym włoskim językiem, jest tu zawsze mile widziany. — Sięgnął po leżące na stole pudełko papierosów, zajrzał do niego i widząc, że został tylko jeden, poczęstował, z westchnieniem, Giulie: — Proszę pani... nie palimy ani ja, ani moja żona

i zawsze zapominamy, że inni lubią palić..fi A więc podoba się pani Paryż? Przypusz- • czaim, że nie jest tu pani po raz pierw- szy.

A więc, pomyślał Marcello, Quadri chce prowadzić • konwencjonalną rozmowę. Odpowiedział za Glulię:

— Właśnie, że tak: oboje po raz pierwszy przyjechaliśmy do Paryża.

— W takim razie — odrzekł skwapliwie Quadri — zazdrozczę wam... można po- zazdrościć każdemu, kto przyjeżdża pierwszy raz do tego pięknego miasta... a w dodatku w podróży poślubnej i o tej porze roku, kiedy Paryż jest najładniejszy. Jakie wrażenie zrobił na pani Paryż?

— Na mnie? — powiedziała Giulia patrząc nie na Quadriego, ale na męża. — Doprawdy nie miałam jeszcze czasu go zobaczyć... przyjechaliśmy dopiero wczoraj.

— Zobacz pani, jakie to piękne miasto, po prostu przepiękne — powiedział Quadri zdawkowo i jak gdyby myśląc o czymś innym. — Im dłużej się tu mieszka, tym bardziej urzeka jego piękno. Ale niech pani nie ogląda samych tylko zabytków... Chociaż niewątpliwie godne uwagi, nie są wspanialsze od naszych włoskich... Niech pani dużo chodzi, niech się pani każe zaprowadzić mężowi do różnych dzielnic Paryża... Różnorodność aspektów życia tego miasta jest naprawdę zadziwiająca.

— Na razie widzieliśmy bardzo niewie-

le — rzekła Giulia, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy. z konwencjonalnego i niemal ironicznego charakteru wypowiedzi Quadriego. Po czym zwróciła się do męża, wyciągając rękę i pieszczotliwie dotykając jego dłoni: — Ale pochodzimy sobie po Paryżu, prawda, Marcello?

— Oczywiście — powiedział Marcello.

— Powinni państwo — ciągnął dalej Quadri tym samym tonem — przede wszystkim poznać Francuzów. To miły naród... inteligentny, kochający wolność... i chociaż to w pewnym stopniu nie zgadza się z wyobrażeniem, jakie zazwyczaj mamy o Francuzach, także i dobry... U nich inteligencja, tak wyrafinowana i wrażliwa, stała się formą dobroci... znają państwo kogoś w Paryżu?

- Nie znamy nikogo — odrzekł Marcello. — I obawiam się, że nie poznamy... Będziemy tutaj tylko przez tydzień.

Szkoda, naprawdę szkoda... Nie można w całej pełni docenić żadnego kraju, jeżeli się nie zna jego mieszkańców. '

— Paryż to miasto nocnych rozrywek, prawda? — zapytała Giulia, której ta konwersacja z przewodnika turystycznego zdawała się całkowicie dogadzać. — Nic jeszcze nie widzieliśmy... ale chcielibyśmy gdzieś pójść... Jest tu podobno mnóstwo dansingów i nocnych lokali, czy tak?

— Ach tak, tabarins, boites» pudełka, jak je tu nazywają — powiedział profesor z roz-

targnioną miną. — Na Montmartre, * na Montparnasse... My, prawdę powiedziawszy, rzadko do nich zaglądamy. Czasami, przy okazji przyjazdu jakichś znajomych z Włoch, wykorzystywaliśmy ich ignorancję w tej dziedzinie, żeby sami się trochę podkszał- cić... ale widzi się zawsze to samo... chociaż wszystko robione jest z wdziękiem i elegancją właściwą temu miastu. Widzi pani, Francuzi to poważny naród, bardzo poważny... to wielcy'domatorzy... Może zdziwi to panią, gdy powiem, że większość paryżan nie przestąpiła nigdy progu botte... Tutaj bardzo się ceni rodzinę, bardziej niż we Włoszech... I często się spotyka dobrych katolików, lepszych niż we Włoszech, bo ich stosunek do religii jest mniej formalny, głębszy... Toteż nie ma się co dziwić, że pozostawiają bottes nam, cudzoziemcom... To zresztą znakomite źródło dochodu. Paryż zawdzięcza po części swój dobrobyt tym wszystkim lokalom i w ogóle nocnemu życiu.

— Ciekawe — powiedziała Giulia — a ja myślałam, że Francuzi dużo się bawią po nocach. — Zaczerwieniła się i dodała: — Mówiono mi, że tabarins są otwarte przez całą noc i zawsze przepelnione, jak u nas w karnawale.

— Tak — odrzekł z roztargnieniem profesor — ale większość bywających tam ludzi to cudzoziemcy.

— Nie szkodzi — powiedziała Giulia. — Bardzo bym chciała zobaczyć chociaż jeden

z tych lokali... Choćby tylko dlatego, żebym mogła opowiadać, że tam byłam.

Otworzyły się drzwi i weszła pani Quadri niosąc oburącz tacę z dzbankiem i filiżankami i do kawy. — Proszę mi wybaczyć — powiedziała wesoło, zamykając nogą drzwi — ale francuskie pokojówki to <nie to, co włoskie. Moja pokojówka ma dziś wolny dzień i wyszła zaraz po obiedzie... wszystko musimy robić sami.

“Jest naprawdę uradowana” — pomyślał Marcello, trochę tym zaskoczony. Zarówno wesołość jak ruchy, lekkie i swobodne przy silnej budowie, dodawały jej wiele wdzięku. Błędnie Lino — powiedział profesor z wahaniem — pani Clerici chciałaby zobaczyć boite... Co jej możemy polecić?

— Och, jest ich tyle, nie brak doprawdy wyboru. Na każdy gust i na każdą kieszeń — odrzekła pogodnie. Nalewała kawę do filiżanek opierając się całym ciężarem na jednej nodze i wysuwając drugą, jak gdyby chciała pokazać • dużą stopę obutą w trzewik na niskim obcasie. Podała filiżankę Giulii, po czym dorzuciła niedbale: — Edmondo, a i może my moglibyśmy ich zaprowadzić gdzieś do botte? Świetna okazja dla ciebie, żeby się trochę rozerwać.

Mąż przesunął dłoń po podbródku, jak gdyby chciał pogłodzić sobie brodę, i odpowiedział:

— Naturalnie, oczywiście, dlaczego nie?

— Wiecie państwo, co zrobimy? — ciąg

nęła podając kawę Marcellowi i mężowi. — Ponieważ i tak mieliśmy coś zjeść wieczorem na mieście, zjemy razem kolację w małej restauracji na prawym brzegu, niedrogiej, ale gdzie dobrze dają jeść, w „Le côté au vin”, a potem pójdziemy zobaczyć bardzo dziwny lokal... tylko pani Clerici nie powinna się gorszyć.

Giulia, zarażona jej wesołością, roześmiała się:

— Nie gorszę się byle czym.

— Ten lokal nazywa się „La cravatte. noire”, Czarny Krawat — wyjaśniła siadając na kanapie obok Giulii — i bywają w nim dość szczególne osoby — dodała patrząc na Giulie i liśpiechając się.

— Co to znaczy?

— Kobiety o specjalnych upodobaniach... zobaczy pani.... Właścicielka i kelnerki chodzą wszystkie w smokingach i w czarnych krawatach... Zobaczy pani, są takie śmieszne.

— 'Ach, teraz rozumiem — odrzekła Giulia trochę zmieszana. — Ale czy mają tam wstęp także mężczyźni? .

To pytanie rozśmieszyło panią Quadri:

— Ależ oczywiście... to publiczny lokal... mały dansing... prowadzony przez kobietę o specjalnych upodobaniach, bardzo zresztą inteligentną... ale każdy może tam wejść... to przecież nie klasztor. — Parsknęła śmiechem spoglądając na Giulie; potem dodała żywo: — Jeżeli to pani nie odpowiada, mo

zemy iść do innego iokaiu.; ale nie będzie już taki oryginalny^

— Nie — powiedziana', (siulia chodźmy tam... bardzo mnie to zaciekało.

— Nieszczęsne istoty — rzekł pofesor. Wstał: — Mój drogi Clerici, chcę powiedzieć, że bardzo mi było przyjemnie pana zobaczyć i że będzie mi jeszcze przyjemniej zjeść dziś wieczór kolację w towarzystwie pana i pańskiej żony... Czy pana sympatie i przekonania są te same, co dawniej?

Marcello odpowiedział spokojnie:

— Nie zajmuję się polityką.

— Tym lepiej, tym lepiej. — Profesor ujął go za rękę i ściskając ją w swoich dłoniach, dorzucił: Wobec tego świta nam może nadzieja na zdobycie pana — tonem łagodnym, zbołałym i przejmującym, jak ksiądz, który przemawia do ateisty. Przycisnął rękę do piersi w okolicy serca i Marcello zobaczył ze zdumieniem, że okrągłe i wyłupiaste oczy Quadriego pokryły się szklistą mgiełką, co nadawało błagalny wyraz jego spojrzeniu. Potem, jak gdyby chcąc ukryć wzruszenie, profesor szybko pożegnał się z Giulia i wyszedł mówiąc:

' Moja żona umówi się z państwem na dziś wieczór.

Drzwi się zamknęły i Marcello, trochę zakłopotany, usiadł w fotelu naprzeciwko kanapy, na której siedziały obie panie. Teraz, po wyjściu Quadriego, wrogość jego żony zdawała się nie ulegać wątpliwości. Ostentacyjnie ignorowała jego obecność i rozma-' wiała tylko z Giulia:

— A była już pani w domach mody, u krawcowych, u modystek? Rue de la Paix, Faubourg Saint-Honore, Avenue de Mati- gnon?

— Nie — odrzekła Giulia z miną osoby, która słyszy po raz pierwszy te nazwy — jeszcze nie.

— Chciałaby pani przejść się po tych ulicach, wstąpić do paru sklepów, zwiedzić jakiś dom mody? Zapewniam panią, że to bardzo interesujące — mówiła dalej pani Qua- dri z serdecznością przymilną, sugestywną, pociągającą i opiekuńczą.

— Ach tak, naturalnie — Giulia spojrzała na męża, po czym dodała: — Chciałabym też sobie coś kupić... na przykład kapelusz.

— Chce pani, żebym pani towarzyszyła? — zaproponowała pani Quadri, co było zresztą nieuchronnym następstwem wszystkich uprzednich pytań. — Dobrze znam kilka domów mody, mogłabym pani coś niecoś doradzić.

— O tak, bardzo proszę — odrzekła Giulia niepewnie, ale z wdzięcznością.

— Mogłybyśmy pójść jeszcze dziś po południu, za godzinkę. Pozwoli mi pan porwać żonę na kilka godzin, prawda? — z tymi ostatnimi słowami zwróciła się do Marcella, ale zupełnie innym tonem niż do Giulii: szorstkim, prawie pogardliwym.

Marcello wzdygnął się i odpowiedział:

—Naturalnie... jeśli Giulia ma ochotę.

Wydawało mu się, że Giulia wolałaby się wymknąć spod opieki pani Quadri; tak przynajmniej zrozumiał spojrzenie, które mu rzuciła; i uświadomił sobie, że odpowiedział żonie spojrzeniem, które miało ją skłonić do przyjęcia tej propozycji. Zaraz potem jednak zadał sobie pytanie: czy robię to dlatego, że ta kobieta mi się podoba i chcę ją ponownie zobaczyć; czy też dlatego, że mam do wypełnienia misję i nie chcę pani Quadri do siebie zrazić? Nagle z przykrością stwierdził, że sam nie wie, czy kieruje się własną chęcią, czy też obowiązującym go planem. A tymczasem Giulia sprzeciwiła się:

— Prawdę powiedziawszy, miałam zamiar wrócić na chwilę do hotelu...

Lecz tamta nie pozwoliła jej dokończyć:

— Chce się pani trochę odświeżyć przed wyjściem? Poprawić toaletę?... Nie musi pani przecież wracać po to do hotelu... może pani wypocząć u mnie, na moim łóżku... Wiem, jakie to męczące, kiedy się jest w podróży, biegać przez cały dzień bez chwili wytchnienia, zwłaszcza dla nas, dla kobiet... Proszę iść ze mną, proszę, droga pani. — Zanim Giulia zdążyła odpowiedzieć, pani Quadri zmusiła ją, żeby wstała z kanapy; teraz popychała ją łagodnie, ale stanowczo ku drzwiom. Na progu, jak gdyby chcąc jej dodać otuchy, oznajmiła słodko-cierpkim tonem: — Pani mąż poczeka na panią tutaj...

niech się pani nie boi, nie zgubi go pani. — Potem obejmując ją ramieniem w pół, wyszła z nią na korytarz i zamknęła drzwi.

Marcello został sam; zerwał się na równe nogi i zaczął biegać wzdłuż i wszerz po pokoju. Wydawało mu się oczywiste, że ta kobieta czuje do niego nieprzewycięzoną odrazę, i chciał odgadnąć przyczynę. Lecz uczucia jego w tym momencie były dziwnie skomplikowane: bolała go wrogość osoby, przez którą pragnąłby być kochany, a jednocześnie niepokoiło go podejrzenie, że ona wie o nim całą prawdę, bo w tym wypadku misja byłaby nie tylko trudna do wykonania, ale i niebezpieczna. Najbardziej jednak cierpiał nad tym, że te dwa lęki tak się w nim pomieszały, że nie mógł już odróżnić jednego od drugiego; lęku kochanka, który czuje, że go odrażono, od lęku tajnego agenta, który się boi, że został zdemaskowany. Zresztą, jak uświadomił sobie w przyływie dawnej melancholii, gdyby mu się nawet udało przewyciężyć niechęć tej kobiety, byłby potem zmuszony raz jeszcze wykorzystać na rzecz misji nawiązane z nią ewentualnie stosunki. Tak samo, jak zaproponował w ministerstwie połączenie podróży poślubnej ze zleceniem politycznym. Jak zawsze.

Za jego plecami otworzyły się drzwi, wróciła pani Quadri. Podeszła do stołu i powiedziała:
— Pańska żona była bardzo zmęczona i

zdaje się, że już zasnęła na moim łóżku... potem wyjdziemy razem.

— To znaczy — rzekł spokojnie Marcello — że pani mnie wyrzuca.

— Ach, mój Boże, nie — odpowiedziała chłodnym, konwencjonalnym tonem — ale jestem bardzo zajęta, profesor także... Musiałby pan siedzieć sam w salonie... Ma pan przecież coś lepszego do roboty tu, w Paryżu.

— Wybacz pani — odrzekł opierając obydwie ręce o poręcz fotela i patrząc na nią — ale wydaje mi się, że jest pani do mnie wrogo usposobiona... Czy tak nie jest?

Odpowiedziała od razu, szybko i śmiało:

— I to pana dziwi?

— Muszę przyznać, że tak — rzekł Marcello III wcale się nie znamy, widzimy się dzisiaj po raz pierwszy.

— Znam pana doskonale — przerwała — nawet jeśli pan mnie nie zna.

“Ładna historia!” — pomyślał Marcello. Wrogość tej kobiety, potwierdzająca się teraz w kategorijski sposób, obudziła taki ból w jego sercu, że omal nie krzyknął głośno.

Zdruzgotany, westchnął i powiedział cicho:

— Ach, pani mnie zna?

— Tak Hg odrzekła z błyskiem nienawiści w oczach. — Wiem, że pan jest agentem policyjnym, Szpiegiem na żołdzie swojego rządu... Dziwi się pan teraz, że jestem wrogo do pana usposobiona? Nie wiem, jak odno-

sza się do tego inni, ale ja nigdy nie mogłam ścierpieć les mouchards... to znaczy szpicli przetłumaczyła z francuskiego z obra- żliwą uprzejmością.

Marcello spuścił oczy i przez chwilę milczał. Przeżywał mękę, pogarda tej kobiety, jak żelazne ostrze jątrzyła bezlitośnie otwartą ranę. W końcu zapytał: • • — A pani mąż wie o tym?

— Ależ oczywiście — odpowiedziała z obelżywym zdziwieniem. — Jak mógł pan myśleć, że nie wie? On mi to powiedział.

“Ach, są dobrze poinformowani” — pomyślał bezwiednie Marcello. I zapytał rozważnym tonem:

— Dlaczego w takim razie przyjęliście nas u siebie? Czy nie prościej byłoby odmówić?

— Ja rzeczywiście nie chciałam - powiedziała -r- ale mąż jest inny. To prawie święty... uważa, że dobroć jest najlepszą metodą.

“Święty, kuty na oztere nogi” — miał ochotę odpowiedzieć Marcello. Lecz przyszło mu na myśl, że było tak właśnie: wszyscy święci musieli być niesłychanie chytry. Dodał: — Bardzo nad tym boleję, że jest mi pani niechętna... ponieważ ja... czuję do pani wielką sympatię.

— Pańska sympatia napęła mnie zgrozą. Marcello zastanawiał się później, co owładnęło nim w tym momencie: jak gdyby zaślepienie blaskiem, zdającym się płynąć

z czoła tej kobiety, i jednocześnie impuls, głęboki, gwałtowny, potężny, pomieszany z podnieceniem i rozpaczliwą miłością. Uświadomił sobie nagle, że stoi przy pani Quadri, że obejmuje ją w pól, że przyciąga ją do siebie i że mówi cicho:

— I ponieważ pani mi się bardzo podoba.

Miał ją przy sobie tak blisko, że czuł, jak falują w oddechu jej krągłe piersi; przez chwilę patrzyła na niego osłupiała, potem krzyknęła piskliwym i triumfującym głosem:

— To szczyt wszystkiego... W podróży poślubnej i pomimo to gotów zdradzić swoją żonę... szczyt wszystkiego! — Szarpnęła się rozwścieczona, żeby się uwolnić z uścisku Marcella i dodała: — Proszę mnie puścić... albo zawołam mojego męża. — Marcello puścił ją natychmiast, lecz ona, oślepiąca furia, szarpnęła się znów, jak gdyby ją trzymał w dalszym ciągu, i wymierzyła mu policzek.

Mogło wyglądać na to, że pożałowała od razu swego czynu. Podeszła do okna, wyjrzała na ulicę, a potem, oglądając się za siebie, powiedziała szorstko: — Przepraszam.— Marcello odniósł jednak wrażenie, że kieruje nią nie tyle skrucha, co lęk przed ewentualnymi następstwami owego policzka. Więcej było wyrachowania i opanowania woli niż żalu w tonie jej głosu, jeszcze zaciętym i niechętnym. Powiedział zdecydowanie:

— Nie pozostaje mi teraz nic innego jak wyjść... Proszę powiadomić moją żonę i przyprowadzić ją tutaj... I proszę przeprosić w naszym imieniu swego męża, jeśli chodzi, o dzisiejszy wieczór... Powie mu pani, że przypomniało mi się nagle, iż umówiłem się już przedtem z kimś innym.

Tym razem, pomyślał, to rzeczywiście koniec. Przekreślił za jednym zamachem nie tylko miłość do tej kobiety, ale także i swoją misję.

Pewien, że pani Quadri zaraz podejdzie do drzwi, cofnął się, żeby nie stanąć jej na drodze. Zobaczył jednak, że ona mu się przygląda, wydyma usta kapryśnym grymasem i zbliża się do niego. Zauważył migający przez chwilę w jej oczach ponury i zdecydowany błysk. Gdy znalazła się o krok od niego, podniosła rękę i dotknęła jego policzka mówiąc:

— Nie, niech pan nie odchodzi... pan mi się też bardzo podoba... i jeżeli zachowałam się tak gwałtownie, to właśnie dlatego, że pan mi się podoba., niech pan nie odchodzi i zapomni o tym, co było. — Jednocześnie głaskała go po policzku, ruchem niezręcznym, ale pewnym i władczym, jak gdyby chcąc uśmierzyć ból wywołany uderzeniem.

Marcello patrzył na nią, patrzył na jej czoło; pod jej wzrokiem i pod nieco szorstkim dotknięciem męskiej dłoni czuł ku swemu najwyższemu zdumieniu, bo doświadczał tego po raz pierwszy, że jakieś

zmieszanie, głębokie, wzruszające, przenikające na wskroś, pełne tliwości i nadziei, rozpiera mu pierś i hamuje oddech. Stała przed nim z wyciągniętą ręką, głaszcząc go, i on jednym spojrzeniem ogarnął całą jej urodę, jak coś, co było mu przeznaczone zawsze, co niemal było celem całego jego życia; zrozumiał, że kochał ją zawsze, już przed tym dniem, zanim jeszcze ją przeczuł w tej kobiecie z S. Tak, pomyślał, to była miłość, którą powinien był dać Giulii, gdyby ją kochał, a oddawał ją teraz tej poznanej przed chwilą kobiecie. Potem przystąpił do niej z otwartymi ramionami, by ją objąć. Lecz ona wywinęła się od razu, chociaż zrobiła to, jak mu się wydało, w sposób miękki i filuterny; i przykładając palec do ust, szepnęła:

— A teraz idź... Zobaczmy się wieczorem.

Zanim Marcello zdążył zdać sobie z tego sprawę, wyprowadziła go z salonu, wepchnęła do przedpokoju i otworzyła drzwi. Potem drzwi się zamknęły i Marcello znalazł się na schodach.

ROZDZIAŁ VI

Lina i Giulia miały wypocząć, a potem iść do domów mody. Później Giulia miała sama wrócić do hotelu, a państwo Quadri obiecali po nich przyjechać i zabrać ich na kolację. Było około czwartej i do kolacji brakowało przeszło cztery godziny; ale tylko trzy do telefonu Orlanda, który umówił się z nim, że zadzwoni, aby się dowiedzieć adresu restauracji. Marcello miał więc trzy godziny czasu. Po tym, co zaszło w domu Quadrich, pragnął samotności choćby dlatego, żeby lepiej siebie zrozumieć. O ile bowiem — myślał schodząc ze schodów — w zachowaniu Liny, mającej męża znacznie starszego od niej i pochłoniętego polityką, nie było nic zaskakującego, o tyle jego zachowanie w kilka dni po ślubie, w podróży poślubnej, zdumiewało go, przerażało i jednocześnie odrobinę mu schlebowało. Dotychczas uważał, że zna siebie na tyle, by móc zapanować nad sobą, kiedy zechce. Teraz jednak uświadamiał sobie, sam nie wiedząc, czy z przerażeniem, czy z zadowoleniem, że może się mylił. Szedł dłuższy czas skręcając z jednej uliczki w drugą, aż w końcu znalazł się w sze-

rokiej alei, lekko biegnącej pod górę, Avenue de la Grande Armée, jak przeczytał na rogu jednego z domów. Istotnie, gdy podniósł oczy, zobaczył nagle prostokątny bok Łuku Triumfalnego wystrzelający na końcu ulicy. Masywny i zarazem widmowy, zdawał się zawieszony na bladym niebie, może z powodu letniej mgiełki, która zabarwiała go na błękitno. Idąc przed siebie, z oczyma wlepionymi w triumfalnego kolosa, Marcello znowu doznał w pewnej chwili nie doświadczanego przedtem, upajającego uczucia wolności i niezależności, jak gdyby niespodziewanie zdjęto mu z bark jakiś przygniatający ciężar, i jego krok stał się lżejszy, niemal lotny. Zastanawiał się przez chwilę, czy ma przypisać tę olbrzymią ulgę prostemu faktowi, że znalazł się w Paryżu, z dala od codziennych trosk, przed tym wspianym pomnikiem: może przemijające objawy zadowolenia fizycznego brał za głębokie przemiany duchowe; potem, po namyśle, zrozumiał, że zawdzięcza to uczucie pieśszczocie Liny. Burzliwe myśli zaczynały kłębić się w jego głowie na wspomnienie tej pieśszczoty. Machinalnie przesunął ręką po policzku, tam gdzie spoczywała jej dłoń, i musiał przymknąć oczy w błogim zachwycie, jakby przeżywał po raz drugi rozkosz dotyku owej dłoni szorstkiej i odważnej, która z czułością błędziła po jego twarzy; jak gdyby chcąc poznać jej zarys. Co to jest miłość? — zadał sobie pytanie,

wkraczając na szeroki chodnik, z oczyma zwróconymi na Łuk Triumfalny, co to jest miłość, dla której teraz zaprzepaści może całe swoje dotychczasowe życie, opuści nowo poślubioną żonę, zdradzi polityczną wiarę, zapłacze się w niebezpieczną, awanturniczą, nieodwracalną w skutkach przygodę? Przypomniawszy sobie, że przed wielu laty z rozdrażnieniem odpowiedział na pytanie swojej koleżance z uniwersytetu, z uporem odrzucającej jego zaloty, że dla niego miłość to stojąca wiosną na łące krowa oraz byk, który wspina się na tylne nogi, żeby na nią wskoczyć. Ta łąka, pomyślał jeszcze, to mieszczchański dywan w salonie Quadrich, Lina to krowa, a on to byk. Nadzy, pomimo odmiennego tła i innej budowy ciała, byłiby całkiem podobni do pary zwierząt. I furia pożądania, zaspokajanego z niezdarną i po- pedliwą gwałtownością, byłaby taka sama. Ale na tym kończyły się podobieństwa, tak oczywiste i tak mało znaczące. Gdyż wskutek jakiejś tajemniczej duchowej alchemii furia ta przekształcała się natychmiast w dalekie od niej myśli i uczucia, które choć z konieczności nosiły jej znamię, w żaden sposób nie jnogły tylko jej dotyczyć. Pożądanie nie było w rzeczywistości niczym innym jak zdecydowaną i potężną pomocą, udzieloną przez naturę czemuś, co istniało przed nim i poza nim. Ręką natury, która wyciągała z trzewi przyszłości ludzki embrion rzeczy przyszłych.

“Krótko mówiąc — pomyślał próbując ochłoniąć i powściągnąć niezwykłą egzaltację, która go ogarnęła — chcę porzucić moją żonę w podróży poślubnej, zdezerterować z posterunku podczas wypełniania misji, żeby zostać kochankiem Liny i zamieszkać z nią w Paryżu. Krótko mówiąc — ciągnął dalej — zrobię to wszystko na pewno, jeżeli się przekonam, że Lina kocha mnie tak, jak ja ją kocham, z tych samych powodów i równie mocno”.

Jeśli miał jeszcze jakąś wątpliwość co do powagi tej swojej, decyzji, to rozwiąła się ona ostatecznie, gdy doszedłszy do końca Avenue de la Grande Armee podniósł oczy na Łuk Triumfalny. Istotnie teraz grzez analogię, wywołaną widokiem tego pomnika wzniesionego ku czci zwycięstw głośnej tyranii, doznał wrażenia[^] że jest mu prawie żal tamtej tyranii, której dotąd służył i którą zamierzał zdradzić. Oczyszczona, uleczona z tej zdrady, jeszcze nie popełnionej, rola, którą do dziś odgrywał, wydawała się bardziej zrozumiała, łatwiejsza do przyjęcia; nie wynikała, jak dotychczas, z powierzchownego dążenia do normalności, lecz z głębokiego powołania, a w każdym razie z przyczyn nie tylko sztucznych. Prócz tego żal, tak oddalony i już retrospektywny, był niezbitym dowodem nieodwołalności powziętej decyzji.

Czekał dłuższą chwilę, aż zatrzyma się karuzela samochodów, objeżdżających dokoła

pomnik, i przeszedłszy przez plac, skierował się prosto do Łuku, wchodząc z kapeluszem w rękę pod sklepienie, gdzie znajdował się grób Nieznanego Żołnierza. Oto na murach Łuku spisy wygranych bitew, z których każda oznacza dla niezliczonej ilości ludzi tę samą wierność i wyrzeczenia, jakie jeszcze przed kilkoma minutami wiązały go z jego rządem; oto grób z czuwającym nad nim wiecznie płonącym zniczem, symbol innych poświęceń, nie mniej całkowitych. Czytając nazwy bitew napoleońskich, przypomniał sobie słowa Orlanda: "Wszystko dla rodziny i dla ojczyzny". I zrozumiał nagle, że od agenta, tak mocno przekonanego i zarazem tak niezdolnego usprawiedliwić rzeczowo swoich przekonań, różnił się jedynie umiejętnością wyboru, pod wieczną strażą melancholii prześladowanej go od niepamiętnych czasów. Tak, pomyślał, dokonał wyboru w przeszłości i teraz miał wybierać znowu. I jego melancholia była właśnie melancholią pomieszaną z żalem, który budzi się na myśl o tym, co mogłoby być i z czego, po dokonaniu wyboru, trzeba z konieczności zrezygnować.

Wyszedł spod Łuku, przeczekał znów, aż przerwie się potok przejeżdżających samochodów, i znalazł się na chodniku Avenue des Champs-Elysees. Wydało mu się, że Łuk roztacza niewidzialny cień nad biegnącą przed nim bogatą i rozweseloną ulicą; i że istnieje jakaś niewątpliwa więź między

tym wojowniczym pomnikiem i pokojowym, pogodnym dobrobytem tłumu zalegającego chodniki. Pomyślał wtedy, że i to jest jeszcze jednym aspektem czegoś, z czego zrezygnował: tyrania krwawa i niesprawiedliwa zmieniała się z czasem w radość i w bogactwo niepamiętne swego źródła; okrutna ofiara późniejszym pokoleniom przynosiła potęgę, wolność i dobrobyt. Oto kilka argumentów na korzyść Judasza — pomyślał żortobliwie.

Teraz jednak powziął już decyzję i odczuwał tylko jedno pragnienie: myśleć o Linie i o tym, dlaczego i jak go kocha. Z tym pragnieniem w duszy schodził powoli Avenue des Champs-Elysees, przystając raz po raz, żeby obejrzeć sklepy, pisma wystawione w kioskach, ludzi siedzących w kawiarniach, plakaty filmowe, teatralne afisze. Coraz gęstszy tłum przechodniów otaczał go zewsząd i jego płynny ruch wydawał mu się ruchem samego życia. Cztery kolumny samochodów, jadących w obu kierunkach, migały mu w prawym oku; przed lewym przesuwały się bogate sklepy, wesołe szyldy, przepełnione kawiarnie. Im dalej szedł, tym bardziej przyśpieszał kroku, jak gdyby uciekał przed Łukiem Triumfalnym. W pewnej chwili obejrzał się i zobaczył, że Łuk oddala się i zaciera w odległości oraz w letniej mgle, tracąc materialność. Gdy doszedł do końca ulicy, wyszukał sobie ławeczkę w cieniu drzew ogrodu i siadł na niej z ulgą.

zadowolony, że może się oddać w spokoju rozmyślaniom o Linie.

Chciał wrócić myślą do tej chwili, kiedy po raz pierwszy odgadł jej istnienie: do wizyty w domu publicznym w S. Dlaczego kobieta, którą tam zobaczył w salonie przy boku agenta Orlando, wzbudziła w nim tak nowe i tak gwałtowne uczucie? Przypomnił sobie, że uderzyła go świetlistość jej czoła, i zrozumiał, co pociągnęło go najpierw do tej kobiety, a potem, już ostatecznie, do Liny: czystość, która wydawała mu się sprofanowana i zbezczeszczona w prostytutce i triumfująca w Linie. Podobieństwo imion: Lino i Lina, tego człowieka, który po raz pierwszy obudził w nim grozę, i tej kobiety, która go z niej wyzwalała, uznał za szczęśliwą wróżbę. W sposób naturalny, spontaniczny dzięki potędze miłości odnajdywał poprzez Linę tak upragnioną i wytęsknioną normalność. Nie tę normalność niemal biurokratyczną, którą ściagał przez te wszystkie lata, lecz inną, prawie anielską. Wobec tej normalności, promiennej i eterycznej, ciężkie jarzmo pracy w wywiadzie, małżeństwo z Julią, rozsądne i bezbarwne życie systematycznego człowieka były tylko lekkim jarzmem, które znosił, podświadomie oczekując poprawy losu. Teraz wyzwalał się z janzima i odnajdywał samego siebie, dzięki tym samym przyczynom, które niegdyś, wbrew jego woli, kazały mu j6 dźwigać. Podczas gdy siedząc na ławeczce oddawał

się tym rozmyślaniami, niespodziewanie wpadł mu w oko duży samochód, który jadąc w kierunku Place de la Concorde zdawał się stopniowo zwalniać biegu i rzeczywiście zatrzymał się nie opodal przy chodniku. Był to czarny wóz, stary, ale luksusowy, o staroświeckiej linii, którą jeszcze bardziej uwydatniał niemal przesadny blask nikłów i mosiądzów karoserii. Rolls Royce — pomyślał; nagle ogarnął go przeraźliwy lęk, i ten lęk, z którym wiązało się jakieś straszliwe wspomnienie, był mu dziwnie znajomy, a więc tym bardziej groźny. Gdzie i kiedy widział już ten samochód? Szofer, chudy, szpakowaty mężczyzna w granatowej liberii, zatrzymał się, wysiadł szybko i pobiegł otworzyć drzwiczki. Na ten widok odżył w pamięci Marcella obraz stanowiący odpowiedź na jego pytanie: ten sam samochód, tego samego koloru i tej samej marki, stojący na rogu ulicy w alei niedaleko szkoły, i Lino w chwili, gdy otwiera mu drzwiczki i zaprasza, by usiadł obok niego. Podczas gdy szofer stał przy drzwiczkach z czapką w ręku, wysunęła się ostrożnie z auta męska noga w szarej flanelowej nogawce, ze stopą obutą w trzewik jaskrawo żółty i lśniący jak mosiądze samochodu. Potem szofer wyciągnął rękę i oczom Marcella ukazała się cała postać człowieka z trudem wysiadającego z samochodu. Był to stary mężczyzna, jak osądził; chudy i bardzo wysoki, o szkarłatnej twarzy i jasnych włosach, mo

że jeszcze nie siwych; krok miał chwiejny, podpierał się laską opatrzoną gumową pochwą, a jednak zdawał się dziwnie młody. Marcello obserwował go uważnie, gdy nieznajomy zbliżał się do ławeczki, i zastanawiając się, co nadaje temu staremu mężczyźnie taki młodociany wygląd, zrozumiał: uczesanie z przedziałkiem z boku oraz zielona muszka pod kołnierzykiem kolorowej koszuli w biało-różowe paski. Starszy pan szedł ze wzrokiem utkwionym w ziemię, lecz gdy znalazł się przy ławeczce, podniósł głowę i Marcello zobaczył, że jego oczy są niebieskie, naiwnie surowe i także młodzieńcze. W końcu usiadł z trudem obok Marcella, a szofer, który szedł za nim krok w krok, podał mu małą paczuszkę w białym papierze. Potem skłonił się lekko, wrócił do samochodu, wsiadł i siedział nieruchomo na swoim miejscu. Marcello, który przedtem śledził wzrokiem każdy ruch starego człowieka, teraz spuścił oczy i rozmyślał. Wiele dałby za to, żeby nie odczuwać takiej grozy na sam widok wozu podobnego do samochodu, który prowadził Lino; wystarczyło to wspomnienie, żeby zakłócić jego spokój. Ale co przerażało go bardziej jeszcze, to silne, ponure, cierpkie uczucie słabości, niższości, zniewolenia, towarzyszące owej grupie. Jak gdyby nie minęły długie lata albo, co gorzej, jak gdyby minęły na próżno, jaik gdyby pozostał tym samym, co wtedy chłopcem, ma którego

Lino czekał w samochodzie i który wsiadał posłusznie do wozu na jego skinienie. Wydawało mu się, że raz jeszcze padł ofiarą szantażu, lecz tym razem nie szantażował go Lino obietnicą rewolweru, tylko jego własne ciało, niespokojne i niezdolne zapomnieć. Zdruzgotany tym nagłym gwałtownym wybuchem ognia, który uważał za wygaszony, westchnął i mechanicznie obmacał kieszenie szukając papierosów. W tej chwili usłyszał głos, mówiący po francusku:

—Papierosy? Proszę...

Odwrócił się i zobaczył, że starszy pan podaje mu w czerwonej, lekko trzęsącej się dłoni nie zaczęta paczkę amerykańskich papierosów. Spoglądał przy tym na niego ze szczególnym wyrazem, jednocześnie władczym i dobrodusznym. Marcello, w najwyższym stopniu zakłopotany, bez podziękowania wziął paczuszkę, szybko ją otworzył, wyciągnął jednego papierosa i oddał ją starszemu panu. Lecz ten, chwytając paczuszkę i wpychając ją nie znoszącym sprzeciwu ruchem do kieszonki jego marynarki, powiedział porozumiewawczym tonem:

— To dla pana... może je pan zatrzymać.

Marcello poczuł, że się czerwieni i potem blednie z gniewu i upokorzenia. Szczęśliwie jednak rzucił w tej chwili okiem na swoje buty: były białe od kurzu i sfatygowane po długim chodzeniu. Wtedy zaświtała mu myśl, że ten pan wziął go zapewne za nędzarza albo (bezrobotnego, i ochłonął ze' zło-

ści. Wyjął papierosy z kieszonki, bez żadnej ostentacji, i położył je na ławce, pomiędzy sobą i swoim sąsiadem.

Tamten jednak nie zauważył tego, przestał się już nim zajmować. Marcello zobaczył, że starszy pan otwiera paczkę, którą podał mu szofer, i wyjmując z niej bułkę. Rozskubał ją powoli i pracowicie trzęsącymi się rękami i rzucił kilka okruszyn na ziemię. Natychmiast z jednego z gęstych drzew ocieniających ławeczkę sfrunął duży wróbel, tłusty i poufały. Zbliżył się podskakując, przekrzywił parę razy łepkę, żeby rozejrzeć się dokoła, po czym chwycił w dziób jedną kruszynkę i zaczął ją pożerać. Starszy pan rozrzucił więcej okruszków i kilka innych wróbli przyleciało z gałęzi drzew na chodnik. Z papierosem w ustach, z przymkniętymi oczyma, Marcello obserwował tę scenę. Stary mężczyzna, pomimo że zgarbiony i że trzęsły mu się ręce, rzeczywiście zachował w sobie coś z młodego chłopca, a raczej bez większego wysiłku można było go sobie wyobrazić jako młodego chłopca. Jego profil, jego usta czerwone i kapryśne, prosty i duży nos, jasne włosy, opadające na czoło niemal łobuzerskim kosmykiem, pozwalały nawet przypuszczać, że niegdyś był bardzo przystojnym młodzieńcem; może jednym z tych nordyckich atletów, którzy łączą dziewczęcy wdzięk z męską siłą. Pochylony, z głową ciężko przygwożdżoną do piersi, pokruszył wróblom całą bułkę; po

tem, nie poruszając się ani nie oglądając, zapytał w dalszym ciągu po francusku:

— Z jakiego pan jest kraju?

— Z Włoch — odrzekł krótko Marcello.

— Jak mogłem się tego nie domyślić! — zawołał starszy pan uderzając się w czoło, charakterystycznym gestem gniewnym i pełnym żywości. Sjj Zastanawiałem się właśnie, gdzie ja mogłem widzieć taką twarz jak pańska, taką regularność rysów... Głupiec ze mnie, oczywiście, we Włoszech... a jak się pan nazywa?

— Marcello Clerici — odpowiedział Marcello po chwili wahania.

-3- Marcello — powtórzył starszy pan podnosząc głowę i patrząc przed siebie. Nastąpiło długie milczenie. Zdawało się, że tamten nad czymś się zastanawia, a raczej coś sobie przypomina. W końcu z triumfującą miną zwrócił się do Marcella i zarecytował: — Heu miserande puer, si qua jata aspera rum- pa\$, tu Marcellus eris.

Były to strofy Wergilego, które Marcello znał dobrze, dlatego że tłumaczył je w szko* le, a także dlatego, że w owych czasach koledzy stale dokuczali mu tym cytatem. Wypowiedziane w tym momencie, po obdarowaniu go paczką papierosów, słynne strofy zrobiły na nim niemiłe wrażenie niezdarne go pochlebstwa. To wrażenie zmieniło się w irytację, gdy spostrzegł, że starszy pan taksuje go wzrokiem od stóp do głów, po czym wyjaśnia: — Wergiliusz.

— Tak, Wergiliusz — odrzekł sucho — a pan jest skąd?

— Jestem Brytyjczykiem — odpowiedział, ku zdziwieniu Marcella po włosku, tonem oficjalnym, a może ironicznym. Potem, co zabrzmiało jeszcze dziwniej, mieszając włoski język z dialektem neapolitańskim dodał: — Żyłem wiele lat w Neapolu... Jesteś neapolitańczykiem?

— Nie — powiedział Marcello, stropiony tym nagłym przejściem na ty... Teraz wróble, pożarłszy okruszyny, odleciały; o kilka kroków dalej, przy chodniku, czekał Rolls Royce. Starszy pan wziął laskę, podniósł się z trudem, mówiąc do Marcella rozkazującym tonem, tym razem po francusku:

— Czy nie odprowadzi mnie pan do samochodu? I czy zechce mnie pan wziąć pod rękę?

Marcello odruchowo podał mu ramię. Paczuszka papierosów została na ławce, tam, gdzie ją położył. — Zapomniał pan papierosy — powiedział starszy pan wskazując końcem laski. Marcello udał, że nie słyszy, i zrobił pierwszy krok w stronę samochodu. Tamten przestał nalegać i poszedł za nim.

Posuwał się wolno, o wiele wolniej niż przed chwilą, kiedy szedł sam; i opierał dłoń o ramię Marcella; ale owa dłoń nie spoczywała na miejscu, lecz błędziła po całym ramieniu młodego mężczyzny z pieszczotą już zaborczą. Marcello poczuł nagle, że serce zamiera mu w piersi, i podnosząc oczy zro

zumiał, dlaczego: stał tam samochód, który czekał na nich obu. Domyślał się, że będzie zaproszony, jak przed wielu laty. Ale jeszcze bardziej przerażała go świadomość, iż nie odrzuci tego zaproszenia. W historii z Linem poza chęcią zdobycia rewolweru powodowała nim pewna doza naiwnej kokieterii, teraz zauważył ze zdziwieniem, że miejsce jej zajęło zobojętnienie człowieka, który już w przeszłości uległ niepojętej pokusie i który, po wielu latach, znalazłszy się znienacka w tej samej pułapce, nie widzi powodu, żeby stawiać opór. Owe myśli następowały błyskawicznie, jedna po drugiej; były to raczej olśnienia niż myśli. Podniósł oczy i stwierdził, że doszli już do samochodu. Szofer wysiadł i czekał przy otwartych drzwiczkach z czapką w ręku.

Starzec, nie puszczać ramienia Marcella, powiedział:

— Zechce pan wsiąść?

Marcello odpowiedział bez namysłu, zadowolony ze swojej stanowczości:

— Dziękuję, ale muszę wracać do hotelu... czeka na mnie żona.

— Biedaczka — odrzekł tamten z ironiczną poufałością — niech sobie trochę poczeka... dobrze jej to zrobi.

A więc należy jasno postawić sprawę — pomyślał Marcello. Powiedział:

— Nie zrozumieliśmy się. — Zawahał się, potem dostrzegając kącikiem oka młodego włóczęgę, który przystanął przed ławką,

gdzie leżała paczka papierosów, dodał: — Nie jestem tym, za kogo mnie pan bierze... może tamten byłby odpowiedniejszy — i wskazał na włóczęgę, który właśnie szybkim ruchem wsuwał ukradkiem do kieszeni papierosa. Starszy pan także spojrział w tę stronę, uśmiechnął się i odpowiedział z żartobliwą bezczelnością:

— Takich mam ile dusza zapagnie.

— Bardzo żałuję — rzekł zimno Marcello, odzyskując całą pewność siebie, i już chciał odejść. Ale starszy pan zatrzymał go:

— Niech pan przynajmniej pozwoli się odwieźć...

Marcello zawahał się, spojrział na zegarek.

— No dobrze, niech mnie pan odwiezie... skpro to robi panu przyjemność.

— Robi mi wielką przyjemność. Wsiedli, najpierw Marcello, potem starszy pan. Szofer zatrasnął drzwiczki i szybko usiadł na swoim miejscu.

— Dokąd? — zapytał starzec. Marcello wymienił nazwę hotelu, a tamten, zwracając się do szofera, powiedział coś po angielsku. Samochód ruszył.

Był to wóz cichy i dobrze resorowany, jak stwierdził Marcello, gdy jechali bezszelestnie i szybko pod drzewami Tuileries w kierunku Place de la Concorde. Wnętrze było obite szarym sukmem; w kryształowym wazoniku o staromodnym kształcie znajdowało się kilka gardenii. Starszy pan po chwili

milczenia zwrócił się do Marcella i powiedział:

— Proszę mi wybaczyć tę historię z papierosami... wziąłem- pana za jakiegoś biedaka...

— Drobiazg — odrzekł Marcello.

Jego towarzysz milczał jeszcze przez chwilę, po czym powiedział:

— Rzadko kiedy się mylę... przysięgłbym, że pan... byłem tak pewny, że prawie się wstydzilem użyć tego pretekstu z papierosami... Byłem pewny, że wystarczyłoby spojrzenie... Mówił z nonszalancją cyniczną, wesołą, światową; i najwyraźniej w dalszym ciągu uważał Marcella za zboczeńca. Ten jego porozumiewawczy ton był tak władczy, że Marcella prawie kusilo, żeby mu zrobić tę satysfakcję i odpowiedzieć: "Tak, może, ima pan rację, jestem taki... sam o tym nie wiedząc, wbrew woli... i przekonałem się o tym, godząc się wsiąść do pańskiego samochodu". Zamiast tego rzekł sucho:

— Pomylił się pan, to wszystko.

— Tak.

Samochód okrążył teraz obelisk na Place de la Concorde. Potem gwałtownie zatrzymał się przy moście. Starszy pan powiedział:

— A wie pan, co mi nasunęło tę myśl?

— Co?

— Pańskie oczy... takie łagodne, takie pieszczotliwe, pomimo że usiłują być po

chmurne... one przemawiają wbrew pana woli.

Marcello nic nie odpowiedział. Samochód po krótkim postoju jechał dalej, minął most i zamiast skręcić na wybrzeże Sekwany, zapuścił się w ulicę za Izbą Deputowanych. Marcello wzdrygnął się i zwrócił do swego towarzysza:

— Ależ mój hotel jest nad Sekwaną.

— Jedziemy do mnie — odrzekł tamten — nie chce pan wpaść na chwilę i napić się czegoś? Potem wróci pan do żony.

Marcello miał wrażenie, że przeżywa na nowo to samo uczucie upokorzenia i bezsilnej wściekłości, co niegdyś, przed laty, kiedy koledzy wciągając mu spódniczkę wołali drwiąco: "Marcellina!" Tak samo jak wówczas koledzy, ten stary nie wierzył w jego męskość; jak koledzy, dopatrywał się w nim z uporem cech kobiecych. Powiedział z za-, ciśniętymi zębami:

— Proszę mnie odwieźć do hotelu.

— Ależ doprawdy... co to panu szkodzi? Na chwilkę.

— Wsiadłem tylko dlatego, że zrobiło się późno i było mi wygodniej, żeby pan mnie odwiózł... i proszę mnie teraz odwieźć.

- Dziwne, a ja myślałem, że chciał pan, żeby pana porwać. Wszyscy jesteście tacy, trzeba was brać gwałtem.

— Zapewniam pana, że się pan myli używając w stosunku do mnie tego tonu... nie

jestem taki, za jakiego mnie pan uważa... powiedziałem to już raz, i teraz powtarzam.

— Ach, jaki pan jest podejrzliwy... ja nic nie uważam, no, niechże pan tak na mnie nie patrzy.

— Sam pan tego chciał— rzekł Marcello i sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjeżdżając z Rzymu wziął mały rewolwer; wołał go nie zostawiać w walizce, żeby nie budzić podejrzeń Giulii, i stale nosił przy sobie. Wyciągnął z kieszeni broń i dyskretnie, tak żeby szofer niczego nie zauważył, przyłożył lufę do marynarki starego mężczyzny. Ten spoglądał na niego z czule ironiczną miną; potem spuścił oczy. Marcello zobaczył, że spoważniał nagle, twarz jego przybrała wyraz niepewny, niemal zdziwiony.

— Widzi pan? A teraz proszę powiedzieć szoferowi, żeby mnie zawiózł do hotelu.

Starszy pan natychmiast wziął tubkę i wymienił głośno nazwę hotelu Marcella. Wóz zwolnił biegu i skręcił w poprzeczną ulicę. Marcello schował do kieszeni rewolwer:

— Teraz wszystko jest w porządku.

Tamten milczał. Już się otrząsnął ze zdumienia i uważnie obserwował Marcella, jak gdyby studiował jego twarz. Samochód wyjechał na wybrzeże Sekwany i sunął wzdłuż balustrady. Marcello rozpoznał nagle wejście do hotelu, obrotowe drzwi pod szklanym daszkiem. Samochód stanął.

— Pozwoli pan, że mu ofiaruję ten kwiat — rzekł starszy pan wyjmując z wazonika i podając mu jedną gardenię. Marcello zawahał się, a tamten dodał:

— Dla pańskiej żony.

Marcello wziął kwiat, podziękował i wyskoczył z samochodu, podczas gdy szofer stał z gołą głową przy otwartych drzwiczkach. Wydało mu się, że usłyszał — a może była to halucynacja — głos starszego pana, który go żegnał po włosku: — Addio, Marcello. — Nie oglądając się za siebie, trzymając gardenię w dwóch palcach, wszedł do hotelu.

ROZDZIAŁ VII

odszedł do lady portiera i poprosił o klucz do pokoju. — Jest na górze — powiedział portier spojrzawszy na tablicę — wzięła go pańska żona i poszła na górę z jakąś panią.

— Z jakąś panią?

— Tak.

W najwyższym stopniu podniecony i zarazem nieskończenie szczęśliwy, iż po przygodzie z tym starym czuje aż takie wzburzenie na samą myśl, że Lina jest w pokoju razem z Giulią, poszedł do windy. Dość miał czasu na to, żeby wyjść z Liną pod jakimkolwiek pretekstem z pokoju, usiąść z nią sam na sam w jednym z salonów hotelu i zdecydować o przyszłości. Zaraz potem pozbyłby się definitywnie agenta Orlando, który miał zatelefonować o siódmej. Ten zbieg okoliczności wziął za dobry znak. Jadąc windą spojrzał na gardenię, którą nadal ścisnął w palcach, i teraz był już pewny, że ten starzec dał mu ją nie dla Giulii, ale dla jego prawdziwej żony, Liny.

Przeszedł w pośpiechu przez korytarz i gdy znalazł się przed swoimi drzwiami, wszedł bez pukania. Był to duży pokój

z małżeńskim łóżem, poprzedzony małym przedpokojem, z którego wchodziło się też do łazienki. Marcello cicho przytknął drzwi i przystanął w ciemnym korytarzyku. Drzwi od pokoju były uchylone i wpadało przez nie trochę światła; Marcella porwała ochota, żeby ukradkiem popatrzeć na Linę, jak gdyby w ten sposób mógł się przekonać, czy ona go naprawdę kocha.

Na nocnym stoliku paliła się lampka; reszta pokoju pogrążona była w mroku. Zobaczył Giulie, która siedziała u wezłowia łóżka, oparta plecami o poduszki, owinięta w biały całun: prześcieradło kąpielowe frotte. Przytrzymała je oburącz na piersiach, .ale nie mogła albo nie chciała nic na to poradzić, że rozsuwało się odsłaniając jej nogi i brzuch; Lina, skulona w kręgu szerokiej białej spódnicy na podłodze u stóp Giulii, obejmowała ją ramionami za nogi; głowę miała przytuloną do jej kolan i piersi przyciśnięte do jej goleni. Giulia bez cienia wyrzutu, a nawet z żartobliwą i pobłażliwą ciekawością obserwowała Linę, a ponieważ była odchylona do tyłu, wyciągała szyję, by lepiej widzieć. W końcu Lina, nie zmieniając pozy, zapytała niskim głosem:

—Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym pobyła jeszcze trochę tak przy tobie?

— Nie, ale niedługo będę musiała się już ubrać.

Po chwili milczenia Lina, jak gdyby wracając do poprzedniej rozmowy, powiedziała:

— Ach, jaka ty jesteś głupia... cóż by ci to szkodziło? Sama mi powiedziałaś, że gdybyś nie była zameżna, nie miałabyś nic przeciwko temu.

— Może powiedziałam to dlatego — odrzekła Giulia niemal zalotnie — żeby cię nie obrazić... a poza tym jestem przecież mężatką.

Marcello, podglądając dalej, zobaczył, że Lina podczas rozmowy oderwała od nóg Giulii jedną rękę i przesuwa ją powoli, stanowczo, wzdłuż uda, odchylając przy tym rąbek prześcieradła.

— Zameżna — powiedziała z głębokim sarkazmem — ale trzeba wiedzieć, z kim.

— Mnie się on podoba! — powiedziała Giulia. Dłoń Liny ukazała się teraz tuż obok nagiego łona Giulii, pełząc posuwistym ruchem jak głowa węża. Giulia jednak ujęła ją za przegub i stanowczo odepchnęła, dodając pobłażliwym tonem guwernantki, która karci rozzuchwalone dziecko:

— Nie myśl, że tego nie widzę.

Lina chwyciła rękę Giulii i zaczęła ją całować, powoli, z namysłem, ocierając raz po raz całą twarz o wewnętrzną stronę jej dłoni, jak pies. Potem szepnęła:

— Mały głuptasek — tonem najgłębszej tkliwości.

Nastąpiło długie milczenie. Siła namiętności bijąca z każdego gestu Liny tworzyła kontrast z roztargnieniem i obojętnością Giulii, która teraz już nie wydawała się za-

ciekawiona i, pozwalając Linie całować się w rękę i ocierać się o nią, rozglądała się dokoła, jak gdyby w poszukiwaniu jakiegoś wykrętu. W końcu cofnęła rękę i uniosła się na łóżku mówiąc:

— Teraz już naprawdę muszę się ubierać.

Lina skoczyła na równe nogi wołając:

— Nie ruszaj się... powiedz mi tylko, gdzie są twoje rzeczy: ja cię ubiorę.

Stała teraz wyprostowana, plecami do drzwi, i całkowicie zasłaniała Giulie. Marcello usłyszał głos żony, która mówiła ze śmiechem:

— Chcesz być też moją .pokojówką?

— A co ci to szkodzi? Nic ci się nie stanie... a mnie to zrobi taką przyjemność!

— Nie, sama się ubiorę. .

Spoza ubranej postaci. Liny, jak przez rozdwojenie, wyłoniła się Giulia, kompletnie naga, przesunęła się na palcach przed oczyma Marcella i znikła w głębi pokoju. Potem dobiegł jej głos:

— Proszę cię, nie patrz -na mnie... odwróć się... ja się wstydę.

— Mnie się wstydzisz?... Przecież ja też jestem kobietą.

— Jesteś i nie jesteś kobietą... patrzysz na mnie tak, jak patrzą mężczyźni.

— Powiedz po prostu: chcesz, żebym sobie poszła.

— Nie, możesz zostać, ale nie patrz na mnie.

— Głupia jesteś, wcale na ciebie nie patrzę... Myślisz, że mi na tym . zależy, żeby ci się przyglądać?

.— Nie złość się... zrozum mnie: gdybyś przedtem nie mówiła mi takich rzeczy, to nie wstydziłabym się teraz i mogłabyś mi się napatrzeć do woli. — Głos jej dochodził stłumiony, zapewne w tym momencie wciągała sukienkę przez głowę.

— Nie chcesz, żebym ci pomogła?

— O Boże, jeśli tak ci na tym zależy...

Zdecydowana, chociaż niepewna w ruchach, pełna wahania, a jednak agresywna, rozgorączkowana, ale upokorzona, Lina poruszyła się, ukazała się na moment przed Marcellem i znikła kierując się w tę stronę pokoju, skąd dobiegał głos Giulii. Zapanowała chwila milczenia, po czym Giulia zawołała niecierpliwie, lecz nie wrogo: — Uff, jakaś ty nudna. — Lina nie odpowiedziała nic. Teraz światło lampy padało na puste łóżko, na wgłębienie odcisnięte biodrami Giulii owiniętymi w wilgotne prześcieradło. Marcello odsunął się od szpary i wyszedł na korytarz.

Gdy był już o kilka kroków od drzwi, zauważył, że z przejęcia i oszołomienia bezwiednie zrobił gest, który wydał mu się znamieny: odruchowo zgniół w palcach gardenię, którą dostał od starca i przeznaczył dla Liny. Upuścił kwiat na dywan i poszedł w kierunku schodów.

Zszedł na parter, minął hall i znalazł się

na wybrzeżu Sekwany, w złudnym i mglistym świetle zmierzchu. Palily się już światła: białe, w gronach; latarnie dalekich mostów; żółte, parami: reflektory samochodów; czerwone: zapalone lampy w oknach. Noc wzbijała się jak posepny dym w pogodne zielone niebo za czarnym konturem wieżyczek i dachów na drugim brzegu. Marcello podszedł do balustrady i oparł się o nią łokciami, spoglądając w dół na pociemniałą Sekwanę, która wyglądała teraz tak, jak gdyby jej mroczny nurt wchłonał smugi drogich kamieni i koła brylantów. To, co odczuwał, przypominało raczej śmiertelny smutek po klęsce, niż zgiełk samej klęski. Przez kilka godzin tego popołudnia wierzył w miłość; teraz wiedział, że to było złudzenie, że obraca się w świecie wynaturzonym i jałowym, w którym nie ofiarowuje się miłości, tylko stosunek płciowy, od najbardziej naturalnego i banalnego do jak najbardziej anormalnego i dziwaczego. Na pewno nie była miłością miłość Lina do niego ani miłość Liny do Giulii; trudno było mówić, o miłości w jego stosunkach z żoną; i może nawet Giulia, tak pobłażliwa dla Liny, niemal urzeczona jej propozycjami, nie kochała go prawdziwie.

W tym świecie mrocznym i pełnym błyskawic, podobnym do burzliwego zmierzchu, owe dwuznaczne postacie kobiet-mężczyzn i mężczyzn-kobiet, którzy się z sobą krzyżowali i podkreślali swoją dwuznaczność, zda-

wały mu się jakimś prognostykiem także dwuznacznym, a jednak związanym z jego nieuchronnym przeznaczeniem i potwierdzającym niemożliwość ucieczki. Ponieważ miłość nie istnieje, on, tylko dlatego, pozostanie tym, czym był dotąd, wypełni do końca swoją misję, będzie trwał w zamiarze stworzenia sobie rodziny ze zwierzęcą i nieobliczalną Giulią. To była normalność: to ustępstwo, ten pusty kształt. Poza nią wszystko było chaosem i bezprawiem.

Pchnęło go do tej decyzji także postępowanie Liny, które stało się już jasne jak słońce. Gardziła nim i prawdopodobnie również go nienawidziła, zgodnie ze swoim własnym, .szczerym jeszcze wtedy wyznaniem; żeby jednak nie zrywać stosunków i móc nadal widywać Giulie, która ją pociągała, potrafiła udawać, że go kocha. Marcello rozumiał teraz, że nie może od niej oczekiwać nawet zrozumienia i litości; i ta wrogość nieprzejednana, krańcowa, opancerzona zboczeniem seksualnym, nienawiścią polityczną i pogardą moralną, budziła w nim uczucia przenikliwego bólu i bezsilności. To światło oczu i czoła, tak czyste i rozumne, nigdy się nie nachyli nad nim, by tkliwie oświecić go i uspokoić. Lina będzie wolała zawsze poniżać je i brukać w pochlebstwach, błaganiach, w przewrotnych zbliżeniach. Przypomniał sobie, że kiedy ujrzał ją z twarzą przyciśniętą do kolan Giulii, doznał tego samego wrażenia profanacji,

które uderzyło go w domu w S., gdy zobaczył, że prostytutka Lina pozwala, by obejmował ją Orlando. Giulia nie była Orlandem, pomyślał; lecz on pragnął, by to czoło nie chyliło się przed nikim, i spotkało go rozczarowanie. Wśród tych rozmyślań zapadła noc. Marcello wyprostował się i odwrócił w stronę hotelu. Zdążył zauważyć w ostatniej chwili białą postać Liny, która właśnie stamtąd wychodziła i podążała szybkim krokiem do samochodu, stojącego nie opodal przy chodniku. Uderzyła go jej niemal triumfująca tajemnicza mina: przypominała kunę lub łasicę, która wymyka się z kurnika unosząc swoją zdobycz. Nie było to zachowanie osoby, której się nie powiodło, wprost przeciwnie. Być może Linie udało się wymusić na Giulii jakąś obietnicę, a może Giulia, powodowana znużeniem albo biernością seksualną, pozwoliła jej na jakąś pieszczotę, do której nie przywiązywała wagi, ale która była cenna dla Liny.- Lina otworzyła teraz drzwiczki od samochodu, siadła bokiem na przednim siedzeniu, po czym wciągnęła nogi do środka wozu. Gdy przejeżdżała obok niego, zobaczył z profilu jej piękną twarz, dumną i delikatną; siedziała wyprostowana, trzymając ręce na kierownicy. Samochód oddalił się, Marcello wrócił do hotelu.

Udał się prosto do pokoju i wszedł bez pukania. Panował tam wzorowy porządek, Giulia, już ubrana, siedziała przed toaletką

i czesała się. Zapytała spokojnie, nie oglądając się za siebie:

— To ty?

— Tak, ja — odrzekł Marcello siadając na łóżku.

Poczekał chwilę i potem zapytał:

— No jak tam... przyjemnie było?

Giulia, z ożywieniem, odwracając się bokiem do toaletki, odpowiedziała natychmiast:

— Jeszcze jak... zostawiłam moje serce w co najmniej dziesięciu sklepach.

Marcello nic nie odpowiedział. Giulia w milczeniu skończyła się czesać, potem wstała, podeszła do łóżka i też na nim usiadła. Ubrana była w czarną suknię z dużym, śmiałym dekoltem, pod którym uwypuklały się jej krągłe piersi niczym dwa sterczące z kosza dojrzałe owoce. Poniżej ramienia miała przypiętą sztuczną szkarłatną różę. Na jej młodej i łagodnej twarzy o uśmiechniętych oczach i świeżych ustach malował się ten co zawsze wyraz zmysłowej radości. Giulia uśmiechała się, być może bezwiednie, odsłaniając między jaskrawo uszmkowanymi wargami regularne zęby o lśniącej i niepokalanej bieli. Ujęła go czule za rękę i powiedziała:

— Wyobraź sobie, co mi się przydarzyło...

— No, co takiego?

— Ta pani, żona profesora Quadriego... Pomyśl tylko... To nie jest normalna kobieta.

— Co to znaczy?

— To jedna z tych kobiet, które kochają kobiety... Słowem, wyobraź sobie, że zakochała się we mnie... no tak... od pierwszego wejrzenia... Dlatego tak nalegała, żebym odpoczęła u niej w domu. Wyznała mi swoją miłość, powiadam ci, formalne oświadczyły... Kto by mógł pomyśleć?

— A ty?

— Wcale się nie spodziewałam czegoś podobnego... Już zasypiałam, bo byłam naprawdę zmęczoną... Z początku i nie mogłam się połapać... w końcu zrozumiałam, istny szal namiętności, zupełnie jak mężczyzna... No powiedz, nie spodziewałbyś się tego po kobiecie tak zrównoważonej, tak opanowanej, prawda?

— Nie — odrzekł łagodnie Marcello — nie spodziewałbym się... Jak zresztą — dorzucił — nie spodziewałbym się, że ty będziesz skłonna odwzajemnić, te jej zaloty.

— Czyżbyś był zazdrosny? — zawołała, zadowolona, i wybuchnęła radosnym śmiechem. — Zazdrosny o kobietę? Nie powinieneś być zazdrosny; nawet gdybym jej uległa... Kobieta . to nie mężczyzna... Ale możesz być spokojny, prawie nic nie było między nami.

— Prawie?

— Powiedziałam prawie — odrzekła wymijającym tonem — bo kiedy odwoziła mnie samochodem do hotelu i widziałam, że jest taka zrozpaczona, pozwoliłam jej ucisnąć się za rękę.

— Tylko uścisnąć się za rękę?

— Ależ ty jesteś zazdrosny — zawołała znowu, uradowana naprawdę zazdrosny... Nie znałam cię z tej strony... No więc, jeżeli już koniecznie chcesz wiedzieć — dodała po chwili — pozwoliłam, żeby mnie pocałowała... ale jak siostra siostrę... a potem, ponieważ nalegała i nudziła mnie dalej, wyrzuciłam ją: to wszystko... Teraz powiedz mi, jeszcze jesteś zazdrosny?

Marcello zachęcał Giulie do mówienia o Linie przede wszystkim dlatego, żeby raz jeszcze stwierdzić, jak krańcowo różni się od żony: on doznał szoku na całe życie po czymś, czego nie było, ona przyjmowała każde doświadczenie życiowe z pobłażliwością, zapominając o nim pierwszej jeszcze ciałem, niż duchem. Zapytał łagodnie:

— Ale czy ty dawniej miewałaś kiedy tego rodzaju stosunki? ¹

— Nie, nigdy — odrzekła stanowczo. Ten zdecydowany ton tak do niej nie pasował, że Marcello domyślił się od razu, iż kłamie. Nalegał dalej:

— Dlaczego kłamiesz? Mów... Kto nie zetknął się nigdy z tymi rzeczami, nie zachowuje się tak, jak tyś się zachowała w stosunku do pani Quadri... Powiedz prawdę.

— Ale co cię to obchodzi?

— Chcę wiedzieć.

Giulia milczała przez chwilę ze spuszczonej oczyma, po czym powiedziała powoli:

— Wiesz, ta historia z tym adwokatem?

Dopóki nie poznałam ciebie, to mnie nappełniało wstrętem do mężczyzn... więc zaprzyjaźniłam się, ale na krótko, z pewną dziewczyną, studentką w moim wieku... Ona mnie naprawdę kochała i dałam się porwać temu jej uczuciu, w momencie kiedy to mi było takie potrzebne... potem ona stała się zanadto wymagająca, zazdrosna i wtedy zerwałam z nią stosunki... Widuję ją od oza- su do czasu w Rzymie... biedaczka nadal mnie kocha. — Chwilowe zakłopotanie i nieufność minęły bez śladu, Giulia przybrała znowu zwykły pogodny wyraz twarzy. Biorąc Marcella za rękę dodała. — Uspokój się, nie bądź zazdrosny, wiesz przecież, że Kocham tylko Ciebie.

— Wiem — rzekł Marcello. Przypomnił sobie łygi Giulii w wagonie sypialnym, jej zamiar popełnienia samobójstwa i wiedział, że była szczerą. Przestrzeganie utartych form kazało się jej dopatrywać zdrady w utraconym dziewictwie, ale poza tym nie przykładła rzeczywistości najmniejszej wagi do swojej przeszłości. Giulia tymczasem mówiła dalej:

— Ale powiadam ci, że ta kobieta jest naprawdę szalona. Wiesz, czego ona chciała? Żebyśmy wszyscy pojechali na kilka dni do Sabaudii, gdzie oni mają willę... I wyobraź sobie, że przygotowała już cały program...

— Jaki program?

— Jej mąż wyjeżdża jutro; ona natomiast zostaje jeszcze kilka dni w Paryżu. Mówi,

że ma jakieś interesy do załatwienia, aie ja jestem przekonana, że zostaje dla mnie. proponuje, żebyśmy pojechali razem i spędzili z nimi tydzień w górach. To, że jesteśmy w podróży poślubnej, nawet jej nie przychodzi do głowy... Dla niej ty w ogóle nie istniejesz... Zapisała mi adres ich willi w Sabaudii i kazała przysiąc, że cię namówię na przyjęcie tego zaproszenia.

— I jaki jest ten adres?

— O, tam jest — powiedziała Giulia wskazując leżącą na marmurowym blacie nocnego stolika kartkę — ale czyżbyś chciał przyjąć to zaproszenie?

— Ja nie, ale może ty.

— Na litość boską, czy ty naprawdę myślisz, że mnie cokolwiek obchodzi ta kobieta? Mówię ci przecież, że ją wyrzuciłam, bo mnie zamęczała swoją nachalnością. — Wstała tymczasem z łóżka i wyszła z pokoju, ciągnąc dalej: — A propos — zawołała już z łazienki — ktoś dzwonił do ciebie pół godziny temu... mężczyzna, mówił po włosku... nie chciał powiedzieć nazwiska. Zostawił swój numer telefonu i prosił, żebyś do niego zatelefonował, jak tylko wrócisz. Zapisałam numer na tej samej kartce.

Marcello wziął kartkę, wyciągnął z kieszeni notes i starannie zapisał sobie adres Quadrich w Sabaudii oraz numer telefonu Orlanda. Wydawało mu się, że odzyskał już panowanie nad sobą po chwilowym uniesieniu, któremu dał się porwać tego popołud-

nia; wskazywały na to jego automatyczne ruchy i towarzysząca im melancholia. A więc wszystko się skończyło — pomyślał chowając notes do kieszeni — i ta miłość, która pojawiła się na moment w jego życiu, nie była w gruncie rzeczy niczym innym jak tylko bodźcem do ostatecznego utwierdzenia kształtu tegoż życia. Wrócił myślą do Liny i wydało mu się, że widzi w jej pasji do Giulii oczywiste zrzączenie losu, które nie tylko pozwoliło mu dowiedzieć się adresu domu Quadrich w Sabaudii, ale również sprawiło, że nie będzie tam Liny, gdy zjawi się Orlando ze swoimi ludźmi. Słowem to, że Quadri wyjeżdżał sam i Lina zostawała w Paryżu, jak najbardziej sprzyjało planom misji; gdyby okoliczności ułożyły się inaczej, on i Orlando znaleźliby się w sytuacji bez wyjścia.

Wstał, powiedział żonie, że już wychodzi i zaczeka na nią w hallu, i skierował się do drzwi. W głębi korytarza znajdowała się kabina telefoniczna, zbliżał się do niej powoli, prawie automatycznie. Dopiero głos agenta, który zagadnął go żartobliwie z ebonitowej tubki: "No więc, doktorze, gdzie sobie urządzimy tę kolacyjkę?" — przywołał go do rzeczywistości. Spokojnie, mówiąc cicho, ale wyraźnie, zaczął informować Orlanda o wyjeździe Quadriego.

ROZDZIAŁ VII

Gdy wysiedli z taksówki na jednej z uliczek Dzielnicy Łacińskiej, Mar- Jcello podniósł oczy na szyld. Le coq au vin, głosił napis wymalowany białymi literami na brązowym tle, na wysokości pierwszego piętra starej, szarawej kamienicy. Weszli do restauracji: obita czerwonym aksamitem kanapa okrążała dokoła całą salę; przed kanapą rozstawione były stoliki; stare kwadratowe lustra w złożonych ramach odbijały spokojnym światłem środkowy żyrandol oraz głowy nielicznych gości. Marcello zauważył od razu Quadriego, który siedział w kącie obok żony; niższy od niej o całą głowę, ubrany na czarno, spoglądał sponad okularów na listę potraw. Lina natomiast, wyprostowana i nieruchoma, w sukni z czarnego aksamitu, która podkreślała biel jej ramion i piersi oraz bladość twarzy, zdawała się śledzić niespokojnie drzwi. Na widok Giulii zerwała się na równe nogi, prawie zasłaniając sobą profesora, który wstał także. Panie podały sobie ręce. Marcello przypadkowo podniósł oczy i wtedy ujrzał zawieszoną w matowym świetle jednego z lusterek niewiarygodną zjawę, głowę

Orlanda, który patrzył na nich. W tym samym momencie zgrzytnął wahadłowy zegar stojący w restauracji, jego metalowe trzewia zaczęły się skręcać i żalić i w końcu wybił godzinę.

— Ósma — dobiegł Marcella zadowolony głos Liny — jacy jesteście punktualni.

Marcello wzdrygnął się i podczas gdy zegar wybijał dalej swoje uderzenia, brzmiały uroczyście i żałobnie, wyciągnął rękę, by uściskać dłoń, którą podał mu Quadri. Zegar wydzwonił mocno ostatni raz i Marcello, gdy jego ręka dotknęła ręki Quadriego, przypomniał sobie, że ten uścisk dłoni miał, zgodnie z umową, wskazać ofiarę Orlandowi. Wtedy ogarnęła go nagle pokusa, żeby się pochylić i pocałować Quadriego* w lewy policzek, za przykładem Judasza, z którym porównywał się żartobliwie owego popołudnia. Wydało mu się nawet, że wyczuwa wargami dotyk tego szorstkiego policzka, i zdumiewała go siła tej sugestii. Potem znowu podniósł oczy na lustro: odbijała się w nim nadal głowa Orlanda, zawieszona w próżni, ze zwróconym na nich spojrzeniem. W końcu usiedli wszyscy czworo, on i Quadri na krzesłach, a obie panie naprzeciw nich na kanapie.

Przyszedł piwniczny z kartą trunków i Quadri zaczął bardzo skrupulatnie zamawiać wina. Zdawał się całkowicie pochłonięty tą czynnością i wdał się w długą dyskusję na temat gatunków win, na któ-

rych najwidoczniej znał się bardzo dobrze. W końcu zamówił białe wytrawne wino do ryby, czerwone do pieczystego oraz mrożonego szampana. Po piwnicznym zjawił się kelner i z nim powtórzyła się ta sama scena: fachowe dyskusje o potrawach, wahania, namysły, pytania, odpowiedzi, po których padło zamówienie trzech dań, przekąski, ryby i mięsa. Tymczasem Giulia i Lina rozmawiały półgłosem i Marcello, wpatrując się w Linę, wpadł niejako w halucynację. Wydawało mu się, że znów słyszy za sobą zwodnicze uderzenia zegara, który bił wtedy, gdy on ścisnął dłoń Quadriego, wydawało mu się, że widzi ściętą głowę Orlanda, spoglądającą na niego z lustra, i zrozumiał, że migdy jeszcze nie zetknął się z tak bliska, jak teraz, ze swoim przeznaczeniem, jak gdyby był stojącym na rozstaju kamiennym słupem, obok którego przebiegają dwie drogi równie krańcowe i równie ostateczne. Wzdrygnął się słysząc głos Quadriego, który pytał go obojętnym jak zawsze tonem:

— Oglądał pan Paryż?

— Tak, trochę,

— Podoba się panu?

— Bardzo.

— Tak, to urocze miasto fe rzekł Quadri, jak gdyby mówił sam do siebie i robił Marcellowi jakieś ustępstwo — ale chciałbym, żeby pan zwrócił uwagę na to, o czym już dziś wspominałem: nie jest to zdemo-

ralizowane, pełne zepsucia miasto, jak przedstawiają je gazety we Włoszech... Na pewno ma pan o nim takie pojęcie, ale nie zgadza się to z rzeczywistością.

—r- Wcale nie mam takiego pojęcia — rzekł Marcello trochę zdziwiony.

— Dziwiłbym się, gdyby go pan nie miał — powiedział profesor nie patrząc na niego — wszyscy młodzi z pańskiej generacji mają tego rodzaju pojęcia. Są prze-, konani, że siła utożsamia się z surowością, przybierają więc surowe miny, żeby im czasem korona z głowy nie spadła.

— Nie wydaje mi się, żebym był taki surowy — odrzekł sucho Marcello.

— Jest pan, jestem tego pewien i zaraz dam panu dowód — powiedział profesor. Czekał, aż kelner rozstawi talerze z zakąską, po czym ciągnął dalej: — Zobaczymy... mógłbym się założyć, że kiedy zamawiałem wino, pan dziwił się w głębi ducha, -że przykładam wagę do tego rodzaju rzeczy... czy nie mam racji? Jakim cudem domyślił się tego? Marcello przyznał niechętnie:

— Może ma pan słuszność, ale cóż w tym złego, Pomyślałem tak, bo to pan właśnie ma, zgodnie z pańskim określeniem, surową powierzchowność.

— Nie tak surową, jak pan, drogi synu, nie — powtórzył z lubością profesor. — A poza tym, idźmy dalej., proszę powie-

dzieć prawdę: nie lubi pan wina i nie zna się P^{an} na winie.

— Nie i, powiedziawszy prawdę, nigdy prawie nie piję — odrzekł Marcello — ale jakież to ma znaczenie?

— Ogromne — odpowiedział spokojnie Quadri. — Ogromne znaczenie... I tak samo założę się, że nie docenia pan dobrej kuchni.

— Jem tylko... — zaczął mówić Marcello.

— Żeby nie być głodnym — dokończył profesor z akcentem triumfu — czego chciałem właśnie dowieść... I wreszcie ma pan na pewno uprzedzenia do miłości. Jeśli na przykład w parku. widzi pan całującą się parę, pierwszym pańskim odruchem będzie potępienie i niesmak, i najprawdopodobniej od razu wyciągnie pan z tego wnioszek, że miasto, w którym znajduje się ów park, jest gniazdem bezwstydu... czy nie tak?

Marcello rozumiał już, do czego zmierza Quadri. Powiedział z wysiłkiem:

— Nie wyciągam żadnych wniosków. Prawdą jest tylko to, że nie gustuję w tych rzeczach, taki się już urodziłem.

— Nie tylko, bo tych, którzy w nich gustują, uważa pan <za winnych, a więc zasługujących na pogardę., niech się pan szczerze przyzna.

— Nie, oni są po prostu inni niż ja, to wszystko.

— Kto nie jest z nami, jest przeciwko nam — powiedział profesor zahaczając znie-

naćka o politykę — oto jedno z haseł, które powtarza się dziś tak chętnie we Włoszech gdzie indziej, tak? — Zaczął tymczasem jeść z takim smakiem, że okulary przekreśliły mu się na nosie.

— Nie wydaje mi się — odrzekł cierpko Marcello — żeby te rzeczy miały coś wspólnego z polityką.

— Edmondo! — powiedziała Lina.

— Co, moja droga?

— Obiecałeś mi, że nie będziemy mówili o polityce.

— Toteż wcale nie mówimy o polityce — rzekł Quadri mówimy o Paryżu... A ponieważ Paryż jest miastem, w którym ludzie lubią pić, jeść, tańczyć, całować się w ogrodach, słowem, bawić się... pewien jestem, że pański sąd o Paryżu musi być nieprzychylny.

Tym razem Marcello nie odezwał się ani słowem. Odpowiedziała za niego Giulia, uśmiechając się:

— A mnie się bardzo podobają ludzie w Paryżu, są tacy weseli.

— Dobrze powiedziane — przyklasnął jej Quadri — pani powinna leczyć swego męża.

— Ależ on nie jest chory!

— Choruje na surowość — rzekł profesor z pochyloną nad talerzem głową — a raczej surowość jest tylko objawem jego choroby.

Marcello nie miał już teraz najmniejszych wątpliwości, że profesor, który zgodnie

z tym, co usłyszał od Liny, wiedział o nim wszystko, używał sobie, bawiąc się nim jak kot myszą. Nie mógł jednak pohamować myśli, że ta zabawa jest bardzo niewinna w porównaniu z jego grą, którą rozpoczął tego popołudnia w domu Quadrich i która miała się krwawo zakończyć w willi w Sabaudii. Zapytał Linę niemal z melancholijną kokieterią:

— Czy robię rzeczywiście takie surowe wrażenie... także na pani?

Napotkał jej zimny i wymijający wzrok, w którym wyczytał z bólem głęboką odrazę, jaką do niego żywiła. Potem jednak, chcąc nie chcąc, musiała powrócić do roli kobiety zakochanej, którą postanowiła odgrywać, i odpowiedziała uśmiechając się z wysiłkiem:

— Nie znam pana aż do tego stopnia... Ale rzeczywiście robi pan wrażenie człowieka bardzo poważnego.

— Ach, co to, to tak — podchwyciła Giulia patrząc z czułością na męża. — Proszę sobie wyobrazić, że zaledwie kilkanaście razy widziałam, żeby się uśmiechał. Poważny — to najlepsze określenie.

Lina przypatrywała mu się teraz pilnie, ze złośliwym skupieniem. Potem powiedziała powoli:

— Nie, nie, pomyliłam się... Poważny, to nie jest odpowiednie słowa., należałoby powiedzieć: przejęty.

— Czym przejęty?

— Tego już nie wiem — obojętnie wzru-

szyla ramionami, ale jednocześnie Marcello ku swemu wielkiemu zdumieniu poczuł, że Lina trąca go pod stołem przysuwając i przyciskając swoją stopę do jego stopy.

Quadri powiedział dobrodusznie:

— Niech się pan za bardzo tym nie przejmuj, Clerici, że wygląda ,pan na przejętego. To są wszystko rozmowy dla zabicia czasu... Jest pan w podróży poślubnej i tylko tym powinien się pan przejmować... Prawda, proszę pani? — Uśmiechnął się do Giulii tym swoim uśmiechem, który wyglądał jak kaleki grymas; z kolei uśmiechnęła się Giulia i zawołała wesoło:

— A może on jest tym właśnie przejęty, czy tak, Marcello?

Stopa Liny w dalszym ciągu przyciskała jego stopę i Marcello doznawał niemal uczucia rozdwojenia, jak gdyby dwuznaczność przerzuciła się ze stosunków miłosnych na całe jego życie, jak gdyby znajdował się nie w jednej sytuacji, ale w dwóch naraz: w pierwszej oddawał Quadriego w ręce Orlanda i wracał z Giulią do Włoch, w drugiej ratował Quadriego, porzucał Giulie i zostawał z Liną w Paryżu. Te dwie sytuacje, jak dwie nałożone na siebie fotografie, mieszały się i plątały z sobą rozmaitymi barwami jego uczuć, żalu i grozy, nadziei i smutku, rezygnacji i buintu. Wiedział doskonale, że Lina dotyka jego stopy tylko dlatego, by go wywieść w pole i grać dalej rolę zakochanej kobiety, a jednak miał nie-

dorzeczną nadzieją że to nieprawda i że ona go rzeczywiście kocha. Zastanawiał się także, dlaczego Lina spośród tylu innych wybrała ten właśnie znak miłosnego porozumienia, od tak dawna praktykowany i tak wulgarny, i raz jeszcze wydało mu się, że dostrzega w owym wyborze jej nieopanowaną pogardę w stosunku do niego, jakby uznała go za człowieka, którego można oszukać nie siląc się na inwencję i wyrafinowanie. Lina tymczasem, w dalszym ciągu przyciskając jego stopę i patrząc mu znacząco w oczy, mówiła:

— A propos waszej podróży poślubnej... rozmawiałam już o tym z Giulią, ale ponieważ wiem, że Giulii brak odwagi, żeby to panu powiedzieć, pozwolę sobie sama wystąpić z propozycją... Dlaczego nie mielibyście dokończyć podróży w Sabaudii.. U nas?... My spędzimy tam całe lato. Mamy ładny gościnny pokój. Zostaniecie u nas tydzień, dziesięć dni, jak długo będziecie mieli ochotę, a potem prosto stamtąd wróćcie do Włoch.

A więc, powiedział sobie Marcello niemal z przykrością, to dlatego przyciskała jego stopę. Pomyślał znowu, lecz tym (razem ze wzdrgną, że to zaproszenie do Sabaudii jest wręcz opatrnościowe dla Orlanda: przyjmując zaproszenie, zatrzymają Linę w Paryżu, a tymczasem Orlando będzie miał dość czasu, żeby załatwić porachunki z Quadrim tam, w górach. Powiedział z wolna:

— Co do mnie, to nie mam nic przeciwko tej wycieczce do Sabaudii, ale nie wcześniej niż za tydzień, po zwiedzeniu Paryża.

— Doskonale — natychmiast odpowiedziała z triumfem Lina — wobec tego ja was tam zawiozę... mój mąż pojedzie wcześniej, już jutro... a ja też muszę zostać jeszcze tydzień w Paryżu.

Marcello poczuł, że jej stopa przestała się ocierać o jego stopę. Ta wywołana koniecznością kokieteria skończyła się z chwilą, kiedy nie, była już potrzebna, i Lina nie raczyła mu podziękować nawet wzrokiem. Przesunął oczy z Liny na Giulie i zobaczył, że ta jest wyraźnie niezadowolona. Powiedziała po chwili:

—Przykro mi, ale nie zgadzam się z moim mężem... I przykro mi też, że mogę się wydać pani niegrzeczna... ale to niemożliwe, żebyśmy pojechali do Sabaudii.

—Dlaczego? — wykrzyknął bezwiednie Marcello. — Po zwiedzeniu Paryża...

— Wiesz przecież, że z Paryża mamy jechać na Lazurowe Wybrzeże i odwiedzić tam naszych przyjaciół. — Kłamała, nie mieli żadnych znajomych na Lazurowym Wybrzeżu. Marcello domyślił się, że Giulia uciekła się do tego wybiegu, żeby się pozbyć Liny i zarazem okazać mu swoją obojętność dla tej kobiety. Zagrozało jednak niebezpieczeństwo, że Lina, obrażona odmową Giulii, pojedzie razem z Quadrim. Należało więc temu zapobiec i zmusić opierającą się

żonę do przyjęcia zaproszenia; Powiedział szybko:

— Och, jeśli o nich idzie, możemy z tego zrezygnować... pojedziemy, óo nich innym razem.

Lina, zadowolona, że Marcello ją poparł, zawołała wesoło, impulsywnie, śpiewnym głosem:

— Lazurowe Wybrzeże! Cóż to za szkara- dzieństwo! Kto jeździ na Lazurowe Wybrzeże... Dzikusy z Południowej Ameryki i kokoty.

— ■ Tak, ale jesteśmy związani obietnicą — upierała się Giulia.

Marcello poczuł, że Lina znowu przyciska jego stopę. Zapytał z wysiłkiem:

— Ależ, Giulio, dlaczego nie mielibyśmy skorzystać z tego zaproszenia?

— Jeśli ty sobie tego życzysz .— odpowiedziała spuszczać głowę.

Zobaczył, że na te słowa Lina zwróciła się do Giulii z wyrazem twarzy niespokojnym, smutnym, podrażnionym i zdziwionym.

— Ależ dlaczego? — zawołała z wyraźną konsternacją w głosie. — Po to, żeby zobaczyć to szkaradne Lazurowe Wybrzeże? Ależ to prowincjonalna zachcianka, tylko ludzie z głuchej prowincji marzą o wyjeździe na Lazurowe Wybrzeże. Zapewniam panią, że nil^t na pani miejscu nie zawahałby się nawet... Nie, nie — dorzuciła nagle zrozpaczonym głosem — musi istnieć jakaś inna przyczyna, której nie chce pani wyja

wić... Może czuje pani antypatię do mnie i do mojego męża.

Marcello nie mógł nie podziwiać tej na*| miętnej gwałtowności, która pozwoliła tej kobiecie robić Giulii wymówki, niemal jawnie miłosne, w obecności jego i Quad-riego. Giulia, trochę zdziwiona, zaprotesto- wała:

— Ależ na litość boską, co pani mówi?

Quadri, który jadł w milczeniu i zdawał

się o wiele bardziej pochłonięty ową czynnością niż słuchaniem konwersacji, wtrącił z właściwym ipu chłodem:

— Lino, wprawiasz panią w zakłopotanie... nawet jeżeli to prawda, że, jak mówisz, czuje do nas obojga antypatię, to nigdy nam tego nie powie.

— Tak, czuje pani do nas antypatię — ciągnęła dalej Lina nie zwracając uwagi na męża — a raczej antypatię do mnie... czy tak, moja droga? Nie znosi mnie pani. No tak, człowiek myśli — dorzuciła zwracając się do Marcella nadal z tym swoim rozpaczliwym ożywieniem, światowym i zarazem dwuznacznym — że wywarł na kimś miłe wrażenie, a tymczasem okazuje się nagle, że właśnie osoby, na których nam najbardziej zależało, nie mogą nas ścierpieć. Niech się pani przyzna, moja droga, że nie może mnie pani ścierpieć... i kiedy. ja tu proszę i nalegam, żeby mieć panią u nas, w Sabaudii, pani sobie myśli: “Dlaczego ta wariatka nie daje mi spokoju? Czyż nie wi

dzi, że nie mogę znieść jej twarzy, jej głosu, jej sposobu bycia, słowem jej całej?" Proszę powiedzieć prawdę, tak pani myśli w tej chwili.

Teraz, pomyślał Marcello, zaniechała wszelkich ostrożności, i jeśli nawet jej mąż mógł nie przywiązywać żadnego znaczenia do tych rozpaczliwych wyrzutów, on, do którego zgodnie z odgrywaną przez Linę komedią miały się one odnosić, cudem tylko mógłby się nie zorientować, do kogo były naprawdę skierowane.

Giulia, nieco zdziwiona, broniła się:

— Co też pani przychodzi do głowy... Chciałabym wiedzieć, co pani nasunęło tego rodzaju przypuszczenie?

— A więc to prawda — zawołała Lina, zdruzgotana —= czuje pani do mnie antypatię. — Potem dodała zwracając*się do męża z gorączkową i gorzką satysfakcją: — Widzisz, Edmondo, mówiłeś, że pani tego nie powie... a tymczasem powiedziała: czuje do mnie* antypatię.

— Nie powiedziałam tego — rzekła Giulia z uśmiechem — nawet mi się to nie śniło.

— Nie powiedziała pani, ale dała mi to pani do zrozumienia.

Quadri, nie podnosząc oczu znad talerza, powiedział:

— Lino, nie rozumiem, dlaczego tak przy tym obstajesz... Dlaczego pani Clerici miałyby czuć do ciebie antypatię? Poznała cię

dopiero przed kilkoma godzinami i prawdopodobnie nie 'żywi w stosunku do ciebie żadnych skryzalizowanych uczuć.

Marcello zrozumiał, że powinien zabrać głos ponownie, zmuszały go do tego oczy' Liny, złe, obraźliwie wzgardliwe i władcze. Nie przyciskała teraz jego stopy, lecz z szaleńczą nieostrożnością, w chwili gdy położył rękę na stole, uścisnęła go za palce. Powiedział ugodowym i zdecydowanym tonem:

— Wręcz przeciwnie, Giulia i ja czujemy do pani ogromną sympatię... i przyjmujemy, zaproszenie... Przyjedziemy na pewno, prawda, Giulio?

— Rozumie się — odrzekła Giulia niespodziewanie ustępliwie — chodziło mi tylko o to, że już mieliśmy przedtem inne plany... Ale mieliśmy ochotę przyjąć pani za-^ proszenie.

— Doskonale... wobec tego umawiamy się, że pojedziemy razem za tydzień. jg* Lina, rozpromieniona, zaczęła od razu opowiadać o spacerach, jakie- będą robili w górach, o malowniczości tamtejszych okolic, o domu, w którym zamieszkają. Marcello zauważył jednak, że mówi chaotycznie, można by pomyśleć, że pragnie raczej dać wyraz swojej radości, jak ptak, który śpiewa, gdy nagle do klatki wpadnie promień słońca, niż powiedzieć coś konkretnego i udzielić pewnych informacji. I jak ptak ożywia się pod wpływem własnego śpiewu, tak ona zdawała się

upając dźwiękiem swojego głosu, w którym drżała i z którego biła jej nieogłędna i nieposkromiona radość. Marcello, czując się wyłączony z rozmowy kobiet, prawie machinalnie podniósł oczy na lustro wiszące za plecami Quadriego: uczciwa, dobroduszna głowa Orlanda widniała tam nadal, zawieszona w próżni, ścięta, a jednak żywa. Ale nie była już sama: obok pojawiła się zwrócona profilem, nie mniej wyraźnie zarysowana i nie mniej niedorzeczna druga głowa, która rozmawiała z głową Orlanda. Przypominała głowę drapieżnego ptaka, nie orła jednak, lecz jakiś mniej szlachetny, bardziej żalony gatunek; oczy głęboko osadzone, małe, zgaszone, pod niskim czołem; duży nos zagięty i melancholijny; policzki zapadnięte, powleczone ascetycznym cieniem; małe usta, cofnięta broda. Marcello przyglądał się długo temu osobnikowi, zastanawiając się, czy go już przedtem widział; nagle wzdrygnął się na głos Quadriego, który pytał:

— Gdybym tak pana o coś poprosił, ęie- rici, czy byłby pan gotów wyświadczyć mi przysługę?

Było to nieoczekiwane pytanie. Marcello zauważył, że Quadri postawił je dopiero wtedy, kiedy jego żona przestała w końcu mówić. Odpowiedział:

— Oczywiście, jeżeli nie będzie to przekraczało moich możliwości.

Wydało mu się, że Quadri, zanim się ode-

zwał, spojrział na żonę, jak gdyby szukając u niej potwierdzenia przedyskutowanej i rozstrzygniętej już przedtem decyzji.

— Chodzi o rzecz następującą — rzekł Quadri tonem zarazem słodkim i cynicznym — wie pan zapewne, jak wygląda moja działalność w Paryżu i .dlaczego nie wróciłem do Włoch. Mamy teraz we Włoszech przyjaciół, z którymi korespondujemy, jak się da... jednym ze sposobów jest pośrednictwo osób apolitycznych, a w każdym razie nie podejrzewanych o działalność polityczną. Otóż przyszło mi na myśl, że pan mógłby zawieźć jeden z tych listów do" Włoch i wrzucić go do słyżynki na pierwszej stacji, przez którą będzie pan przejeżdżał... Na przykład w Turynie.

Zapanowało milczenie. Marcello uświadamiał sobie teraz, że Quadri prosząc o przysługę chciał jedynie poddać go próbie, a już co najmniej wprawić w zakłopotanie; i uświadamiał sobie także, że wszystko było z góry uzgodnione z Liną. Prawdopodobnie Quadri, wierny swojej zasadzie działania drogą perswazji, przekonał Linę o celowości tego rodzaju manewru; lecz nie do tego stopnia, by przełamać jej wrogość do niego, Marcella. Wydało mu się, że wyczytał to w jej twarzy, napiętej, zimnej, prawie gniewnej. Odpowiedział, żeby zyskać na czasie:

— Ale jeżeli mnie przyłapią, pójdę do więzienia.

Quadri uśmiechnął się i powiedział żartobliwie:

— Nie byłoby to wielkie nieszczęście... a nawet dla nas byłoby to szczęście... Czy nie wie pan, że ruchy polityczne potrzebują męczenników i ofiar?

Lina zmarszczyła brwi, lecz nie odezwała się ani słowem. Giulia z niepokojem spoglądała na męża: było oczywiste, że chce, by mąż odmówił. Marcello powiedział z wolna:

— Słowem, życzy pan sobie w głębi ducha, żeby przyłapano ten list.

— Co to, to nie — powiedział profesor nalewając sobie wina z pogodną nonszalancją, która wywołała w Marcellu, choć sam nie wiedział dlaczego, odruch współczucia. — Chcemy przede wszystkim tego, żeby jak największa ilość ludzi skompromitowała się i walczyła wraz z nami. Iść do więzienia za naszą sprawę, to jeden ze sposobów skompromitowania się i przystąpienia do walki, oczywiście nie jedyny. — Wysączył wino, po czym dodał nieoczekiwanie poważnym tonem: — Ale ja zaproponowałem to panu czysto formalnie... że tak powiem... Wiem, że pan mi odmówi.

— Zgadł pan — odrzekł Marcello, który tymczasem położył na szali wszystkie ujemne i dodatnie strony propozycji — bardzo żałuję, ale nie wydaje mi się, żebym mógł panu wyświadczyć tę przysługę.

— Mój mąż nie zajmuje się polityką — skwapliwie wyjaśniła zalękniona Giulia —

jest urzędnikiem państwowym*, jest poza tymi sprawami.

— Rozumie się — odrzekł Quadri pobłażliwie i prawie czule — rozumie się: jest urzędnikiem państwowym.

Marcello odniósł wrażenie, że Quadri jest dziwnie zadowolony z jego odpowiedzi. Natomiast jego żona zdawała się rozdrażniona. Zapytała Giulie napastliwym tonem:

— Dlaczego tak się pani boi, żeby mąż zajmował się polityką?

— A- po oo mu to? — odrzekła z prostotą Giulia. — On musi myśleć o swojej przyszłości, nie o polityce.

— Oto typowe rozumowanie kobiet we Włoszech — rzekła Lina zwracając się do męża.

— I ty się potem dziwisz, że sprawy wyglądają tak, a nie inaczej.

Giulia poczuła się niemile dotknięta:

— Włochy nie mają z tym nic wspólnego... W pewnych warunkach kobiety z każdego kraju rozumowałyby w ten sposób... Gdyby pani. żyła we Włoszech, myślałaby pani tak samo jak ja.

— No, niechże się pani na mnie nie gniewa — rzekła Lina ze śmiechem, w którym brzmiały i tkliwość, i smutek, po czym pieszczotliwie pogłaskała Giulie po nadę- sanej twarzy.

— Żartowałam tylko. Kto wie, może pani ma rację. Tak czy owak, występuje pani w obronie męża i obraża się za niego z ogromnym wdziękiem. Prawda, Edmondo, ile ona ma wdzięku?

—

Quadri z roztargnieniem i z pewnym znudzeniem przytaknął jej takim gestem, jak gdyby chciał powiedzieć: "kobieca paplanina"; potem poważnie mówił dalej:

— Ma pani rację... nie powinno się nigdy stawiać mężczyzny w takiej sytuacji, żeby musiał wybierać między prawdą i chlebem.

Temat, jak pomyślał Marcello, był wyczerpany. Nadal jednak dręczyła go ciekawość, co też było prawdziwą przyczyną tej propozycji. Kelner zmienił talerze i postawił na stole klosz pełen owoców. Zbliżył się piwniczy z zapytaniem, czy ma otworzyć butelkę szampana.

— Tak — powiedział Quadri — proszę otworzyć.

Piwniczy wyjął butelkę z kubelka, owinał szyjkę w serwetę, odkorkował ją i zwawo nalał do kieliszków musujące wino. Quadri wstał z kieliszkiem w ręku.

— Wypijmy za pomyślność sprawy — powiedział i zwracając się do Marcella dodał: — Nie chciał pan wziąć listu, ale nie odmówi pan chyba spełnienia tego toastu, prawda?

Wydawał się wzruszony, w jego oczach zabłyśły łzy; Marcello jednak nie mógł się oprzeć wrażeniu, że zarówno z ruchu, jakim wznosił toast, jak i z jego twarzy wyzierała chytryść i niemal wyrachowanie. Przed spełnieniem toastu spojrział na żonę i na Linę. Giulia, która już wstała, spojrzała na niego znacząco, jak gdyby mó

wiła: "Toast możesz spełnić"; Lina z kieliszkiem w ręku, ze spuszczonej oczyma miała oziębłą, wzgardliwą i prawie znudzoną minę. Marcello wstał i powiedział:

— A więc za pomyślność sprawy — i trącił swoim kieliszkiem kieliszek Quadriego.

Wiedziony dziecinny skrupulem nie omieszkał jednak dodać w myśli: "mojej sprawy", chociaż wydawało mu się, że nie ma już żadnej sprawy do obrony, lecz tylko bolesny i niezrozumiały obowiązek do wypełnienia. Zauważył z przykrością, że Lina chce uniknąć trącenia się z nim kieliszkiem. Giulia natomiast z przesadną wylewnością trącała się ze wszystkimi, patetycznie wywołując imiona: ■— Lino, panie Edmondo, Marcello. — Na dźwięk kryształowych kieliszków, przenikliwy, a jednak żalony, wzdrygnął się znowu, jak przedtem na odgłos bicia zegara. Spojrzał w górę, w lustro, i zobaczył zawieszoną w powietrzu głowę Orlanda, która patrzyła na niego szklanymi, pozbawionymi wyrazu oczyma, prawdziwymi oczyma świętego. Quadri podsunął kieliszek piwniczemu, który dołączył mu szampana; potem wznosząc kieliszek pompatyczno-sentymentalnym gestem, zwrócił się do Marcella:

— A teraz pańskie zdrowie, Clerici... i dziękuję.

Podkreślił znaczącym tonem słowo "dziękuję", wychylił jednym tchem kieliszek i usiadł.

Przez kilka minut pili w milczeniu. Giulia wychyliła dwukrotnie swój kieliszek i patrzyła teraz na męża rozczulonym, pełnym wdzięczności i pijanym wzrokiem. Nagle zawołała:

— Jaki pyszny jest szampan... no powiedz, Marcello, czy szampan nie jest pyszny?

— Tak — przyznał — to świetne wino.

— Nie doceniasz go — powiedziała Giulia — jest po prostu wspaniały... a ja już jestem pijana. — Roześmiała się potrząsając głową, po czym dorzuciła niespodziewanie, podnosząc kieliszek: — No, Marcello, wypijmy za naszą miłość.

Pijana, roześmiana, wyciągała do niego kieliszek. Profesor patrzył przed siebie; na twarzy Liny odmalował się chłód i niesmak, nie ukrywała bynajmniej, że nie podoba jej się zachowanie Giulii. Giulia zmieniła nagle zamiar:

. — Nie! — krzyknęła — ty jesteś na to za surowy, prawda... wstydzisz się wypić za naszą miłość... wobec tego wypiję ja sama, za życie, które tak lubię i które jest takie piękne... za życie!

Wychyliła kieliszek z radosnym i niezdarnym impetem, tak że sporo wina wylało się na stół; potem zawołała: "To przynosi szczęście" — i umoczywszy palce w winie, chciała nimi dotknąć skroni Marcella. On instynktownie się uchylił. Wtedy Giulia wstała wołając:

— Wstydzisz się... ale ja się nie wstydzę!— Obeszła stół dokoła, objęła Marcello : la, przy czym mało brakowało, a byłaby na niego upadła, i mocno pocałowała go w usta. — Jesteśmy w podróży poślubnej — powiedziała wyzywającym głosem, wracając na swoje miejsce, zadyszana i roześmiana. — Jesteśmy tu w podróży poślubnej, a nie po to, żeby się" zajmować polityką i przewozić listy do Włoch.

Quadri, do którego zdawały się Odnosić te słowa, powiedział spokojnie:

— Ma pani rację.

Marcello wobec tej aluzji, świadomej ze strony Quadriego i nieświadomej w ustach żony, wolał siedzieć cicho i spuścić oczy. Lina czekała, aż zapadnie milczenie, po czym jak gdyby przypadkiem zapytała:

— Co robicie jutro?

— Jedziemy do Wersalu — odrzekł Marcello, chusteczką ścierając sobie z ust szminkę Giulii.

— Ja też pojedę — powiedziała z całą gotowością Lina. — Możemy jechać rano i zjeść tam obiad... pomogę mężowi spakować walizki i potem po was wstąpię.

— Doskonale — rzekł Marcello. Lina dorzuciła:

— Chciałabym was tam zawieźć samochodem, ale zabiera go mój mąż: trzeba będzie jechać pociągiem... to nawet weselej.

Quadri zdawał się nie słyszeć jej słów: płacił teraz rachunek wyciągając typowym

— Nie, droga pani — odrzekł łagodnie Quadri — to więcej niż słuszne. Lina tymczasem oświadczyła cierpkim tonem:

— Nie pomyślałam o tym. Jaka ja jestem głupia... przecież wycieczka do Wersalu to tradycyjna przejażdżka nowożeńców.

Przy drzwiach Marcello przepuścił przodem Quadriego. Gdy wychodził, usłyszał znów bicie zegara: była godzina dziesiąta.

ruchem garbusa złożone na czworo banknoty z kieszeni sztuczkowych spodni. Marcello chciał mu zwrócić pieniądze, lecz Quadri odsunął je, mówiąc:

— Przy innej okazji... we Włoszech.

Giulia powiedziała nagle pijackim i bardzo donośnym głosem:

— W Sabaudii możemy być wszyscy razem... Ale do Wersalu chcę jechać sama z moim mężem.

— Dziękuję — rzekła ironicznie Lina wstając od stołu. — To się nazywa szczerłość.

— Niech się pani nie obraża — zaczął Marcello, zmieszany — to szampan...

— Nie, to miłość do ciebie, głuptasie — krzyknęła Giulia. Śmiejąc się podążyła z profesorem do drzwi. Marcello słyszał, jak dodała: — Czy wydaje się to panu niesłuszne, że w podróży poślubnej chcę być sam na sam z mężem?

ROZDZIAŁ IX

Gdy znaleźli się na dworze, profesor usiadł przy kierownicy, zostawiając otwarte drzwiczki samochodu..

— Mąż pani może siąść z przodu z moim mężem — powiedziała do Giulii Lina — a pani ze mną z tyłu.

Ale Giulia odrzekła drwiącym i pijanym głosem:

— Niby dlaczego? A ja wolę usiąść właśnie z przodu! — i zdecydowanym ruchem usadowiła się obok Quadriego. Tak więc j Lina i Marcello znaleźli się koło siebie na tylnym siedzeniu.

Teraz Marcello chciał wziąć Linę za słowo i zachowywać się tak, jak gdyby naprawdę wierzył w jej sympatię. W tej chęci, poza odruchem zemsty, kryły się jeszcze resztki nadziei: jakby wbrew sobie i wszelkiej logice łudził się do tej pory co do uczuć Liny. Samochód ruszył, zwalniając biegu przed skretem w ciemną ulicę; wtedy Marcello korzystając z ciemności chwycił spoczywającą na kolanach rękę Liny i zatrzymał ją w swej dłoni. Zauważył, że Lina zareagowała na jego dotknięcie wściekłym odruchem, który jednak zaraz zamaskowa-

ła gestem błagalnego upomnienia. Samochód przejeżdżał Dzielnicą Łacińską wpadając z jednej uliczki w drugą, a Marcello wciąż ścisnął rękę Liny. Czuł, jak ta ręka pręży się w jego dłoni odpychając nie tylko mięśniami, ale jakby całą skórą jego pieszczotę, bezradnie przebierając palcami ze wstrętu, z upokorzenia, ze złości. Samochód I zarzucił na jednym z zakrętów tak, że wpadli na siebie. Wówczas Marcello złapał Linę za kark, jak kota, który może się rzucić z pazurami, przechylił na bok jej głowę i pocałował ją w usta. Ona początkowo próbowała mu się wywinąć, ale gdy Marcello ścisnął jeszcze mocniej jej wygolony, szczupły, chłopięcy kark, Lina, tłumiąc okrzyk bólu, przestała się opierać i pozwoliła się całować. Marcello czuł jednak, że jej usta wykrzywają się grymasem odrazy i że jednocześnie jej ręka, którą trzymał nadal, wpija mu ostre paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni: taki odruch mógł wyplýwać także z namiętności, lecz Marcello wiedział aż za dobrze, że spowodowany jest nienawiścią i wstrętem. Przedłużał w miarę możliwości ten pocałunek, patrząc to na jej oczy pałające nienawiścią i niecierpliwym obrzydzeniem, to zerkając przed siebie, na dwie czarne i nieruchome głowy Giulii i Quadriego. Latarnie nadjeżdżającego z przeciwnej strony samochodu jasno oświetliły przednią szybę, Marcello uwolnił więc Linę z uścisku i cofnął się w głąb samochodu.

Obserwując ją kącikiem oka zobaczył, że ona także odsunęła się w odległy kąt i podnosząc do ust chusteczkę wyciera je systematycznym i pełnym wstrętu ruchem. I gdy ujrzał, jak starannie i z jaką odrazą Lina ociera sobie wargi, które, zgodnie z tą całą komedią, powinny być jeszcze drżące i spragnione pocałunków, ogarnął go rozpaczliwy, posępny, przerażający ból.

“Kochaj mnie!” — chciał krzyknąć. - “Kochaj mnie, na miłość boską!” Wydało mu się nagle, że od miłości Liny, tak upragnionej i tak nieosiągalnej, zależy nie tylko jego, ale również jej życie. Istotnie teraz, jak gdyby zarażony nieprzewyciężoną odrazą Liny, pojął, że on także odczuwa, choć pomieszaną z miłością, nieodłączną od niej, krwawą, morderczą nienawiść. W tej chwili wydało mu się, że zabiłby ją bez wahania, bo sama myśl o Linie żywej i pełnej nienawiści dla niego ibyła mu nie do zniesienia bolesna; pomyślał jeszcze, sam przerażony tą myślą, że teraz sprawiłaby mu większą rozkosz jej śmierć, niż jej miłość. Potem, w nagłym, szlachetnym porywie pożałował tego i powiedział sobie: “Bogu dzięki nie będzie jej w Sabaudii, kiedy przyjedzie tam Orlando i inni... Bogu dzięki”. Zrozumiał, że przez moment pragnął naprawdę, by zginęła razem z mężem, w ten sam sposób i przy tej samej okazji.

Samochód zatrzymał się i wszyscy wysiedli. Marcello zobaczył ciemną ulicę

przedmieścia biegnącą między nierównym szeregiem domków i murem ogrodowym.

— Zobacz pani — powiedziała Lina biorąc Giulie pod rękę — na pewno nie jest to lokal dla pensjonarek... ale ciekawy. — Podeszli do oświetlonych' drzwi. Nad drzwiami, na małym prostokącie z czerwonego szkła widniał niebieski napis: La cra- vatte noire.

— Czarny krawat — wytłumaczyła Giulii Lina — to krawat, jaki noszą mężczyźni do smokinga, a tutaj noszą go wszystkie kobiety począwszy od kelnerek a skończywszy na właścicielce.

Weszli do hallu; rzeczywiście od razu wyróżniła się sponad kontuaru szatni głowa kobieca o twardych rysach i białej cerze, z krótko przystrzyżonymi włosami i dał się słyszeć suchy głos: Vestiaire! Giulia, ubawiona, podeszła do lady i odwracając się zsunęła z nagich ramion pelerynkę w ręce szatniarki, ubranej w czarną marynarkę i wykrochmaloną koszulę z czarną muszką. Potem wśród ogłuszających dźwięków muzyki i gwaru rozmów weszli do zadymionej sali dansingowej.

Zgrabna kobieta w nieokreślonym wieku, ale już niemłoda, o nalanej, bladej i gładkiej twarzy, z zawiązaną pod brodą muszką, wyszła na ich spotkanie spomiędzy zatłoczonych stolików. Powitała z poufałą serdecznością żonę Quadriego i podnosząc do tryskającego energią oka monokl, przymo

cowany jedwabnym sznurkiem do klapy męskiej marynarki, oświadczyła:

— Cztery osoby... mam coś w sam raz odpowiedniego dla pani, pani Quadri, proszę iść za mną.

Lina, którą to otoczenie zdawało się wprawiać w dobry humor, pochylając się nad ramieniem kobiety w monoklu powiedziała coś złośliwego i wesołego, na co tamta męskim gestem wzruszyła ramionami i odpowiedziała wzgardliwym grymasem. Tak więc idąc za nią doszli do wolnego stolika w głębi sali. — Voila — zawołała właścicielka lokalu. Teraz z kolei ona pochyliła się nad Liną, która już usiadła, i szepnęła jej coś do ucha z rozweseloną, a nawet zawadiacką miną, po czym z wypiętą naprzód piersią, z podniesioną dumnie małą i lśniącą głową, oddaliła się znikając wśród stolików.

Przyszła kelnerka, mała, krępa, bardzo smagła, ubrana na tę samą modłę, i Lina, z radosną pewnością siebie i swobodą osoby, która znalazła się wreszcie w miejscu odpowiadającym jej upodobaniom, zamówiła napoje. Potem zwróciła się do Giulii i powiedziała wesoło:

— Widziała pani, jak one są ubrane?... To istny klasztor... ciekawe, prawda?

Giulia miała teraz minę zmieszaną, tak się przynajmniej wydało Marcellowi, i uśmiechnęła się zdawkowo. Na małym okrągłym podium między stolikami, pod

czymś w rodzaju wywróconego cementowego grzyba, wibrującego w sztucznym świetle neonów, tłoczyły się liczne pary; niektóre z nich złożone z samych kobiet. Orkiestra, składająca się również z przebranych za mężczyzn kobiet, mieściła się u podnóża prowadzących na taras schodów. Profesor z pewnym roztargnieniem powiedział:

— Nie podoba mi się ten lokal... moim zdaniem te kobiety powinny budzić raczej współczucie niż ciekawość.

Lina zdawała się nie słyszeć słów męża. Wpatrywała się w Giulie oczyma pałającymi pożądliwością, namiętnością i uniesieniem, nie odrywając od niej wzroku ani na chwilę. W końcu jak gdyby ulegając nieprzewyciężonemu pragnieniu, zaproponowała jej z nerwowym śmiechem:

— Zatańczymy razem? Wezmą nas za jedną więcej parę tego samego pokroju, co reszta towarzystwa... to zabawne... udawajmy, że jesteśmy takie jak one... no chodźmy, chodźmy.

Roześmiana i podniecona, wstała i położywszy rękę na ramieniu Giulii zachęcała ją, by wstała także. Giulia niepewnie spojrzała na nią, a potem na męża. Marcello rzekł sucho:

— Dlaczego na mnie patrzysz? Nie ma w tym nic złego.

Zrozumiał, że musi pomóc Linie jeszcze i tym razem. Giulia westchnęła, wstała po

woli i niechętnie. Tymczasem tamta, tracąc głowę do reszty, powtarzała:

— Skoro nawet pani mąż mówi, że nie ma w tym nic złego... no chodźmy już, chodźmy.

— Powiedziawszy prawdę, to wcale mi na tym nie zależy, żeby uchodzić za jedną z nich — odrzekła Giulia z nadąsaną miną. Poszła jednak z Liną i gdy obie znalazły się na podium, odwróciła się do niej z wyciągniętymi rękami, pozwalając się objąć. Marcello widział, jak Lina zbliża się do Giulii, ujmuje ją w tali z męską pewnością i zdecydowaniem, i tanecznym krokiem wsuwa się z nią w krąg tańczących par. Przez chwilę przyglądał się z ponurym i bolesnym zdumieniem tańczącym kobietom: Giulia była niższa od Liny, przytuliły się do siebie policzkami, a ramię Liny zdawało się coraz to mocniej przyciskać Giulie w pasie. Ten widok wydał mu się smutny i niewiarogodny: pomyślał mimo woli, że ta miłość, w innym świecie, w innym życiu, byłaby przeznaczona dla niego, wybawiłaby go, dałaby mu szczęście. Nagle poczuł dotknięcie ręki na ramieniu. Obejrzał się i zobaczył pochylającą się ku niemu czerwoną i niekształtną twarz Quadriego.

— Clerici — powiedział Quadri wzruszonym głosem. — Niech pan nie myśli, że nie zrozumiałem pana.

Marcello spojrział na niego i powiedział wolno:

— Wybaczy pan, ale teraz ja pana me rozumiem.

— Clerici — odrzekł z miejsca tamten — pan wie, kim ja jestem... ale ja także wiem, kim pan jest. — Patrzył na niego przenikliwie i ujął go oburącz za klapy marynarki. Marcello, zmieszany, zmrożony uczuciem podobnym do grozy, spojrział mu prosto w twarz: w oczach Quadriego nie było nienawiści, lecz tylko wzruszenie, sentymentalne, łzawe, rozbijające, ale zarazem, jak przemknęło Marcellowi przez myśl, z lekka wyrachowane i ironiczne. Quadri ciągnął dalej: — Wiem, kim pan jest, i zdaję sobie sprawę, że mówiąc w ten sposób mogę się panu wydać prostoduszny, naiwny albo po prostu głupi... to nie ma znaczenia. Clerici, chcę pomimo wszystko rozmawiać z panem szczerze, toteż mówię panu: dziękuję!

Marcello spojrział na niego i nic nie odpowiedział. Quadri trzymał go w dalszym ciągu za klapy, obciążona marynarka uwierała w szyję Marcella, który czuł się tak, jak gdyby ktoś chwycił go za kołnierz i chciał brutalnie odepchnąć.

— Dziękuję — ciągnął dalej Quadri — za to, że nie zgodził się pan wziąć tego listu do Włoch; gdyby pan postąpił zgodnie ze swoim obowiązkiem, zabrałby pan ten list i zaniósłby go pan swoim przełożonym... żeby go rozszyfrować, żeby aresztować człowieka, do którego był adresowany... Pan tego nie zrobił, Clerici, nie chciał pan tego

zrobić, czy przez lojalność, czy przez niespodziewany przyływ skruchy, czy przez nagłe zwątpienie o słuszności swoich przekonań, czy przez uczciwość... nie wiem... wiem tylko, że, nie zrobił pan tego, i jeszcze raz powtarzam: dziękuję.

Marcello zrobił taki ruch, jak gdyby chciał mu odpowiedzieć, ale Quadri, puszczając w końcu jego marynarkę, położył mu jedną dłoń na ustach:

— Nie, niech mi pan nie mówi, że nie zgodził się pan zabrać listu dlatego, żeby nie budzić we mnie podejrzeń, żeby się utrzymać nadal w swojej przymusowej roli młodego żonkosia w podróży poślubnej... Niech pan tego nie mówi, bo wiem, że to nieprawda. W rzeczywistości to był pierwszy pański krok na drodze do nawrócenia... i dziękuję panu za to, że dał mi pan okazję, bym panu pomógł go postawić... Niech pan tak postępuje dalej, Clerici, a będzie się pan mógł naprawdę narodzić na nowo, zacząć nowe życie. — Quadri opadł na krzesło i udał, że chce zaspokoić pragnienie, pociągając głęboki łyk ze swojej szklanki. — Ale otóż i panie — powiedział wstając. Marcello zdziwiony wstał także.

Zauważył, że Lina była w złym humorze. Gdy usiadła, otworzyła z pogardliwą i zniecierpliwioną miną puderniczkę i szybkimi, gniewnymi ruchami upudrowała sobie nos i policzki. Natomiast Giulia, spokojna i obojętna, usiadła obok męża i pod stołem czule

wzięła go za rękę, jak gdyby chcąc podkreślić swoją niechęć do Liny. Podeszła właścicielka lokalu uzbrojona w monokl i, wykrzywiając gładki i blady policzek w słodziutkim uśmiechu, zapytała zmanierowanym głosem, czy wszystko w porządku.

Lina odrzekła sucho, że nie mogłoby być lepiej. Tamta pochyliła się nad Giulią i powiedziała:

— Jest pani u nas po raz pierwszy... Czy mogę ofiarować pani kwiat?

— Tak, dziękuję — odrzekła Giulia zdziwiona.

— Cristino! — zawołała właścicielka. Podeszła dziewczyna, też w męskiej marynarce, w niczym nie przypominająca. hożych kwiaciarek, jakie widuje się zazwyczaj na dansingach: blada i chuda, nie umalowana, o orientalnych rysach, z dużym nosem i grubymi wargami; czoło miała wypukłe, wysokie, włosy przystrzyżone króciuteńko i nierówno jak gdyby po chorobie. Podała kosz pełen gardenii, a właścicielka lokalu wybrała jedną z nich i przypinając ją na piersi Giulii powiedziała:

— Podarunek od dyrekcji.

— Dziękuję — rzekła Giulia.

— Nie ma za co — oświadczyła właścicielka lokalu. — Mogę iść o zakład, że pani jest Hiszpanką, zgadłam?

— Włoszką — powiedziała Lina.

— Ach, Włoszką... powinnam się była domyślić... po tych czarnych oczach... — Jej

słowa rozplynęły się w ogólnym gwarze, gdy oddalała się wraz z chudą i melancholijną Cristiną.

Orkiestra zaczęła grać znowu. Lina zwróciła się do Marcella i powiedziała niemal z gniewem:

— Dlaczego mnie pan nie zaprasza? Chciałabym zatańczyć.

Wstał bez słowa i poszedł za nią na podium.

Zaczęli tańczyć. Lina trzymała się w pewnej odległości od Marcella, który przypominał sobie ze smutkiem zachłanną czułość, z jaką przed chwilą tuliła się do Giulii. Przez chwilę tańczyli w milczeniu, po czym Lina nagle powiedziała ze złością, w której sztuczna konspiracja miłosna mieszała się dziwnie z niechęcią i odrazą:

— Zamiast całować mnie w samochodzie i narażać się na niebezpieczeństwo, że zauważy to mój mąż, powinienes namówić żonę na tę wspólną wycieczkę do Wersalu.

Marcello, zdumiony naturalnością, z jaką łączyła swój szczery gniew z udanym uczuciem, a także tym cynicznym i brutalnym przejściem na "ty" w ustach kobiety traktującej bez skrpułów zdradę małżeńską, nie odpowiedział na razie nic. Lina, tłumacząc sobie po swojemu jego milczenie, | naciskiem mówiła dalej:

— Dlaczego nic teraz nie mówisz? Więc tak wygląda twoja miłość? Nie potrafisz

nawet wymóc na tej twojej głupiej żonie, żeby cię usłuchała!

— Moja żona nie jest głupia — odrzekł łagodnie, bardziej zdziwiony, niż obrażony tą dziwną napaścią.

Lina wykorzystała od razu możliwości, jakie otwierała przed nią ta jego odpowiedź:

— Jak to nie jest głupia? — zawołała podrażniona i odrobinę zdziwiona. — Ależ, mój drogi, nawet ślepy by to zobaczył... jest ładna, tak, ale przeraźliwie głupia... Ładne zwierzątko... jak możesz nie zdawać sobie z tego sprawy?

— Podoba mi się taka, jaka jest — rzekł ogólnikowo.

— To gęś... Idiotka... Lazurowe Wybrzeże... mała mieszczka o kurzym mózgu.; Lazurowe Wybrzeże! A dlaczego nie Monte Carlo, dlaczego nie Deauville albo po prostu Wieża Eiffel?

Pieniła się ze złości, co, jak pomyślał Marcello, było najlepszym dowodem, że między nią i Giulią wybuchła w tańcu jakaś sprzeczka. Powiedział łagodnie:

— Nie przejmuj się moją żoną... Przyjdź jutro rano do hotelu. Giulia będzie musiała się z tym pogodzić i pojedziemy we trójkę do Wersalu.

Spojrzała na niego niemal z nadzieją. Potem wzięła górę gniew i Lina odparła:

— Co za niedorzeczny pomysł... twoja żona powiedziała przecież otwarcie, że sobie

tego nie życzy... nie mam zwyczaju narzucać się tam, gdzie mnie nie chcą.

Marcello odpowiedział po prostu:

— A ja chcę, żebyś pojechała.

— Ty, tak, ale twoja żona nie!

— Co cię obchodzi moja żona? Nie wystarczy ci to, że my dwoje się kochamy?

Niespokojna, pełna podejrzliwości, obserwowała go odchylając głowę do tyłu i opierając się krągłymi, jędrnymi piersiami o jego pierś.

— No wiesz, mówisz o naszej miłości tak, jak gdybyśmy byli kochankami od Bóg wie jak dawna... czy ty naprawdę w to wierzysz, że się kochamy?

Marcello chciał jej odpowiedzieć: "Dlaczego mnie nie kochasz? Ja bym cię kochał ponad wszystko!" — Lecz słowa zamierały mu na ustach, jak echa stłumione odległością nie do przebycia. Wydawało mu się, że nigdy nie kochał jej tak jak teraz, kiedy grając swoją komedię pytała go obłudnie, czy pewien jest, że ją kocha.' W końcu powiedział ze smutkiem:

— Wiesz przecież, jak pragnę tego, żebyśmy się kochali.

— Ja też — odrzekła z roztargnieniem; było oczywiste, że myślała o Giulii. Potem, wracając nagle do rzeczywistości, dodała ze złością: — W każdym razie bardzo cię proszę, żebyś mnie więcej. nie całował w samochodzie i w innych tego rodzaju miejscach... nie znoszę takich wybuchów

czułości... uważam, że to dowodzi braku szacunku, a także elementarnego wychowania.

— Ale ty — wycedził przez zaciśnięte zęby — nie odpowiedziałś mi jeszcze, czy pojedziesz jutro do Wersalu.

Zobaczył, że Lina się waha i jest zdezorientowana.

— Czy myślisz rzeczywiście, że twoja żona nie rozgniewa się, jak mnie zobaczy?... Że mi nie na wymyśla, tak jak przed chwilą w restauracji?

— Jestem pewien, że nie... Będzie może trochę zdziwiona, to wszystko. A zresztą przed twoim przyjściem postaram się ją przekonać.

— Zrobisz to?

— Tak.

— Mam wrażenie, że twoja żona nie może mnie ścierpieć — powiedziała pytającym 0 tonem, jak gdyby oczekiwała od niego zaprzeczenia.

— Mylisz się — odrzekł, by zadowolić jej nie ukrywane pragnienie — ona ma dla ciebie wielką sympatię.

— Naprawdę?

— Tak, naprawdę... nawet dziś mi to mówiła.

— A co mówiła?

— Mój Boże, nic szczególnego... Że jesteś ładna, że robisz wrażenie bardzo inteligentnej osoby... słowem, mówiła prawdę.

— Wobec tego przyjdę — zdecydowała się

nagle — przyjdę zaraz po wyjeździe mojego męża, około dziewiątej, tak, żebyśmy zdążyli na pociąg o dziesiątej... Przyjdę do waszego hotelu.

Mówiła szybko, takim tonem, jak gdyby kamień spadł jej z serca, i Marcello uznał to za jeszcze jedną zniewagę dla swoich uczuć. Porwany nagłym, niezrozumiałym nawet dla niego pragnieniem miłości jakiegokolwiek, choćby fałszywej i dwuznaczej, powiedział:

— Jestem taki szczęśliwy, że się zgodziłaś pojechać.

— Tak?

— Tak, bo nie zrobiłabyś tego, gdybyś mnie nie kochała.

— Mogłabym to zrobić także z innego powodu]— powiedziała złośliwie.

— Z jakiego powodu?

— My, kobiety, jesteśmy przekorne... tylko po to, żeby zrobić - na przekór twojej A żonie.

Tak więc myślała jedynie i wyłącznie o Giulii. Marcello nic nie odpowiedział, ale skierował ją w tańcu ku wyjściu. Jeszcze dwa obroty i znaleźli się o krok od drzwi.

— Dokąd mnie prowadzisz? zapytała.

— Słuchaj — błagał ją Marcello szeptem, żeby nie usłyszała go stojąca za kontuarem szatniarka — wyjdźmy na chwilę na ulicę.

— Po co?

— Tam nie ma nikogo... Chciałbym, żebyś mnie pocałowała, dobrowolnie, z własnej

chęci... na dowód, że mnie naprawdę ko- | chasz.

— Ani mi się śni — odpowiedziała, od I razu wpadając w złość.

— Ale dlaczego... tam na ulicy jest ciemno i nie ma żywego ducha.

— Powiedziałam ci już, że nie znoszę takich publicznych wybuchów czułości.

— Proszę cię!

— Zostaw mnie! — powiedziała twardym i podniesionym głosem; wywinęła mu się i umknęła od razu w głąb sali. Marcello wyszedł na ulicę.

Było tam pusto i ciemno na źle oświetlonych rzadko rozstawionymi latarniami chodnikach; rzeczywiście, jak powiedział Linie, nie widać -było żywego ducha. Marcello wyjął z kieszeni chustkę i otarł spocone czoło spoglądając na sterczące nad murem gałęzie rozłożystych drzew. Doznawał uczucia oszołomienia, jak gdyby ktoś mocno uderzył go w głowę. Nie pamiętał, żeby mu się kiedykolwiek zdarzyło błagać tak o coś kobietę, i prawie że się tego wstydził. Ale zarazem uświadamiał sobie, że nadzieja na zdobycie Liny przepadła bezpowrotnie: ta kobieta nie tylko nigdy go nie pokocha, ale nawet nie zechce go zrozumieć. W tej samej chwili usłyszał z tyłu warkot silnika samochodu, który przejechał tuż obok niego i stanął. Wóz był oświetlony wewnątrz i Marcello zobaczył przy kierownicy agenta Orlando, który wyglądał na zawodowego

szofera. Obok Orlanda siedział jego towarzysz o długiej i chudej twarzy drapieżnego ptaka.

— Doktorze — powiedział cicho Orlando. Marcello niachinalnie się przybliżył. — Doktorze... już jedziemy... On wyjeżdża jutro rano samochodem i my pojedziemy za nim... Ale najprawdopodobniej nie będziemy z tym czekali na dojazd do Sabaudii.

— Dlaczego? — zapytał Marcello, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi.

— Droga jest długa i Sabaudia daleko... po co jechać aż do Sabaudii, jeżeli można to załatwić przedtem i w dogodniejszych warunkach? Do widzenia, doktorze.. Zobaczymy się we Włoszech. — Orlando machnął ręką na pożegnanie, jego towarzysz ledwie dostrzegalnie skinął głową. Samochód ruszył, pojechał w głąb ulicy, skręcił i znikł za rogiem.

Marcello wrócił do lokalu i wszedł na salę. Muzyka przez ten czas zaczęła grać znowu i zastał przy stoliku tylko Quadriego. Lina i Giulia ponownie z sobą tańczyły, zobaczył je wśród innych par na zatłoczonym parkiecie. Usiadł, wziął szklanekę jeszcze pełną mrożonej lemoniady i wysączył ją powoli, patrząc na leżący na dnie kawałek lodu. Quadri powiedział nagle:

— Clerici, czy wie pan, że mógłby pan być dla nas bardzo użyteczny?

— Nie rozumiem — rzekł Marcello stawiając szklanekę na stole.

Quadri wyjaśnił bez cienia zakłopotania

— Komu innemu zaproponowałbym po prostu, żeby został w Paryżu, jest dość roboty dla wszystkich, zapewniam pana... A nam potrzeba przede wszystkim młodych, takich jak pan... Ale pan mógłby się nam przydać jeszcze bardziej, pozostając na dotychczasowym miejscu... na swojej posadzie.

— I udzielając wam informacji — dokończył Marcello patrząc mu w oczy.

— Właśnie.

Na te słowa Marcello przypomniał sobie tchnące wzruszeniem i niekłamana czułością, prawie załzawione oczy Quadriego, gdy ten przed chwilą trzymał go za kłapy marynarki. To wzruszenie, pomyślał, było sentymentalnym płaszczykiem, pod którym kryły się szpony zimnego wyrachowania politycznego. Takie same wzruszenie widywał w oczach niektórych swoich przełożonych, z tą różnicą, że płynęło z innych pobudek, nie humanitarnych, lecz patriotycznych. Ale cóż znaczyły może i usprawiedliwione sentymenty, skoro potem, w jednym i drugim wypadku, we wszystkich wypadkach, nie liczone się z nim jako z człowiekiem, uważając go wyłącznie za jeden z wielu prowadzących do celu środków? Pomyślał prawie z obojętnością biurokraty, że Quadri tą swoją propozycją potwierdził wyrok śmierci na siebie. Potem podniósł oczy i powiedział:

— Mówi pan tak, jak gdybym miał te same przekonania, co pan., albo jak gdybym się do nich skłaniał. Gdyby tak było, sam zaofiarowałbym panu moje usługi, ale skoro sytuacja wygląda inaczej, a ja nie podzielam i nie chcę podzielać pańskich przekonań, żąda pan ode mnie po prostu zdrady.

— Zdrady? Nigdy — odrzekł z miejsca Quadri. — Między nami nie ma zdrajców. Są tylko ludzie, którzy widzą swoje błędy i nawracają się. Byłem i jestem nadal przekonany, że pan jest jednym z nich.

— Myli się pan.

— Wobec tego wykreślmy moją propozycję z pamięci... Panienko... — Quadri szybko zawołał kelnerkę, może po to, by ukryć zmieszanie, i zapłacił rachunek. Potem milczeli, Quadri obserwował salę w niedbałej pozie widza, Marcello siedział zwrócony plecami do sali, ze spuszczonej oczyma. W końcu pociągnął dotknięcie ręki na ramieniu i usłyszał powolny, spokojny głos Giulii:

— Idziemy już? Jestem taka zmęczona. Marcello wstał natychmiast i powiedział:

— Myślę, że już wszyscy bez wyjątku jesteśmy senni.

Wydało mu się, że Lina jest czymś głęboko wstrząśnięta i biała jak papier, lecz przypisał wyraz malujący się na jej twarzy zmęczeniu, a bladość sinemu światłu neonów. Wyszli i skierowali się do samochodu,

stojącego w głębi ulicy. Marcello udał, że nie słyszy, gdy Giulia szepnęła mu: — Usiądźmy tak samo jak przedtem — i siadł obok Quadriego. Wszyscy czworo milczeli przez całą drogę. Tylko Marcello w pewnej chwili zapytał zdawkowo: “Ile czasu zajmie panu droga do Sabaudii?”, a Quadri nie odwracając się odpowiedział: “To szybki wóz, a ponieważ samemu jedzie się zawsze prędeż, przypuszczam, że będę wieczorem w Annecy.. i wyjadę stamtąd następnego dnia o świcie”.

Przed hotelem wysiedli i pożegnali się. Quadri, szybko uściskawszy dłoń Marcello- wi i Giulii, wrócił do samochodu. Lina zatrzymała się chwilę, żeby coś powiedzieć Giulii, potem Giulia pożegnała się z nią i weszła do hotelu. Marcello i Lina zostali przez moment sami na chodniku. On powiedział zmieszany:

— Wobec tego do jutra.

—Do jutra — odpowiedziała jak echo Lina skłaniając głowę z konwencjonalnym uśmiechem. Potem odwróciła się, a on wszedł za Giulią do hallu.

ROZDZIAŁ X

Marcello, gdy tylko się obudził i zwrócił oczy na sufit w niepewnym pół- _J mroku nie domkniętych żaluzji, przypomniał sobie od razu, że Quadri pędzi teraz po drogach Francji, a w trop za nim jedzie Orlando ze swoimi ludźmi. Zrozumiał, że skończyła się podróż do Paryża. Podróż się skończyła, powtórzył sobie, chociaż dopiero się zaczęła. Skończyła się, bo wraz ze śmiercią Quadriego zamknął się ten okres jego życia, w którym próbował wszelkimi sposobami uwolnić się od ciężaru samotności i anormalności, dźwiganego od śmierci Lina. Udało mu się tego dokonać za cenę zbrodni, a raczej za cenę czegoś, co byłoby zbrodnią, gdyby nie dało się usprawiedliwić i nie nabrało ściśle określonego znaczenia. Co do niego osobiście, to był pewien, że znajdzie usprawiedliwienie: jako dobry mąż, dobry ojciec, dobry obywatel, między innymi dzięki śmierci Quadriego, która raz na zawsze odcięła mu możliwość odwrotu, będzie widział, jak jego życie nabiera powoli, ale stale tej pełni, której tak mu dotychczas brakowało. Tak więc śmierć Lina, która była pierwszą przyczyną jego

ponurej tragedii, zostanie odkupiona i unicestwiona przez śmierć Quadriego, zupełnie tak samo, jak składane niegdyś na ofiarę niewinne ludzkie życie rozgrzeszało i unicestwiała dokonana uprzednio świętokradczą zbrodnię. Ale nie tylko on wchodził w grę, i usprawiedliwianie jego życia i morderstwa popełnionego na Quadrim nie tylko od niego zależało. "Teraz ~ pomyślał trzeźwo — także i inni muszą wypełnić swój obowiązek... bo w przeciwnym razie spadnie na mnie krew tego człowieka i okaże się w końcu, że przelewałem z pustego w próżne". Ci inni, jak wiedział, to rząd, któremu on chciał się przysłużyć tym morderstwem, partia, której wyrazicielem był ten rząd, sam naród, który zgodził się podporządkować tej partii. Nie wystarczyłoby mu 'powiedzieć: "Spełniłem swój obowiązek... zrobiłem tak, bo taki miałem rozkaz". Takie usprawiedliwienie mogło być wystarczające dla agenta Orlando, nie dla niego. Jemu potrzebny był całkowity sukces tego rządu, tej partii, tego narodu; i sukces nie tylko powierzchowny, ale całkowity i gruntowny. Tylko w tym wypadku to, co było normalnie uważane za zwykłą zbrodnię, mogłoby się stać pozytywnym krokiem na pożytecznej drodze. Mówiąc innymi słowami, powinno nastąpić, dzięki niezależnym od niego siłom, zupełne przewartościowanie pojęć: niesprawiedliwość powinna się stać sprawiedliwością, zdrada bohaterstwem, śmierć

życiem. Przyszła mu ochota, żeby określić swoją sytuacją dosadnymi i sarkastycznymi słowami: "A więc jeśli faszyzm zbankrutuje, jeśli te wszystkie kanale, te bałwany, ci głupcy w Rzymie prowadzą naród włoski- do ruiny, to ja jestem tylko nędznym mordercą". Lecz zaraz potem poprawił się w myśli: "A jednak, skoro wszystko wyglądało tak, a nie inaczej, nie mogłem zrobić nic innego".

Giulia, która spała jeszcze u jego boku, poruszyła się i stopniowo, powolnym i zaborczym ruchem objęła go najpierw ramionami, a potem nogami, przytulając głowę do jego piersi. On, leżąc bez ruchu, wyciągnął rękę, sięgnął po stojący na komodzie budzik z fosforyzującą tarczą i popatrzał na godzinę: było piętnaście po dziewiątej. Pomyślał mimo woli, że jeśli wszystko odbyło się zgodnie z przewidywaniami Orlando, to w tej chwili na jakiejś szosie francuskiej leży w rowie samochód Quadriego z trupem przy kierownicy. Giulia zapytała cicho:

— Która godzina?

— Kwadrans po dziewiątej.

— Och, jak późno — powiedziała nie poruszając się. — Spaliśmy co najmniej dziewięć godzin.

— Najlepszy dowód, że byliśmy zmęczeni.

— Nie jedziemy do Wersalu?

— Jedziemy... I musimy się już ubierać — odrzekł z westchnieniem — lada chwila przyjdzie tu pani Quadri.

— Wołałabym, żeby nie przychodziła... Nie daje mi spokoju z tą swoją miłością. Marcello nic nie odpowiedział. Giulia dodała po chwili:

— A jakie mamy plany na najbliższe dni?

Marcello, nim zdążył się zastanowić, odpowiedział: — Wyjedziemy — głosem, który wydał mu się żalobny w swojej melancholii.

Tym razem Giulia otrząsnęła się i odchylając nieco do tyłu głowę i pierś, ale nie odrywając się od niego, zapytała zdumiona i wyraźnie zaniepokojona:

— Wyjedziemy? Już? Przyjechaliśmy dopiero co i już mamy wyjeżdżać?

— Nie powiedziałem ci tego wczoraj wieczorem — skłamał — żeby ci nie psuć zabawy, ale wczoraj po południu otrzymałem telegram wzywający mnie do Rzymu.

— Szkoda... naprawdę szkoda — powiedziała Giulia dobronim i już zrezygnowanym tonem. — Właśnie kiedy zaczynałam się tak dobrze bawić w Paryżu... a poza tym nie zdążyliśmy jeszcze nic zobaczyć.

— Niezadowolona jesteś? — zapytał czule, głaszcząc ją po głowie.

— Nie, ale wołałabym zostać jeszcze kilka dni, żeby przynajmniej trochę poznać Paryż.

— Przyjedziemy tu znowu.

Nastąpiło milczenie. Potem Giulia objęła go mocniej, przygarnęła się do niego całym ciałem i powiedziała:

— No to powiedz mi chociaż, co będziemy robić w przyszłości... Jak będzie wyglądało nasze życie.

— Dlaczego o to pytasz?

— Tak sobie — odrzekła tuląc się do niego. — Dlatego że lubię gawędzić o przyszłości... w łóżku... po ciemku.

— No więc — zaczął Marcello spokojnym i bezbarwnym głosem — teraz wrócimy do Rzymu i rozejrzemy się za mieszkaniem.

— Jakie to będzie mieszkanie, duże?

— Cztery albo pięć pokoi z komfortem... Kiedy je znajdziemy, kupimy sobie meble.

— Chciałabym mieć (mieszkanie na parterze — powiedziała rozmarzonym głosem — z ogrodem... mógłby być nawet nieduży, ale z drzewami, z kwiatami, żeby było gdzie posiedzieć sobie i wiosną, i latem.

— Nic łatwiejszego — oświadczył Marcello. — A więc weźmiemy mieszkanie... Myślę, że mi wystarczy, pieniędzy, żeby je całkowicie umeblować, oczywiście nie luksusowo.

— Urządzisz sobie ładny gabinet — powiedziała.

— Po co mi gabinet, skoro pracuję w biurze? Lepiej ładny salon.

— Tak, salon, masz rację... Salon połączony z jadalnią... i będziemy mieli także ładny pokój sypialny, prawda?

— Oczywiście.

— Ale nie chcę tapczanów, które są takie nieprzytulne... Chcę mieć prawdziwą

sypialnię... z małżeńskim łóżkiem... I powiedz, będziemy też mieli ładną kuchnię?

— Ładną kuchnię... dlaczegoż by nie? *

— Chcę mieć kuchenkę z palnikami i na gaz, i na elektryczność... no i ładną lodówkę... Jeżeli nie wystarczy nam pieniędzy, to możemy wziąć te rzeczy na raty.

— Oczywiście... na raty.

— I powiedz mi jeszcze, co będziemy robili w tym domu?

— Będziemy w nim żyli i będziemy szczęśliwi.

— Tak bardzo mi potrzeba szczęścia — I powiedziała, jeszcze mocniej tuląc się do niego — gdybyś wiedział, jak bardzo... Wydaje mi się, że pragnę szczęścia od chwili, kiedy się urodziłam.

— Toteż będziemy szczęśliwi — odrzekł Marcello z niemal agresywną pewnością.

— I będziemy mieli dzieci?

— Na pewno.

— Chcę mieć dużo dzieci — powiedziała ze śpiewną nutą w głosie — co rok jedno, co najmniej przez pierwsze cztery lata naszego małżeństwa... I to już będzie rodzina, a ja chcę jak najprędzej stworzyć sobie rodzinę... Wydaje mi się, że nie należy z tym czekać, bo potem może być za późno... A kiedy się ma rodzinę, wszystko inne przychodzi samo, prawda?

— Pewnie, wszystko inne samo przychodzi.

Umilkła na chwilę i potem zapytała:

— Czy myślisz, że już jestem w dąży? -"<

— Skądże mogę wiedzieć?

— Gdyby tak było — powiedziała ze śmiechem — znaczyłoby to, że nasze dziecko urodziło się w podróży.

— Cieszyłabyś się z tego?

— Tak, byłoby to dla niego dobrą wróżbą... Kto wie, może kiedyś zostałoby słynnym podróżnikiem... Pierwszego chcę chłopca... a potem wołałabym dziewczynkę... Jestem pewna, że byłaby śliczna. Ty jesteś bardzo przystojny, ja też nie jestem brzydka... Na pewno i będziemy mieli śliczne dzieci.

Marcello nic nie odpowiedział, a Giulia mówiła dalej:

— Dlaczego milczysz? Nie chcesz, żebyśmy mieli dzieci?

— Chcę, oczywiście — rzekł i nagle, ze zdumieniem, poczuł, że zakręciły mu się w oczach dwie łzy i spływały po policzkach. 'A potem dwie dalsze, ciepłe, piekące, jak gdyby wypłakane już dawno, przed wielu laty, łzy, które pozostały w oczach, by przesiąknąć palącym bólem. Wiedział, że wywołała te łzy rozmowa Giulii o szczęściu, lecz nie potrafił dociec ich źródła. Może płakał dlatego, że już z góry zapłacił tak drogo za owo szczęście; a może dlatego, iż uświadamiał sobie, że nigdy nie będzie szczęśliwy, a zwłaszcza w prosty i rzewny sposób opisany przez Giulie. Przemógł w końcu z wysiłkiem chęć do płaczu i ukradkiem, żeby Giulia nic nie zauważyła,

— Ekspres!

— Co to może być? — szepnęła zdyszana, mrużąc oczy — nie idź., co cię to obchodzi? — Marcello obejrzał się i zobaczył w smudze światła przy drzwiach na podłodze list, który wsunięto przez szparę. W tej samej chwili Giulia ciężko opadła na plecy, zeszywniała, odrzuciła głowę do tyłu i, głęboko wzdychając i wpijając mu paznokcie w plecy, szepnęła:

— Zabij mnie.

otarł oczy wierzchem dłoni. A tymczasem Giulia obejmowała go z uniesieniem, coraz to mocniej przywierając całym ciałem do jego ciała i chwytając go za bezwładne ręce, żeby ją popieścił i przytulił. Potem przysunęła twarz do jego twarzy i zaczęła go całować raz po raz w policzki, w usta, w czoło, w brodę, z dziecinną i niepohamowaną zachłannością. W końcu szepnęła prawie żałośnie: "Dlaczego mnie nie chcesz... weź mnie". I wydało mu się, że dosłyszał w jej błagalnym głosie niemal wyrzut, iż myślał nie o jej szczęściu, ale przede wszystkim o swoim. Objął ją łagodnie i tkliwie, zaspokajając jej pragnienie, a ona z opartą o poduszkę głową, z zamkniętymi oczyma, zaczęła podnosić i opuszczać biodra, ruchem regularnym, spokojnym i jak gdyby pełnym namysłu, niczym fala, która wzdyma się, opada, zależna od przypływu i odpływu, gdy nagle dało się słyszeć gwałtowne stukanie do drzwi:

Marcello, nie wiadomo dlaczego, przypomniał sobie nagle krzyk Lina: "Zabij mnie jak psa" — i ogarnął go przeraźliwy lęk. Czekał przez dłuższą chwilę, aż wreszcie ręce Giulii osunęły się bezwładnie na łóżko. Wtedy zapalił lampkę, spuścił nogi na podłogę, poszedł po list, po czym znów wyciągnął się bok żony. Giulia odwróciła się teraz do niego plecami, skulona, z zamkniętymi oczyma. Marcello obejrzał list, zanim go położył na brzegu łóżka, tuż przy jej otwartych jeszcze i szybko chwytających powietrze ustach. Na kopercie widniał adres: "Madame Giulia Clerici", napisany wyraźnie kobiecym pismem. ■— List od pani Quaidri — powiedział. Giulia mruknęła nie otwierając oczu:

— Daj mi go.

Nastąpiło długie milczenie. Lampa oświetlała jasno list leżący koło ust Giulii; bezwładna, zamarta w bezruchu Giulia zdawała się spać. Wreszcie westchnęła, otworzyła oczy i chwytając jedną ręką róg koperty, rozerwała ją zębami, wyciągnęła list i przeczytała.

Marcello zobaczył, że się uśmiecha; potem powiedziała cicho:

— Mówią, że w miłości wygrywa ten, co ucieka... Ponieważ wczoraj byłam dla niej okrutna, zawiadamia mnie, że zmieniła zamiar i że wyjechała dziś rano z mężem. Ma nadzieję, że do niej przyjadę... Szczęśliwej podróży!

— Wyjechała? — powtórzył Marcello.

— Tak, pojechała o siódmej rano z mężem do Sabaudii... a wiesz dlaczego? Pamiętasz, jak wczoraj wieczorem tańczyłam z nią po raz drugi? To ja ją zaprosiłam do tańca i była uradowana, bo myślała, że jej wreszcie ulegnę... A tymczasem powiedziałam jej otwarcie, że musi to sobie wybić z głowy. I że jeśli będzie nadal obstawać przy swoim, w ogóle przestanę się z nią widywać, że kocham tylko ciebie i żebyś dała mi święty spokój. Że powinna się wstydzić, słowem, tyle jej nagadałam, że prawie płakała... i wobec tego wyjechała dziś... Rozumiesz,- na co liczyła: "Wyjeżdżam, żebyś ty przyjechała do mnie". Nie doczeka się tego tak prędko.

— Tak, nie doczeka się tego tak prędko — powtórzył Marcello.

— Cieszę się zresztą, że wyjechała — ciągnęła dalej Giulia — była taka nachalna i nudna... i nie ma mowy o tym, żebym miała do niej pojechać. Nie chcę więcej widzieć tej kobiety.

— Nie zobaczysz jej już nigdy — powiedział Marcello.

HOZDZIAŁ XI

Pokój, w którym pracował Marcello, wychodził na podwórze; był mały i _J asymetryczny, stało w nim tylko biurko i półki. Znajdował się w głębi ślepego korytarza, w sporej odległości od poczekalni; tak więc Marcello korzystał ze służbowych schodów, prowadzących do tej mało uczęszczanej części gmachu na tyłach ministerstwa. Pewnego ranka, w tydzień po powrocie z Paryża, Marcello siedział przy biurku. Pomimo wielkiego upału nie zdjął marynarki ani nie ściągnął krawata, jak większość jego kolegów. Nigdy nie odstępował od tej zasady i uważał niemal za punkt honoru,¹ żeby w biurze wyglądać tak samo jak na ulicy. Tak więc nieskazitelnie ubrany, w ściskającym mu szyję nakrochmalonym kołnierzyku, zaczął przed rozpoczęciem pracy przeglądać włoskie i zagraniczne gazety. Także tego ranka, chociaż minęło już sześć dni, zajęły go przede wszystkim wiadomości o zamordowaniu Quadriego. Zauważył, że nagłówki składano mniejszą czcionką i że wzmianki były o wiele krótsze, co dowodziło niezbicie, że śledztwo utknęło na martwym punkcie.

Kilka lewicowych dzienników francuskich podawało raz jeszcze historię zabójstwa, z obszerniejszym uwzględnieniem ciekawszych i bardziej znamiennych szczegółów: Quadri został zabity sztyletem w gąszczu lasu; żonę jego natomiast zastrzelono trzema kulami z rewolweru na skraju drogi i przywleczono już po śmierci do zwłok męża; samochód również wprowadzono w głąb lasu i schowano w krzakach. Zwłoki i wóz odnaleziono dopiero po dwóch dniach, właśnie dlatego, że ukryte były tak starannie w lesie, z dala od drogi. Dzienniki lewicowe twierdziły z całą pewnością, że małżonków zabili ludzie nasłani specjalnie w tym celu z Włoch; natomiast kilka dzienników prawicowych popierało, zresztą w bardzo oględnej formie, oficjalną tezę wysuniętą przez prasę włoską, że zostali oni zamordowani przez swoich antyfaszystowskich kompanów z powodu różnicy poglądów na sprawę wojny w Hiszpanii. Marcello odłożył gazety i sięgnął po ilustrowane pismo francuskie. Od razu uderzyła go fotografia umieszczona na drugiej stronie, ilustrująca reportaż z tej zbrodni; podpis brzmiał: "Tragedia w lesie Gevaudan". Musiała być zrobiona w momencie odkrycia morderstwa albo zaraz potem. Widać było na niej podszycie lasu, proste pnie drzew najeżone gałęziami, jaśniejsze plamy słońca między jednym pnem a drugim, a ha ziemi, w wysokiej trawie, prawie niewidoczne na pierw

szy rzut oka w tej pogmatwanej mozaice, światła i cieni, zwłoki obojga zamordowanych. Quadri leżał na wznak, można było dostrzec tylko jego ramiona i głowę, a właściwie brodę i szyję, przeciętą czarną kresą. Natomiast ciało Liny, przerzuconej trochę na ukos przez zwłoki męża, widoczne było w całości. Marcello spokojnie odłożył zapalonego papierosa na brzeg popielniczki, wziął szkło powiększające i z uwagą badał fotografię. Pomimo że była czarna i nie ostra, a w dodatku zamazana plamkami światła i cieni lasu, można było rozpoznać ciało Liny, zarazem wiotkie i kształtne, czyste i zmysłowe, piękne i niezwykle: szerokie ramiona pod delikatnym karkiem i smukłą szyją, piersi sterczące nad wcięciem wąskiej jak u osy talii, krągłe biodra i długie, piękne nogi. Przykrywała męża częściowo swoim ciałem, a częściowo szeroko rozłożoną spódnicą i zdawało się, że leżąc na boku, z twarzą w trawie, z ustami przy jego policzku, chce mu coś powiedzieć do ucha. Marcello długo oglądał fotografię przez szkło powiększające, starając się wysledzić każdy cień, każdą linijkę, każdy szczegół. Wydało mu się, że ta odbitka przestaje być zwykłym nieruchomym zdjęciem, że jej bezruch osiąga ów ostateczny bezruch śmierci, z którego technie godny pozazdrosczenia spokój. Była to fotografia pełna nieskończenie głębokiej ciszy, która musiała nastąpić po straszliwej, piorunującej agonii. Chwilę przedtem wszystko było zamętem, przemocą, grozą, nienawiścią, nadzieją i rozpaczą; chwilę potem wszystko było skończone, ukojone. Pomyślał o tym, że dwoje zmarłych długo leżało w lesio, prawie przez dwa dni, i wyobraził sobie, że słońce przez wiele godzin ogrzewało ich ciała, przyciągając do nich roje brzęczących owadów, a potem zaszło powoli, zostawiając ich cichym ciemnościom łagodnej letniej nocy. Płakała na ich policzkach rosa, lekki wietrzyk szeleścił w gałęziach wysokich drzew i krzewów. Wraz z pierwszymi promieniami słońca powróciły, jak na wezwanie, światła i cienie z poprzedniego dnia, by igrać na dwóch spoczywających bezwładnie ciałach. Rozradowany świeżością i czystym blaskiem poranka ptak usiadł na gałęzi i śpiewał. Pszczoła latała wokół głowy Liny, obok dotykającej ziemi skroni Quadriego zakwitł kwiat. Dla nich, cichych i nieruchomych, szemrały wody wijących się po lesie gadatliwych strumyków, do nich zbiegli się zewsząd leśni mieszkańcy, zwinne wiewiórki, dzikie króliki. A tymczasem uginające się pod nimi miękkie posłanie z traw i mchu przybierało po Woli kształty sztywnych ciał, ziemia, wysłuchując ich niemego wołania, gotowa była je przyjąć do swego łona.

Wzdrygnął się słysząc stukanie do drzwi, odrzucił tygodnik i zawołał, że można wejść. Drzwi uchylły się powoli i Marcello nie

widział przez chwilę nikogo. W końcu ostrożnie wychyliła się przez szparę uczciwa, potulna, szeroka twarz Orlanda.

— Można, doktorze?

— Proszę, Orlando — powiedział Marcel- . lo urzędowym tonem — wejdźcie. Macie mi coś do powiedzenia?

Orlando wszedł, zamknął drzwi i zbliżył się spoglądając przenikliwie na Marcella. I wtedy po raz pierwszy Marcello zauważył, że wszystko było .pocziwe w tej czerstwej i rumianej twarzy, wszystko z wyjątkiem oczu, małych i głęboko osadzonych, które połyskiwały w szczególny sposób pod wyłysiałym czołem. "Dziwne — pomyślał Marcello patrząc na niego — że przedtem nie zwróciłem na to uwagi". Wskazał agentowi krzesło i ten usiadł bez słowa, nadal wpatrując się w niego tymi błyszczącymi oczyma.

— Papierosa? — zaproponował Marcello podsuwając Orlandowi papierośnicę.

— Dziękuję, doktorze — rzekł Orlando biorąc papierosa. Zaległo milczenie. Potem Orlando wypuścił dym ustami, spojrział na zapalony koniec papierosa i powiedział: — Wiecie, doktorze, jaka jest najciekawsza strona sprawy Quadriego?

— Nie, jaka?

— Że była niepotrzebna.

— Co to znaczy?

— To znaczy, że wracając z misji, od razu po przekroczeniu granicy pojechałem do

Gabria, do S., żeby mu zdać relację. Wiecie, co mi powiedział z miejsca? "Czy otrzymaliście odwołanie rozkazu?" Pytam: "Jakie odwołanie?" "Odwołanie — powiada — rozkaz, żeby się wstrzymać z misją" ... — "Dlaczego się wstrzymać?" — "Dlatego — mówi — że w Rzymie doszli nagle do wniosku, że byłoby pożądane zbliżenie z Francją, i uważają, że misja mogłaby storpedować rokowania..." — a ja na to: "Nie otrzymałem żadnego odwołania do chwili wyjazdu z Paryża, widać za późno je wysłano. Tak czy owak, misja została wykonana, jak się dowiecie z jutrzejszych gazet". Na to Gabrio zaczyna wrzeszczeć: "Idioci, zrujnowaliście mi karierę, to może zepsuć stosunki włosko- francuskie w drażliwym momencie polityki międzynarodowej, oprawcy, co teraz odpowiem Rzymowi?" — "Powiecie — mówię spokojnie — prawdę: że odwołanie było wysłane za późno..." — Rozumiecie, doktorze? Tyle trudów, dwa trupy, i potem wszystko okazuje się niepotrzebne, co więcej, szkodliwe.

Marcello nic nie odpowiedział. Agent zaciągnął się dymem, po czym oznajmił z naiwnym i nadętym patosem prostego człowieka, który lubuje się w używaniu pompatycznych słów:

— Fatalizm.

Znowu zaległo milczenie. Agent ciągnął dalej:

— Ja w każdym razie nie podejmę się

więcej tego rodzaju misji, Następnym razem udam chorobę. Gabrio ryczał: "Bestie, nieprawda... nie bestie, ludzie!"*

Marcello zgasił wypalonego do połowy papierosa i zapalił drugiego. Agent mówił dalej:

— Łatwo mówić... Ale bywają rzeczy trudne do zniesienia... wystarczy wymienić choćby tego Cirrincione...

— Kto to jest Cirrincione?

— Jeden z ludzi, których miałem z sobą... Zaraz po zamachu w tym rozgardiaszu przypadkiem oglądam się za siebie i co widzę? Że on liże sztylet. Krzyczę: "Co ty robisz?... czyś ty zwariował?... A on: "Krew garbusa przynosi szczęście". Rozumiecie? Barbarzyńca... mało brakowało, a byłbym mu wpakował kulę w łeb.

Marcello spuścił oczy i machinalnie zaczął porządkować papiery na biurku. Agent pogardliwie potrząsnął głową i ciągnął dalej:

— Najgorsze było dla mnie to, że znalazła się tam ta pani, która nie miała z tym nic wspólnego i nie powinna była zginąć... Ale cóż, rzuciła się, żeby osłonić męża, i dostała za niego dwie kule... On uciekł do lasu, gdzie go dogonił właśnie ten bydlak, Cirrincione... Jeszcze żyła, więc byłem zmuszony ją dobić trzecią kulą... dzielna kobieta, dzielniejsza od niejednego mężczyzny.

Marcello podniósł oczy na agenta, jak

gdyby chcąc dać mu do zrozumienia, że wizyta skończona. Agent zorientował się i wstał. Lecz nie wyszedł od razu. Oparł obydwie ręce o biurko i długo wpatrywał się w Marcella tymi swoimi błyszczącymi oczyma, po czym z równym patosem, z jakim przedtem powiedział "Fatalizm", oświadczył:

— Wszystko dla rodziny i dla ojczyzny, doktorze.

Wtedy Marcello uświadomił sobie nagle, gdzie widział już przedtem oczy takie niezwykle i błyszczące. Te oczy miały ten sam wyraz, co oczy jego ojca, zamkniętego w klinice dla umysłowo chorych. Powiedział zimno:

— Może ojczyzna nie wymagała aż tyle.

— Jeżeli nie wymagała — rzekł Orlando pochylając się ku niemu i podnosząc głos — to dlaczego kazali nam to zrobić?

Marcello zawahał się, po czym odrzekł sucho:

— Orlando, wypełniście wasz obowiązek, i to wam powinno wystarczyć. — Spostrzegł na twarzy Orlanda, który skłonił się lekko, wyraz pośredni między smutkiem i aprobatą. I wtedy, po chwili milczenia, sam nie wiedząc dlaczego, może chcąc złagodzić ten ból, tak podobny do jego bólu, zapytał serdecznie: — Macie dzieci, Orlando?

— Jakżeby nie, doktorze... mam pięcioro. — Agent wyciągnął z kieszeni gruby

podarty portfel, wyjął z niego fotografię i podał ją Marcellovi; ten wziął zdjęcie i obejrzał je. Zobaczył pięcioro dzieci ustawionych według wzrostu, od trzynastu do sześciu lat, trzy dziewczynki i dwóch chłopców, wystrojonych odświętnie, dziewczynki w białe sukienki, chłopcy w marynarskie ubrania. Cała piątka, jak zauważył Marcello, miała okrągłe, pocziwe, skupione twarze, kubek w kubek jak ojciec. — Są z matką w naszych rodzinnych stronach — powiedział Orlando biorąc fotografię, którą oddał mu Marcello — najstarsza już pracuje u krawcowej.

— Bardzo ładne i podobne do was — rzekł Marcello.

— Dziękuję, doktorze... Wobec tego do widzenia, doktorze. — Agent, podniesiony na duchu, ukłonił się kilkakrotnie, wychodząc tyłem z pokoju. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i ukazała się na progu Giulia.

— Do zobaczenia, doktorze... do zobaczenia. — Agent odsunął się na bok, żeby przepuścić Giulie, i znikł. Giulia podeszła do Marcella i powiedziała prędko: — Przechodziłam tędy i przyszło mi na myśl, żeby do ciebie wstąpić. Jak się czujesz?

— Doskonale — odrzekł Marcello.

Stała przed biurkiem i spoglądała na niego niepewnie, wahająco, z przejęciem. W końcu powiedziała:

— Wydaje mi się, że za dużo pracujesz.

— Nie — rzekł Marcello rzucając okiem „a otwarte okno. — Skąd ci to przyszło na myśl?
— Wyglądasz na zmęczonego — Giulia obeszła dokoła biurko i przez chwilę stała nieruchomo, oparta o poręcz fotela, patrząc na leżące na wierzchu gazety. Potem zapytała: — Nie ma nic nowego?

— O czym mówisz?

— No, w gazetach, w sprawie Quadriego.

— Nie, nic.

Powiedziała po chwili milczenia:

— Jestem coraz bardziej przekonana, że zamordowali go ludzie z jego partii. A co ty o tym myślisz?

Była to oficjalna wersja przekazana dziennikom włoskim z biura propagandy tego samego ranka, kiedy przyszła wiadomość z Paryża. Giulia, jak spostrzegł Marcello, uwierzyła w nią chętnie, niemal z nadzieją przekonania samej siebie. Odpowiedział sucho:

— Nie wiem... być może.

— A ja jestem tego pewna! — powtórzyła stanowczo. I po chwili wahania dodała naiwnie: — Chwilami myślę, że gdybym nie była taka bezwzględna wobec żony Quadriego, to ona zostałaby w Paryżu i nie zabiliby jej... i mam wyrzuty sumienia... ale- cóż ja mogłam zrobić? Sama była sobie winna, że nie dawała mi chwili spokoju.

Marcello zastanawiał się, czy Giulia nie zaczyna czasem podejrzewać, że i on był

wmieszany w morderstwo Quadriego, ale po chwili namysłu odrzucił tę hipotezę. Żadna miłość, pomyślał, nie wytrzymałaby tego rodzaju odkrycia. Giulia mówiła prawdę: odczuwała wyrzuty sumienia z powodu śmierci Liny, bo wprowadzie bez winy, lecz stała się jej pośrednią przyczyną. Chciał ją pocieszyć, lecz nie umiał znaleźć nic lepszego niż słowo wypowiedziane z takim patosem przez Orlanda.

— Nie rób sobie wyrzutów — powiedział obejmując ją ramieniem wpół i przyciągając do siebie — to był fatalizm.

Odpowiedziała głaszcząc go lekko po głowie:

— Nie wierzę w fatalizm... to stało się dlatego, że cię Kocham... gdybym cię nie kochała, może nie byłabym wobec niej taka szorstka i ona nie wyjechałaby, i żyłaby w tej chwili... Gdzie ty tu widzisz fatalizm?

Marcello przypomniał sobie Lina, pierwsze spotkanie, które zdecydowało o jego życiu, i wyjaśnił z rozwagą:

— Kiedy się mówi: fatalizm, ma się właśnie na myśli te wszystkie rzeczy, miłość i resztę... tyś nie mogła nie zrobić tego, coś zrobiła, a ona nie mogła, właśnie dlatego, nie pojechać z mężem.

— A więc nic nie zależy od nas? — zapytała Giulia zamyślona, patrząc na rozrzucone na biurku papiery.

Marcello zawahał się i odpowiedział z głęboką goryczą:

— Owszem, możemy przynajmniej zdawać sobie z tego sprawę.

— I co komu z tego przyjdzie?

— Nam, następnym razem... albo innym, po nas.

Oderwała się od niego z westchnieniem i podeszła do drzwi:

— Pamiętaj, żebyś się dziś nie spóźnił — powiedziała od progu — mama przygotowała dobry obiad... i pamiętaj, żebyś się z nikim nie umawiał na popołudnie, musimy iść obejrzeć mieszkania. — Kiwnęła mu ręką na pożegnanie i wyszła.

Marcello, gdy został sam, wziął nożyczki, starannie wyciął z francuskiego pisma fotografię, schował ją do szuflady między papiery i zamknął szufladę na klucz. W tym samym momencie z rozpalonego nieba dobiegło na podwórze rozdzierające wycie obwieszczającej południe syreny. Zaraz potem zaczęły bić bliskie i dalekie dzwony kościołów.

EPILOG

ROZDZIAŁ I

Gdy zaczęło się ściemniać, Marcello, który spędził cały dzień leżąc na łóżku, paląc papierosy i rozmyślając, wstał i podszedł do okna. W zielonkawym świetle letniego zmierzchu domy, pomiędzy które wciśnięty był jego dom, wznosiły się wokół nagich betonowanych dziedzińców, ozdobionych zielonymi grządkami i strzyżonymi żywopłotami z mirtu. W niektórych oknach paliło się światło i widać było w części gospodarczej mieszkań lokai w pasiastych roboczych kurtkach i kucharki w białych fartuchach, krzątających się między lakierowanymi szafami garderoby albo przy kuchniach elektrycznych. Marcello spojrzał w górę, ponad tarasy kamienic; ostatnie purpurowe smugi zachodzącego słońca gineły na wieczornym niebie; spuścił znów oczy i zobaczył nadjeżdżający i zatrzymujący się na podwórzu samochód; wysiadł z niego mężczyzna z dużym białym psem, który od razu zaczął hasać między grządkami piszcząc i poszczekując z radości. Była to bogata dzielnica, zupełnie nowa, zbudowana w ostatnich latach, i patrząc na te dziedzińce i na te okna nikt by nie

pomyślał, że wojna trwa od czterech lat i że tego dnia upadł rząd, który był przez dwadzieścia lat przy władzy. Nikt prócz niego, powiedział sobie, i prócz tych wszystkich, którzy znajdowali się w jego sytuacji. Jak błyskawica mignęła, mu w wyobraźni wizja bicza bożego wiszącego nad wielkim miastem, który smagał tu i tam jakąś rodzinę, pogrążając ją w rozpacz, panice, żałobie. Jego rodzina także została dotknięta, * jak wiedział i jak przewidywał od początku wojny, rodzina jak każda inna, kochająca się, zżyta, normalna tą normalnością, której tak uparcie poszukiwał przez całe lata, a która stała się teraz tylko pozorna. Przypomniał sobie, że w dniu wybuchu wojny w Europie powiedział żonie: "Gdybym kierował się logiką, powinien bym dziś odebrać sobie życie", i pamiętał paniczny strach, jaki wywołały w niej te słowa. Jak gdyby wiedziała, co się w nich kryło poza zwykłym przewidywaniem nieszczęśliwego końca wojny. Raz jeszcze zadał sobie pytanie, czy Giulia domyśla się, kim on jest i jaką odegrał rolę w śmierci Quadriego; i raz jeszcze wydało mu się niemożliwe, żeby wiedziała; chociaż pewne rzeczy wskazywały na to, że było przeciwnie.

Teraz z przeraźliwą jasnością zdawał sobie sprawę, że postawił na złego konia, .ale mógł tylko stwierdzić te oczywiste fakty; dlaczego tak stawał i dlaczego koń przegrał

nie było dla niego jasne. Chciałby się jednak upewnić, że to, co się stało, musiało się stać, czyli że nie mógł stawiać inaczej i z innym wynikiem: pragnął mieć tę pewność: od wyrzutów sumienia nie musiał się uwalniać, bo ich nie odczuwał. Istotnie, mógł jedynie żałować, że zrobił to, co zrobił, bez absolutnej i nieuchronnej konieczności; że, świadomie czy też nieświadomie, nigdy się nad tym nie zastanawiał, że mógłby postąpić inaczej. Gdyby jednak nabrał pewności, że to nieprawda, odzyskałby, jak mu się wydawało, choćby względny spokój wewnętrzny. Mówiąc innymi słowami, musiał być pewien, że nie zaparł się swego przeznaczenia, że je uznał, choć było takie, a nie inne, użyteczne dla niego i dla innych może w sposób wyłącznie negatywny, ale jednak użyteczne.

Pełen zwątpienia, pocieszał się myślą, że jeśli nawet zbłądził, czego nie można było wykluczyć, postawił na ową kartę więcej niż ktokolwiek inny; więcej niż ci wszyscy, którzy znajdowali się w takiej samej jak on sytuacji. Była to pociecha pychy, jedyna, jaka mu pozostała. Inni będą mogli jutro, zmienić przekonania, partię, życie, nawet charakter; dla niego taka możliwość nie istniała; nie mógł zdradzić ani innych, ani siebie. Zrobił to, co zrobił, wyłącznie z powodów osobistych, nie związanych z nikim; zmienić się, nawet gdyby mu na to pozwolono, znaczyłoby przekreślić własne

istnienie. I tego chciał uniknąć, właśnie teraz, gdy tyle rzeczy obracało się wni- wecz.

W tym momencie pomyślał, że jeśli zblądził, to pierwszym i największym błędem było jego pragnienie wyzwolenia się z anor- malności, szukania normalności jakiegokolwiek, byle tylko nawiązać porozumienie z innymi ludźmi. Ten błąd zrodził się z potężnego instynktu, niestety normalność, na którą natknął się ów instynkt, stanowiła jedynie pustą formę, w której wszystko było anormalne i pozorne. Przy pierwszym wstrząsie ta forma rozpadła się w kawałki, a instynkt, taki usprawiedliwiony i taki ludzki, zrobił z niego kata, którego ofiarą stał się on sam. Słowem, błąd nie polegał na tym, że zabił Quadriego, lecz na tym, że chciał zmasać wrodzoną skazę swego życia nieodpowiednimi środkami. I znowu zadał sobie pytanie, czy rzeczywiście wypadki nie mogły potoczyć się inaczej?

Nie, nie mogły; nie znajdował innej odpowiedzi. Lino musiał zmącić jego niewinność, on działając we własnej obronie musiał go zabić i potem, żeby się wyzwolić z tej matni, musiał szukać normalności w taki właśnie, a nie inny sposób; i aby osiągnąć normalność, musiał zapłacić za nią cenę równoważną z ciężarem anormalności, której zamierzał się pozbyć; tą ceną była śmierć Quadriego. Tak więc wszystko było i góry przeznaczone, chociaż dobrowolnie

zadecydowane, tak jak wszystko było zarazem sprawiedliwe i niesprawiedliwe.

Nie tyle myślał o tych rzeczach, jak mu się wydało, ile je odczuwał ze świadomością przenikliwego i dotkliwego bólu, który odsuwał od siebie i przeciwko któremu się buntował. Chciał przyjrzeć się spokojnie i z pewnego dystansu tej życiowej katastrofie, jak tragicznemu, lecz dalekiemu widowisku. Ale ten ból nasuwał mu podejrzenie, że wpadł w panikę w obliczu tych Wydarzeń, pomimo całej trzeźwości, z jaką usiłował je roztrząsać. Nie było zresztą łatwo w tym momencie odróżnić, gdzie kończy się trzeźwość, a zaczyna lęk; i może najlepszym wyjściem, jak zawsze, było zachować osobistą godność i opanowanie. Ostatecznie, pomyślał jeszcze, prawie bez ironii, jak gdyby podsumowując swoje skromne ambicje, nie miał nic do stracenia prócz miernej posady urzędnika państwowego, tego oto mieszkania, które miał spłacić w ratach rozłożonych na dwadzieścia pięć lat, samochodu także wziętego na raty, na dwa lata, oraz różnych innych drobiazgów składających się na wygodne życie, które czuł się w obowiązku zapewnić Giulii. Nie miał absolutnie nic do stracenia; i gdyby w tej chwili przyszli go aresztować, znikomość korzyści materialnych, przypadających mu w związku z pełnioną przez niego funkcją, zadziwiłaby nawet jego wrogów.

Odwrócił się od okna i spojrzał na pokój.

była to sypialnia małżeńska, taka, o jakiej marzyła Giulia: z ciemnego, politurowanego mahoni ozdobionego ornamentami z brązu, podrobiona na styl Cesarstwa. Przyszło mu na myśl, że także ta sypialnia była kupiona na raty; i że spłacił ją zaledwie przed rokiem. "Całe nasze życie — pomyślał sarkastycznie, zdejmując z krzesła marynarkę i wkładając ją na siebie — jest na raty... ale te ostatnie są największe i nie spłacimy ich nigdy". Pociągnął nogą przekrzywiony dywanik przed łóżkiem i wyszedł z pokoju.

Skierował się w głąb korytarza do przymkniętych drzwi, przez które wpadało trochę światła. Był to pokój jego córki i wchodząc Marcello przystanął na chwilę na progu, przyglądając się niemal z niedowierzaniem zwykłej, normalnej rodzinnej scenie, którą miał przed oczyma. Mały pokój urządzone wdzięcznie i kolorowo, typowy pokój, w którym śpią i bawią się dzieci. Meble polakierowane na różowo, firanki niebieskie, na tapetach deseń z kwiatów w koszykach. Na dywanie, także różowym, leżały w nieładzie lalki różnej wielkości i inne zabawki. Żona, siedząc przy córce, Lucilli, która leżała już w łóżku, mówiła coś do niej; obejrzała się, gdy wszedł, obrzucając go uważnym spojrzeniem, nie powiedziała jednak ani słowa. Marcello wziął jedno z lakierowanych krzesłek i także usiadł przy łóżku.

— Dobry wieczór, tatusiu — powiedziała dziewczynka.

— Dobry wieczór, Lucillo odrzekł Marcello patrząc na nią.

Dziewczynka miała włosy ciemne, delikatne, okrągłą buzię o olbrzymich oczach pełnych rozbijającego wdzięku, bardzo regularne rysy, niemal nienaturalne w swojej doskonałości. Sam nie wiedział, dlaczego córeczka wydała mu się w tym momencie aż za ładna, a przede wszystkim świadoma swojej urody, a to, jak pomyślał, mogło być początkiem niewinnej kokieterii i niemile przypominało mu jego matkę, bo dziewczynka była bardzo do niej podobna. Gdy patrzyła na niego i na matkę, kokieteria objawiała się w spojrzeniach, jakie im rzucała, dziwnych u sześciolatniego dziecka, przeciągłych spojrzeniach wielkich, aksamitnych oczu, a poza tym w krańcowej i niewiarogodnej pewności siebie, bijącej z każdego jej słowa. Ubrana w niebieską koszulkę, marszczoną i ozdobioną koronkami, siedziała na łożku, z rączkami złożonymi do wieczornej modlitwy, którą przerwało wejście ojca.

— No, Lucillo, co się tak zagapiłaś? — powiedziała dobrodusznie matka. — Odmawiaj ze mną pacierz.

— Wcale się nie zagapiłam — odrzekła dziewczynka wznosząc oczy do sufitu z grymasem pobłażliwego zniecierpliwienia —

tyś przestała mówić, jak wszedł tatuś... to i ja przestałam.

— Masz rację — odrzekła flegmatycznie Giulia — ale umiesz na pamięć pacierz... mogłaś mówić dalej sama... jak będziesz większa, nie będę ci podpowiadała... a będziesz musiała go odmawiać.

— Widzisz, tracę tylko czas przez ciebie... jestem zmęczona — powiedziała dziewczynka. Lekko wzruszyła ramionami, ale rączki miała wciąż złożone do pacierza — tyle mówisz, że do tej pory zmówiłybyśmy już pacierz.

— No, już — powtórzyła Giulia uśmiechając się tym razem jak gdyby bezwiednie — zaczniemy od początku: Zdrowaś Mario, łaskiś pełna.

Dziewczynka powtórzyła zacinając się:

— Zdrowaś Mario, łaskiś pełna.

— Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami.

— Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami.

— I błogosławiony owoc żywota twojego, Jezus.

— I błogosławiony owoc żywota twojego, Jezus.

— Teraz i w godzinę śmierci naszej,

— Teraz i w godzinę śmierci naszej,

— Amen.

— Amen.

— A ty, tatusiu, nigdy nie mówisz pacierza? — zapytała jednym tchem dziewczynka.

— Odmawiamy pacierz wieczorem przed położeniem się do łóżka — odpowiedziała pośpiesznie Giulia. Dziewczynka jednak patrzyła na Marcella pytająco i, jak mu się wydało, z niedowierzaniem.

— Oczywiście, co wieczór, przed położeniem się do łóżka —¹potwierdził szybko.

— A teraz kładź się i śpij — powiedziała Giulia wstając i próbując ułożyć do snu dziewczynkę. Udało się jej to, ale nie bez trudu, bo dziecko ani myślało spać; potem podciągnęła jej pod brodę prześcieradło, które było jedynym przykryciem. — Go-

mi — zawołała dziewczynka kopiąc — oj, jak mi gorąco!

— A czy samoloty już nie przylecą?

— Nie, nie przylecą samoloty.

— Dlaczego?

— Bo wojna się już skończyła.

— A dlaczego wojna się skończyła?

— No, bo się skończyła i już — odrzekła Giulia niecierpliwie, ale bez złości — a teraz już dość tych pytań... śpij, bo jutro rano bardzo wczesnie wyjeżdżamy, a teraz przyniosę ci lekarstwo. — Wyszła zostawiając męża samego z córką.

— Tatusiu — zapytała natychmiast dziewczynka siadając na łóżku — pamiętasz kotkę tych państwa, co mieszkają pod nami?

— Tak — odpowiedział Marcello wstając z krzeselka i siadając na krawędzi łóżka.

— Ona ma czworo kociąt.

— No i co?

— Bona tych dziewczynek powiedziała, że jakbym chciała, to mogliby mi dać jednego kotka... czy mogę go wziąć? Zabrałabym go do Tagliacozzo.

- Ale kiedy się te kocięta urodziły? — zapytał Marcello.
- Przedwczoraj.
- Wobec tego nie można — powiedział Marcello głaszcząc córkę po głowie — kocięta muszą zostać przy matce, dopóki ona je karmi... Weźmiesz go sobie, jak wrócimy z Tagliacozzo.
- A jeżeli nie wrócimy z Tagliacozzo?
- Dlaczego mielibyśmy nie wrócić? Wrócimy pod koniec lata — odrzekł Marcello wsuwając palce w ciemne i jedwabiste loki córeczki.
- Aj, boli! — zawołała- natychmiast dziewczynka, gdy pociągnął ją za włosy.
- Marcello cofnął rękę i powiedział z uśmiechem:
- Dlaczego mówisz, że cię to zabolalo? Sama wiesz najlepiej, że to nieprawda.
- A właśnie, że mnie zabolalo — odpowiedziała z patosem. Potem podnosząc czysto kobiecym ruchem dłoń do skroni, dodała: — A teraz mnie strasznie rozboli głowa.
- Wobec tego pociągnę cię za uszy — powiedział wesoło Marcello. Odgarnął delikatnie włosy nad małym uchem, okrągłym i różowym, i pociągnął je leciuteńko, potrząsając nim jak dzwonkiem.
- Ojej, ojej, ojej — krzyknęła dziewczynka przenikliwym głosem, udając ból, przy czym jej twarz pokryła się delikat* nym rumieńcem, li Ojej, jak boli!

— No i widzisz, jaki z ciebie kłamczuch! — skarcił ją Marcello' puszczając ucho. — Wiesz przecież, że nie wolno kłamać.

— Tym razem — powiedziała rozsądnie— mogę ci przysiąc, że mnie bolało.

— Chcesz jakąś lalkę na noc do łóżeczka? — zapytał Marcello spoglądając na dywan, na którym leżały porzrzucone zabawki.

Obrzuciła lalki wzgardliwym i obojętnym spojrzeniem i odpowiedziała, jak gdyby robiąc ojcu ustępstwo:

— Jeżeli chcesz...

— Jak to, jeżeli chcę? — zapytał Marcello z uśmiechem. — Mówisz tak, jak gdybyś robiła to dla mnie. Nie lubisz spać z lalkami?

— Tak, lubię — zgodziła się — daj mi — zawahała się patrząc na dywan — daj mi tę w różowej sukience.

Marcello wstał i spojrzał na dywan:

— Wszystkie są w różowych sukienkach.

— Są różne różowe kolory — odrzekła dziewczynka niecierpliwie i przemądrzale — ta lalka ma sukienkę takiego samego koloru jak róże na balkonie.

Czy to ta? — zapytał Marcello podnosząc I dywanu najładniejszą i największą lalkę.

— No i widzisz, że nie rozumiesz — odrzekła surowo. Wskoczyła nagle z łóżka, wbiegła na dywan i wzięła leżącą w rogu

szmacianą lalkę, bardzo brzydką, z pomiętą i poczerniałą twarzą, po ezyrh szybko wróciła do łóżka, mówiąc: — Zrobione. — Tym razem ułożyła się pod prześcieradłem na wznak, przytulając czule spokojną i ró-1 zową buzię do poczerniałej i zdziwionej twarzyczki lalki. Giulia wróciła z butelką i łyżką w rękę.

— No — powiedziała podchodząc do córki — wypij lekarstwo.

Dziewczynka nie dała się prosić. Posłusznie uniosła się na łóżku podsuwając twarz z otwartymi ustami, ruchem podobnym doj chwytającego pokarm ptaka. Giulia włożyła jej łyżkę do ust i wlała w nie lekarstwo, szybko ją przechylając. Dziewczynka położyła się mówiąc:

— Jakie niedobre!

— Dobranoc — powiedziała Giulia, pochyliła się i pocałowała Córeczkę.

— Dobranoc, mamusiu, dobranoc, tatusiu — powiedziała dziewczynka piskliwym głosem. Marcello pocałował ją w policzek i poszedł za żoną. Giulia zgasła światło i zamknęła drzwi.

W korytarzu zwróciła się do męża i powiedziała:

— Myślę, że kolacja jest już gotowa.

I Marcello zauważył dopiero wtedy, w tym oskarżycielskim półmroku, że Giulia ma spuchnięte oczy jak gdyby od płaczu. Wizyta w dzieciennym pokoju dodała mu otuchy, ale teraz na widok oczu żony zląkł się znowu,

że nie zdobędzie się na spokój i opanowanie, jak sobie postanowił. Tymczasem Giulia weszła już do jadalnego pokoju, niewielkiego, z okrągłym stolikiem i kredensem. Stół był nakryty, wisząca nad nim lampa zapalona, z otwartego okna dobiegał głos radia, który triumfalnie i pośpiesznie obwieszczał upadek faszyzmu, stylem używanym zazwyczaj w sprawozdaniach z piłkarskich meczów.

Weszła służąca, podała zupę i wyszła. Zaczęli jeść powoli, powściągliwymi ruchami. Radio rozszalało się nagle. Spiker donosił teraz rozgorączkowanym głosem, używając określeń pełnych egzaltacji, że nieprzeliczone tłumy wyległy na ulice wiwatując na cześć króla.

— Ohyda — powiedziała Giulia odkładając łyżkę i patrząc w okno.

— Dlaczego ohyda?

— Wczoraj jeszcze oklaskiwali Mussolini, przed kilkoma dniami urządzali owacje papieżowi, bo się spodziewali, że uratuje ich przed bombardowaniem... dzisiaj wiwatują na cześć króla, który utracił Mussolini.

Marcello nic nie odpowiedział, "znał tak dobrze sądy i reakcje Giulii w sprawach publicznych, że z góry mógł je przepowiadać. Były to reakcje i sądy osoby bardzo prostej, nie interesującej się w najmniejszym nawet stopniu głębokimi przyczynami tkwiącymi u źródeł wszystkich wydarzeń,

kierującej się przede wszystkim względami uczuciowymi i osobistymi.

Skończyli jeść w milczeniu, podczas gdy radio grzmiało nadal. Potem nagle, gdy pokojówka wniosła drugie danie, radio umilkło, zapanowała cisza, a wraz z ciszą zdawało się powracać znowu dokuczliwe uczucie dusznego gorąca parnej letniej nocy. Chwilę patrzyli na siebie, po czym Giulia spytała:

— I co teraz zrobisz? Marcello odpowiedział krótko:

—Zrobię to samo* co ci wszyscy, którzy znaleźli się w tej samej sytuacji. Nie brak ludzi we Włoszech, którzy w to wierzyli,

Giulia zawahała się, nim zaczęła mówić. Potem powiedziała powoli: . — Nie... miałam na myśli, co zrobisz ze sprawą Quadriego?

Wiedziała więc, wiedziała może od samego początku. Marcello poczuł, że na te słowa serce zamarło mu w piersi, tak jak zamarłoby przed dziesięciu laty, gdyby ktoś zapytał go niespodziewanie: "Co zrobisz ze sprawą Lina?" Wówczas, gdyby miał klar jasnowidzenia, powinien był odpowiedzieć: "Zabiję Quadriego". Ale teraz? Położył widelec koło talerza i gdy tylko nabrał pewności, że nie zadrży mu głos, powiedział: — Nie rozumiem, o czym mówisz. Spuściła oczy, krzywiąc się jak gdyby do płaczu. Potem powiedziała powolnym i smutnym głosem;

— W Paryżu Lina, może dlatego, że chciała mnie do ciebie zrazić, powiedziała mi, że pracujesz w tajnej policji.

— A co ty jej odpowiedziała?

— Że mnie to nic nie obchodzi. Że jestem twoją żoną i że cię kocham bez względu na to, jakie jest twoje zadęcie. Że jeśli to robisz, to widocznie uważasz, że tak trzeba.

Marcello nic nie odpowiedział, bezwiednie wzruszony tą wiernością niezłomną i ślepa. Giulia ciągnęła dalej niepewnym głosem: I— Ale potem, kiedy Lina i Quadri zostali zamordowani, strasznie się złąkłam, że ty masz z tym coś wspólnego... i od tej pory stale o tym myślałam... ale nie mówiłam ci tego, bo skoro tyś mi nigdy nic nie wspominał o twoich sprawach zawodowych, myślałam, że z wyższych względów nie należy o tym mówić.

— A co teraz myślisz?

— Ja? — powiedziała Giulia podnosząc oczy i patrząc na niego. Marcello zobaczył, że ma oczy załzawione, i zrozumiał, że płacz wystarcza za odpowiedź. Dorzuciła jednak z wysiłkiem:

— Sam mi mówiłeś w Paryżu, że wizyta u Quadriego ma wielkie znaczenie dla twojej kariery... więc myślę, że to może być prawda.

Odpowiedział od razu:

— To prawda.

Giulia — jak się przekonał — do tej chwili nie traciła jeszcze nadziei, że Marcello

jej zaprzeczy. Na jego słowa, jak na sygnał, opadła na stół z twarzą wspartą na rękę i zaczęła szlochać. Marcello wstał, podszedł do drzwi i przekreślił klucz w zamku. Potem zbliżył się do niej i, nie pochylając się, położył jej dłoń na włosach.

— Jeżeli chcesz — powiedział — jutro się rozstaniemy... odwiozę cię z dzieckiem do Tagliacozzo, potem wyjadę i nie zobaczysz mnie więcej... Czy chcesz, żebyśmy tak zrobili?

Giulia natychmiast przestała szlochać, jak gdyby nie wierząc własnym uszom. Potem sponad zgiętej ręki, o którą opierała twarz, dobiegł go jej głos smutny i zdziwiony:

— Jak to, co ty mówisz?... Rozstać się?... Nie o to chodzi... Ja się boję o ciebie... co ci teraz zrobia?

A więc, pomyślał, Giulia nie odczuwała ani zgrozy, ani żalu z powodu śmierci Liny i Quadriego, jedynie lęk o niego, o jego życie, o jego przyszłość. Ta obojętność spotęgowana miłością zrobiła na nim dziwne wrażenie, czuł się jak człowiek, który, wchodząc po ciemku na schody, podnosi nogę myśląc, że natrafi na jeszcze jeden stopień, a tymczasem trafia w pustkę, bo doszedł już do podestu. Oczekiwał i spodziewał się pełnego zgrozy oburzenia i surowego sądu. A tymczasem napotkał tę samą co zawsze miłość, ślepą i solidarną. Powiedział z pewnym zniecierpliwieniem:

— Nic mi nie zrobia... nie ma żadnych

dowodów... a poza tym ja tylko wypełniłem rozkaz. — Zawahał się na moment, bo brzydził się i wstydził utartych frazesów, po czym dokończył z wysiłkiem: — Spełniłem tylko mój obowiązek, jak żołnierz.

Giulia uczepiła się kurczowo tego wyświechtanego zdania, które w swoim czasie nie uspokoiło nawet agenta Orlando.

— Tak, ja też tak myślałam — powiedziała podnosząc głowę, chwytając go za rękę i obsypując ją gradem pocałunków. — Zawsze sobie mówiłam: Marcello jest w gruncie rzeczy żołnierzem, żołnierze też zabijają, bo taki mają rozkaz... To nie jego wina, że zmuszają go do takich rzeczy... Ale czy myślisz, że po ciebie przyjdą?... Jestem pewna, że ci, od których odbierałeś rozkazy, uciekną... a ty, chociaż nie ponosisz odpowiedzialności i nie masz z tym nic wspólnego, będziesz aresztowany. — Odwróciła jego rękę i z równym zapamiętaniem całowała teraz wewnętrzną stronę dłoni.

— Uspokój się — rzekł Marcello głaszcząc ją. — Mają teraz co innego do "roboty niż szukać mnie.

— Ale ludzie są tacy źli... Wystarczy ktoś, kto ma do ciebie urazę... złożą donos... a poza tym zawsze się dzieje tak samo: grube ryby, ci, którzy rządzą i robią miliony, ratują się; a takie płotki jak ty, ci, co spełniają swoje j obowiązki i nie uciuli ani grosza, ponoszą całą odpowiedzialność... Och, Marcello, tak się strasznie boję!

'— Nie bój się, wszystko się ułoży.

— Och, wiem, że się ułoży, czuję to... I taka już jestem zmęczona! — Giulia mówiła teraz z twarzą przytuloną do jego dłoni, ale już jej nie całowała. ~ Po urodzeniu Lucilli, chociaż wiedziałam, jaki jest twój zawód, mówiłam sobie: mam urządzone życie, mam dziecko, męża, którego kocham, dom, rodzinę, jestem szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa... byłam po raz pierwszy w życiu szczęśliwa i wydawało mi się, że to sen... prawie nie mogłam w to uwierzyć... i zawsze ogarniał mnie strach, że wszystko się skończy i szczęście nie potrwa długo... I rzeczywiście niedługo trwało, i teraz musimy uciekać... Stracisz posadę i nie wiadomo, co ci mogą zrobić... Dla tego biednego dziecka to będzie gorsze, niż gdyby było sierotą... przyjdzie nam zaczynać wszystko od początku... a może nawet nie da się zacząć od początku i nasza rodzina się rozpadnie. — Znowu wybuchnęła płaczem i oparła głowę na rękę.

Marcello przypomniał sobie nagle wizję, ■która mignęła mu przedtem w wyobraźni: bicz boży, chłuszczący bezlitośnie całą rodzinę, jego, który zawinił, i jego żonę i córkę, które były niewinne, i przeszył go bolesny dreszcz. Dało się słyszeć stukanie do drzwi, odkrzyknął więc pokojówce, że skończyli już jeść i że jest niepotrzebna. Potem schylając się nad Giulią powiedział z czułością:

— Proszę cię, nie płacz już i uspokój się... Nasza rodzina nie zginie., pojedziemy do Ameryki, do Argentyny, i stworzymy sobie nowe życie.. Tam też będziemy mieli dom, będę ja i będzie Lucilla... Nie trać otuchy, zobaczysz, że wszystko się ułoży.

Giulia podniosła twarz zalaną łzami i powiedziała tym razem pełna nadziei:

— Pojedziemy do Argentyny? Ale kiedy?

— Jak tylko to będzie możliwe... Jak tylko wojna naprawdę się skończy.

— A na razie?

— Na razie wyjedziemy z Rzymu i zostaniemy przez jakiś czas w Tagliacozzo... tam nikt nie będzie nas szukał... Zobaczysz, że wszystko pójdzie dobrze.

Te słowa najwyraźniej podniosły Giulie na duchu, przede wszystkim dlatego, jak pomyślał Marcello, widząc, iż żona wstaje i wyciera sobie nos, że ich ton był bardzo stanowczy.

— Wybacz mi — powiedziała — jestem taka głupia... Powinam ci przecież pomóc, a tymczasem jestem taka głupia, że potrafię tylko płakać. — Zaczęła zbierać talerze ze stołu i ustawiać je na kredensie. Marcello podszedł do okna i wyjrzał przechylając się przez parapet. Zobaczył, że przez mleczne szyby stojącej naprzeciw kamienicy, piętro po piętrze, aż do nieba, świecą się przymglonym światłem lampy na klatce schodowej. W głębokich wybetonowanych podwórzach gęstniał czarny jak węgiel mrok.

Noc była spokojna i upalna; nawet nadstawiając ucha nie słyszało się innego ocEgło- su oprócz szumu gumowego węża, którym ktoś podlewał grządki na dziedzińcu. Marcello powiedział odwracając się:

— Chcesz się trochę przejechać do centrum miasta?

— Po co? — zapytała. — W jakim celu? Tam muszą być tłumy ludzi.

— No' i właśnie zobaczysz — odpowiedział prawie beztrosko — jak wygląda upadek dyktatury.

— Ale Lucilla... nie mogę zostawić jej samej... a gdyby przypadkiem był nalot?

— Możesz być spokojna, nie będzie nalotu dziś w nocy.

— Ale dlaczego mamy jechać do centrum — sprzeciwiła się — nie rozumiem cię doprawdy... chcesz rozdrapywać rany? Jaką w tym znajdujesz przyjemność?

— No, to zostań w domu — odrzekł. — Pojadę sam.

— Nie, pojadę z tobą — odpowiedziała szybko. — Wolę być z tobą, w razie gdyby miało cię spotkać coś złego... Dzieckiem zaopiekuje się służąca.

— Nie bój się, dziś nie będzie nalotu.

— Idę się przebrać — powiedziała wychodząc z pokoju.

Gdy Marcello został sam, znów podszedł do okna. W ' przeciwległej kamienicy schodził ktoś teraz ze schodów, jakiś mężczyzna. Widać było jego cień przesuwany się z piętra

na piętro za mlecznymi szybami. Schodził ochotczo; sądząc po ruchliwości cienia, musiał być młody i może pogwizdywał, jak pomyślał z zazdrością Marcello. Potem znów zadudniło radio. Marcello usłyszał ten sam głos, który oznajmiał, jak gdyby na zakończenie uprzednich wywodów: — ... wojna trwa nadal. — Było to orędzie nowego rządu, którego już przedtem słuchali. Marcello wyjął z 'kieszeni papierośnicę i zapalił papierosa.

ROZDZIAŁ II

Ulice na peryferiach były puste, ciche i ciemne, niemal obumarłe, jak kończyny wielkiego ciała, którego wszystka krew spłynęła w jedno miejsce. Lecz gdy samochód dojeżdżał do śródmieścia, Marcello i Giulia napotykali po drodze coraz to liczniejsze gromady rozkrzyczanych i gestykulujących ludzi. Na jednym ze skrzyżowań Marcello zwolnił biegu i stanął, by przepuścić kolumnę samochodów ciężarowych, pełnych dzieci i młodych kobiet, które wymachiwały chorągwiami i transparentami. Te udekorowane i przepelnione ciężarówki, z ludźmi pouczepianymi błotników i stopni, zostały powitane oklaskami przez tłumy zalegające chodniki. Ktoś zajrzał do okna samochodu Marcella i krzyknął Giulii prosto w twarz: — Niech żyje wolność! — Giulia powiedziała: — Czy nie byłoby rozsądniej wrócić do domu?

— Dlaczego? — odrzekł Marcello obserwując ulice przez szybę — przecież oni szaleją z radości, na pewno nawet nie przyjdzie im do głowy krzywdzić kogoś... Teraz zaparkujemy gdzieś samochód i przejdziemy się trochę, żeby zobaczyć, co się dzieje.

— Nie ukradną nam samochodu?

— Bzdury pleciesz!

Marcello we właściwy sobie sposób, pełen zastanowienia, spokojnie, cierpliwie prowadził wóz przez ulice śródmieścia. W rzadkim półmroku zaciemnienia przeciwlotniczego widać było falowanie tłumu, który to tłoczył się w miejscu, to rozpraszał, to znów grupował się i podbiegał, ale biła z niego jedna wielka i szczerą radość z upadku dyktatury. Obcy ludzie padali sobie w ramiona na środku ulicy; niektórzy, obserwując spokojnie, uważnie i w milczeniu przejazd udekorowanej sztandarami ciężarówki, wyrzucali nagle w górę kapelusze, wiwatując krzykliwie, lub biegli jak sztafeta od jednej grupki do drugiej, powtarzając entuzjastyczne i radosne słowa; inni jeszcze, jak gdyby zdjęci nagle furią i nienawiścią, podnosili pięść i wygrażali w kierunku jakiegoś zamkniętego i ciemnego budynku, który był dotąd siedzibą władz. Marcello zauważył, że mnóstwo kobiet towarzyszy mężom, czasami nawet wraz z dziećmi, co nie zdarzało się już od dawna podczas przymusowych manifestacji upadłego reżimu. Tworzyły się szeregi mężczyzn, ożywionych, złączonych jakimś tajnym węzłem partyjnym, i maszerowały wśród oklasków, rozpraszając się potem w tłumie; duże grupy otaczały z aplauzem zaimprovizowanych mówców; inni zbierali się i śpiewali chórem na całe gardło hymn wyzwolenia. Mar

cello prowadził ostrożnie, cierpliwie, wymijając każde zbiegowisko, posuwając się bardzo wolno.

— Jacyż oni szczęśliwi! — powiedziała Giulia dobrodusznie i niemal solidarnym tonem, zapominając nagle o swoich lękach i troskach.

— Ja bym też był szczęśliwy na ich miejscu.

Przejechali już spory kawałek ulicy del Corso, wciąż otoczeni tłumem, za kilkoma innymi samochodami, które także powoli posuwały się naprzód; potem, przy jednym z zaułków, Marcello skręcił i po przejściu kolumny demonstrantów udało mu się tam wjechać. Szybko poprowadził wóz przez zaułek, zboczył w inną, całkiem pustą uliczkę, zatrzymał się, zgasił silnik i zwracając się do żony powiedział:

— Wsiadamy.

Giulia wysiadła bez słowa, Marcello starannie zamknął wóz i podążył za nią na powrót ku ulicy, z której przyjechali. Był teraz zupełnie spokojny, opanowany, rzeczowy, taki, jakim pragnął być przez cały dzień. Jednakże kontrolował się i gdy znalazł się znów na zatłoczonej ulicy i buchnęła mu w twarz radość tłumu, gwałtowna, głośna, szczerza, agresywna, od razu, nie bez niepokoju, zadał sobie pytanie, czy nie budzi w nim ona jakichś mniej pogodnych uczuć. Nie, pomyślał po chwili głębokiego zastanowienia. Był naprawdę spokojny, apa

tyczny i prawie przygaszony, gotów przyglądać się radości innych, nie biorąc w niej co prawda udziału, ale również nie uważając jej za groźbę ani za afront.

Zmieszani z tłumem, szli przed siebie bez celu, od jednej grupki do drugiej, z jednego chodnika na drugi. Giulia nie bała się już, ona także zdawała się spokojna i opanowana; ale z innej przyczyny, pomyślał, dzięki swojej dobrodusznej łatwości przystosowania się do ogólnych nastrojów. Tłum nie tylko nie rzedniał, lecz nawet gęstniał z każdą chwilą. Był to tłum, jak zauważył Marcello, niemal bez wyjątku radosny, radością zdziwioną, nie dowierzającą, która objawiała się niezdarnie, niepewna, czy ujdzie jej to bezkarnie. Z trudem torując sobie drogę w tej ciżbie ludzkiej, przejechały dalsze samochody ciężarowe pełne robotników, mężczyzn i kobiet, powiewających trójkolorowymi i czerwonymi sztandarami. Przejechał otwarty niemiecki samochód, w którym siedziało spokojnie dwóch oficerów z uczepionym drzwiczek żołnierzem w bojowym rynsztunku, z "rozpylaczem" w ręku: z chodników dobiegły gwizdy i szydercze okrzyki. Marcello zauważył także wielu żołnierzy w rozsypce; bez broni, o głupkowatych chłopskich twarzach, rozpromienionych pijaną nadzieją, rzucali się sobie w objęcia. Na widok dwóch żołnierzy, którzy szli obejmując się jak para narzeczonych i którym spod rozpiętych kurtek

widać było objijające się bagnety, Marcello uświadomił sobie, że po raz pierwszy w tym dniu odczuwa coś w rodzaju pogardy: byli to ludzie w mundurach, a dla niego mundur symbolizował zawsze godność i honor, bez względu na to, kto go nosił. Giulia, jak gdyby odgadując jego myśli, wskazała palcem na tych dwóch rozchełstanych i wniebowziętych żołnierzy i zapytała:

— Czy nie mówili w radio, że wojna trwa nadal?

— Mówili M powiedział Marcello z nagłym wyrzutem sumienia, zdobywając się z niemal bolesnym wysiłkiem na wyrozumiałość — ale to nieprawda... ci biedacy mają rację, że się cieszą: dla nich wojna rzeczywiście się skończyła.

Przed bramą ministerstwa, w którym Marcello odbierał niegdyś rozkazy związane z wyjazdem do Paryża, zgromadził się olbrzymi tłum, który protestował, wrzeszczał i wygrażał w powietrzu pięściami. Ludzie stojący na przedzie walili w bramę, żeby im otworzono. Słysząc było nazwisko dopiero co utraconego ministra, powtarzane przez tłum tonem pełnym nienawiści i pogardy. Marcello długo obserwował to zbiegowisko, nie mogąc się zorientować, czego właściwie chcą demonstranci. W końcu brama uchyliła się lekko i w szparze ukazał się woźny w wygalonowanej liberii, blady, z błagalnym wyrazem twarzy. Powiedział coś do kilku stojących najbliżej, ktoś wszedł

do bramy, która zatrzasnęła się natychmiast, tłum krzychał jeszcze przez chwilę, po czym się rozproszył; ale nie całkiem, pozostała bowiem garstka najbardziej zawziętych, którzy z krzykiem walili nadal w zamkniętą bramę.

Marcello poszedł dalej i znalazł się na przyległym placu. Tłum cofnął się i on z nim razem, na okrzyk: — Rozstąpić się, rozstąpić się! — Wychyliwszy się zobaczył kilku chłopców ciągnących na linie popiersie dyktatora; popiersie wyglądało jak z brązu, ale w istocie zrobione było z gipsu, na co wskazywały białe odpryski, widoczne na bruku po przejściu chłopców. Mały, czarny mężczyzna, o twarzy ginącej za olbrzymimi okularami w szylkretowej oprawie, przyjrzał się popiersiu, po czym wybuchnął śmiechem i powiedział do Marcella sentencjonalnym tonem: — Wyglądał jak z brązu, a tymczasem to była zwykła glina. — Marcello nic nie odpowiedział i wyciągając szyję wpatrywał się uważnie w popiersie, które przesunęło się przed nim, objając się ciężko o jezdnię. Było to popiersie, jakich setki stały po różnych ministerstwach i urzędach: ordynarnie stylizowane, z wystającą szczęką, z głęboko osadzonymi, okrągłymi oczyma, z gładką i kulistą czaszką. Bezwiednie pomyślał o tym, że te usta ze sztucznego brązu, wyrzeźbione według ust żywych i tak niegdyś aroganckich, walały się teraz w kurzu, wśród

gwizdów i szyderczych okrzyków tego samego tłumu, który niedawno entuzjastycznie łowił padające z nich słowa. Giulia zdawała się znowu odgadywać jego myśli, szepnęła mu bowiem:

— I pomyśl tylko, że niedawno wystarczało takie popiersie w poczekalni, żeby ludzie ścisiali głos.

Odrzekł sucho:

— Teraz, gdyby wpadł im żywy w ręce, zrobiliby z nim to samo, co z tym popiersiem.

— Myślisz, że go zabiją?

— Na pewno, jeżeli go tylko dostaną w ręce.

Zrobili jeszcze kilka kroków w tłumie, który burzył się i wirował w ciemnościach jak woda, nieokiełznana i niepewna podczas powodzi. Na rogu jednej z ulic grupka ludzi przystawiła do ściany gmachu długą drabinę, po czym ktoś wdrapał się na jej szczyt i rozbijał młotkiem kamienną płytę, na której widniał symbol reżimu. Jakiś mężczyzna powiedział, śmiejąc się, do Mar- cella:

— Oznak faszystowskich jest wszędzie do licha i trochę... samo ich usuwanie zajmie Julka lat.

— Pewnie — rzekł Marcello.

Przeszli przez plac i przepychając się przez tłum doszli do galerii. Prawie po ciemku, w mdłym świetle przyćmionych lampek, u zbiegu dwóch' odgałęzień galerii,

grupka ludzi otaczała w krąg coś, czego z daleka nie można było dojrzeć. Marcello zbliżył się i zobaczył, że powodem zbiegowiska jest chłopak, który tańczył parodiując komiczne gesty i węzowe ruchy tancerek w tańcu brzucha: miał włożony przez głowę, jak kołnierz, przedziurawiony portret dyktatora, kolorowy oleodruk, co wyglądało tak, jak gdyby ktoś, wzięty w dyby, tańczył z narzędziem tortur wiszącym mu na szyi. Kiedy wracali przez plac, młody oficer z czarną bródką i fanatycznymi oczyma, trzymający pod ręką ciemną i rozgorączkowaną dziewczynę, której włosy rozwiewały się na wietrze, pochylił się do Marcello i krzyknął egzaltowanym i jednocześnie pouczającym tonem:

— Niech żyje i wolność, ale przede wszystkim niech żyje król!

Giulia spojrzała na męża.

— Niech żyje król — powiedział nie mrugnawszy okiem Marcello. Oddalili się, po czym Marcello rzekł: — Jest wielu monarchistów, którzy próbują wykorzystać sytuację na korzyść monarchii... Chodźmy zobaczyć, co się dzieje na Piazza del Quirinale.

Wrócili nie bez trudności do samochodu, skąd skręcili w uliczkę, na której zostawili samochód. Gdy Marcello zapalał silnik, Giulia powiedziała:

— Czy to naprawdę konieczne... tak mnie już zmęczył ten wrzask.

— Nie mamy przecież nic lepszego do roboty.

Marcello szybko poprowadził wóz poprzecznymi ulicami, w górę, aż do Piazza del Quirinale. Gdy znaleźli się na placu, zobaczyli, że nie jest zbyt zatłoczony. Tłum zwarty pod balkonem, na którym ukazywały się zazwyczaj osobistości z rodziny królewskiej, rzedniał na krańcach placu, pozostawiając dużo wolnego miejsca.

Także i tutaj było ciemnowo, duże żelazne latarnie, ze zwisającymi gronami żółtych, smutnych lamp, słabo oświetlały czerniejące ludzkie mrowie. Oklaski i okrzyki także były rzadsze; tutaj, bardziej niż gdzie indziej, rzucało się w oczy, że tłum sam nie bardzo wie, czego chce. Ciekawość zdawała się górować nad entuzjazmem: jak niedawno ludzie szli, niczym na widowisko, zobaczyć i posłuchać dyktatora, tak samo teraz chcieli zobaczyć i usłyszeć tego, który go pozbawił władzy. Giulia zapytała cicho, gdy samochód objeżdżał plac:

— Ale czy król pokaże się na balkonie?

Marcello, zanim jej odpowiedział, pochylił głowę, żeby spojrzeć przez szybę do góry, na balkon. Był on lekko oświetlony dwiema różowawymi pochodniami, pośrodku widniała w oknie opuszczona żaluzja. Potem odrzekł:

— Nie sędzę... dlaczego miałby się pokazać?

— Więc na co czekają ci wszyscy ludzie?

— Na nic... to już weszło w zwyczaj, że gromadzą się na placu i kogoś wywołują.
Marcello wolniutko objechał plac dokoła, prawie odsuwając łagodnie błotnikami ociągające się z odejściem grupki. Giulia powiedziała nieoczekiwanie:
— Wiesz, że jestem prawie rozczarowana.
— Dlaczego?
— Myślałam, że oni będą wyrabiać Bóg wie co: palić domy, mordować ludzi... Kiedy wychodziliśmy z domu, bałam się o ciebie i dlatego z tobą pojechałam, a tu nic: tylko krzyki, oklaski, niech żyje, precz, śpiewy,- defilady...
Marcello nie mógł się powstrzymać, żeby nie odpowiedzieć:
— Najgorsze dopiero nastąpi.
— Co to znaczy? — zapytała głosem nagle przepelnionym lękiem. — Dla nas czy dla innych?
— Dla nas i dla innych.
Od razu pożałował tych słów, bo poczuł, że Giulia, wystraszona, mocno go chwytła za ramię:
— Przez cały czas wiedziałam, że to nieprawda, co mówiłeś: że wszystko się ułoży... i teraz ty sam to potwierdzasz.
— Nie bój się... mówiłem to ot tak sobie.
Tym razem Giulia nic nie odpowiedziała, tylko chwyciła go obiema rękami za ramię i przytuliła się do niego. W niewygodnej pozycji, nie chcąc jednak odsuwać żony, Marcello poprowadził wóz bocznymi uli

camy znowu w kierunku Corsa. Znalazłszy się na Corso, pojechał poprzecznymi i mniej uczęszczanymi ulicami na Piazza del Po- polo. Stamtąd podjechał w górę na Pincio, kierując się ku Villa Borghese. Minęli Pincio, ciemne, pełne marmurowych popiersi, objechali dokoła cavalcatio, jadąc w stronę Via Veneto. Gdy byli już przy Porta Pinciana, Giulia powiedziała nagle smutnym i żalonym głosem:

— Nie chcę wracać do domu.

— Dlaczego? — zapytał Marcello zwalniając biegu.

— Nie wiem — odrzekła patrząc przed siebie — ściska mi się serce, jak tylko o tym pomyśle... Wydaje mi się, że to dom, z którego mamy wyjechać na zawsze... Ale nic strasznego — dorzuciła pośpiesznie — tylko dom, z którego się trzeba wyprowadzić.

— Wobec tego dokąd chcesz pojechać?

— Dokąd ty chcesz.

— Chcesz się przejechać po Villa Borghese?

— Tak, dobrze.

Marcello poprowadził wóz długą, ciemną aleją, w głębi której widniał bielejący gmach muzeum Borghese. Gdy dojechali do placu, zatrzymał samochód, zgasił motor i spytał:

— Przejdziemy się kawalek?

— Dobrze, jeżeli masz ochotę.

Wysiedli z samochodu i trzymając się pod

ręce poszli do ogrodów znajdujących się za muzeum. Park był pusty, wydarzenia polityczne przepłoszyły zeń nawet zakochane pary. W półmroku, na ciemnym tle gęstwiny drzew, białały posągi w bohaterskich lub elegijnych pozach. Doszli do fontanny i przystanęli tam na moment, patrząc w milczeniu na czarną i nieruchomą wodę. Giulia trzymała teraz męża za rękę, wplatając palce pomiędzy jego palce, jak gdyby spragniona jakiegokolwiek, choćby najbliższej pieśczoły. Ruszyli dalej, weszli w bardzo ciemną aleję, w dębowy lasek. Po kilku krokach Giulia zatrzymała się nagle i objąwszy. Marcella jedną ręką za szyję, pocałowała go w usta. Stali tak przez dłuższą chwilę, przytuleni do siebie, całując się w środku, alei. Potem oderwali się od siebie i Giulia szepnęła chwytając męża za rękę i ciągnąc go do lasku:

— Chodź, chcę teraz, tutaj... na ziemi.

— Jak to — wykrzyknął bezwiednie Marcella — tutaj?

— Tak, tutaj — powiedziała — dlaczego nie?... Chcę, to mi jest potrzebne, żeby się upewnić.

— Upewnić się? Co do czego?

— Wszyscy myślą o wojnie, o polityce, o samolotach... a można by żyć tak szczęśliwie... Chodź, zrobiłabym to nawet na środku jednego z ich placów — dodała z nagłą rozpaczą — choćby po to, aby pokazać, że przynajmniej ja myślę o czym innym... chodź.

Teraz ogarnęła ją jakby gorączka i szła przed nim w gęstym mroku, między pniami drzew.

—Widzisz, jaka piękna sypialnia — dostyszał jej szept. — Niedługo nie będziemy już mieli domu... ale tej sypialni nikt nam nie odbierze... będziemy mogli tutaj spać i tutaj się kochać, kiedy tylko zechcemy. — Nagle znikła mu z oczu, jak gdyby zapadła się pod ziemię. Marcello szukał jej wzrokiem i dostrzegł ją w ciemności, leżącą pod drzewem, na ziemi; głowę miała opartą na jednej ręce, jak na poduszce, drugą wyciągała do niego, w milczeniu, zapraszając go, by wyciągnął się przy jej boku. Usłuchał, a gdy tylko się położył, Giulia oplotła go mocno ramionami i nogami, całując go w ślepym i zapamiętałym uniesieniu po całej twarzy, jak gdyby szukała na jego czole i na policzkach innych ust, przez które mogłaby w niego przeniknąć. Prawie natychmiast jednak uścisk jej zelżał i Marcello zobaczył, że unosi się nad nim, patrząc w mrok.

—Ktoś idzie — powiedziała.

Marcello usiadł i rozejrzał się dokoła. Między drzewami widać było połyskującą z daleka ręczną latarkę, rzucającą słaby snop światła na ziemię. Nie dobiegał najlżejszy nawet szmer, zeschnięte liście, którymi pokryte było podszycie lasu, tłumilo odgłos kroków nieznajomego. Latarka zbliżała się w ich kierunku i Giulia nagle po-

prawiła suknię i usiadła obejmując rękami kolana. Siedzieli obok siebie opierając się o drzewo i patrzyli na zbliżające się światelko.

— To pewnie dozorca — szepnęła Giulia.

Teraz latarka rzuciła krąg światła na ziemię, tuż obok, po czym podniosła się i oświetliła ich całych. Oślepieni, patrzyli na majaczącą jak cień sylwetkę mężczyzny, z którego ręki płynęło owo białe światło. Marcello był pewien, że dozorca opuści latarkę, gdy tylko im się przyjrzy. A tymczasem światło dalej padało na nich w ciszy, która zdawała się pełna zdziwienia i namysłu.

— Czy dowiemy się wreszcie, czego od nas chcecie? — zapytał wtedy podrażnionym głosem.

— Niczego nie chcę, Marcello — odpowiedział od razu łagodny głos. I w tej samej chwili światło spłynęło z nich i zaczęło się poruszać i oddalać.

— Kto to może być? — szepnęła Giulia. — Najwidoczniej cię zna.

Marcello, głęboko wstrząśnięty, zastygł bez ruchu, brakowało mu tchu. Potem powiedział do żony:

— Poczekaj chwilę... zaraz wrócę. — Skoczył na równe nogi i pobiegł za nieznajomym. Dogonił go na skraju lasu, koło piedestału jednego z białych marmurowych posągów. Niedaleko stała latarnia i gdy ów mężczyzna obejrzał się na odgłos kroków,

Marcello późnał go od razu, chociaż tyle la minęło, po ascetycznej twarzy bez zafla i ostrzyżonych na jeża włosach. Wtedy widział tego człowieka w liberii szofera, teraz też miał on na sobie mundur, czarny, zapięty pod samą szyję, bufiaste spodnie i sztylpy ze skóry. Trzymał pod pachą czapkę i ściszał w dłoni ręczną latarkę. Od razu powiedział z uśmiechem:

— Póki się żyje, zawsze możliwe jest spotkanie.

Te słowa wydały się Marcellowi aż za dobrze dostosowane do okoliczności, choć były żartobliwe i rzucone może przypadkowo; zmęczony pościgiem i wstrząśnięty, powiedział zdyszczanym głosem:

— Ależ ja myślałem, że... że cię zabiłem.

— A ja sądziłem, Marcello, żeś się dowiedział, że mnie odratowano — odrzekł spokojnie Lino. — Wprawdzie jedna z gazet podała wzmiankę o mojej śmierci, ale to była pomyłka. W szpitalu umarł ktoś inny, kto leżał na sąsiednim łóżku... Myślałeś więc, że nie żyję... w takim razie dobrze powiedziałem: póki się żyje, możliwe jest spotkanie.

Marcello poczuł, że napęlnia go zgrozą nie tyle odnalezienie Lina, co jego ton, rozmowny i poufały, a jednak posepny, jaki niegdyś wszedł w zwyczaj między nimi. Powiedział z bólem:

— Ale to, że uważałem cię za zmarłego,

pociągnęło za sobą najrozmaitsze, konsekwencje. A tymczasem ty żyłeś.

— Ja także, Marcello, poniosłem najrozmaitsze konsekwencje — rzekł Lino patrząc na niego jakby ze współczuciem. — Myślałem, że to ostrzeżenie, i ożeniłem się., potem moja żona umarła i potem — ciągnął powoli — zaczęło się znowu to samo., co przedtem... Jestem teraz nocnym stróżem.; te ogrody są pełne chłopców, pięknych jak ty. — Wypowiedział te słowa zdumiewająco spokojnie i łagodnie, ale bez cienia pochlebstwa. Marcello zauważył dopiero teraz, że włosy Lina są prawie zupełnie siwe, a twarz jakby pełniejsza. — A tyś się ożenił... to twoja żona, prawda?

Marcello nie mógł znieść dłużej tej czczej i poufalej gadaniny. Chwycił Lina za ramiona i potrząsając nim powiedział:

— Mówisz do mnie tak, jak gdyby nic się nie stało... Czy zdajesz sobie sprawę, żeś mi zrujnował życie?

Tamten odpowiedział, nie próbując się uwolnić:

— Dlaczego mi to mówisz, Marcello? Ożeniłeś się, może nawet masz dzieci, wyglądasz na zamożnego człowieka, na co się skarżysz? Byłoby gorzej, gdybyś mnie naprawdę zabił.

— Ale ja — krzyknął bezwiednie Marcello — kiedy cię poznałem, byłem niewinny... a potem straciłem bezpowrotnie tę moją niewinność.

Zobaczył, że Lino patrzy na niego ze zdumieniem.

—Przecież wszyscy, Marcello, wszyscy byliśmy niegdyś niewinni... Czy i ja nie byłem niewinny? I wszyscy tracimy tę naszą niewinność w taki czy w inny sposób... tak się normalnie dzieje. — Marcello zluźnił chwyt i Lino uwolnił się od niego, mówiąc porozumiewawczo:

— Patrz, idzie twoja żona... lepiej, żebyśmy się już rozeszli!

—Marcello — dobiegł z ciemności głos Giulii.

Marcello obejrzał się i zobaczył Giulię, która zbliżała się niepewnie. Wtedy Lino włożył czapkę, skłonił się lekko na pożegnanie i oddalił się w kierunku muzeum.

—Kto to był? — zapytała Giulia.

—Mój szkolny kolega — odrzekł Marcello — który skończył jako nocny stróż.

— Chodźmy do domu — ^powiedziała ujmując go pod ramię.

—Nie chcesz się przespacerować?

— Nie, wolę wrócić do domu.

Doszli do samochodu, wsiedli i nie zamienili już ani słowa przez całą drogę. Marcello, prowadząc wóz, rozmyślał nad słowami Lina, w których bezwiednie zawarł on tak znamienne treści: "...wszyscy tracimy tę naszą niewinność, w taki lub w inny sposób... tak się normalnie dzieje". W tych słowach, pomyślał, mieścił się skondensowany sąd o jego życiu. Zrobił to, co

zrobił, żeby się wykupić' z domniemanej zbrodni; a jednak, dzięki słowom Lina, uświadomił sobie po raz pierwszy w życiu, że gdyby go nawet nie spotkał, nie strzelił do niego i nie żył w tym przekonaniu, że go zabił, słowem, gdyby nawet nic nie zaszło, on i tak, w każdym wypadku, musiałby utracić niewinność i, co za tym idzie, pragnąłby ją odzyskać i zrobiłby to, co zrobił. Usłyszał głos Giulii, która pytała: — o której godzinie wyjedziemy jutro rano? — i odegnał te myśli jak natrętnych i niepotrzebnych już świadków jego pomyłki.

— Jak tylko można najwcześniej — odpowiedział.

ROZDZIAŁ III

Marcello ocknął się ze snu o świcie i zobaczył czy też wydało mu się, że zobaczył, żonę stojącą w kącie przy oknie i wyglądającą przez szyby w szarawym świetle brzasku.. Była całkiem naga, jedną ręką odsuwała firankę, drugą trzymała na piersiach: nie wiadomo, czy gest ten wyrażał skromność, czy też zgryzotę. Długi kosmyk potarganych włosów zwisał jej wzdłuż policzka, na jej wysuniętej do przodu twarzy, bladej i bezbarwnej, malował się wyraz żalosego skupienia, smutnej kontemplacji. Jej figura także jak gdyby zatraciła przez tę noc swoją jędrną i kształtną pełność: jej piersi, nieco spłaszczone i zwiotczałe od czasu urodzenia dziecka, widoczne teraz z profilu, wykazywały wyraźną tendencję do sflaczałej obwisłości, czego nie zauważył nigdy przedtem; brzuch, nie tyle okrągły, co wzdęty, miał w sobie niezdarną i nieruchawą ociężałość, spotęgowaną jeszcze ustawieniem ud, które zaciskały się, jak gdyby drżąc, by zakryć łono. Zimne światło wschodzącego dnia, niczym spojrzenie niedyskretne i apatyczne, blado oświetlało jej nagość. Mar-

cello, patrząc na żonę, bezwiednie zadawał sobie pytanie, o czym ona myśli, gdy nieruchoma, w tej smudze światła przedświt, wpatruje się w pusty dziedziniec. I z głębokim współczuciem pomyślał, że może to sobie doskonale wyobrazić: "I oto — myślała na pewno oto wypędzają mnie z mojego domu, prawie w połowie mego życia, z maleńkim dzieckiem, zrujnowanym mężem, który nie widzi już dla siebie żadnych nadziei na przyszłość, którego los jest niepewny, którego życiu zagraża może niebezpieczeństwo. Oto wynik tylu wysiłków, tylu namiętności, tylu nadziei". Była rzeczywiście, powiedział sobie, jak Ewa wypędzona z Raju; a Rajem był ten dom z całą jego skromną zawartością: te rzeczy w szafach, garnki w kuchni, salon, w którym przyjmowała przyjaciółki, posrebrzane sztuce, fałszywe perskie dywany, serwis porcelanowy otrzymany w prezencie od matki, lodówka, wazon w przedpokoju, sypialnia podrobiona na styl Cesarstwa, kupiona na raty, i on, w łóżku, który na nią patrzył. I Rajem była też na pewno przyjemność spożywania posiłków w kółku rodzinnym dwa razy dziennie, spędzania nocy w ramionach męża, krzątania się przy zajęciach gospodarskich, robienia planów na przyszłość dla niego i córki. Wreszcie Rajem był spokój ducha, życie w zgodzie ze sobą i z innymi, pogoda spokojnego i nasyconego serca. Teraz anioł uzbrojony

w ognisty miecz, rozwścieczony i bezlitosny, wypędzał ją z tego Raju, nagą i bezbronną, na wrogi świat. Marcello obserwował ją jeszcze przez chwilę, skamieniała w melancholijnej kontemplacji. Potem na wpół we śnie, który znów zaczął mu kleić powieki, zobaczył, że znika, od okna zbliża się do wieszaka, zdejmując z niego szlafrok i wychodzi po cichu. Pomyślał, że zapewne usiądzie przy łóżeczku śpiącego dziecka — dalsza niewesoła kontemplacja —1 albo zrobi ostatnie przygotowania do wyjazdu. Przez chwilę chciał iść za nią, żeby ją jakoś pocieszyć. Ale był jeszcze bardzo śpiący i od razu zasnął na nowo.

Później, gdy w czystym blasku letniego poranka samochód mknął w kierunku Tagliacozzo, powrócił myślą do tej łzawej' wizji, zadając sobie pytanie, czy widział Giulie naprawdę, czy też mu się to tylko śniło. Żona siedziała tuż obok, przycisnięta do niego, żeby zrobić miejsce Lucilli, która uradowana przejażdżką, z głową wychyloną przez okno, klęczała na przednim siedzeniu. Giulia siedziała wyprostowana, w białej bluzce i rozpiętym żakiecie; trzymała wysoko głowę, twarz jej ocieniał podróżny kapelusz. Marcello zauważył, że miała na kolanach jakiś podłużny przedmiot) zawinięty w brązowy papier i obwiązany sznurkami.

— Co jest w tej paczce? — zapytał zdziwiony.

— Rozśmieszysz cię to — powiedziała — ale nie mogłam się z tym pogodzić, że mam zostawić w • domu ten kryształowy wazon, który stał w przedpokoju... Jestem do niego przywiązana, przede wszystkim dlatego, że jest śliczny, a także dlatego, że dostałam go od ciebie... pamiętasz... po urodzeniu małej... wiem, że to słabostka, ale przyda się nam... będę wkładała do niego kwiaty w Tagliacozzo.

A więc to była^ prawda, pomyślał, nie sen, tego ranka przy oknie widział Giulie we własnej osobie, a nie senne widziadło. Powiedział po chwili:

— Jeżeli go wzięłaś tylko dla przyjemności, to dobrze zrobiłaś... ale zapewniam cię, że wrócimy do domu z końcem lata, na pewno... nie poddawaj się panice.

— Nie poddaję się panice.

— Wszystko ułoży się jak najlepiej — powiedział Marcello zmieniając bieg, bo samochód podjeżdżał na wzniesienie — i potem będziesz szczęśliwa jak przez te ostatnie lata, a może nawet szczęśliwsza.

Giulia nic nie odpowiedziała, lecz nie wyglądała na przekonaną. Marcello, wciąż prowadząc wóz, obserwował ją przez moment: jedną ręką trzymała na kolanach wazon, drugą obejmowała wpół wyglądającą oknem córeczkę. Zdawała się wyrażać tym gestem, że wszystko, co kochała i co posiadała, znajdowało się teraz tutaj, w tym

samochodzie: mąż przy boku, po drugiej stronie dziecko i symbol rodzinnego życia, kryształowy wazon na kolanach. Przypomniawszy sobie, że w chwili odjazdu powiedziała rzucając ostatnie spojrzenie na fasadę kamienicy: — Ciekawe, kto też się wprowadzi do naszego mieszkania. — I zrozumiał, że nic jej nie przekona, bo nie kierowało nią wyrozumowane przeświadczenie, lecz straszliwe przecucie. Nagle zapytał spokojnie:

— O czym teraz myślisz? Powiedz.

— O niczym — odpowiedziała — naprawdę o niczym... oglądam krajobraz.

— Ale co w ogóle myślisz?

— W ogóle? Myślę, że sprawy wzięły dla nas zły obrót... ale nie ma w tym niczyjej winy.

— Może to moja wina.

— Dlaczego twoja wina? Nigdy nikt nie jest winien... wszyscy zarazem mylą się i nie mylą... Źle się dzieje, bo się źle dzieje> to wszystko. — Wypowiedziała to zdanie zdecydowanym tonem, jak gdyby chciała dać do zrozumienia, że nie ma ochoty dalej rozmawiać... Marcello umilkł i od tej chwili przez dłuższy czas nie zamienili już ani słowa.

Był wczesny ranek, lecz dzień już się zapowiadał upalny; przed samochodem, między zakurzonymi i jarzącymi się od światła żywoplotami drgało powietrze; odbicie lipcowego słońca rzucało na asfalt lśniące

refleksy. Droga biegła po falistym terenie, między żółtymi pagórkami najeżonymi suchym rżyskiem, gdzieś widniały zabudowania gospodarskie zagubione w dolinach pustych i bezdrzewnych. Raz po raz napotykali wóz zaprzęzony w jednego konia albo stary prowincjonalny samochód: była to mało uczęszczana droga, transporty wojskowe kierów? no innymi szlakami. Wszystko było spokojne, normalne, obojętne, pomyślał Marcello prowadząc wóz, nikomu nie powstałoby w głowie, że się jest w kraju ogarniętym wojną i rewolucją. Twarze nielicznych chłopów, których widzieli opartych o parkany lub w polu, z motyką u nogi, nie wyrażały nic poza tępym i pokojowym zainteresowaniem dla najprostszych, zwykłych spraw codziennego życia. Ci wszyscy ludzie myśleli o zbiorach, o deszczu, o słońcu, o cenach produktów rolnych albo zgoła o niczym. Giulia przez całe lata była jak ci chłopcy, pomyślał jeszcze. Prawie go to rozdrażniło i przemknęło mu przez myśl: tym gorzej dla niej. Życ, żyć po ludzku, nie oznaczało bynajmniej pograżać się leniwie w spokoju ofiarowanym przez pobłażliwą naturę, ale walczyć i borykać się nieustannie, rozstrzygać co chwila jakiś drobny problem, leżący w kręgu szerszych problemów, wiążących się z kolei z ogólnym problemem, jaki stanowiło właśnie życie. Ta myśl przywróciła mu wiarę w siebie. Tymczasem samochód wjeżdża

dzał z krajobrazu równinnego i pustego między czerwone skały łańcucha wzgórz. Może dlatego, że prowadząc wóz miał uczucie, że jego ciało stanowi jedną całość z motorem, który nieugięcie i z łatwością pokonywał trudności napotykaną na tej; krętej i wznoszącej się do góry drodze, doznał wrażenia, że powiew awanturniczy i pełnego brawury optymizmu, pierwszy po tylu latach, oczyszcza — niczym podmuch wiatru — burzliwe niebo jego ducha. Należało, pomyślał, uważać za skończony i pogrzebany cały długi okres życia i rozpocząć je na nowo na innej płaszczyźnie i na innych zasadach. Spotkanie z Linem, pomyślał jeszcze, było bardzo pożyteczne; nie tylko z tej przyczyny, że uwalniało go od wyrzutów sumienia z powodu nie popełnionej zbrodni, ale także i przede wszystkim dlatego, że padło tych kilka słów na temat nieuchronnej utraty niewinności, będącej normalnym zjawiskiem w życiu każdego człowieka. Dzięki temu uświadomił sobie, że przez dwadzieścia lat kroczył z uporem po błędnej drodze i że teraz musi z tym na zawsze skończyć. Tym razem żadne usprawiedliwienie nie będzie potrzebne i był zdecydowany nie dopuścić do tego, żeby morderstwo rzeczywiście popełnione, i na Quadrim, zatruło go męką próżnych poszukiwań odkupienia i normalności. Co było, to było, Quadri nie żyje, i on przywalił jego śmierć cięższym od

cmentarnego nagrobka kamieniem ostatecznego zapomnienia. Może dlatego, że krajobraz zmienił się teraz i z upalnego pustkowia wjeżdżali w żyzny obszar obfitujący w podskórne wody, na którym, po obu stronach drogi, wyrastały kwiaty, trawa i paproć, a wyżej, nad warstwą tufu, bujny i gęsty zagajnik, wydało mu się, że od tej chwili potrafi już unikać rozpaczliwej pustyni, po której człowiek idzie za własnym cieniem i czuje się prześladowany i winny; że będzie odtąd szukał „śmiało i zdecydowanie miejsc takich jak to, przez które teraz przejeżdżał, skalistych i nawiedzanych przez zbójców i dzikie zwierzęta. Uwikłał się dobrowolnie, głupio w niegodne więzy i bardziej jeszcze niegodne zobowiązania; i wszystko dla mirażu owej normalności, która nie istniała; teraz te więzy były zerwane, zobowiązania unieważnione i on był znowu wplny, przeświadczony, że potrafi tę wolność wykorzystać. W tej chwili krajobraz stał się niezwykle malowniczy: po jednej stronie zagajnik, pokrywający zbocze pagórka; po drugiej — zarośnięte trawą wzniesienie, z rzadko rozrzuconymi, olbrzymimi, rozłożystymi dębami, opadające łagodnie do fosy; obrastały ją gęste krzaki, przez które przeświecała spieniona woda potoku. Za fosą pięła się skalista ściana, po której spływała połyskującą wstęgą wodospadu.. Marcello zatrzymał nagle samochód, mówiąc:

.— To śliczne miejsce... zatrzymajmy się tu na chwilę.

Dziewczynka zapytała odwracając się od okna:

— Czy dojechaliśmy już?

— Nie, nie dojechaliśmy jeszcze, zatrzymaliśmy się tylko na chwilę — powiedziała Giulia biorąc ją za rękę i wysiadając z nią z samochodu.

Gdy wszyscy wysiedli, Giulia powiedziała, że chce, by dziecko załatwiło się korzystając z postoi, i Marcello pozostał sam przy samochodzie, a żona i córka oddaliły się o kilka kroków. Matka szła powoli, nie pochylając się nad dziewczynką, która, ubrana w krótką białą sukienkę, z dużą kokardą w rozpuszczonych włosach, rozprawiała jak zawsze z ożywieniem, wznosząc twarzyczkę ku matce, widocznie o coś pytając. Marcello zadał sobie pytanie, jakie miejsce przypadnie jego córce w nowej i wolnej przyszłości, której obraz odmalował się przed chwilą w jego rozegzaltowanej wyobraźni, i powiedział sobie, że co jak co, ale na pewno potrafi wprowadzić ją w życie oparte na innych niż dotąd podstawach. Wszystko w życiu jego córki, pomyślał, musi być radością, natchnieniem, wdziękiem, lekkością, czystością, świeżością i przygodą; wszystko musi przypominać krajobraz, który nie zna dusznych upałów i oparów, lecz tylko nagle burze-odnowicielki, dzięki którym powietrze staje się

przejrzystsze, a barwy weselsze. Nie powinno pozostać w nim nic z krwawej pedanterii, która do wczoraj kształtowała jego życie.

Myśląc o tym wszystkim odszedł od skraju drogi i zbliżył się do lasu, czerniejącego po drugiej stronie. Drzewa były gęste i rozłożyste, niżej rosły jeżyny i inne dzikie krzewy, a jeszcze niżej trawa i kwiaty na podszyciu z mchu. Marcello wsunął rękę między gałęzie i zerwał jeden kwiat, kampanulę o prawie fioletowym błękicie. Była to zwykła kampanula, z biało pożyłkowanymi płatkami; powąchał ją i poczuł gorzki ziołowy zapach. Pomyślał, że ten kwiat, który wyrósł w cienistej gmatwaninie leśnego podszycia, na odrobinie gleby uczeptionej jałowego tufu, nie próbował naśladować Wyższych i bardziej rozrośniętych roślin ani roztrząsać własnego losu, aby potem pogodzić się z nim lub go odrzucić. Rósł w pełnej nieświadomości i wolności tam, gdzie przypadkiem padło nasienie, rósł, dopóki on go nie zerwał. Być jak ten samotny kwiat, rozkwitły na skrawku mchu, na cienistym leśnym podszyciu, pomyślał, oto skromne i naturalne istnienie. Natomiast w dobrowolnej pokorze i czczych próbach przystosowania się do złudnej normalności kryły się jedynie pycha i egoizm.

Drgnął, gdy dobiegł go głos żony, która powiedziała: — No to jedźmy — i znów usiadł przy kierownicy. Samochód szybko

wziął zakręt, okrążając porośnięte dębami -wzniesienie, minął gęsty las, potem wąwóz i "wydostał się na olbrzymią równinę, Na dalekim horyzoncie majaczyły kontury łańcucha górskiego, zawoalowane lipcowym upałem; w złotawym i nieco mglistym świetle Marcello zobaczył pośrodku równiny skalistą górę, na której szczycie sterczało miasteczko z nielicznymi domami, skupionymi wokół wież i murów zamczyska. Widać było wyraźnie szare ściany domostw, zawieszane prostopadle nad drogą okrążającą spiralami górę: z każdego boku kwadratowego zamku wyrastała masywna okrągła wieża; miasteczko miało kolor różowy, a gorejące na niebie słońce wydobywało jaskrawe blaski z szyb domów. U stóp góry droga biegła prosto, białą linią, na kraniec równiny; naprzeciwko góry, po drugiej stronie szosy, rozciągał się teren lotniska, porośnięty niską trawą o żółtawej zieleni. W przeciwieństwie do starych domów miasteczka, wszystko na lotnisku było nowoczesne i nowe: trzy długie hangary upstrzone dla ochrony zielonymi, błękitnymi i brązowymi plamami, w górze antena, na której powiewała biało-czerwona chorągiew, liczne srebrne samoloty, rozrzucone jakby przypadkiem w kręgu pola startowego'.

Marcello [długo obserwował ten krajobraz, podczas gdy samochód, ostro ścinając zakręty stromej drogi, mknął szybko ku równinie. Kontrast między antyczną

skąłą a nowoczesnym lotniskiem wydał mu się bardzo znamieny, ale nagłe roztargnienie nie pozwoliło mu odgadnąć jasno jego znaczenia. Uświadomił sobie jednak, że ów krajobraz robi na nim swojskie wrażenie, jak gdyby kiedyś go już widział. Lecz, o ile mógł sobie przypomnieć, jechał po raz pierwszy tą drogą.

- Samochód dotarł do końca spadku i wjechał na prostą drogę, która zdawała się nie mieć końca. Marcello przyspieszył biegu i strzałka szybkoomierza przesunęła się, wskazując osiemdziesiąt, a potem dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Droga biegła teraz między rozległymi polami, metalicznie żółtymi, z których sprzątnięto już plony i na których nie było ani jednego domu, ani jednego drzewa. Najwidoczniej, pomyślał Marcello, tutejsi ludzie mieszkali wszyscy w miasteczku i przychodzili wczesnym rankiem, żeby pracować w polu, a wieczorem wracali do miasteczka.

Głos żony oderwał go od tych rozmyślań.

— Popatrz — powiedziała wskazując na lotnisko — co się tam dzieje?

Marcello spojrział i zobaczył kilka osób biegnących w różne strony i wymachujących rękami. Jednocześnie z jednego z trzech hangarów buchnął, dziwny w tym oślepiającym blasku letniego dnia, płomień czerwony i spiczasty, prawie bez dymu. Potem drugi płomień wydobył się z drugiego dachu i jeszcze jeden z trzeciego.

Teraz trzy płomienie zlały się w jeden, który miotał się gwałtownie we wszystkich kierunkach, podczas gdy kłęby czarnego dymu pełzały po ziemi, rozsnuwając się dokoła i zasłaniając hangary. Lotnisko opustoszało tymczasem, zaginał na nim wszelki ślad życia.

Marcello powiedział spokojnie:

— Nalot.

— 'Ale czy nie ma niebezpieczeństwa?

— Nie, samoloty musiały już przelecieć.

Dodał gazu, strzałka szybkościomierza

doszła do stu, do stu dwudziestu kilometrów. Byli teraz pod miasteczkiem, widzieli drogę, która okrążyła wzniesienie, ściany domów, zamek. Nagle Marcello usłyszał za plecami ogłuszający i wściekły huk pikującego samolotu. I w tym huku rozróżnił też turkot seryjnych wystrzałów z karabinu maszynowego: zorientował się natychmiast, że samolot jest za nim i że zaraz znajdzie się nad nim. Potem usłyszał nad sobą metaliczny ryk, ogłuszający tylko na ułamek sekundy, i samolot oddalił się. Marcello poczuł jakby silne uderzenie pięścią w ramię, a potem śmiertelną słabość; udało mu się rozpaczliwie zebrać siły, doprowadzić wóz do skraju drogi i zahamować.

— Wsiądźmy — powiedział gasnącym głosem, opierając rękę o drzwi i naciskając klamkę.

Drzwi otworzyły się na oścież i Marcello

wypadł na zewnątrz; potem czołgając się* z twarzą i rękami w trawie, wyciągnął nogi z auta i legł na ziemi, obok rowu. Lecz nikt się nie odezwał i chociaż drzwiczki były wciąż otwarte, nikt nie wyrzwał z samochodu. W tej samej chwili dał się znowu słyszeć odgłos krążącego samolotu. Pomyślał- jeszcze: — Boże, spraw, żeby ocalały... one są niewinne — a potem, zrezygnowany, z twarzą w trawie, czekał na powrót samolotu. W samochodzie, którego drzwi były otwarte, panowała głucha cisza i Marcello zdążył uświadomić sobie jeszcze z rozdzielającym bólem, że nikt z niego nie wysiądzie. W końcu samolot był już nad nim i odlatując w płonące niebo powlókł za sobą noc i spokój.